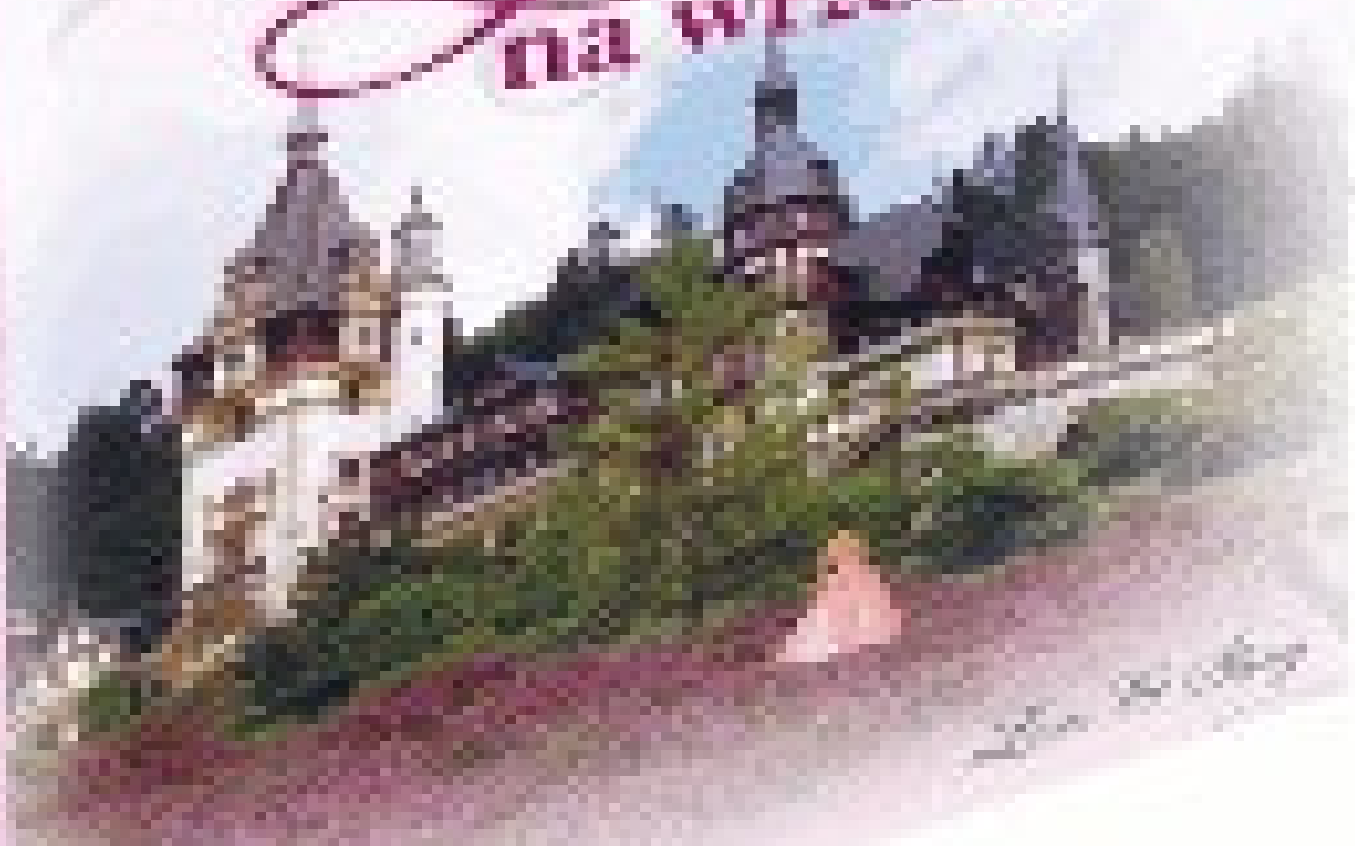


Nowa Księgarnia

MEAGAN
MCKINNEY

*L*amek
na wznosowisku



MEAGAN MCKINNEY

Wydawnictwo Nowa Księgarnia

Megan McKinney ZAMEK NA WRZOSOWISKACH

Pameli Gray Ahearn

Droga przyjaciółko

tę książkę dedykuję wyłącznie Tobie.

Obyśmy wszyscy dożyli, by dać świadectwo.

Niech Cię Bóg błogosławi

M.M.

Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy...

Buntuj się, buntuj, gdy światło się mroczy.

Dylan Thomas

(przekład Stanisława Barańczaka)

1

Cóż to? Żyd nie ma oczu, cóż to - nie ma

Rąk, zmysłów, uczuć? Czyż nie jest karmiony

Tą samą stawką, od tych samych bron

Ran nie doznaje i tym samym lekiem

Czy się nie leczy, nie doznaje chłodu

Od zim tych samych, co i chrześcijanin?

Kupiec wenecki

Jeszcze po latach miała pamiętać, że jej uwagę zwróciło to nazwisko. John Damien Newell. Zwykły podpis; trzy starannie wykaligrafowane słowa, niebudzące żadnych złych przeczuć.

Zaintrygowało ją nazwisko. Aleksandra zapagnęła poznać owego Johna Damiana Newella. Mężczyznę, który jej potrzebował, chociaż jeszcze o tym nie wiedział. Może usłyszała jakiś wewnętrzny głos. Uświadomiła sobie, że w myślach wciąż powtarza jego nazwisko i próbuje sobie wyobrazić twarz, której rysów przecież jeszcze nie znała.

John Damien Newell.

Nazwisko przemawiało do niej. Pewnego dnia miała uwierzyć, że w jakiś sposób obudziło tę część jej natury, którą uważała za uśpioną na zawsze. Ale nie to mówiła sobie owego szarego, dżdżystego ranka, trudząc się nad odpowiedzią.

Siedząc w bibliotece z piórem w dłoni, Aleksandra była pewna, że tylko młodzieńcza nierozwaga skłaniają do odpisania na list Newella; nierozwaga i poczucie głębokiej krzywdy, popychające do działania, nakazujące odpowiedzieć na list, który należało podrzeć i wyrzucić.

Gdy tylko Mary podała jej kawę w dawnej bibliotece ojca, zasiadła, by odpisać. Wziąwszy do ręki kartkę, przyglądała się swojemu wyraźnemu podpisowi na welinowym papierze, podświetlonym przez ogień płonący na kominku. Wpatrywała się w litery, zastanawiając się, czy można się z nich czegoś o niej dowiedzieć. To oszustwo, pomyślała. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Zaczęła pospiesznie dmuchać na mokry atrament. Trzymając list w drżących dłoniach, przeczytała go jeszcze raz, w głębi serca przekonana, że postępuje lekkomyślnie i niemądrze, jeszcze nie wiedząc o tym, że powierza swoje życie rękom nieznanego.

19 kwietnia 1858

Szanowny lordzie Newel ,

z przykrością zawiadamiam, że nie może się stać zadość pańskiemu życzeniu, aby mój ojciec, doktor Horacy Benjamin, stawiał się w zamku Cairncross. Doktor Benjamin zmarł na influencję w grudniu zeszłego roku. Jego notatki zostały przekazane do Królewskiego Kolegium Chirurgów, aby można było kontynuować prowadzone przez niego badania. Mam nadzieję, że dzięki temu uda się wyleczyć pańskiego brata z jego przypadłości.

Jeśli uczelnia nie będzie mogła panu pomóc, proponuję swoje usługi. Nie posiadam formalnego wykształcenia jak mój ojciec, ale asystując mu przez wiele lat, z ręką na sercu mogę zapewnić, że znane mi są wszystkie jego teorie naukowe i wyniki eksperymentów.

W oczekiwaniu na odpowiedź pozostaję z poważaniem,

Alex Benjamin

Wpatrywała się w list. Miała wyrzuty sumienia i przemożną chęć, by ująć pióro i podpisać się pełnym imieniem.

Okłamywała tego człowieka. Gdyby przystał na jej propozycję, Aleksandra musiałaby odmówić z obawy przed jego słusznym gniewem, kiedy odkryłby jej podstęp. Ale nie miała innego wyjścia. Gdyby podała swoje imię, równie dobrze mogłaby w ogóle nie odpisywać. Lord Newell ani przez moment nie brałby pod uwagę możliwości sprowadzenia do Yorkshire kobiety, w dodatku nieposiadającej dyplomu lekarza. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że najprawdopodobniej z chwilą, gdy pojawi się w progu jego domu, Newell pokaże jej drzwi, musiała jednak przynajmniej spróbować. Nie mogła już dłużej pozostać w Londynie. Powinna koniecznie stąd wyjechać. Ten baron, ten John Damien Newell, to jej ostatnia deska ratunku.

ciemnozielony, wzorzysty dywan, w oknach wisiały jedwabne, migoczące purpurą kotary, a pod ścianami stały szafki wypełnione książkami z wielu różnych dziedzin, od archeologii starożytnej do etykiety francuskiego dworu. Teraz Aleksandra obojętnie wpatrywała się w gołe ściany. Zabrano dywan i po raz pierwszy od dnia, w którym razem z ojcem wprowadziła się do nowego domu w mieście, ukazały się surowe deski. Dawniej w pokoju unosił się zapach czerwonego wina i wosku do podłóg, teraz czuć było jedynie stare drewno. Z okien zdjęto zasłony, sprzedane handlarzowi starzyzną. Teraz widziała krople londyńskiego dżdżu padające na odsłonięte szyby. Kiedyś był to wspaniały dom. Aleksandra miała zaledwie dziesięć lat, gdy zmarła jej matka. Wówczas ojciec postanowił, że przeniosą się do Londynu, gdzie miał lepsze warunki do pracy naukowej. Na osieroconej dziewczynce nie wywierały wrażenia monumentalne drzwi ani płynne linie gzymsów, a po latach okazało się, że Belmont Crescent to modny adres, gdzie spokojnie mogą mieszkać nawet tacy ludzie jak oni.

Aleksandra znów poczuła, jak w jej sercu budzi się zadawniona uraza, niczym uparte pnącze, które gdy raz owinie się wokół muru, zdolne jest go rozkruszyć. Była, kim była, i jej ojciec był tym, kim był. Dobrym i uczciwym człowiekiem, który zawsze rzucał żebrakowi monetę, chociaż nieraz przy tej okazji wyrwano mu sakiewkę. Na uczelni cieszył się wielkim szacunkiem. Poświęcił się studiowaniu tego akurat zagadnienia, ponieważ poślubił kobietę głuchoniemą; piękną, ale zanedbywaną i traktowaną okrutnie przez rodzinę tylko dlatego, że nie słyszała i nie mówiła. Jego największym pragnieniem jako męża i lekarza było usłyszeć, jak żona wymawia jego imię. Dlatego nauczył ją mówić i poświęcił życie studiom, które umożliwiłyby również innym opanowanie tej sztuki; tym, którzy jak jej matka znaleźli się poza nawiasem społeczeństwa i byli uważani za głupców, a nie potrafili wyrazić słowami gniewu, jaki w nich wyzwalало niesprawiedliwe traktowanie.

Lecz Aleksandra dobrze wiedziała, że wszystkie dobre uczynki świata nie zmażą piętna na wieki straconej duszy Horacego Benjamina. Był Żydem. Zabójcą Jezusa. Nie mógł dostąpić zbawienia, jak każdy uczciwy chrześcijanin. To, że jej matka była Irlandką, najprawdziwszą katoliczką z Wexford, nie miało żadnego znaczenia. Oceniano ją wyłącznie ze względu na krew ojca płynącą w jej żyłach. Aleksandra płaciła wysoką cenę za swe pochodzenie.

Jednak z czasem stwierdziła, że gniew ma też swoje dobre strony. Zawsze pojawiał się w porę, w chwilach bezradności i zniechęcenia. Aleksandra wiedziała, że nie jest Żydówką, ponieważ jej matka nie była Żydówką. Ale jeśli cały świat wołał ją uważać za córę Izraela, to na Boga, zniesie to z dumą i niech wszyscy będą przeklęci.

Zwłaszcza Brian.

Spojrzała na stojącą pod oknem kanapkę, na której spędziła wiele godzin, wsparta na atlasowych poduszkach.

Udawała, że czyta książkę, lecz co chwila zerkała przez koronkowe franki, wypatrując gościa. Dziś

jeszcze pamiętała słodkie uczucie, które ją ogarniało, kiedy Mary podchodziła do niej, by szepnąć do ucha, że Brian czeka w salonie na jej ojca. Przez lata serce szybciej jej biło na sam dźwięk tego imienia. Jako asystentka ojca pracowała razem z jego studentami i było prawdopodobne, że w którymś z nich się zakocha. Oceniając to z perspektywy czasu, rozumiała, że zapewne uniknęłyby cierpienia, gdyby Brian nie wyznał, że ją kocha. Ale wtedy o tym nie wiedziała. Nie wiedziała, jaki jest okrutny w swej układności, jak okrutna bywa miłość i jak potrafi się wkraść niepostrzeżenie do serca za pomocą miłych słówek.

- Panienko?

Aleksandra podniosła wzrok. Mary wsunęła przez drzwi głowę w koronkowym czepku. Po raz pierwszy dostrzegła, że rude loki służącej zaczyna przyprószać siwizna.

- Panienko, przyszedli po biurko. Co mam powiedzieć?

Aleksandra spojrzała na niezaklejony list leżący na ukochanym biurku ojca. Wstała, roztopiła szkarłatny wosk, nakapała w miejscu, gdzie stykały się brzegi złożonej kartki, i odcisnęła sygnet ojca. Kiedy wosk wystygł, widać w nim było wyraźną literę „B” w gwiazdce Dawida.

- Czy możesz to wysłać? - Aleksandra wręczyła Mary list. Skinęła w kierunku korytarza, gdzie czekali wierzyciele. -

Powiedz im, żeby weszli.

*

Aleksandra Benjamin była niezwykle dzieckiem, pilnym, spokojnym, skłonny do zadumy. Sądziła, że stała się taka, ponieważ w wieku dziesięciu lat straciła matkę i spędziła resztę dzieciństwa zagubiona w otoczeniu mężczyzn.

Dom jej ojca często służył za sypialnię jego licznych kolegom. Jeśli zasiedzieli się do późna w pracowni, mieli zwyczaj nocować w bibliotece. Jednak ci, którzy lepiej znali Aleksandrę, jak kucharka i Mary, wcale nie uważali, że jedyną przyczyną jej nieśmiałości jest przebywanie w towarzystwie mężczyzn. Przez lata szeptały między sobą i ze smutkiem kiwały głowami, niepokojąc się losem Aleksandry. Gdyby ktoś je o to zapytał, powiedziałyby, że ich zdaniem dziewczynka zamknęła się w sobie przez ojca, który niosąc pomoc bezbronnym, nie dostrzegał tuż obok siebie tej małej istotki darzącej go bezgranicznym podziwem. Horacy Benjamin od śmierci żony miał w życiu tylko jedną pasję, a była nią praca. Zdarzało się, że mała Aleksandra nie widywała ojca przez kilka dni, a nawet tygodni, chociaż 2

mieszkali pod jednym dachem. Mary ze łzami w oczach wyznała kucharce, że aż jej się ścisnęło serce, gdy dziewczynka wbiegła do pracowni ojca z błyszczącymi oczami, by się pochwalić nową szarfą z niebieskiego atlasu.

- Nie słyszał jej. Nie widział - chlapała pokojówka, późnym wieczorem wychylając z kucharką kieliszeczek. -

Zachowuje się jak któryś z pacjentów, głuchy i ślepy na obecność córki. Biedactwo! W jednej chwili zgasł blask w jej oczach. Wyszła z pracowni, usiłując powstrzymać łzy. I wiesz co? - Mary wydmuchała nos w chusteczkę i nachyliła się do kucharki. - Od tamtej pory nie przewiązała sukienki tą szarfą.

Lecz dla Aleksandry twierdzenie, że ojciec ją zaniedbywał, było całkowicie bezpodstawne. Ojciec dawał jej wszystko, czego tylko mogła pragnąć mała dziewczynka - zabawki, śliczne sukienki, kokardy. Wszystko z wyjątkiem swojej obecności. Aleksandra od najwcześniejszego dzieciństwa była osobką do przesady samodzielną. Nie mając ko-leżanek, nauczyła się bawić sama; pozbawiona matki opanowała typowo kobiece umiejętności - umiała haftować i malować akwarelki.

Potem nadszedł dzień, kiedy ojciec dokonał niezwykłego odkrycia. Siedział pochylony nad notatkami, kiedy Aleksandra weszła z imbrykiem herbaty. Jak zwykle błądził gdzieś myślami, pochłonięty hipotezami i teoriami.

Tamtego dnia pracował z pięcioletnim, głuchoniemym chłopczykiem. Aleksandra widziała, jak malec, puściwszy dłoń matki, wszedł prosto do bawialni i zaczął uderzać w klawisze fortepianu.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, zasugerowała że chłopczyk jest wrażliwy na wibracje strun instrumentu.

Stawiając tacę z herbatą, ze zdumieniem stwierdziła, że doktor gwałtownie uniósł głowę.

Horacy Benjamin wpatrywał się w czternastoletnią córkę, jakby ujrzał ją pierwszy raz w życiu. Zaintrygowany, udał

się z Aleksandrą i chłopczykiem do bawialni i zaczął doświadczenie. Wtedy po raz pierwszy Aleksandra poczuła jakąś więź z ojcem. Od tamtego dnia znalazła miejsce w jego życiu. Ponieważ była kobietą, nie mogła liczyć na zdobycie formalnego wykształcenia, bo nawet bardzo szanowany doktor Benjamin nie potrafiłby pokonać barier, jakie zagradzały kobietom drogę do kariery naukowej. Niemniej została jego asystentką.

Aleksandra stwierdziła, że rozmowy z ojcem o jego badaniach naukowych wynagradzają jej wszystkie samotnie spędzone godziny. Praca, chociaż czasem monotonna, bardzo ją interesowała, a ojciec traktował ją jak pastora. Stała się dla niego kimś wyjątkowym. Dzielił się z nią wszystkim, co tylko mogła ogarnąć swoim umysłem.

Ale sama młodość okazała się surowym nauczycielem. A Aleksandra w odróżnieniu od innych dokładnie wiedziała, kiedy skończyła się jej młodość: 24 grudnia 1857 roku, kilka minut po północy. Wtedy właśnie pochowano jej ojca; była zrozpaczona, ale przecież miała jeszcze Briana. Jasnowłosey, mądry Brian przesłaniał jej cały świat i zdawał się jedynym wybawieniem. W końcu, mimo żałoby, marzenie Aleksandry mogło się spełnić. Po śmierci ojca można na jakiś czas pracę odsunąć na dalszy plan, by zaspokoić bardziej nagłą potrzebę: pragnienie bycia kochaną. Tamtej strasznej, ponurej nocy, kiedy czekała na jego odpowiedź, powtarzała sobie, że z pewnością Brian też to zrozumie.

Rzeczywiście przyszedł. Pojawił się w drzwiach tuż przed północą, z jasnym czołem, z błyszczącymi oczami.

Potwierdził, że wszystko, co napisała w swoim liście, jest prawdą. Kilka lat spoglądali na siebie ukradkiem. Czasem też przez chwilę szeptali o czymś w holu, obydwójce też uwierzyli, że mają przed sobą wspólną przyszłość. W liście Aleksandra wyznała mu swe marzenia: że pragnie być u jego boku w dzień i w nocy, że pragnie urodzić mu dzieci, stworzyć prawdziwy, szczęśliwy dom, jaki pamiętała z czasów dzieciństwa, kiedy jeszcze żyli obydwójce rodzice.

Przelała też na papier wszystko, co raniło jej duszę, ale rany były uleczalne i nadeszła pora, żeby ujawnić, co do niego czuje.

Płakała, kiedy pisała o swej miłości i nadziejach. Tłumaczyła, że nawet ludzie tak zapracowani jak oni mogą się pobrać i mieć dzieci. Śmierć ojca uzmysłowiła jej, że trzeba brać to, co daje życie.

Pisała, że nadeszła pora, by połączył ich węzeł małżeński.

Jakiś czas potem uświadomiła sobie, że tamtej nocy miała dwa wyjścia. Mogła płakać i błagać Briana, by zrozumiał, że niesłusznie uważa ją za Żydówkę. Nie musiała nosić piętna, jakim ją naznaczono. Nie no siła go jej matka i tak samo nie nosi go ona. W oczach Boga i Kościoła naznaczony był nim tylko jej ojciec, który teraz spoczywał w grobie.

Buntowniczo, w milczeniu wybrała to drugie. Zrozumiała, że skoro raz uznano ją za Żydówkę, już nic tego nie zmieni. To, w co wierzył Brian, nie było prawdą, ale wyprowadzanie go z błędu byłoby większą niesprawiedliwością od tej, której dopuścił się względem niej. Oznaczało sprzeniewierzenie się człowiekowi, którego podziwiała i kochała jak nikogo na świecie. Tego ojcu nie mogła zrobić.

I tak skończyła się jej młodość. Aleksandra stopniowo odkrywała, jak łatwo oszukiwać samotną, niedoświadczoną kobietę. Brian nigdy nie zabrał jej do opery, tłumacząc, że matka nie zniosłaby, gdyby towarzyszył jakiejś innej kobiecie poza nią; nigdy nie kupował jej prezentów, ponieważ jego zdaniem prawdziwy dżentelmen nie dopuszcza do siebie myśli, że jakieś błyskotki są warte tego, by zdobić ukochaną. Więc Aleksandra nie spędzała wieczorów w operze, nie cieszyła oczu klejnotami stanowiącymi wyraz jego miłości. Do samego końca wierzyła mu ślepo, dopiero później uświadomiła sobie, że inna kobieta towarzyszy mu w operze, ona też nosi złote błyskotki, które dla niej kupował u Bronwyna i Schlossa.

3

W liście, napisanym w tamtą wigilię Bożego Narodzenia, błagała Briana, by wyznał jej prawdę, i podczas wizyty o północy zadośćuczynił jej prośbie. Szeptał jej do ucha o miłości i jednocześnie zniweczył jej najskrytsze marzenia.

Sprawił, że zapamiętała na zawsze każdą minutę tamtej nocy. Teraz jeszcze potrafiła odtworzyć, co wtedy czuła; najpierw, kiedy ujrzała jego twarz w drzwiach, niewysłowioną ulgę, potem przyszedł ból spragnionego miłości serca i słodczy nadziei. Pocałował ją, kiedy zegar wybił dwunastą. Pamięć

była bezlitosna. Przycisnął swoje kształtne usta do jej spragnionych warg i jęknął, że marzył o tym od dawna. Szepnęła, dając upust swym najskrytszym marzeniom, że w końcu nie ma żadnych przeszkód i może przyjąć jego oficjalne oświadczenia.

Przestał ją całować. Ich spojrzenia spotkały się.

A potem spokojnie zaczął tłumaczyć, dlaczego nie może jej się oświadczyć.

2

Wejdz w próg komnaty i spojrzysz na łożo.

O, niespokojny duch tak nie odchodzi.

Robert Ruthven

W porze wiosennych roztopów podróż do Cairncross była długa i męcząca. Aleksandra siedziała z Mary na stacji w Stirrings-in-Field, czekając na przyjazd pociągu zdążającego na północ. Po raz chyba dwudziesty poprawiła się na twardej, drewnianej, niewygodnej ławce. Miała chęć posłać Mary do wiejskiej gospody, by wynajęła pokój.

Postanowiła jednak zrezygnować z tego luksusu. Po spłaceniu wszystkich długów i sprzedaży domu w mieście została jej niewielka sumka. Teraz mogła sobie pozwolić na kaprys, ale przez resztę życia będzie musiała żyć nie zwykle oszczędnie.

Może gdyby Horacy Benjamin nie był człowiekiem tak hojnym, lepiej zabezpieczyłby przyszłość córki, lecz Aleksandra nie miała o to do niego pretensji. Chciał zapewnić swojej rodzinie pewien standard życia i dopiął swego, nawet jeśli niezbyt rozsądnie dysponował lekarską pensją. Niektórzy uważali go za głupca, ponieważ wybrał

medycynę, mimo że mógł zostać bankierem, jak tylu jego rodaków mieszkających w Londynie. Ci Żydzi popisywali się swoim bogactwem w nadziei, że okaże się ono uniwersalnym środkiem na ostracyzm, na który byli skazani. Jednak Aleksandra wiedziała, że Horacy Benjamin daleki był od takich kalkulacji.

Odkąd pamiętała, zawsze miał szczytne ideały. Chciał pomagać ludziom i robił to konsekwentnie. Jej matka należała do licznej grupy osób, które zawdzięczały mu życie. Aleksandra nie mogła i nie chciała go obwiniać, mimo iż straciła własny dom, a wraz z nim szczęście. Horacy Benjamin był, jaki był, pocieszała się z pewną dozą przekory.

Razem z Mary siedziały sztywno na ławce stojącej na krótkim, drewnianym peronie w Stirrings-in-Field, minuty wlokły się niemiłosiernie. Aleksandra westchnęła i zamknęła oczy. Szkoda, że nie mogła rozsznurować gorsetu i ułożyć się wygodnie na materacu, póki nie nadjedzie pociąg do Yorku. Mgła spowijała budynek stacyjki, wprawiając dwie samotne kobiety w ponury nastrój.

- Panienko, czy naprawdę panienka chce się tam udać? - spytała Mary, nerwowo ściskając torebkę dłońmi w czarnych rękawiczkach. - Tak długo mieszkała panienka w Londynie. A jeśli nie spodoba

się panience w Yorku? A jeśli nie spodoba się panience lord Newell i Cairncross?

- Mogę tylko mieć nadzieję, że pozostaniemy tam wystarczająco długo, by się o tym przekonać - odparła Aleksandra, uśmiechając się smutno. Nie wspominała Mary, że lord Newell spodziewa się mężczyzny. Uznała, że tak będzie lepiej.

Teraz jednak zastanawiała się, czy jej o tym powiedzieć.

- Coś mi mówi, że popełniłyśmy błąd. Wiem, że jestem przesądna, ale mam złe przeczucia - rzekła Mary.

Aleksandra przez chwilę zastanawiała się nad słowami pokojówki. Właściwie dotąd nie uporządkowała swoich myśli dotyczących tego wyjazdu. Tak to jest, kiedy się ucieka. Człowiek nie zastanawia się nad tym, dokąd się udaje, tylko koncentruje się na tym, jak zgromadzić środki, by się wyrwać.

- Wszystko będzie dobrze. A lord Newell zapewne okaże się uroczym człowiekiem - powiedziała z dziwną pewnością siebie. Udało się jej uspokoić własne, nagle rozdygotane nerwy.

Kołysząca się w oddali latarnia zwiastowała pojawienie się pociągu. Mary rozejrzała się po zasnutej mgłą stacji.

- Uważam, że taka wyprawa nie przystoi młodej damie, jaką jest panienka... - mruknęła.

„Młodej damie, jaką jest. Jaką jest?”

Aleksandra przymknęła powieki. Te słowa sprawiły jej przykrość. Tak powiedział Brian.

„Taki mężczyzna, jak ja, nie może poślubić młodej damy, jaką jesteś”.

Otworzywszy oczy, zaczęła się wpatrywać w zamglone, żółte światło sunące ku nim torami. Mimowolnie wróciła myślami do szczęśliwszych dni, kiedy żył jej ojciec i wszystko miało sens.

Nie poświęciła młodości wyłącznie studiom nad pracą mięśni warg i języka ani asystowaniu pacjentom uczącym się czytać z ruchu ust. Wiele godzin spędziła w bibliotece, pogrążona w lekturze powieści. Wtedy przenosiła się w inny świat.

Jej ulubioną książką był *Ivanhoe* Waltera Scotta. Z dwóch powodów. Usłyszała kiedyś, że sir Waltera Scotta do 4

stworzenia postaci Rebeki zainspirowała podróż do Nowego Jorku. Tam, w zwykłej kamienicy wychodzącej na porośnięty drzewami skwerek, poznał śliczną ciemnowłosą Żydówkę i, jak mówiono, zakochał się w niej. Chociaż Aleksandra lubiła pracować z ojcem, lecznicze mikstury, szklane próbówki i długie, nużące godziny ćwiczeń z fonetyki nie pobudzały jej wyobraźni. Pragnęła mieć ojca i dzięki nauce go zdobyła, ale w głębi serca powstały jeszcze inne marzenia. Pasję tę zrodziła lektura powieści *Waverley*, a rozpałała *Ivanhoe*.

Aleksandra, obdarzona romantyczną wyobraźnią, utożsamiała się z Rebeką. Nie miała tak ciemnych włosów jak ona, lecz gęste, kasztanowe i niesforne loki, które bardzo często musiała szczotkować, by je poskromić. Jej oczy nie były ciemne i ogniste jak oczy jej bohaterki, lecz orzechowe i jakby za duże w jej drobnej twarzy. Ojciec przekomarzając się z nią twierdził, że mają taki wyraz, jakby była nieco zdruzgotana. Wróciła myślami do tamtego wieczoru, kiedy Brian przyszedł, by okazać swoje współczucie. Pamiętała, jak spokojnie siedziała na kanapie, słuchając jego racji i odczuwała przy tym dziwne zadowolenie, że ojciec już nie żyje i nie widzi wyrazu jej oczu.

W jej marzeniach Brian zawsze występował w roli rycerza Ivanhoe. Wyobrażała sobie, że będzie dzielnie walczył, by ją uratować i nawet jeszcze w grobie będzie marzył o pięknej Żydówce.

Okazało się, że fikcja w osobliwy sposób stała się rzeczywistością. A Brian okazał się rycerzem Ivanhoe. Bo przecież Ivanhoe poślubił lady Rowenę.

- Słusznie robię. Czuję to - rzekła Aleksandra.

Mary wstała z ławki i zaczęła nerwowo ponaglać tragarza, by wziął ich bagaże.

- Czuję to - szepnęła Aleksandra, kiedy już siedziały w pociągu, patrząc przez okno, jak stacja ginie w kłębach pary.

*

John Damien Newell odchylił głowę na oparcie żelaznego krzesła w chwili, gdy błyskawica bezgłośnie przecięła niebo nad Tamizą. Siedział na tarasie urządzonym na dachu domu. Noc była ciepła. Już szalały majowe burze.

Nadeszła wiosna gwałtowna i niespokojna.

Blade kobiece dłonie przesuwały się po jego nagich ramionach, głaskały lśniące złote włosy porastające tors. Abbey wyłoniła się z okna mansardy, teraz stała za jego plecami, jej ręce jak zawsze były spragnione i zmysłowe. Ale nie zwracał uwagi na jej obecność; czekał na grzmot. Zawsze czekał na grzmot. Na próżno.

- Musisz wracać tak szybko? - szepnęła, całując go w kark.

Obojętnie wpatrywał się w aksamitną czerń nieba nad mieszkankiem na poddaszu, w którym tak często przebywał.

Na niebie kłębiły się burzowe chmury, z kominów unosiły się gęste dymy. Nad jego głową rozpościerała się wspaniała mroczna pustka, w której pragnął się zanurzyć.

- Nie wyjeżdżaj - szepnęła, przesuwając palcami po jego brzuchu, wsuwając je pod pasek spodni.

- Wrócę - powiedział ochryple. - Zawsze wracam.

- Tak, ale nie tak szybko, jak bym tego pragnęła - zauważyła rozdrażniona. Z westchnieniem podeszła

do drugiego żelaznego krzesła, wystawionego na taras przez okna na poddaszu, ciągnąc za sobą prześcieradło, którym owinęła swe biodra. - A tym razem dlaczego musisz jechać? - Abbey stanęła przy krześle, spokojnie wytrzymując spojrzenie Newella. Prześcieradło zsunęło się, ukazując jej nagość. Abbey kiedyś pozowała artystom i nauczyła się zręcznie drapować tkaniny.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem, unosząc kącik uróżowanych ust.

- Nie wyjeżdżaj. Myślę, że uznasz York za nudny... po tym... - szepnęła.

- York jest nudny. - Spojrzał na jej jędrne, alabastrowe piersi, a potem przeniósł wzrok na londyńskie niebo. Burza kipiała niczym czarne morze, rzucając cienie podobne do tych, które zawsze tkwiły w jego du szy. - Ale i tak muszę wyjechać.

- Nie możesz posłać służącego?

- Nie. - Jego głos przypominał cichy pomruk grzmotu. Gdy kobieta zadrżała, odwrócił wzrok.

Biały zygzak błyskawicy przeciął niebo. Nabrzeże w dole było ciemne, ciche i niesamowite. Dwieście lat temu nazwano je Dokiem Egzekucji, tu, by odstraszyć innych, tarzano w smole piratów i wieszano. Teraz Wapping był

zwykłym londyńskim portem, zbudowanym na bagnistych brzegach Tamizy, miejscem, gdzie modelka, pozująca artystom, mogła znaleźć tanie mieszkanie na poddaszu między tawernami i magazynami. Newell od lat też nazywał

Wapping swym domem.

- Może powinnam pojechać z tobą. Nigdy nie byłam w Yorku. - Abbey wstała, z kuszącym uśmiechem na ustach.

Prześcieradło białało na podłodze.

Wstrzymał oddech. Reagował na jej nagość jak bezmyślne zwierzę, niezdolne do głębszych uczuć. Jak zwykle była to reakcja czysto fizyczna, zwyczajna chuć, tyle że samo zaspokojenie pożądania teraz wydało się mu czymś błahym, budzącym melancholię i zwątpienie.

- Myślę, że jednak chciałabym być panią twojego zamku - szepnęła, obejmując go swymi miękkimi udami.

Odsunął od siebie Abbey, kładąc ręce na jej biodrach.

5

- Ciągłe mi powtarzasz, jak bardzo cenisz sobie niezależność. A jednak gotowa jesteś z niej zrezygnować i pojechać ze mną do Yorku.

- Ostatnio zbyt rzadko cię widuję. Zmieniłeś się, odkąd odziedziczyłeś zamek i tytuł. Myślałam, że

zyskamy na tym obydwójce. Teraz nienawidzę Yorku. Nienawidzę - powtórzyła jak rozkapryszone dziecko.

- Rozumiem. Beze mnie czujesz się samotna.

- Tak - syknęła gniewnie.

- A Charles? I James? I Thack?

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Skąd... skąd o nich wiesz? Ponury uśmiech przebiegł mu po twarzy.

- Będzie mi ciebie brakowało, jeśli cię stąd zabiorę. Nie mogę do tego dopuścić.

- Flirtuję z nimi tylko przez ciebie!

Roześmiał się. Nie wiedział, jak okrutnie brzmiał jego śmiech.

- Gdybyś nie spędzał tyle czasu w Yorku, nie byłiby mi potrzebni. - Wyduła usta. Pochyliła się, przytuliła do niego i znów wsunęła dłonie pod jego rozpięte spodnie. - Weź mnie ze sobą do Yorku. Będę twoją przyjaciółką. Tylko weź

mnie ze sobą.

Przyjrzał się jej. Była niewątpliwie śliczna. Miała błyszczące czarne loki i czarujące zielone oczy. Cieszyła się dużym wzięciem u malarzy, szukających piękna wartego ich pędzla; była pożądana jako kobieta, równie skora do pozowania, jak do miłości. Wszystko to robiła doskonale, lecz miała płytki umysł i zdeprawowaną duszę. Prawdę mówiąc, brakowało jej inteligencji.

Przyglądając się jej poczuł, że ogarnia go znajome uczucie beznadziejności. Abbey okazała się taka sama, jak dawne jego przyjaciółki; kolejny krok na drodze do deprawacji, kolejny z licznych wybryków. Demoralizacja Newella sięgała dna. Zaspokojenie i wszelkie uczucia, od radości do katuszy, były zawsze na wyciągnięcie ręki. I zawsze poza zasięgiem.

- Zamek Cairncross nie jest dla ciebie. Zanudziłabyś się tam na śmierć. Jediną rozrywką są wrzosowiska i sztormy szalejące niekiedy nad Morzem Północnym. To nie miejsce dla nieśmiałej utrzymanki - powiedział sarkastycznym tonem i klepnął ją w krągły tyłeczek. - Do Cairncross już przyjechał lekarz, który ma się zająć moim bratem. Wy -

jeżdżam jutro wieczorem.

- Pojadę z tobą. - Patrzyła na niego wyzywająco.

Wytrzymał jej wzrok.

Wyraz jego twarzy najwyraźniej ją zdeprymował. Ciekaw był, jak wygląda, kiedy jest zły. Na

początku ich znajomości powiedziała, że ujęła ją jego urodziwa twarz pilnego ucznia. Ciekaw był, czy teraz jego oblicze stało się zimne. Czy też ludzkie uczucia - których nigdy nie było w nim wiele - już całkiem się ulotniły.

Podeszła do niego i czule musnęła jego twarz.

- Proszę - szepnęła. - Nie odwracaj się. Nie bądź dla mnie okrutny, przynajmniej tym razem.

- Chcesz jechać do Cairncross, ale jak długo dochowasz mi wierności?

- Wiecznie - szepnęła, jakby naprawdę w to wierzyła.

- Jednak pobyt na zamku Cairncross wiąże się z warunkiem, którego osoba twojego pokroju nigdy nie zdoła wypełnić.

- Spełnię go, cokolwiek to jest. - Pstryknęła palcami. - Jeśli martwisz się o służących, będę ich traktowała jak kundli, jak na to zasługują. Nie pozwolę, żeby mi się stawiali.

- Nie wątpię. - Po jego twarzy przemknął cień. Należysz do osób, które znajdują przyjemność w biciu. - Jego wzrok padł na czerwone pręgi widoczne na jej udach i brzuchu. Ten widok coś mu przypomniał. Umilkł. - Sama bardzo to lubisz - szepnął, czując, jak w jego wnętrzu toczy się jakaś walka, zupełnie jakby sam siebie prześladował.

Odepchnął ją od siebie. Ku jego niezadowoleniu, kiedy zapinał spodnie, patrzyła na niego przez okno do sypialni niepokieszona, ale pełna zrozumienia.

Przechodząc przez pokój, chwycił koszulę. Smukła, wysoka Abbey stała na progu drzwi wychodzących na taras.

Dobrze wiedział, że jego muskularna postać i jasne włosy zawsze ją podniecają. Raz nazwała go półwikingiem, półuczniakiem, a kiedy wsunął za uszy złote oprawki okularów - dyrektorem szkoły, któremu chętnie pozwoli się wychłostać. Zdegustowany nią i sobą dał jej to, czego chciała, a nawet więcej. Teraz ciekaw był, czy mimo wszystko budzi w niej odrobinę sympatii. Pomimo ich wybryków w chwilach mrocznej ekstazy, cierpienie, malujące się teraz na jej twarzy, zdawało się świadczyć, że będzie go jej brakowało. Z jej postawy promieniowała szczerłość, więc przystanął.

- Żadna kobieta nie może jechać ze mną do Cairncross - rzekł bez ogródek, prosto z mostu. Zapiął koszulę i wsunął

stopy w lśniące czarne buty. Nieodwołalność tego, co musiało nastąpić, sprawiła, że poczuł się jeszcze większym nędznikiem.

6

- Odziedziczyłeś ziemię i tytuł swego ojca. Dlaczego się upierasz, by cieszyć się tym w samotności?

Cieszyć się tym. Miał ochotę wybuchnąć głośnym śmiechem. Jakby w jego życiu było cokolwiek, co

mu naprawdę sprawiła radość.

Prawda była trudna do przełknięcia. Pozbawiony serca i duszy rozumiał, że nigdy nie zazna rozkoszy, jaką daje prawdziwa zażyłość z kobietą. Ale zarazem wiedział, że jeśli kiedyś spotka taką, której uda się wyrwać go z do-tychczasowej uczuciowej pustki, nie zdoła jej zatrzymać. Mógł sobie podporządkować każdą istotę w rodzaju Abbey, która krążyła w ciemnościach, skryta w mrocznym cieniu. Było to łatwe, albowiem te kobiety brały siłę za miłość.

On zaś cierpiał, bo tęsknił za kimś zupełnie innym. Za kobietami, które kochały swoje dzieci i szanowały swych mężów, których srebrzysty śmiech dźwięczał niczym sygnaturka, za długim stołem, za którym siedziało grono bliskich ludzi. Nigdy osobiście nie poznał takiej kobiety. Nie pozowały nago malarzom, nie gnieździły się w dokach Wapping, wypełzając na ulice niczym karaluchy, gdy noc spowijała miasto. W swoim życiu poznał kilka dobrych kobiet i, mówiąc prawdę, wzbudzały w nim niemal lęk. Nigdy wcześniej nie miał do czynienia z takimi osobami i dopiero od niedawna zaczął je spotykać na swej drodze. Co z tego, że teraz miał tytuł barona, że dysponował wpływami i pieniędzmi ojca. One były jak boginie, które przypadkiem trafiły na ziemski padół, mijały go w powozach, tańczyły z nim na balach. Po latach biedy i zmagania z okrutnym losem on też zaczął się obracać w wytwornych kręgach, które do tego stopnia urzekały jego rodziców, że zapomnieli o potrzebach swych synów. Jednak nadal nie miał nic wspólnego z uprzejmymi damami i szlachetnymi arystokratkami, które go otaczały.

A gdyby kiedyś miał się w jednej z nich zakochać... Skrzywił się z bólu na samą tę myśl. Jakaś wspaniała, skromna, uczciwa kobieta oznaczała dla niego śmierć. Przypominałaby jedynie fakt, że między jego gładkim obliczem a duszą rozpościera się prawdziwa otchłań.

- Proszę, zabierz mnie - błagała Abbey, wyrywając go z zadumy.

- Nie. - Z ponurą miną zawiązał czarny jedwabny krawat.

- Czego mi brak według ciebie?

Czekała, jakby pragnąc usłyszeć bolesne słowa, którymi wysmagałby ją jak batem. Wiedział, iż chce usłyszeć, że powstrzymuje go przed tym jego pozycja społeczna, ale nie o to chodziło. Do takiego stopnia uważał to za mamy wykręt, że nie przywiązywał do niego najmniejszej wagi. Jednak najwyraźniej chciała to usłyszeć. Pragnęła tego, niczym jeszcze jednej zniewagi.

Podszedł do niszczących się drzwi. Przekręcił gałkę, pragnąc wyjść. Wiedział, że Abbey wciąż za nim stoi. Ponurym głosem wypowiedział słowa, na które tak nedorzecznie czekała.

- Bądź wdzięczna, że nie ulegam twojemu pragnieniu ujrzenia Cairncross, Abbey. Żadnej kobiety nie skazałbym na tę ciężką próbę.

Z kamienną twarzą patrzył, jak błyskawica przecina niebo. Wyszedł, ale zanim zamknął za sobą drzwi, na zawsze rozstając się z Abbey, wypowiedział słowa, które cały czas nie dawały mu spokoju.

- Widzisz, pani na Cairncross nie może bać się duchów.

3

Dworzec w Yorku wyglądał zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażała Aleksandra. Może widok posępnej stacyjki w Stirrings-in-Field podsunął jej myśl, że miasto będzie spowijała mgła, a jego mieszkańcy będą mieli ziemistą, wręcz trupiobladą cerę, zaś za słynnymi murami miejskimi rozciągać się będzie rozległe puste wrzosowisko. Z pewnością poranne, błękitne niebo skłaniało do optymizmu. Obie z Mary wysiadły z pociągu, ale nie spodziewały się ujrzeć na stacji tylu kobiet w sztruksowych kostiumach podróźnych i eleganckich mężczyzn w cylindrach, roześmianych i głośno pozdrawiających przyjaciół właśnie przybyłych z Londynu.

- I co teraz zrobimy? - spytała Mary, wyraźnie oszołomiona gwarem, barwnym tłumem. Pokojówka kurczowo ścisnęła zniszczoną torebkę niczym talizman broniący jej przed przewalającą się ciżbą. Rude loki - prawdopodobnie pamiątka po szkockich przodkach - opadły jej na czoło, co sprawiło, że wyglądała nieco dziwnie.

Aleksandra poczuła nagle falę miłości do tej kobiety i niespodziewanie ujęła Mary pod ramię. Mary opiekowała się nią jeszcze w dzieciństwie. Teraz wywiozła swoją pokojówkę tak daleko od Londynu, jedyne miasta, jakie znały, więc nadeszła pora, by z kolei Aleksandra się nią zaopiekowała. Poczowała na sobie ciężar odpowiedzialności.

Przyjrzała się tłumowi podróźnych na peronie, morzu obcych twarzy i nagle opuściły ją optymizm i pewność siebie.

Skonsternowana mruknęła pod nosem:

- Cóż za głupota z mojej strony myśleć, że to mała, prowincjonalna miejscina. Uważałam, że woźnica będzie na nas czekał i że znajdziemy go bez trudu.

- Czy w liście było napisane, kto po nas wyjedzie?

Aleksandra pokręciła głową.

- Ostatni list był ode mnie. Informowałam w nim jego lordowską mość, kiedy przyjedziemy. - Rozejrzała się po tłumie roześmianych, obejmujących się, zmierzających w różne strony ludzi. Nie dostrzegła nikogo, kto jeszcze nie

spotkał osoby, po którą wyszedł na stację.

- Zadek mi zdrętwiał od tego siedzenia. - Mary z westchnieniem opadła na ławkę.

- Nie narzekaj. Zawsze możemy wynająć powóz, który zawiezie nas do Cairncross. - Aleksandra obserwowała, jak tłum rzędzie. Bagażowi i służący chwytały ręczki kufrów i sakwojaży. Wolno, jeden po drugim, podróźni i ci, którzy wyszli ich powitać, znikali z peronu.

-

Tak nie przystoi. Nie możemy podróżować przez kraj, nie znając żywej duszy. Poza tym uważam, że to-niebezpieczne. - Mary potrząsała głową, spoglądając raz po raz na opustoszały peron.

Aleksandra kurczowo ścisnęła swoją wyszywaną torebkę i głęboko zaczerpnęła powietrza. Powinna coś zrobić.

Udała się na peron, skąd mogła zobaczyć, co się dzieje przed budynkiem dworca. Stały tam dorożki i powozy czekające na pasażerów. Ostatni odjechał od krawężnika i zaczął toczyć się w kierunku katedry. Dworzec był

całkowicie pusty. Jediną oznaką życia był napis „otwarte” nad kasą biletową. Aleksandra z niepokojem patrzyła, jak za szybą pojawia się ręka i odwraca tabliczkę. Teraz napis głosił: „Przerwa obiadowa do drugiej”.

- Wspaniale - mruknęła pod nosem, bojąc się nawet spojrzeć na Mary. Wprawdzie pokojówka nie powie tego na głos, ale z jej twarzy będzie można wyczytać: „A nie mówiłam”.

Bezradnie rozejrzała się po peronie. Dworzec znajdował się obok słynnych murów miejskich z czasów rzymskich.

Oprócz górującej nad nimi ściany z szarych kamieni, wokół nie było nic, prócz drzew i kilku zardzewiałych cystern na wodę.

- Musimy wynająć dorożkę. Lord Newell z pewnością zwróci nam za przejazd. Ostatecznie... - Aleksandra urwała.

Mary siedziała na ławce, wpatrzona w coś nad ich głowami.

- Mary? - szepnęła Aleksandra.

Służąca wstała z przerażoną miną, blada jak ściana. Na jej widok człowieka mogły przejść ciarki.

Aleksandra spojrzała tam, gdzie wpatrywała się starsza kobieta.

- Widziała ją panienka? - wykrztusiła Mary.

- Kogo?

- Gapi się prosto na panienkę. Prosto na panienkę.

Aleksandra spojrzała na krawędź muru. Znajdował się ponad piętnaście metrów nad nimi. Nikogo tam nie zauważyła.

- Nikogo nie widzę.

- Zniknęła - powiedziała pokojówka z wyraźną ulgą.

Aleksandra odwróciła się do Mary. Służąca stała, jakby ów ktoś, kto był na murze, przywoływał ją do siebie.

- W jaki sposób mogłaś kogokolwiek tam dostrzec? To za daleko.

- Och, panienko, to było coś okropnego. Coś okropnego. Nigdy w życiu nie chcę ujrzeć czegoś takiego. Nigdy w życiu.

Aleksandrze na widok popielatoszarej twarzy Mary ścisnęło się serce. Ujawszy dłoń służącej, stwierdziła, że jest zimna jak lód.

- Myślę, że po prostu zmęczyłaś się podróżą - powiedziała łagodnie. - Może postąpiłam samolubnie, zabierając cię z sobą...

- A kogo ma panienka poza mną? A potrzebuje panienka kogoś. Wiem to. - Kobieta była bliska histerii.

- Chodź, usiądź tu i odpocznij. Wyglądasz, jakbyś za chwilę miała zemdleć. - Aleksandra wzięła ją pod ramię i podprowadziła do ławki. - Odpocznij tutaj. Może uda nam się znaleźć jakąś gospodę i coś zjeść. Wtedy z pewnością poczujesz się lepiej.

Mary wolno obracała głowę to w jedną stronę, to w drugą, jak starsza osoba na pogrzebie kogoś, kto zmarł w młodym wieku. Jakby tragedia już się wydarzyła.

- Co takiego zobaczyłaś? Kobietę? - Aleksandra poklepała Mary po ramieniu, by ją uspokoić. - Czy była aż tak brzydka? Może ten ktoś gapił się tak, ponieważ miał poinformować woźnicę z Cairncross, by po nas przyje chał. Z

pewnością traci czas w jakiejś gospodzie i dlatego go nie ma.

- Nie. Nie.

Aleksandra, wyraźnie zmieszana, zagryzła dolną wargę. Nigdy nie widziała Mary w takim stanie. Poczciwa, rozsądna Mary. To było do niej niepodobne.

Nagle Mary chwyciła ją za ramię.

- Musimy stąd wyjechać. Niech panienka odszuka kasjera i powie mu, że chcemy natychmiast wracać do Londynu.

- Czy stojąca na murze kobieta mogła cię doprowadzić do takiego stanu? O co w tym wszystkim chodzi?

- Wyglądała całkiem normalnie, tylko te jej włosy... Miała długie rude włosy. Nie były upięte. Wiatr je rozwiewał.

Aleksandra spojrzała na mur i zmarszczyła brwi.

- Przecież dzień jest bezwietrzny, Mary. Odkąd wysiadliśmy z pociągu, nie czułam najmniejszego podmuchu wiatru.

- Właśnie - szepnęła Mary.

8

Aleksandra zdjęła rękawiczkę i uniosła dłoń. Powietrze stało nieruchomo. Kilka osób spacerowało teraz wzdłuż muru z mapami i książkami w rękach, studiując jego historię. Spódnice kobiet wcale nie trzepotały na wietrze.

- Uważam za całkiem możliwe, że przed chwilą na murze zerwał się wiatr. Cóż, właśnie tak musiało być, A ty, głuptasie, widziałaś jakąś spacerowniczkę...

- To był duch. I patrzył na panienkę.

Aleksandra spojrzała prosto w oczy Mary. Poczowała dziwny niepokój, ale szybko go przezwyciężyła. I tak miały dosyć zmartwień: nie przyjechał po nie woźnica, zamek Cairncross znajdował się nad samym morzem, a jego właściciel spodziewał się przyjazdu mężczyzny. Teraz nie mogła sobie pozwolić na atak hysterii. I nie mogła na to pozwolić Mary.

- Skąd wiesz? - spytała. - Czy miała na sobie strój wiedźmy? A może trzymała widły?

- Nie. Była ubrana normalnie. Cała na czarno. To był okropny widok. Okropny...

Aleksandra gapiła się na nią bezradnie, szukając słów pocieszenia. Mary była od niej dużo starsza, prawdę mówiąc mogła być jej matką. Zawsze ona ją pocieszała, a nie na odwrót. Aż do tej chwili Aleksandra nigdy nie uważała Mary za kobietę w podeszłym wieku, lecz nagle uderzyło ją, że Mary wygląda staro. Tak, ta droga twarz pod zniszczonym, tanim czepekkiem należała do staruszki. Na pokrytym zmarszczkami obliczu malował się niepokój. Mary patrzyła na Aleksandrę jak matka zatroskana o swe dziecko.

Aleksandra ujęła drżącą dłoń służącej, próbując ją uspokoić.

- Przysięgam, że nie ma się czego bać. Pomyśl tylko, Mary. Kobieta w czerni to zwykły widok. Ty sama ubierasz się na czarno, ja też.

- Miała na sobie suknię, podobną do sukni panienki. Ale o staromodnym kroju. I bez kremowych, koronkowych mankietów.

- Wobec tego muszę zdobyć nazwisko jej krawcowej - stwierdziła żartem Aleksandra, pragnąc wyrwać Mary z ponurego nastroju. - Wiesz, że nie cierpię kremowych mankietów przy rękawach. Owszem, są praktyczne i wygodne, ale ich nie znoszę. Białe wyglądają znacznie lepiej. Jednak teraz muszę się wstrzymać z wydawaniem pieniędzy na ich wymianę. Może kiedy się pobrudzą albo podrażnią...

- Błagam, wracajmy do Londynu. Mam złe przeczucia. - Niebieskie oczy Mary otaczała gęsta sieć

zmarszczek. Mary zawsze patrzyła na nią tak uspokajająco. Teraz jej wzrok ją przerażał.

- Nie mogę tego zrobić. - Z przeproszącą miną uściśniła dłoń kobiety. - Jeśli tak cię przestraszyło to, co zobaczyłaś na murze, w takim razie odeślę cię do Londynu. Ale sama nie mogę tam wrócić. I nie wrócę. - Aleksandra wyprostowała się. Nawet przerażające, rudowłose czarownice na murach Yorku nie zmuszą jej do powrotu.

- W takim razie zostanę z panienką. - Mary pogrzebała w swojej starej torebce i znalazła chusteczkę. Starła kropelki potu z górnej wargi i czoła i odważnie spojrzała na mur.

- Widzisz? Są tam tylko spacerowicze - stwierdziła Aleksandra, rozcierając zimną dłoń służącej.

- Nie. Wiem, kogo widziałam. To nie była spacerowiczka. To była... wiedźma. Nie mam dzieci, Aleksandro, jesteś mi droga jak rodzona córka. Nie mogę znieść myśli, że ona będzie na ciebie patrzyła.

Aleksandra już otworzyła usta, by sprzeciwić się Mary, ale się powstrzymała. Zbyt dobrze знаła swoją pokojówkę.

Pewnego dnia na progu kuchni pojawił się czarny, bezdomny kot, i Mary miała Aleksandrze za złe, kiedy się dowiedziała, że dziewczynka naląła mu śmietanki. Mary nie znosiła tego kota i nic nie mogło jej przekonać, że to nie diabelski pomiot. Nie zmieniła zdania przez dziewięć lat, podczas których kot pojawiał się w kuchni, żebrząc o śmietankę i rybę. Jeśli blisko dziesięć lat błagań dziewczynki nie przekonało Mary, by pozwoliła zamieszkać kotu w ich domu, to teraz też nic jej nie przekona, że na murze nie było wiedźmy. Świadczyły o tym mocno zaciśnięte usta pokojówki.

Aleksandra westchnęła ciężko i jeszcze raz rozejrzała się po peronie. Nic nie zakłócało ciszy, nie słyszała żadnych kroków, ani turkotu kół powozu, nawet wietrzyk nie wiał.

- Nie będziemy o tym więcej mówić - szepnęła Mary, nieco uspokojona.

Aleksandra skinęła głową.

- Dobrze. Zapomnimy, że to się w ogóle wydarzyło.

- Czy panie są z doktorem Benjaminem?

Te słowa sprawiły, że obie podskoczyły. Aleksandra odwróciła się gwałtownie i ujrzała przed sobą schludnie ubranego, starszego mężczyznę. Miał na sobie sztruksowe spodnie i czarny surdut, a pod nim kraciatą kamizelkę. Nie ulegało wątpliwości, że jest woźnicą.

- Czekaliśmy na pana - wyjąkała Aleksandra, żalując, że nie może spytać, jakim cudem niepostrzeżenie pojawił się za ich plecami.

- Czy przyjechały panie z doktorem Benjaminem? - Zdjął cylinder, ukazując głowę łysą jak kolano.

- Obawiam się, że zaszło nieporozumienie. - Aleksandra powiedziała to tak cierpko, jak umiała, by w

ten sposób ukryć swoje zdenerwowanie. Nadeszła pora, by ujawnić, że Alex Benjamin jest kobietą.

- Przesłano mnie z Cairncross po doktora Benjamina. - Woźnica zmarszczył czoło, wyraźnie skonsternowany.

9

- Nazywam się Aleksandra Benjamin, a to jest moja służąca Mary. Przyjechałyśmy z Londynu na zaproszenie lorda Newella.

- Lord Newell napisał w liście, że mam czekać na doktora Benjamina.

- Nigdy nie utrzymywałam, że jestem lekarzem. Ale właśnie po mnie pana przysłano - chłodno stwierdziła Aleksandra.

Woźnica patrzył na nią zmieszany. Przyglądał się jej sukni z czarnego jedwabiu, w końcu jego wzrok spoczął na jej twarzy, okolonej czepkiem. Nie ulegało wątpliwości, że nie spodziewał się kogoś takiego.

- Nasze bagaże są tam. - Aleksandra wskazała stos płóciennych toreb podróżnych i skórzanych sakwojaży. Spytała wyniosłym tonem: - Gdzie powóz?

- Tamuj. - Skinął głową w stronę budynku stacji. - Jeśli sobie panie życzą, zabiorę je do zamku, ale proszę wiedzieć, że jego lordowska mość spodziewał się doktora Benjamina.

- Wobec tego moja obecność wyprowadzi go z błędu. - Aleksandra była zła, że musi omawiać tę kwestię z woźnicą.

Było jej o tyle trudniej, że przerażenie na twarzy Mary przemieniło się w dobrze znaną dezaprobatę.

A więc i tak zostaniemy wyrzucone, myślała w duchu, unosząc spódnicę. Jednak przynajmniej próbowałyśmy.

Przynajmniej zrobiłyśmy ten szmat drogi.

Woźnica niechętnie pomógł im wsiąść do zielonego landa, na jego twarzy malował się niepokój, a zarazem jakby ostrzeżenie. Wjechali do miasta przez Micklegate Bar. Mary przez cały czas odwracała głowę od muru, jechały wzdłuż niego dobre pięćset metrów. Ale jeśli nawet ta kobieta - czy zjawą - na murze przestała zaprzętać umysł Mary, złość swą skupiła na Aleksandrze, która spoglądała na stare miasto York, walcząc ze złymi przeczuciami.

*

- ...a to Micklegate Bar, zabytkowa brama. Ten łuk zbudowano za czasów rzymskich...

Aleksandrę dobiegał głos woźnicy, ale nie słuchała go. Rozwodził się nad wieżyczkami i blankami wieńczącymi bramę, jedną z czterech głównych bram wiodących do miasta. Dotarło do niej jak przez

mgłę, że kiedyś York był

najważniejszą twierdzą i głównym ośrodkiem władzy w rzymskiej Brytanii, podczas najazdów wikingów odgrywał

równie istotną rolę. Później został stolicą Northumbrii, a katedra w Yorku należała do największych i najstarszych katedr w Anglii, jej budowę rozpoczęto ponad tysiąc dwieście lat temu. Jednak nie ciekawiły jej opisy szczegółów architektonicznych ani opowieści o królach i duchownych, którzy przelewali krew, by utrzymać York. W innych okolicznościach słuchałaby takich opowieści z zapartym tchem, teraz jednak wszystkie myśli skupiła na tym, jak zostanie przyjęta w Cairncross. Pragnęła jak najszybciej mieć już to wszystko za sobą.

- W tym jegomościu jest coś osobliwego - szepnęła Mary, kiedy woźnica lawirował zatłoczoną ulicą Micklegate.

- Chyba nam się nie przedstawił - zażartowała Aleksandra.

- Proszę posłuchać, panienko, jakie makabryczne historie opowiada.

Aleksandra zaczęła uważniej słuchać gadatliwego woźnicy. Właśnie rozvodził się nad katedrą w Yorku i nie dostrzegła niczego niezwykłego w jego opowieści. Jej wzrok poszybował w stronę katedry; dosyć się o niej naczytała, więc jej nie zdziwiło, że budowla jest ogromna i wspaniała, ale zaskoczyło ją, że potężny gmach wznosi się na terenie, na którym z trudem zmieściłby się wiejski kościółek.

Nawoływania domokrażców, skrzypienie kół zardzewiałych wozów i chlupot pomyj wylewanych wprost do rynsztoków, głuzyły słowa woźnicy. Aleksandra stwierdziła, że dłużąc się, zawikłana opowieść działa na nią wręcz kojąco. Teraz jeszcze nikt nie kazał jej wracać do domu.

- Rozumie panienka, co miałam na myśli? - Mary trąciła ją łokciem.

Aleksandra nadstawiła uszu.

- Tam jest fronton katedry. - Woźnica zwolnił, posuwali się w żółwym tempie, w strumieniu pojazdów sunących ulicą otaczającą katedrę. Dzięki temu miały dość czasu, by się rozglądać wkoło i nieco uważniej słuchać monologu woźnicy, który co chwila się odwracał, spoglądając na Aleksandrę. Chociaż nie chciała się do tego przyznać, hipnotyzowały ją jego ostrzegawcze spojrzenia.

- Proszę uważnie przyjrzeć się temu chodnikowi, panno Benjamin. Biegnie tuż nad grobami dawnych biskupów. -

Odchylił się, by mogła lepiej widzieć, jego usta wykrzywiał żartobliwy uśmiech. - Od czasu do czasu można znaleźć w ziemi pierścień z rubinem albo szafirem. Wie panienka, kiedy trumna spróchnieje, nie pozostaje nic prócz kości i klejnotów. Żeby odstraszyć złodziei, położyli bruk na nieboszczykach. A za płyty posłużyły stare marmurowe nagrobki. -

Ukazał w uśmiechu zęby, krzywe i dziurawe jak nagrobki. - Jak panienka uważa, co sobie o tym myślą biskupi?

Aleksandra nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Chwilę patrzyła na niego bez słowa.

- Zaniemówiła panienka? - Dotknął róna kapelusza. - Jakies czterdzieci lat temu w sąsiedztwie katedry była stara gospoda. Kiedy ją zburzyli, okazało się, że pod spodem znajduje się wejście do więzienia z czasów panowania Sasów.

Znaleźli tam dziwną rzeźbę. Przedstawiała człowieka w agonii, jego ciało skręcało się z bólu, usta miał otwarte w krzyku, jakby duszę już porwały demony. Teraz rzeźba znajduje się w bibliotece katedralnej. - Woźnica spojrział na 10

Aleksandrę. - Chętnie tam panie zaprowadzę, jeśli sobie panie życzą.

Aleksandra wolno wypuściła powietrze z płuc - nawet nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymała oddech - i odchyliła się na oparcie.

- To nie będzie konieczne, panie...

- Jaymes, panienko. Roger Jaymes. Prawie od urodzenia służę swojemu panu. Jestem wiernym sługą. I takim pozostanę. - Nagle sposepniał. Miało się wrażenie, że coś go trapi. Spojrział na nią, jakby chciał coś powiedzieć, ale po chwili jego twarz znieruchomiała i odwrócił wzrok.

- Jaymes, może zawiózłbyś nas do Cairncross - zwróciła się do niego uprzejmie Aleksandra.

Jechali wąskimi średniowiecznymi uliczkami, woźnica cały czas opowiadał o dawnych dziejach. Kiedy znaleźli się poza murami miasta, nadal grał rolę przewodnika.

- Widzą panie te kamienne krzyże? - Wskazał ręką. - Postawiono je w czasach wielkiej zarazy. Kiedy krwawe zniwo zbierała choroba nazywana chorobą królów. Co noc ktoś w mieście umierał. Więc chłopci postawili krzyże, by spotykać się tu z mieszkańcami miasta i wymieniać towary, nie przekraczając murów naszego pięknego Yorku. Nie byli głupi.

To prości wieśniacy, ale nie pchali się tam, gdzie nie ich miejsce. Tacy byli. - Popatrzył na Aleksandrę groźnie, po czym znów skupił uwagę na drodze.

Zapanowało milczenie. Aleksandra pochyliła się do Mary:

- Możesz sobie pomyśleć, że wybrzydzą, ale uważam, że tej wycieczce brak uroku.

- To zwykły gbur - szepnęła Mary, zasłoniwszy usta dłonią.

- Na pewno nie jest zadowolony z naszego przyjazdu. Chyba chce nas nastraszyć tymi makabrycznymi opowieściami... - Aleksandra ściszyła głos do szeptu. - Nastraszyć mnie.

- Nie powinniśmy tu przyjeżdżać, panienko. - Mary pogroziła jej palcem, zasłaniając się torebką. -

Zapamiętaj moje słowa. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Aleksandra obrzuciła ją lekceważącym spojrzeniem, chociaż w głębi serca odczuwała niepokój. Pojawienie się tamtej kobiety na murze sprawiło, że owładnął ją dziwny lęk, którego nie mogła się pozbyć. Jechali drogą biegnącą na północ przez wrzosowiska nawiedzane przez duchy. Znów zaczęła się zastanawiać, co ją czeka w Cairncross. Albo zostanie przyjęta do pracy, albo będzie musiała wrócić do Londynu.

- Zamek jest ponad dwie godziny jazdy stąd - poinformował woźnica, przekrzykując wiatr. - Wznosi się na kredowych klifach na północ od Whitby. Piękny jest zamek Cairncross... strasznie piękny.

Mary wpatrywała się w nią. Aleksandra czuła jej przeszywające spojrzenie.

- A więc dobrze, że tam jedziemy. Chciałabym już być na miejscu. - Starła się mówić spokojnie, pewnym tonem.

Nie da się zastraszyć żadnemu woźnicy. Nie zamierza wracać do Londynu.

Jechali dalej. Dotarli do skrzyżowania dróg biegnących do Scarborough i Whitby, a dalej do Cairncross. Aleksandra spodziewała się, że woźnica bez wahania skręci w drogę prowadzącą na północ, ale nagle zatrzymał otwarty powóz.

- Paniąka powinna być mężczyzną - powiedział, jego głos tłumiał szum wiatru. Patrzył na Aleksandrę, usta miał

zaciśnięte, ale w wyrazie jego twarzy nie widziała dezaprobaty. Dezaprobatę zrozumiałaby i dałaby sobie z nią radę.

Mary nigdy nie kryła swej niechęci. Woźnica jednak zdawał się czuć coś więcej. Dostrzegła w nim desperację. -

Paniąka powinna być mężczyzną, Aleksandro Benjamin - powtórzył wolno, jakby się spodziewał, że może jednak zmienić zdanie i każe zawrócić do Yorku.

- Dlaczego? - spytała trochę wbrew własnej woli.

- Pan oczekuje mężczyzny. - Kręcił głową coraz bardziej zdesperowany. - Paniąka powinna być mężczyzną dla swego własnego dobra. Paniąka nie wie, jak gwałtowny bywa mój pan.

Mary ścisnęła dłoń Aleksandry, oczy mało jej nie wyszły z orbit.

Niech ją Bóg błogosławi, pomyślała Aleksandra. Niech Bóg pobłogosławi Mary za to, że zachowuje się tak melodramatycznie. Dzięki temu cała sytuacja, która stawała się surrealistyczna, nabierała cech normalności.

- Jedź - rzekła Aleksandra, pragnąc, by woźnica czym prędzej się odwrócił, by nie musiała patrzeć na jego twarz.

Zdzielił gniade konie batem. Postawą okazywał więcej wyrzutu, niż gdyby to wyraził słowami.

Wrzosowiska, nad którymi unosiła się nienaturalna cisza, wolno przesuwały się przed ich oczami. Ten pozbawiony życia, monotony krajobraz nie mógł radować samotnego wędrowca. Spłowiełe wrzosy i paprocie przypominały butwiejącą draperię, zbyt długo wystawioną na działanie słońca i deszczu, ogromne pustkowia wywoływało dziwny ból w sercu. Jakby każdy powiew wiatru niósł krzyk, wieszczący śmierć kolejnej duszyczki skazanej na zatracenie.

Aleksandra czuła wyraźnie strach Mary, tkwił między nimi, trudny do pokonania, jednak nieskończenie ludzki, czyli możliwy do odpędzenia za pomocą racjonalnych argumentów. Żałowała, że nie odczuwa zwykłego lęku, takiego jak Mary, bo to, co nią teraz zawładnęło, było czymś znacznie gorszym. Zrozumiała, że to głos przeznaczenia. Autor listu przyzywał ją tak, jak przeszłość kazała jej uciec z Londynu. Nie ulegało wątpliwości, jak zareaguje lord Newell na jej widok. Będzie niezadowolony, tyle wiedziała, reszta jednak pozostawała zagadką. W tej chwili ważne było tylko 11 jedno: czy otrzyma pracę, czy też zostanie odprawiona z kwitkiem.

I co okaże się gorsze.

4

O, ileż godzin, ileż lat minęło,

Gdy ludzkie kształty siedziały za stołem

Blaskiem pochodni wywołane z cienia!

Zda się, że słyszę szept minionych czasów, Co ponad nami szmerze pod powalą Niby westchnienia starych, dobrych druhów,

Którzy od dawna już drzemią w mogile...

Orra. Tragedia

Zamek Cairncross rzeczywiście był „strasznie piękny”. Jego szare, porośnięte mchem wieże wznosiły się nad kredowobiałymi klifami niczym monstrum przycupnięte nad brzegiem morza. Ta ogromna budowla powstawała przez blisko tysiąc lat, ciągnął się na długość niemal czterystu metrów. Ludzka zachłanność i potrzeba bezpieczeństwa budziły zdumienie.

Obecna epoka jeszcze nie zdążyła odcisnąć swego piętna na budzącym lęk Cairncross, chociaż już od dawna pokój niepodzielnie włada tą ziemią. Nie było już Rzymian ani wikingów. Zamek jednak nadal wyglądał, jakby szykował się do bitwy. Okna patrzyły na wzburzone morze, jakby czekając na kolejnego rabusia.

Ktoś jednak zdołał wślizgnąć się do Cairncross niepostrzeżenie od tyłu, od strony lądu. Wystarczyła jedna podróż pociągiem z Londynu. Aleksandra uśmiechnęła się na tę myśl i zebrała całą odwagę.

- Dość imponujący - oświadczyła, trącając łokciem Mary, która siedziała obok, zachowując kamienne milczenie.

- Nie mogę sprawić, żeby panienka zmieniła decyzję, więc nie będę się odzywała. - Mary ponurą miną ścisnęła swoją torebkę, patrząc, jak woźnica zsiada z kozła.

W drzwiach, znajdujących się w zewnętrznym murze otaczającym budowlę pojawiła się nieśmiała, odziana na czarno kobieta. Jej lśniący, biały, wykrochmalony kołnierzyk i siwe włosy informowały, że jest gospodynią. Wpatrywała się w przybyłych oczami rozszerzonymi ze zdumienia, jakby ich pojawienie się stanowiło dla niej wielki wstrząs.

- Czy doktor Benjamin przyjedzie później, Jaymes? - spytała zaniepokojona. Uniósłszy spódnicę, niemal zbiegła po marmurowych stopniach. Spojrzawszy na Aleksandrę, wyjaśniła: - Nie pisał, że ktoś mu będzie towarzyszył.

Myślałam, że doktor będzie podróżował sam.

- Nastąpiło nieporozumienie. - Aleksandra wyciągnęła rękę do Jaymesa, by pomógł jej wysiąść z landa. - Nazywam się Aleksandra Benjamin. To po mnie posłał lord Newell. A to moja pokojówka, Mary Taggart.

Gospodyni patrzyła na obie kobiety z niedowierzaniem.

- O Boże! - wyjąkała, a początkowe zaskoczenie przeszło w rozpacz. - O Boże! - Zwróciła się do Jaymesa wyraźnie wstrząśnięta.

- Uparcie twierdzi, że jego lordowska mość posłał po nią - mruknął Jaymes, pomagając Aleksandrze wysiąść.

- Wydawało nam się, że jego lordowska mość spodziewa się przyjazdu mężczyzny. - Gospodyni znów spojrzała na Aleksandrę.

Aleksandra nerwowo wygładziła mankiety z kremowej koronki.

- Lord Newell zwrócił się z prośbą do mego ojca, by przyjechał do Cairncross. On nie żyje, zaproponowałam swoją pomoc. I oto jestem.

Gospodyni przeniosła wzrok na Jaymesa i Aleksandra mogłaby przysiąc, że woźnica niedostrzegalnie wzruszył

ramionami.

- Czy będzie pani tak dobra i zaprowadzi mnie do mojego pokoju, żebym mogła się odświeżyć przed spotkaniem z lordem Newellem? - Aleksandra nie znosiła wyniosłego tonu, który była zmuszona przybrać, ale nie wiedziała, jak inaczej się zachować.

Gospodyni zagryzła wargi. Rzuciła jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie w stronę Jaymesa.

- Lord Newell przybędzie dopiero jutro. Przyjedzie z Londynu, by spotkać się z doktorem Benjaminem. - Na jej twarzy malował się niepokój. - Proszę za mną. Zaprowadzę panie do ich pokoju.

Gospodyni skinęła głową i Aleksandra wraz z Mary podążyła za nią przez drzwi frontowe. Znalazszy się w środku, Aleksandra nie umiała powstrzymać okrzyku zdumienia.

- Co to za pomieszczenie? - spytała olśniona, rozglądając się po ogromnej sali.

- To wielki westybul. Jego lordowska mość wydaje tu czasem kolacje dla pięciuset gości. - Gospodyni szybko przeszła przez ogromną komnatę, nie zwracając uwagi na wrażenie, jakie to pomieszczenie wywarło na Aleksandrze.

Aleksandra próbowała ochłonać, ale gdziekolwiek spojrzała, wszędzie coś ją zaskakiwało. Wszystkie cztery ściany sali były szczelnie obwieszane zbrojami, nigdy jeszcze nie widziała równie ponurej kolekcji rdzewiejących napierśników i maczug. Jeden fragment ściany zdobiły starożytne, trójkątne, drewniane tarcze, obok nich zaś małe, hiszpańskie ochraniacze dłoni. Krótszą ścianę pokrywały stalowe tarcze z różnokolorowymi herbami, liczące zaledwie 12

kilka wieków. Wokół stołu trzymały wartę zbroje, każdy rycerz dzierżył uniesiony pałasz, zaczepiony o specjalny uchwyt - z powieści sir Waltera Scotta wiedziała, że nazywa się on „zakazaną rękawicą”.

Łatwo było sobie wyobrazić romantyczne turnieje potykających się rycerzy z przyczepionymi do zbroi barwnymi, jedwabnymi wstążkami dam swego serca. Ale ta niezwykła kolekcja pałaszy, którymi najeżona była przeciwległa ściana, przywodziła na myśl nie mężczyzn należących do szlacheckiego stanu rycerskiego; mówiła o wojnie, śmierci i klęskach. Rękojeść każdego miecza ozdabiał herb rycerza, który wyruszył na wyprawę krzyżową, a stalowe ostrze było zbezczeszczone arabskim napisem stanowiącym niewątpliwym dowód, że ten najdroższy skarb pokonanego rycerza ofiarowano sułtanowi. Aleksandrę szczególnie zaniepokoił ostatni wystawiony miecz. Mała złota tabliczka głosiła, że to miecz Cairncross. Wyszczerbził się i pogiął na zbrojach pokonanych wrogów. Na rękojeści wygrawerowana była dewiza prastarej baronii Cairncross: *Sunt hic etiam sui praemia laudi*. „Tutaj również cnota jest nagradzana”. W tych słowach czuło się jakiś sceptycyzm, co zaniepokoiło Aleksandrę. Jednak brzmiały prawdziwie. Pasowały do tego ponurego zamku, walących się blanków, zniszczonych zbroi.

Szła za gospodynią, która się jeszcze nie przedstawiła, przez ciemne, oświetlone jedynie pochodniami korytarze zamku, pochód zamykała Mary z twarzą, z której na widok wielkiego westybulu odpłynęła cała krew. Aleksandra starała się nie myśleć o lordzie Newellu, lecz okazało się to niewykonalne. Nie wiedziała, jak lord zareaguje, kiedy ujrzy przed sobą kobietę, ale była zdecydowana do końca odegrać swą rolę. Wszystko, co jej ojciec mógł zrobić dla brata lorda Newella, ona mogła zrobić z równą wprawą i znanstwem. Nauka zajmująca się słuchem była jeszcze w powijakach; do niewielu praktykujących specjalistów można się było zwrócić. Jego lordowska mość będzie musiał

zaakceptować jej usługi albo odda swego głuchego brata w ręce amatorów. Umiała dużo i powinna o

tym pamiętać podczas spotkania z Newellem. I wysoko trzymać głowę. Zapewne przywoła dewizę jego rodu, gdyby lord odniósł się do niej lekceważąco z uwagi na płeć. Ostatecznie dewiza Cairncrossów, chociaż groźna, była z całą pewnością prawdziwa

„Tutaj również cnota jest nagradzana”.

*

- Może panienka przenocować w tym pokoju. - To były pierwsze słowa wypowiedziane przez gospodynię, odkąd kobiety opuściły westybul. Otworzyła drzwi w jednym z nowszych skrzydeł zamku i odsunęła się, by przepuścić Aleksandrę. Mary podążyła tuż za nią.

Na kominku płonął torf, na stoliku między dwoma skórzanymi fotelami stała herbata. Materace były pękate, sprężyste, świeżo wywietrzone. W pokoju unosił się zapach wosku do podłóg i lnianego mydła. Najwyraźniej pomieszczenie zostało przygotowane na przyjazd znakomitego doktora Benjamina.

- O ósmej każę przynieść na górę kolację. - Kobieta urwała, jakby strach ścisnął ją za gardło. - Rozumie panienka, że jego lordowska mość może się pojawić w zamku w każdej chwili...

- Naprawdę? - Aleksandra obróciła się na pięcie i spojrzała na nią. - Nie wiedziałam, że lord Newell może przyjechać tak szybko.

- Jest wieczorny pociąg z Londynu. Może przyjechać tym albo jutrzejszym kwadrans po dziewiątej, tym samym, którym przyjechała panienka. - Powiedziawszy to gospodyni zebrała się na odwagę i spojrzała Aleksandrze prosto w oczy. Jej twarz zdawała się mówić „Co panienkę opętało, żeby tu przyjechać?”. - Szafa jest tam - poinformowała w końcu Aleksandrę, jakby wracając do roli służącej. Obeszła wkoło kufer podróżny z żelaznymi obręczami, na jej twarzy znów zagościła obojętność. - Dodatkowa pościel jest w komodzie, a pod łóżkiem - drugie składane łóżko. To chyba wszystko, co będzie potrzebne.

Aleksandra już otworzyła usta, by coś powiedzieć panu dysponującym setkami pokoi, który nie znalazł osobnego pomieszczenia dla Mary, ale zamknęła je, z góry znając odpowiedź. Usłyszałaby, że ona i Mary prawdopodobnie nie zostaną tu dłużej, najwyżej jedną noc, więc nie ma potrzeby przygotowywać dodatkowego pokoju, nawet w skrzydle przeznaczonym dla służby.

Gospośia wskazała drzwi naprzeciw rzeźbionego drewnianego łóżka z baldachimem.

- Te drzwi prowadzą do dawnego pokoju do nauki. Są zawsze zamknięte, więc nie należy próbować ich otwierać.

Biedny Sam cały aż się trzęsie, kiedy się w nim znajdzie, więc teraz nie ma tam wstępu. Mam nadzieję, że to zrozumiałe. - Spojrzała wyczekująco na Aleksandrę.

Aleksandra nie wiedziała, kim jest biedny Sam ani dlaczego dawny pokój do nauki tak mu działa na nerwy, ale uznała, że najlepiej skinąć głową. Jeśli zostanie tu dłużej, będzie jeszcze czas pytań i odpowiedzi.

- Przyjdę przed dziesiątą z nalewką i przyrządem do ogrzewania łóżka. Życzę dobrej nocy. - Powiedziawszy to, gospodyni zamknęła za sobą drzwi.

- Proszę zaczekać! - Aleksandra słyszała odgłos cichnących kroków w korytarzu. - Nawet nie powiedziała, jak się nazywa - zwróciła się osłupiała do Mary.

- Nie mam pojęcia, co się tu dzieje, ale wiem jedno: ta kobieta nie życzy sobie naszej obecności, to pewne. - Mary 13

cmoknęła i rzuciła się do otwierania bagażu.

- Racja. Nawet głupiec by to dostrzegł. - Aleksandra w zadumie spoglądała na zamknięte drzwi. - Wydaje mi się, że i ona, i Jaymes boją się gniewu swego pana. Chyba są przekonani, że w jakiś sposób obwini ich za to, iż jestem kobietą.

Podeszła do okien wychodzących na wrzosowiska, w nadziei, że ich widok sprawi, iż przestanie sobie zaprzętać głowę kłopotami. Mgły znad morza zaczęły spowijać ziemię niczym pajęczyna, ale w głębi lądu wielkie pustkowie wrzosowisk leżało obnażone, zbyt odległe od brzegu, by otulił je mleczny woal.

Żałowała, że lorda Newella nie było w zamku w chwili jej przyjazdu. Wtedy wszystko miałyby już za sobą.

Wzrok Aleksandry padł na dziwny kufer stojący na podłodze: czarne skórzane pasy popękały, zamek zardzewiał ze starości. Na wieku, na złotej matowej tabliczce wygrawerowane było nazwisko Pole.

- Ciekawe, czemu go tu trzymają...?

- Co to za hałas? - przerwała jej Mary, ścisząc głos i zaciskając palce na drzwiach wielkiej mahoniowej szafy, w której właśnie wieszala na ramiączkach suknie.

Aleksandrze włos zjeżył się na głowie. Wydało jej się, że w nikłym świetle wpadającym przez okno widzi cień, przesuwany pod drzwiami do dawnego pokoju szkolnego.

- Chyba ktoś tam jest - szepnęła Mary. - Ale przecież pani Bezimienna mówiła, że nikt z niego nie korzysta.

Aleksandra czuła, jak serce wali jej w piersiach.

- Może poszła tam, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. - Spojrzała na Mary. - Nie nasza sprawa, co się dzieje w zamku poza ścianami tego pokoju. Mają prawo...

Głośny stuk dobiegł z sali lekcyjnej. Aleksandra zamilkła.

- Wielki Boże, co to może być? - Mary tak mocno chwyciła Aleksandrę, że jej ramię zdrętwiało.

- Może ktoś przewrócił krzesło. - Aleksandra uwolniła się z uścisku przerażonej Mary. - Pozwól, że zobaczę. Może ktoś upadł albo... - Wyciągnęła dłoń, by zapukać do drzwi, ale gdy dotknęła drewna, otworzyły się na całą szerokość, skrzypiąc przejmująco.

Omal nie podskoczyła.

- O ile pamiętam mówiła, że zawsze są zamknięte... - szepnęła jej Mary do ucha.

Aleksandra pokręciła głową, nie umiała tego wytłumaczyć. Wzięła z kominka starą lampę gazową i zapaliła ją od płonącego ognia. Z lampą w dłoni weszła do dawnego pokoju szkolnego.

- Zostań tutaj - syknęła, widząc, że służąca idzie tuż za nią. Wpatrując się w mrok, szepnęła: - Tylko nie krzycz, gdy zobaczysz pokojówkę. Jeśli będziemy się tak zachowywać, nie możemy liczyć na życzliwe przyjęcie. Zaraz wracam.

Aleksandra uniosła wysoko lampę i przyjrzała się ślicznej sali lekcyjnej. Siwa od kurzu boazeria była zrobiona z orzecha włoskiego. W pokoju stały dwie szkolne ławki z małymi krzesłami, a z przodu biurko, z wyczelowanymi listewkami z mahoniu. Biurko kobiece.

- Nikogo tu nie ma - szepnęła do siebie i nagle zadrżała z zimna. Zrozumiała, dlaczego nie używano tego przeklętego pokoju. Panowały w nim okropne przeciągi.

- Nie przyśnił się nam ten hałas.

Aleksandra obejrzała się do tyłu i zobaczyła tuż obok siebie Mary. Zbladła ze strachu, ale jak zwykle twardo stała u jej boku.

- Spójrz. Na tej zakurzonej podłodze nie widać śladów butów. - Mary wskazała drugie drzwi, które najwidoczniej wychodziły na korytarz. Warstewka kurzu na podłodze pozostała nietknięta jak świeży opad śniegu.

Aleksandra przypomniała sobie cień, który - jak się jej wydawało - przed chwilą przemknął za drzwiami. W sali lekcyjnej panował półmrok, przez zamknięte okiennice sączyło się blade światło. Była pewna, że coś - albo ktoś -

poruszyło się za drzwiami.

Nagła, irracjonalna myśl sprawiła, że krew ścięła się w jej żyłach. Jeśli ów ktoś, kto był w sali lekcyjnej, nie znajdował się przed nimi, w takim razie może... Odwróciła się gwałtownym ruchem.

Nikt za nią nie stał. Drzwi sypialni były lekko uchylone i nikt nie mógłby się za nimi schować. W pustym pokoju hulał jedynie zimny przeciąg.

Mary niemal udławiła się ze strachu.

- Skróciłaś mi życie co najmniej o dziesięć lat.

- To dlatego, że... Wydawało mi się, że zanim tu weszliśmy, widziałam cień. Nie mogę zrozumieć, skąd się wziął, skoro pokój jest pusty i najwyraźniej od lat nikt tu nie wchodził. - Skonsternowana Aleksandra wpatrywała się w rozwiany kurz w miejscu, którędy przeszły. Nawet gdyby pozostały tam ślady czyichś stóp, teraz uległy zatarciu. Ich dwie długie jedwabne suknie spełniły rolę ścierek, na podłodze nie było widać nawet ich własnych śladów.

- Proszę spojrzeć, panienko. Oto rozwiązanie zagadki. - Mary wskazała książkę leżącą na podłodze.

Aleksandra zwróciła wzrok w tamtą stronę. Książka widocznie spadła z wysokiej półki, bo miała taką samą okładkę jak pozostałe.

14

- A więc ten cień to tylko moja wyobraźnia. - Aleksandra podeszła do książki. Zważywszy na przeciągi w tym nieużywanym pokoju, dziwne, że spadła tylko jedna.

- Piękna książka. Ma skórzaną oprawę. Wszystko w tym pokoju jest śliczne. Niemal za wytworne dla dzieci... - Mary szczebiotała jak wróbelek.

- Nie mówmy o tym, dobrze? Odnoszę wrażenie, że nie chcą nas tutaj. Nie zostaniemy dobrze przyjęte. - Myśląc o reakcji tajemniczego lorda Newella na ich podstępne wdarcie się do jego domu, Aleksandra bezwiednie podniosła książkę z podłogi.

- Przecież to powieści autora *Waverleya*. Cały cykl! - wykrzyknęła Mary, przesuając palcami po identycznie oprawionych tomach.

Aleksandra spojrzała na książkę trzymaną w ręku. Zimny dreszcz przeniknął ją aż do szpiku kości. W dłoni trzymała powieść *Ivanhoe*.

- Dziwnie panienka wygląda. Co się stało? - szepnęła Mary.

- Nie, nic mi nie jest. - Pospiesznie wsunęła książkę na miejsce między inne tomy. Na półce było mnóstwo najrozmaitszych atlasów, powieści, książek naukowych, historycznych i matematycznych. To przypadek, że akurat *Ivanhoe* spadł na podłogę.

- Źle panienka wygląda.

- Naprawdę nic mi nie jest. - Aleksandra przesunęła dłonią po grzbietach ze złożonymi literami. Znowu opadły ją dawne myśli. Brian i *Ivanhoe*. Ściśle ze sobą spleceni. Nie chciała mieć z nimi nic wspólnego.

Zacisnęła usta. Spojrzała na Mary i nie tłumacząc niczego powiedziała:

- Chodźmy. Tutaj jest zimno.

Mary poszła za nią, po czym zajęła się rozpakowywaniem bagaży. Aleksandra jeszcze dwukrotnie podchodziła do drzwi prowadzących do pokoju lekcyjnego, by się upewnić, że są dobrze zamknięte.

Gdyby była dziesięciokrotnie gorszą czarownicą,

ale choć trochę chrześcijanką...

brat Tuck *Ivanhoe*

Rozległo się głośne pukanie. Aleksandra usiadła prosto na łóżku. Pukanie nie ustawało, więc zaczęła szukać starego aksamitnego szlafroka. Nie mogąc go znaleźć po ciemku w nieznanym sobie pokoju, okryła ramiona szalem i potykając się, podeszła do drzwi.

- Kto tam? - spytała.

- Panienko, przyjechał jego lordowska mość. Chce się natychmiast z panienką zobaczyć.

Aleksandra otworzyła drzwi. Wcześniej wydawało jej się czymś absurdalnym wypicie kordiału i udanie się do łóżka przed spotkaniem ze swoim przeznaczeniem, ale nic nie było wiadomo o przyjeździe Newella. Przez cały wieczór razem z Mary, z braku lepszego zajęcia, wyszywały. Teraz, patrząc na ponurą twarz gospodyni, Aleksandra zrozumia-

ła, że nadeszła pora, by się spotkać z panem zamku.

- Ale... jest bardzo późno - wyjąkała. - Chyba nie jestem odpowiednio ubrana, by się teraz zobaczyć z jego lordowska mością. - Zaciśnęła dłonie na szalu okrywającym jej szczupłe ramiona. Włosy miała już rozplecione. Niesforny lok wciąż opadał jej na czoło.

- Kazał panienkę wezwać. Lepiej panienka niech zaraz przyjdzie. - Gospodyni od początku była zdenerwowana, ale dopiero teraz do Aleksandry dotarło, że w oczach kobiety maluje się przerażenie.

- Będzie musiał zaczekać, muszę się odpowiednio ubrać...

- Nie, panienko. Proszę iść natychmiast. Powiedział, że chce się z panienką widzieć natychmiast.

Aleksandra patrzyła na gospodynię w osłupieniu. Wprost nie do wiary. Newell musiał być naprawdę tyranem, skoro domagał się spotkania z nią o takiej porze.

- Dobrze - odparła. Odwróciła się i wolno podeszła do łóżka. Mary leżała nieruchomo pod kołdrą na swoim pościeli.

Aleksandra czytała W jej myślach. W oczach starej pokojówki prawdopodobnie wyglądała jak dziecko, szczególnie z tymi niesfornymi włosami opadającymi na plecy, i z gołymi stopami widocznymi spod rąbka śnieżnobiałej koszuli nocnej. Lecz Aleksandra już nie była dzieckiem. I nawet jeśli Newell okaże się groźnym przeciwnikiem, z którym nie uda się jej wygrać, zamierzała walczyć, póki jej nie wyrzuci frontowymi drzwiami z zamku Cairncross.

- Pójdę razem z panienką - szepnęła pokojówka.

Aleksandra obrzuciła ją spojrzeniem. Mary poprawiła swój nocny czepek z falbankami i sięgnęła po spłowień, rudy szlafrok ozdobiony starą plamą od czerwonego wina na samym przedzie.

- Nie. Nie ma sensu, żebyś i ty musiała znosić to upokorzenie. - Aleksandra chwyciła swój aksamitny szlafrok, wsunęła ręce w rękawy i podążyła ciemnym korytarzem za wystraszoną gospodynią lorda Newella.

Wyobraziła sobie, że zostanie zaprowadzona do wielkiego westybulu, gdzie Newell spojrzy na nią z podwyższenia i 15

wyda Jaymesowi polecenie: „Uciąć jej głowę!”. Ale znalazła się w innej części zamku, przed eleganckimi podwójnymi drzwiami z drewna orzechowego. Jak się okazało - prowadziły do gabinetu.

- Czeka tam - szepnęła za jej plecami gospodyni.

Aleksandra poczuła się, jakby była poskramiaczem lwów, którego informują, gdzie się kryje zbiegły drapieżnik.

Czekała sekundę, spodziewając się, że gospodyni przynajmniej otworzy jej drzwi, ale onieśmielona kobieta nie zdobyła się na taki wysiłek. Uderzyła ją absurdalność tego, że nawet nie zna imienia gospodyni; cała sytuacja wydała jej się śmieszna, choć wcale nie było jej do śmiechu. Za to, kiedy tak stała pod drzwiami do gabinetu Newella, a serce waliło jej jak oszalałe, zaczęła ją ogarniać wściekłość.

Żaden człowiek nie może budzić aż takiego przerażenia, powiedziała sobie. Starając się nie myśleć o zaleknionej twarzy gospodyni, położyła rękę na klamce i otworzyła drzwi.

Chyba w podświadomości stworzyła sobie obraz Newella podobnego do wilkołaka, siedzącego przy kominku, zaślinionego po pożarciu kolejnych ofiar. Przystojny, jasnowłosy dżentelmen w okularach, który niedbale podniósł się na jej widok, całkowicie nie pasował do jej wyobrażeń.

Chyba uwierzyła w słowa Jaymesa: „Nie wie panienska, jak gwałtowny jest mój pan”.

- Milordzie - szepnęła, stojąc w drzwiach, zaskoczona tym, jak bardzo Newell był podobny do Briana; jasne włosy, szlachetne, nordyckie rysy, szerokie ramiona. Tak ją uderzyło to podobieństwo, że zapomniała jak wygląda, że stoi przed nim boso, w koszuli nocnej i szlafroku. Nie spodziewała się ujrzeć kogoś takiego.

- Proszę usiąść, panno Benjamin. - Wskazał jej krzesło stojące po drugiej stronie kominka.

Podczas gdy dla siebie wybrał wygodny fotel obity eleganckim purpurowym adamaszkiem, krzesło przeznaczone dla Aleksandry wykonano z twardego drewna, a zaprojektował je chyba jakiś średniowieczny kat. Gdy usiadła, okazało się, że jest wyjątkowo niewygodne. Ciekawa była, czy zazwyczaj trzymano je w lochach zamku.

Newell spoczął w fotelu i mogła mu się bliżej przyjrzeć. Jego ciemny surdut leżał doskonale, widać,

że wyszedł spod igły najznakomitszego krawca. Zauważyła, że pod materiałem napinają się mięśnie ramion, wystawiając na próbę dzieło krojczego. Ten mężczyzna nie był uprzejmym arystokratą, jak można by tego oczekiwać. A kiedy sięgnął do gzymsu kominka, na którym stał kieliszek brandy, niemal sobie wyobraziła te muskularne ramiona unoszące pałasz Cairncrossów, by rozplatać głowę wroga.

Dotknęła czoła i przesunęła dłonią po włosach. Dopiero wtedy przypomniała sobie, że są rozplecione i że ma na sobie nocną bieliznę. Spłonęła rumieńcem ze wstydu.

- Panno Benjamin, nie posłałem po guwernantkę - odezwał się w końcu Newell. Chociaż przybrał wyniosłą, znudzoną pozę, uwagi Aleksandry nie uszło, że jej wygląd jeszcze bardziej ją pogrzyżył w jego oczach. - Posłałem po lekarza. Dlaczego pani tu przyjechała?

Wytrzymała jego zimne spojrzenie, które było całkiem zrozumiałe w tych okolicznościach. Podobnie jak gniew, którym płonęły jego niebieskie oczy. Mijały sekundy, a ona gorączkowo zbierała myśli, szukając najlepszego wytłumaczenia dla swego podstępu. Patrzył na nią z góry, jakby miał przed sobą istotę niższego gatunku, sprowadzoną do tego wykwintnego gabinetu dla jego rozrywki.

Wciąż nie wiedząc, jak rozpocząć swój wywód, nie odrywała wzroku od jego twarzy. Zauważyła, że jest równie zmęczony jak ona. Wokół kształtnych ust utworzyły się drobniutkie bruzdy. W milczeniu obserwowała, jak zdjął

okulary i potarł zaczerwienione oczy. Czekał w napięciu na wyjaśnienia Aleksandry.

- Nie ma pani nic na swoje usprawiedliwienie. - To nie było pytanie, lecz wyrok.

Patrzyła mu w oczy, sama nie wiedząc, o co błaga. Pragnęła współczucia, zrozumienia, szacunku. Chciała zaapelować do jego ludzkich uczuć i powiedzieć mu, że posiada takie same kwalifikacje jak każdy mężczyzna, którego sprowadziłby do Cairncross. Między nią i asystentami jej ojca była tylko jedna różnica: oni mogli się szczyścić formalnymi tytułami naukowymi i cieszyć poważaniem innych mężczyzn. W przeciwieństwie do niej.

Ich spojrzenia spotkały się. Uświadomiła sobie, że tym razem widzi jego oczy nieprzesłonięte okularami. Był

przystojnym mężczyzną. Przystojniejszym od Briana. Jednak teraz już wiedziała z bolesnego doświadczenia, że lepiej się strzec przystojnych młodzieńców. Szczególnie gdy mają taki wyraz twarzy.

Gniew, pretensja, szyderstwo - tego się spodziewała. Ale jego wzrok nie dawał jej spokoju. Był w nim sceptycyzm, z jakim nigdy wcześniej u nikogo się nie spotkała. Jakby zawsze widział jedynie ciemne strony życia. Było w nim coś niebezpiecznie pociągającego. Nie mogła dłużej wytrzymać jego spojrzenia.

- Czekam na wyjaśnienia. - Znów wsadził okulary w pozłacanej oprawce na nos, a był to nos zgrabny, arogancki.

Pokonany śmiertelnik, którego widziała przez mgnienie oka, skrył się za swą tarczą.

- Nie posłałby pan po mnie, gdyby pan wiedział, że jestem kobietą. - Wolą, żeby jej głos nie brzmiał tak słabo, ale bardziej nią wstrząsnęło nieokreślone uczucie, które dostrzegła w jego oczach. Nerwowo, jakby w geście obrony, podniosła klapy szlafroka i przytrzymała je pod brodą.

Wstał. Już została odprawiona. Widocznie uznał jej tłumaczenia za banalne i nieprzekonujące. Chciał, żeby

wyjechała bez dodatkowych wyjaśnień.

- Proszę zaczekać. - Zaciśnęła dłonie i utkwiała wzrok w złoto-purpurowym deseni dywanu, jakby szukając tam pomocy. Wolno wstała i jeszcze wolniej uniosła głowę, by spojrzeć w jego niewróżące nic dobrego oczy. - Proszę mi wybaczyć, lordzie Newell. Był to niewybaczalny podstęp, ale jak widać z pańskiej reakcji, nie miałam wyboru. Gdybym podpisała list pełnym imieniem, wyrzuciłby go pan do kosza i nie byłoby mnie teraz tutaj, żeby pomóc...

- Prosiłem o lekarza, nie guwernantkę.

- Nie jestem guwernantką. Wszystko, co napisałam w liście, to prawda. Przez lata studiowałam dzieła mojego ojca.

Jest niewielu bardziej wykwalifikowanych...

- Nie jest pani lekarzem.

- Nigdy tak nie twierdziłam. Musi pan wiedzieć, że niewiele osób specjalizuje się w tej dziedzinie medycyny. Żaden wykwalifikowany lekarz nie przyjechałby tutaj, taki szmat drogi, by pomóc pańskiemu głuchemu bratu...

- Sam nie jest głuchy.

Te słowa, wypowiedziane cicho, spadły na nią niczym grom z jasnego nieba. Długo na niego patrzyła, nim w końcu zdołała wyjąkać:

- Nie rozumiem. - Nagle zrozumiała to, co wcześniej zlekceważyła. Przypomniała sobie gospodynię, która mówiła, że biedny Sam unika pokoju do nauki. Sądziła, że ma na myśli starszego, lubiącego zaglądać do kieliszka sługę; teraz zrozumiała, że chodziło o brata lorda. - Mój ojciec specjalizował się w pomaganiu głuchym - niemal wykrzyknęła. -

Dlaczego chciał go pan wezwać, skoro pański brat słyszy?

Newell znów usiadł, pozwalając, by Aleksandra stała pośrodku pokoju. Przygwoździł ją swym spojrzeniem do grubego dywanu.

- Doktor Horacy Benjamin specjalizował się w audiologii. Pomagał mówić ludziom głuchym. Jeśli to umiał, pomyślałem, że może również pomóc Samowi.

- Pański brat nie umie mówić?

Newell utkwił wzrok w ogniu płonącym na kominku. Płomienie odbijały się w okularach z niemal makiaweliczną przewrotnością.

- Mój brat jest... opóźniony umysłowo. Już się taki urodził. Wprawdzie trwało to wiele lat, ale w końcu nauczył się mówić. Jednak stracił tę umiejętność i teraz jestem tutaj, by się nim zaopiekować. Chcę, żeby znów zaczął mówić.

- Stracił tę umiejętność? Ale w jaki sposób? Nigdy nie słyszałam o czymś takim. Czy uderzył się w głowę? Czy to następstwo wysokiej gorączki...?

- Przestraszył się. - Newell znów spojrzał na Aleksandrę, której aż zaparło dech.

- Przestraszył się? - powtórzyła.

- Tak bardzo się przestraszył, że przestał mówić.

Włosy zjeżyły się jej na głowie, dostała gęsiej skórki. Jej oddech był krótki, urywany. Gdyby całe popołudnie nie obfitowało w dziwne wydarzenia, może udałoby się jej lepiej nad sobą zapanować, ale słowa lorda zaniepokoiły ją, ponieważ nie były to opowieści starca, lecz fakty. Coś - albo ktoś - tak przestraszyło jego brata, że odjęło mu mowę i teraz jedyne, o czym mogła myśleć, to książka leżąca na podłodze w od dawna nieużywanym pokoju do nauki.

Ivanhoe.

- Zbladła pani, panno Benjamin.

Wyciągnęła rękę, by się przytrzymać krzesła. Wolno na nim usiadła.

- Co go przestraszyło? - spytała cichym, drżącym głosem. Spojrzawszy w oczy mężczyzny, straciła pewność, czy pragnie poznać odpowiedź.

Zmierzył ją badawczym spojrzeniem, jakby się zastanawiając, czy odpowiedzieć jej, czy nie. W końcu rzekł:

- Nie było mnie wtedy w Cairncross i nie wtajemniczono mnie w to, co się wydarzyło. I dlatego chcę, żeby mój brat znów zaczął mówić. Chcę się dowiedzieć, co dokładnie go spotkało. W tej chwili dysponuję jedynie relacjami moich starych służących o tamtym dniu. Miałem nadzieję, że dzięki pomocy odpowiedniego lekarza Sam odzyska mowę i będzie mi mógł opowiedzieć, co się naprawdę wydarzyło.

Rozejrzała się po eleganckim gabinecie lorda, a w jej głowie kłębiły się przerażające myśli. Otrzymała już tyle zawoalowanych przestrogi i znaków, że dłużej nie mogła ich lekceważyć. Zaczęła się zastanawiać, czy nie pora uklonąć się nisko i po raz pierwszy w życiu cieszyć się, że jest kobietą, w związku z czym nie ma obowiązku wywiązywać się z propozycji, którą sama złożyła.

Jeszcze raz spojrzała na Newella, tak podobnego do Briana. Nagle doznała uczucia ulgi, że ten mężczyzna nosi okulary. Stanowiły barierę między nimi. Odgradzały ją od jego niepokojącego wzroku.

Ale jeśli teraz zrezygnuje i wróci do Londynu, będzie to oznaczało zwycięstwo takich ludzi jak Brian. Poddanie się w tej sytuacji umocni Newella w uprzedzeniu do niej. Owszem, jest kobietą i nie jest lekarzem, ale i tak nie udałoby mu się znaleźć nikogo lepszego od niej, kto by pomógł jego bratu. Nie mogła się poddać bez walki, tak jak kiedyś 17

pozwoiliła odejść Brianowi, nie sprzeciwiając się jego wywodom. Do reszty straci wiarę w siebie, jeśli przyzna rację temu mężczyźnie. Musi zostać w Cairncross. Musi komuś udowodnić, że nie jest gorsza od innych.

Zresztą nie miała się czego bać. To, co powiedział Newell o swym bracie, jeszcze o niczym nie świadczy. Zło i niesprawiedliwość istnieją również poza murami tego zamku, więc jakie ma znaczenie to, że w Cairncross zło rzuca bardziej złowrogi cień? Może nawet w jakiś sposób ułatwi jej to zadanie? Czasem najgorsze zło czai się w cichych salonach i przybiera wytworne maniery.

- Lordzie Newell, wierzę, że potrafię pomóc Samuelowi, i o ile nie zamierza go pan zabrać do Londynu, jestem jedyną osobą, która może mu pomóc. Uważam, że powinien mi pan pozwolić spróbować. - Spojrzała na niego najpoważniej, jak umiała. Widziała, że Newell rozważa jej słowa; widziała, że nie spodobał mu się ten pomysł.

- Nie jest pani lekarzem. Nieważne, kim był pani ojciec, jest pani kobietą i ma pani ograniczone możliwości.

Jego słowa były jak cios. Mogła się jednak spodziewać takiego krzywdzącego traktowania.

- Mogę pomóc. - Spojrzała na niego.

Jego mina stała się bardziej harda i Aleksandra zrozumiała, że przegrała. Przypominał Briana nie tylko z wyglądu.

Nie zdoła go pokonać. Znajdowała się na jego ziemi, nie na swojej; zerknąwszy na swój szlafrok, musiała przyznać, że nawet nie jest odpowiednio ubrana do pojedynku. I z pewnością nie wolno dyskutować z arystokratą, zwłaszcza kobiecie.

Westchnęła głęboko, wstała i zaczęła iść w stronę drzwi. Nie kryła rozczarowania, chociaż odczuwała ulgę.

Przynajmniej Mary się ucieszy.

- Dlaczego tak pani zależy na tej pracy, panno Benjamin?

Dłoń Aleksandry ześlizgnęła się z rzeźbionej mosiężnej klamki. Ciekawość brzmiała w jego głosie zdawała się zapowiadać drugą szansę. Odwróciła się do niego, ale nadal była ostrożna. Opierając się o drzwi, powiedziała:

- Pomyślałam o przyjeździe tutaj, ponieważ szukałam okazji wydostania się z Londynu. Jak pan wie z mojego listu, niedawno zmarł mój ojciec.

Znów zmierzył ją wzrokiem. Nie miała pojęcia, o czym myśli. Ukrywał swoje emocje pod maską.

- W taki sposób zredagowała pani odpowiedź na mój list, że bardzo niewiele o pani wiem.

- A co chciałby pan o mnie wiedzieć? - Spojrzała na niego, nie wiedząc, czy mieć nadzieję, czy rozpaczać.

- Jeśli zatrudnię panią, nie chcę, żeby rozsierzony mąż przyjechał tu, by panią zabrać akurat wtedy, kiedy Sam zacznie robić postępy.

- Nie mam męża. - Widząc jego spojrzenie, wyjąkała: - Kiedyś... kiedyś wiązałam z kimś nadzieje na wspólne życie, ale to już należy do przeszłości. - Ciekawe, dlaczego sama mu o tym powiedziała. Żałowała, że nie ugryzła się w język, kiedy zadał jej kolejne pytanie:

- Była pani zaręczona? - Uniósł brew.

- Coś w tym rodzaju.

- Ale już pani nie jest?

Nie chciała rozmawiać o Brianie, szczególnie z tym nieznajomym, który był tak do niego podobny. Poza tym dopiero później uświadomiła sobie prawdziwy charakter swych „nadziei”. Praca naukowa była dla Briana i dla niej wszystkim.

Mijały lata wypełnione cichym pragnieniem, ponieważ zawsze myślała, że małżeństwo i dzieci mogą poczekać. Ale teraz w pełni zrozumiała, że miłość Briana do nauki wzięła za miłość do siebie. Dopiero później dotarło do niej, że wszystko ją ominęło: Brian, małżeństwo, dzieci, a teraz, jeśli nie zdobędzie tej pracy, nawet jej uko chane badania naukowe.

Spojrzała na niego wymownie w nadziei, że dostrzeżę, iż przekroczył pewne granice.

- Byliśmy po słowie, nic więcej.

Przyglądał się jej. Sprawiało mu przyjemność jej skrępowanie. W jego spojrzeniu było zadowolenie z siebie, usta rozciągnął mu lekki uśmiezek, ale nie wiedziała, złośliwy czy zalotny.

- Jak długo wiązała pani z nim nadzieje, panno Benjamin?

Modliła się, by nie okazać, jak uraził ją tym pytaniem. Wolałaby nie odpowiedzieć, ale wtedy by pomyślał, że cała ta historia była dla niej ważniejsza, niż chciała to przyznać nawet przed samą sobą.

- Pięć lat. - Czy głos jej zadrżał? Czy Newell dostrzeżę, jak jeszcze świeże były rany?

Kiedy usłyszał jej odpowiedź, oczy zrobiły mu się jakby trochę większe. A potem, bez ostrzeżenia,

wybuchnął

głośnym śmiechem. Poczowała się, jakby gorącym żelazem przypalano jej świeże rany.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie, ale na nic się to nie zdało.

- Chce mi pani wmówić, że ten mężczyzna przez pięć drugich lat zwodził taką młodą kobietą, jak pani? - Na jego twarzy malowało się niedowierzanie.

- Tak. - Pragnęła sięgnąć do klamki i trzasnąć drzwiami. Nie powinno go to obchodzić, ale nie mogła się zmusić do wyjścia, kiedy ważyły się losy jej zatrudnienia.

18

- Ten łobuz musiał być Irlandczykiem, skoro tak długo pozwalał pani ludzić się nadzieją.

Nie skomentowała tego. Bardzo możliwe, że Brian Denys Tewesbury, drugi syn hrabiego, miał jakichś irlandzkich przodków, sama z całą pewnością była pół- Irlandką. Wiedziała, że wprawdzie zaskoczyłoby to Newella i musiałby zrezygnować z aroganckich domysłów, jednak nie odczuwała potrzeby wyjaśniania mu, iż przeszkodą nie było bynajmniej to, że w jej czy Briana żyłach płynęła irlandzka krew.

Newell wstał i podszedł do niej z kieliszkiem brandy w dłoni. Powiedział szeptem:

- Nie musi mi pani mówić nic więcej, panno Benjamin. Rozumiem, że jak to zwykle bywa w takich razach, on się ożenił, ale pani nie wyszła za mąż?

- Tak - syknęła, przyznając z niechęcią, że nie mylił się, jeśli chodzi o Briana, którego sama tak źle oceniła. Siłą powstrzymała łzy napływające do oczu. Patrzyła na Newella z pewną przyjemnością, ponieważ ten przystojny arystokrata był tak bardzo podobny do Briana. Nie chciała zapomnieć o Brianie, nie z uwagi na uczucie, jakim go kie -

dyś darzyła, ale przez wzgląd na doświadczenie, jakie dzięki niemu zyskała.

Zapanowało milczenie. Odpowiedź zapewne chwilowo zaspokoila jego ciekawość. Aleksandra pomyślała, że może się z nią pożegnać bez rozstrzygnięcia kwestii jej zatrudnienia, ale nie powiedział jej, żeby wyszła. Natomiast wyraźnie sprawiało mu przyjemność przesuwanie wzrokiem po jej drobnej figurze, jakby stanowiła jego własność. Utkwił wzrok w jej twarzy, jakby próbował na tej podstawie określić inteligencję Aleksandry. Każdej innej kobiecie być może pochlebiałoby te beczelne spojrzenia, ale ona wiedziała, że kryło się w nich coś innego. Oznaczały coś więcej.

Oceniał ją.

Krótki błysk w jego oczach świadczył, że zauważył, iż nie należy do kobiet postawnych. Była drobniutka i w porównaniu z jego słusznym wzrostem można ją było uznać za osobę nic nieznaczącą, ale nie pozwolił mu się lekceważyć i to wyzwanie, które niewątpliwie można było dostrzec w jej spojrzeniu, musiało go zaintrygować.

Prawdopodobnie nie mógł pogodzić jej zdecydowanych poglądów z niepozornym wyglądem. Niewątpliwie wyglądała dziecinnie, stojąc plecami do drzwi, z bosymi stopami widocznymi spod skraju nocnej koszuli. Jednak nie mogła pozwolić, by ją traktował jak dziecko. Była dorosłą kobietą zasługującą na szacunek i albo zdobędzie sobie szacunek, albo stąd wyjedzie.

Ich spojrzenia się spotkały. Chyba dostrzegł jej determinację. Złośliwe rozbawienie zniknęło z jego oczu. Zrobił

ponurą minę.

- Kiedy mi powiedziano, że zamiast lekarza przyjechała jakaś kobieta, pomyślałem, że ujrzę głupią dziewczynę, która uciekła od ojca albo kogoś w tym rodzaju. Muszę przyznać, że zamierzałem panią odprawić.

- A teraz? - szepnęła.

- Teraz coś mi mówi, by dać pani szansę.

- Uważam, że mogę pomóc Samowi. Mój ojciec nie żyje, milordzie. Jeśli ktokolwiek zdolny jest pomóc pańskiemu bratu, z pewnością tym kimś jestem ja.

- Widzę, że jest pani pełna determinacji. - Jego wzrok prześlizgnął się po jej drobnej, skąpo ubranej postaci. Znów spojrzał na jej twarz, ale z jego miny nie potrafiła wywnioskować, czy jej nieugiętość ucieszyła go, czy też wywołała w nim złość. - Muszę pani ostrzec, panno Benjamin. - Jego oczy wypełniły się dziwnym obrzydzeniem i rozpaczą, rysy wyostrzyły się, jakby nie potrafił się zdobyć na wypowiedzenie właściwych słów, by jej to wyjaśnić. - Powinna pani stąd wyjechać.

- Już to słyszałam.

- Więc czemu nie skorzystała pani z dobrej rady i nie wyjechała?

Spojrzała na niego poważnie, wystraszona.

- Chcę pomóc pańskiemu bratu - odrzekła, nadrabiając miną.

- Chce pani pomóc sobie. Przede wszystkim to skłania ludzi do działania. A na pani decyzję o przyjeździe w większym stopniu wpłynęło to, że pani „nadzieje” okazały się płonne, niż chęć niesienia pomocy Samowi.

Była zaskoczona, jak trafnie odczytał jej motywy działania. Ale nie znał jej do końca. Nie wiedział, co się kryje w jej sercu. Przynajmniej na razie.

- Nie ukrywam, że byłam zadowolona, iż trafiła mi się okazja opuszczenia Londynu. Ale poza tym naprawdę pragnę pomóc pańskiemu bratu. Mój ojciec nie żyje i boję się, że jego dzieło pójdzie w zapomnienie, jeśli nie będę go kontynuowała. I dlatego tu przyjechałam, milordzie.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się jej badawczo. Jakby był gotów jej uwierzyć.

Nagle poczuła przyływ odwagi.

- Jeśli nie posłuchałam przestroóg, milordzie, czy mogę liczyć na zatrudnienie?

- Byłaby pani głupia, gdyby pani została.

- Już to słyszałam, milordzie.

Ich spojrzenia się spotkały. Wyglądało na to, że zaraz wskaże jej drzwi i poleci wyjść, ale coś w twarzy Aleksandry 19

przykuło jego wzrok. Nie wiedziała, co go powstrzymało, może jej determinacja, ale zawahał się. Zaciśnął mocno zęby i dotknął palcami brody, jakby próbując to ukryć. Znow spojrzał na nią, po czym rzekł:

- Panno Benjamin, jeśli nie ma pani dość rozsądku, by stąd wyjechać, zatrudnię panią... na tak długo, jak długo tu pani zostanie.

Serce jej biło mocno. Dostrzegła w jego słowach zawołaną groźbę, ale już przestała się przejmować przestrogami i znakami. Mimo że przyjął ją niezyczliwie, w końcu zdołała go przekonać. Dostała pracę, której rozpaczliwie pragnęła, której tak potrzebowała. Mogła zostać.

- Musi pani wiedzieć - stwierdził szorstko - że jeśli pani zostanie, zatrudnię panią jedynie w charakterze guwernantki.

Nie ma pani wykształcenia medycznego, więc nie pozwolę, żeby udawała pani lekarza. Samuel jest prawie w moim wieku, ale zachowuje się jak dziecko. Wymaga opieki. Będzie pani nim się opiekowała. Jeśli wykorzystując metody swego ojca, uda się pani sprawić, że Sam odzyska mowę, wynagrodzę panią tak, jak wynagrodziłbym lekarza. Jeśli nie, otrzyma pani pięćdziesiąt funtów rocznie, co jest bardzo hojną zapłatą.

- Dobrze - szepnęła, nie chodziło jej przecież o pieniądze.

- Proszę się teraz przygotować. Zaprowadzę panią, żeby pani poznała Sama.

- Teraz? W nocy? - niemal wykrzyknęła.

Spojrzał na nią drwiąco.

- Już pani narzeka?

- Nie, ale...

- Nie mieszkam w Cairncross. O wszystko dba mój plenipotent. - Z wyniosłą miną skrzyżował ręce na piersiach. -

Jutro wracam do Londynu. Nie będę tracił dnia przez guwernantkę.

Spojrzała na niego i wewnątrz siebie się zjeżyła. Nie podobało jej się, że zmusił ją do grania roli guwernantki.

Nagle się roześmiała.

- Panno Benjamin, czy ktoś już pani powiedział, że ma pani niezwykle oczy? Kryje się w nich coś. Jakaś tajemnica.

Pragnę rozwiązać tę zagadkę.

Otworzyła usta, by mu coś odpowiedzieć. Nie miał najmniejszego prawa robić żadnych tego typu uwag.

Ale nim zdążyła się odezwać, ujął jej rękę i wyprowadził z gabinetu.

6

Aleksandra zapamiętała na zawsze tamtą noc, kiedy Newell prowadził ją ciemnymi korytarzami zamku Cairncross, trzymając mocno jej drobną dłoń. Kiedy wychodzili z biblioteki, wziął kandelabr i teraz dzierżył go przed sobą niczym berło, a migotliwe światło tworzyło diabelskie cienie na wilgotnych ścianach. Dobrze zapamiętała, ile otuchy dawał

uścisk jego ciepłej ręki, gdy kroczyła ponurym labiryntem zamku Cairncross.

Żywa dusza nie zakłócała martwej ciszy zalegającej kamienne korytarze. Cała służba udała się już na spoczynek. Nie spali tylko ona i Newell. Jego lordowska mość górował nad nią wzrostem jak tamci stalowi rycerze w zamkowym westybulu. Był potężnym mężczyzną, urodzonym najeźdźcą, a nie na pasażera powozu. Był stworzony, by żyć wśród dzikich, nawiedzanych przez duchy wrzosowisk Yorku, a nie pośród zakurzonych, eleganckich ulic Londynu.

Miała wrażenie, że idą tak korytarzami już kilka kilometrów, kilka razy chciała szepnąć: „Wasza lordowska mość...”, ale tego nie zrobiła. Nie mogła znieść myśli, że mógłby puścić jej dłoń. Bez tego ciepłego uścisku sama musiałaby stawić czoło ciemnościom Cairncross.

- To tutaj - stwierdził, kiedy w końcu dotarli do korytarza z rzędem rzeźbionych, dębowych drzwi z okresu Restauracji. Zaczęło do niej docierać, że jeśli tylko się znało historię architektury angielskiej, można było dokładnie określić, jak rozbudowywano Cairncross.

- Może śpi, milordzie - szepnęła zaniepokojona.

Newell spojrzał na nią, jakby ważył w myślach jej uwagę. Jego usta wykrzywiły się w szatańskim uśmiechu.

- Lepiej, żeby zobaczył panią w takim stroju, panno Benjamin. Teraz wygląda pani jak dziewczynka. Jutro będzie pani wyglądała jak kobieta, więc może zareagować inaczej.

Strach ściał jej krew w żyłach.

- Mówi pan zagadkami, milordzie - odezwała się z wahaniem, niepewna, czy istotnie pragnie się dowiedzieć, co znaczą jego słowa.

- Owszem - powiedział, delikatnie popychając drzwi, za którymi panował mrok.

Przeszła pod wyciągniętą ręką Newella i znalazła się w sypialni. Nawet w nikłym świetle kominka widać było, że pokój urządzone wytwornie. Bogato rzeźbione łoże spowite adamaszkiem zdawało się przeznaczone dla księcia.

- Jest tam. Przy kominku. - Newell ujął ją pod brodę i zwrócił jej głowę w tamtą stronę. Dostrzegła samego „księcia” siedzącego w fotelu. Z profilu wyglądał niemal identycznie jak brat. Miał jasne włosy i odznaczał się potężną posturą, tak jak Newell. Gdyby nie trochę inny kształt nosa, można by go wziąć za samego Newella.

- Proszę do niego przemówić. Proszę się przedstawić.

20

Spojrzała na Newella. Wszystko w tym spotkaniu było niezwykle. Wystawiał ją na próbę. Chciał, żeby straciła panowanie nad sobą. Zapewne dlatego wezwał ją o północy do swego gabinetu, to wyjaśniało wszystko - prócz motywów, którymi się kierował.

- Chyba nas nie widzi, milordzie... - Czekwała na odpowiedź Newella, jednocześnie pragnąc, by dostrzegł

groteskowość całej sytuacji i pozwolił jej wyjść.

- Proszę podejść i przemówić do niego. Jeśli to pani zrobi, może jutro będzie pani z tego zadowolona. Może panią zapamięta. - Newell cofnął się na próg pokoju. Z wyniosłym wyrazem twarzy skrzyżował ręce na piersiach.

Zrezygnowana odwróciła się do młodzieńca siedzącego w fotelu. Samuel miał na sobie brokatowy szlafrok w takim samym odcieniu starego złota jak jego włosy. Wyglądał, jakby przed chwilą wziął kąpiel. Spojrzała na starannie ułożoną pościel na jego łóżku. Prawdopodobnie służący przygotował swego pana do snu. Samuel żył jak dziecko, więc podświadomie spodziewała się, że zobaczy dziecko. Była skonsternowana widokiem dorosłego mężczyzny, równie przystojnego i postawnego jak jego brat.

Wolno zbliżyła się do niego, zażenowana, że jest bosa i owinięta szlafrokiem. Jej wygląd nie wzbudzał respektu, a kiedy stanęła przed siedzącym olbrzymem, wydała się jeszcze drobniejsza. W tamtej chwili bardzo odczuwała brak czegoś, co przydałoby jej choć odrobinę autorytetu.

- Samuelu - powiedziała cicho, łagodnie.

Mężczyzna spojrzał na nią. Był tak podobny do Newella, że gdyby nie jego nieobecny wzrok, można by się pomylić.

- Wiem, że jest późno... - szepnęła, nie mogąc się pozbyć uczucia skrępowania. Podobieństwo braci było uderzające.

- Samuelu, nazywam się Aleksandra Benjamin. Lord Newell zatrudnił mnie, żebym cię uczyła i opiekowała się tobą. -

Wyciągnęła drżącą dłoń, ciekawa, czy ją uściśnie...

Samuel Newell przez chwilę wpatrywał się w skupieniu w jej rękę. Przechylił lekko głowę i przez moment widziała w jego łagodnych oczach coś, co świadczyło, że chce ją uściśnąć. Ale błysk zainteresowania zniknął równie szybko, jak się pojawił. Po chwili mężczyzna skulił się i znów utkwiał tępy wzrok w ogniu płonącym na kominku.

- Uściśnij jej dłoń, Sam. Bądź dżentelmenem - zachęcał go Newell.

Spojrzała na lorda Newella. Na jego twarzy malowały się chłód i bezwzględność, nie można było na niej odczytać nawet śladu cierpliwości, czy łagodności. Odniosła wrażenie, że zaraz podejdzie do Sama i zmusi go, by mówił i zachowywał się stosownie. Ale coś go przed tym powstrzymało. Ciekawe, czy tym czymś była miłość braterska. Może pomimo rzekomego okrucieństwa w Newellu ostała się odrobina ludzkiego współczucia. Minimum dobroci. W głębi serca wierzyła, że tak właśnie jest.

Samuel wolno spojrzał w stronę, gdzie w cieniu stał jego brat. Widocznie obecność Newella dodała mu odwagi, bo niespodziewanie wyciągnął rękę i uściśnął jej dłoń.

- Widzisz? Nie jestem taka groźna, prawda? - szepnęła. Pragnęła, żeby spojrzał jej w oczy, ale zdecydowanie unikał

jej wzroku. Kiedyś spotkała na ulicy wygłodzonego psa i próbowała się z nim zaprzyjaźnić. Siedziała na ławce w parku z miską jedzenia i cicho, łagodnie namawiała go, by wyszedł z krzaków. Powolutku zbliżała się do zwierzęcia, świadoma, że pies się jej boi. Grupa dzieci przebiegła parkową alejką, śmiejąc się i krzycząc. Kundel podkulił ogon i uciekł. Rano miska była wylizana do czysta. Aleksandra nigdy więcej nie spotkała tego biednego stworzenia. Jeszcze teraz odczuwała przykrość na myśl o tym, że zwierzę tak bardzo się bało, że nie mogło na nią spojrzeć.

- Samuelu, zostaniemy przyjaciółmi, wiesz o tym? - Uklękła przed nim, pamiętając, jakimi sposobami próbowała zdobyć zaufanie głuchoniemych dzieci. Przekonała się, że łagodnością i uśmiechem wiele można zdziałać. Ciekawe, czy takie metody sprawdzą się wobec dorosłego.

- Panna Benjamin przyjechała, żeby nam pomóc, Samie. - Zimny głos Newella przerwał milczenie. - Chcę, żebyś się jej słuchał i robił to, co ci powie. Rozumiesz mnie, chłopcze?

Samuel znowu zwrócił głowę w kierunku brata. Newell nie wyszedł z cienia, ale widocznie wystarczała sama jego obecność. Sądząc po minie Sama, dotarły do niego słowa Johna Damiana.

Aleksandra spojrzała na wielką rękę ujmującą jej dłoń. Samuel miał duże, kształtne dłonie, tak samo jak jego brat.

Ale podczas gdy uścisk dłoni Newella był silny, dawał poczucie bezpieczeństwa, ręka Sama była bezwładna. Jakby się bał.

- Lubisz muzykę, Sam? To prawdziwe błogosławieństwo, że słyszysz. Będziemy dużo grać, żebyś mógł słuchać różnych dźwięków... - Odchyliła się, zasmucona faktem, że nie chce na nią spojrzeć. Bał się jej, tak jak tamten pies w parku.

Wstała i sztywnym krokiem podeszła do Newella. Nastąpiła długa chwila ciszy. Starła się zebrać myśli, ująć je w słowa. Odgarnęła z czoła kosmyk ciemnych włosów i odparła, usiłując wyrazić się właściwie.

- Wasza lordowska mość, proszę mi wybaczyć śmiałość... ale uważam, że Samowi nie pomoże audiolog. Tu potrzebny jest ktoś, kto pokona jego strach. To, co go przestraszyło, nadal ma nad nim władzę i należy w pierwszym rzędzie z tym się uporać. O ile wiem, w Wiedniu działa cała szkoła lekarzy specjalizujących się w urazach tego typu...

21

- Wiem, czego mu potrzeba - przerwał jej gwałtownie Newell. - Ja najlepiej potrafię to ocenić, nie pani.

- Należy przełamać jego strach. Dopiero wtedy na tyle odzyska zaufanie, by mówić.

- W takim razie pani przezwycięży jego lęki.

- Nie nadaję się do tego.

- Uważam, że wprost przeciwnie. - Newell przyglądał się jej, ukryty w mroku, tylko błysk światła na szklach jego okularów świadczył, że się poruszył. - Ponieważ pani uosabia to wszystko, czego boi się najbardziej.

Spojrzała na niego w zdumieniu.

Lord Newell bez słowa wyjaśnienia opuścił pokój.

*

Aleksandra dotarła do swojej sypialni bez niczyjej pomocy. Gniew okazał się najlepszym drogowskazem, poprowadził ją przez ponury labirynt zamkowych korytarzy. Zbyt była pochłonięta myślami o tajemniczym lordzie Newellu, by się bać, że zabłądzi.

John Damien Newell irytował ją. Z wyraźnym upodobaniem starał się stwarzać wokół siebie aurę tajemniczości, a do tego miał jeszcze czelność żądać, by wyleczyła jego brata, w ogóle nie wyjaśniając, co spowodowało jego chorobę.

Newell zirytował ją dodatkowo tym, że opuścił sypialnię brata, zostawiając biedaka z obcą osobą.

Zapewne zachował

się tak, ponieważ nie mógł wydobyć z Sama ani słowa. Był niecierpliwy, twardy i te cechy uczyniły z niego człowieka złego. Więc zrzucił winę na nią.

Na widok miny Sama po wyjściu Newella łzy napłynęły jej do oczu. Była pewna, że gdyby mógł się zmieścić, wczołgałby się do jednej z szuflad swej komody, żeby tylko schronić się gdzieś przed nią. Samuel był przerażony tym, że ma przebywać z nią sam na sam. Znacznie mniejszy lęk budziła w nim obecność bezwzględного, wymagającego brata.

Wyszła od Sama zaraz po Newellu. Serce jej się ścisnęło na widok siedzącego przed kominkiem mężczyzny, śmiertelnie bojącego się kobiety dwa razy mniejszej od niego. W żaden sposób nie mogła mu pomóc. Zagadkowe słowa Newella wciąż dźwięczały jej w uszach. Nie rozumiała ich, ale patrząc na jego zgnębnego brata wiedziała, że musi je zrozumieć, aby mu pomóc. Opuściła sypialnię, zapewniając Sama, że wkrótce zostaną przyjaciółmi. Nie chciał

jednak spojrzeć jej w oczy. Ogarnęło ją zwątpienie.

Po powrocie do swojej sypialni zbyła pytania Mary, opisując lorda Newella i ich rozmowę o jej pracy, a potem poło-

żyła się do łóżka. Po podróży była kompletnie wyczerpana. Nie mogła jednak zasnąć, długo leżała, wpatrując się w adamszkowy baldachim nad łóżkiem, a pochrapywanie Mary dobiegające z drugiego pośłania wcale jej nie uspa-kajało.

Co Newell miał na myśli mówiąc, że Sam boi się kobiet takich jak ona? Jego mglista wypowiedź nie dawała jej spokoju. Bardzo niewiele wiedziała o Cairncross, ale jednego była pewna: Newellowi ogromnie zależało, żeby ją wyprowadzić z równowagi. Ciekawe, czy z jego strony to tylko gra, czy potrzeba. W każdym razie w ten sposób sprawował kontrolę nad ludźmi.

Może już nigdy nie zdoła rozwiązać tajemnic zamku Cairncross, ale bez względu na to, co Newell miał na myśli, czuła instynktownie, że nie chodziło mu konkretnie o nią. Jego uwaga dotyczyła kobiet w ogóle.

Rzuciła się na pośłaniu i przewracała z boku na bok. Nie mogła dojść prawdy, zbyt skąpe miała wiadomości. Ranek przyniesie nowe informacje, ale z pewnością nie będą pomyślne. Spotkanie Aleksandry z Samem zakończyło się jej porażką i Newell mógł postanowić ostatecznie, że ją odprawi. A nawet jeśli pozwoli jej zostać, nie miała pojęcia, jak zabrać się do pracy. Nie dysponowała przecież szczegółowymi wiadomościami o chorobie swego podopiecznego.

Trudno będzie czegoś się dowiedzieć, jeśli uwzględnić, że nie mogła żądać spotkania z lordem Newellem, a tym bardziej zadawać mu wścibskich pytań. Nawet jeśli pozwoli jej tu zostać, miała poważne wątpliwości, czy jeszcze kiedyś go zobaczy. Zostawi sprawę brata na jej głowie i wróci do Londynu. Właściwie nie mogła mieć o to do niego pretensji. Częste ucieczki z Cairncross wydawały się konieczne, by nie popaść w depresję, jaką powodował pobyt w tym ponurym zamczysku.

Świt niczym pająk wślizgnął się do pokoju przez szczeliny w ciężkich, aksamitnych zasłonach. Ogień na kominku zgasł, w palenisku został tylko biały popiół, panował tu przejmujący chłód. Aleksandra przez całą noc nawet nie zmrużyła oka. Teraz usiadła na łóżku i zaczęła rozplatać włosy. W każdej chwili mogła przyjść pokojówka, aby dorzucić torfu do kominka i przynieść poranną kawę. Chciałaby już wtedy być ubrana i wyszykowana. Lord Newell prawdopodobnie z samego rana wyjedzie do miasta, toteż miała większą szansę ponownego spotkania go, jeśli jak najszybciej zeszlaby na dół.

- Obudziła się panienka? - dobiegł ją szept.

Spojrzała na Mary, która uśmiechnęła się do niej i usiadła, poprawiając nocny czepek, który jej się przekrzywił.

Rozległo się pukanie do drzwi. Nim Aleksandra zdążyła powiedzieć: „Proszę”, weszła służąca, postawiła dzbanek mocnej kawy, rozpałała ogień na kominku i wyszła.

22

- Czy od dziś zacznie panienka pracować z chłopcem? - spytała Mary, biorąc ze srebrnej tacy spory kawałek placka z truskawkami.

- Jeszcze nie wiadomo, kiedy zacznę pracować i w jakim charakterze. Ostatniej nocy lord Newell przedstawił niezbyt sprecyzowane plany.

Wlała ciepłą wodę z dzbanka do miski i umyła twarz. Miała nadzieję, że Mary się nie zorientuje, że odpowiada jej wymijająco. Nie lubiła niczego przed nią ukrywać, ale czuła, że teraz to konieczne. W ten sposób ją chroniła. Splotła włosy, upięła je w skromny koczek i wsunęła go pod szydełkową siateczkę w kolorze lawendy.

Mary przyglądała się jej, siedząc w fotelu. Aleksandra włożyła halki przez głowę i zaczęła je nerwowo zapinać.

- Czy dziś rano panienka znów spotka się z lordem Newellem? Czy dlatego jest panienka taka blada i nierozmowna?

Aleksandra przestała się ubierać i spojrzała na Mary. Bez słowa chwyciła suknię i ostrożnie wciągnęła ją przez głowę.

- Czemu boisz się mówić o lordzie Newellu, kochaneczko?

- Wcale się nie boję. - Aleksandra zmarszczyła czoło, zapinając haftki z przodu stanika. - Wprawia mnie w zakłopotanie i tyle. Jest dziwnym człowiekiem, trudno go rozszyfrować. Prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy tu zostaniemy. Myślę, że jutro będę wiedziała trochę więcej.

- W takim razie czemu biega panienka jak kurczak, któremu mają uciąć głowę?

Już otworzyła usta, by gorąco zaprzeczyć, ale spojrzawszy w lustro, stwierdziła, że ubierając się w

takim pośpiechu, krzywo zapięła stanik.

- Nie przejmuj się moim zachowaniem - powiedziała w końcu, niecierpliwie rozpinając drobniutkie, metalowe haftki.

- Tak mi zależy, by wcześniej się wyszykować dziś rano, bo mam nadzieję zobaczyć się z lordem przed jego wyjazdem.

Jest wiele spraw, które jeszcze chciałam wyjaśnić...

- Czyli to jest powód bladości panienki. A więc jest przystojny? - W głosie Mary słychać było wyraźną dezaprobatę.

Aleksandra znieruchomiała. Zaskoczyły ją słowa Mary. Przestała się ubierać.

- To nie ma nic do rzeczy - powiedziała.

- Więc o co chodzi? - spytała Mary, poprawiając czepek.

- Rzeczywiście jest przystojny - wyjąkała - ale nie myśl sobie, że się w nim zadurzyłam. Jest moim pracodawcą.

Kiedy ostatniej nocy na próbę zaproponował mi pracę, pogardliwie potraktował moją znajomość tego, czym zajmował

się mój ojciec, i powiedział, że może mnie jedynie zatrudnić w charakterze guwernantki. Chyba nie wypada guwernantce wyobrażać sobie, że mogłaby wzbudzić zainteresowanie arystokraty, prawda?

- Nie jest panienka guwernantką. Jest panienka wykształcona, młoda i z całą pewnością nie trafiła tu z przytułku.

Ojciec nie zostawił panience wielkiego majątku, ale w chwili jego śmierci odziedziczyła panienka całkiem przyzwoitą sumkę, chociaż musiała panienka zrezygnować z domu przy Belmont Crescent.

- Zapominasz, że nie przyjechałam tutaj szukać męża. Poza tym nie jest taki, jak sobie wyobrażasz.

Mary spojrzała znad dużej, białej filiżanki z kawą i pokiwała głową ze zrozumieniem.

- W więc wie panienka, jak go sobie wyobrażam. Proszę nie zapominać, panienko, że słyszałam, co wczoraj powiedział o lordzie Newellu woźnica.

Aleksandra zmarszczyła czoło i zamyśliła się.

- Przyznaję, że jest zimny i wyniosły, czego nie potrafię wytłumażyć nawet jego pozycją społeczną. Owszem, ma dobre maniery, ale nie umie być miły. Czy ma gwałtowny charakter? Jeszcze nie wiem. Dostrzegam w nim gwałtowność, ale dostrzegam również zagubienie. Och, wiem, że brzmi to absurdalnie; może to i prawda, ale... ale nie wiem.

Mary gapiła się na nią z dobrze znanym Aleksandrze wyrazem troski na twarzy.

Aleksandra uśmiechnęła się z trudem. Czuła się tak, jakby kazano jej odpędzić złe duszki.

- Śmiem przypuszczać, że rzadko będzie tu przebywał, więc skończ z tymi domysłami. Pomyślałam, że dobrze było-by się z nim spotkać, to być może ostatnia okazja, bym mogła porozmawiać z nim o jego bracie. Ten chłopiec, któremu przyjechałyśmy pomóc, wcale nie jest chłopcem. Mój uczeń jest znacznie starszy, niż myślałam. Nie uważam, bym się nadawała na jego guwernantkę, ale on potrzebuje kogoś. Jest opóźniony w rozwoju, to bardziej dziecko niż mężczyzna.

- A więc to tak?

Aleksandra skinęła głową i skończyła zapinać haftki. Gdy się ubrała, powiedziała Mary, że wróci po przechadzce - i po rozmowie z lordem Newellem, jeśli się jej uda zobaczyć go przed wyjazdem. Wzięła z krzesła szal i skierowała się do ogrodu.

W wielkim westybulu nie zastała ani właściciela zamku, ani gospodyni. Jakiś chłopiec przyniósł miotełkę i szufelkę, po czym przystąpił do czyszczenia licznych kominków, kamerdyner zaś (lub raczej mężczyzna w czarnym surducie, którego uznała za kamerdynera) wziął do ręki srebrny świecznik, który nie został wyczyszczony ostatniego wieczoru.

Z lewej strony pokojówka odkurzała zbroję. Kiedy Aleksandra podeszła bliżej, zobaczyła, że jest to wielki napierśnik ze srebra i brązu, z dziurą wielkości kuli armatniej.

23

- Dzień dobry, panienko - powiedziała nieśmiało młoda dziewczyna, kiedy zauważyła, że Aleksandra się jej przygląda. Stojąc na drabinie, spróbowała grzecznie dygnąć.

Aleksandra skinęła jej głową, ale nie mogła oderwać wzroku od zbroi.

- St. Albans? - spytała cicho, pragnąc dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

- Waterloo, panienko. - Pokojówka na chwilę przerwała pracę, potem wzięła się do odkurzania następnych, równie zniszczonych zbroi.

- Czym mogę służyć?

Aleksandra niemal podskoczyła na dźwięk głosu, który dobiegł nie wiadomo skąd. Odwróciła się gwałtownie i ujrzała przed sobą bezimienną gospodynię. Miała na sobie tę samą czarną sukienkę, na jej twarzy malowała się ta sama przezorność i nerwowość, co wczoraj. Ale dziś kobieta ukryła swój koczek pod siateczką cienką i delikatną jak pajęczyna. Wyglądała niezwykle elegancko.

- Pomyślałam, że po wczorajszej długiej podróży przechadzka po ogrodzie dobrze mi zrobi. Mam nadzieję, że wolno mi zaczerpnąć świeżego powietrza? - spytała Aleksandra.

Kobieta stała bez ruchu, ręce zacisnęła tak mocno, że jej pobieleły kostki.

- Jeśli lord Newell chciałby się ze mną zobaczyć przed odjazdem, Jestem do jego dyspozycji.

Kobieta nic nie powiedziała, tylko przyglądała się jej oczami nieokreślonego koloru.

- Cóż... w takim razie pójdę sobie... - Aleksandra ruszyła przed siebie, szczerzej owijając szalem ramiona.

W tym momencie kobieta poinformowała:

- Lord zrezygnował z wyjazdu do Londynu, panienko.

Aleksandra znieruchomiała. Spojrzała na gospodynię i rzekła:

- Przedstawiłam się pani, ale do tej pory nie miałam okazji poznać pani nazwiska. - Przyglądała się jej wyniośle i czekała.

- Penrith - powiedziała kobieta, wcale nie tak onieśmielona tonem Aleksandry, jak Aleksandra by sobie tego życzyła.

- Cóż, pani Penrith, przypuszczam, że skoro lord Newell stwierdził, że najlepiej, jeśli przez jakiś czas zostanie ze swoim bratem, to jego sprawa.

- Wiedziała panienka, że była tu już kiedyś guwernantka?

Aleksandra wyprostowała się. Miała wrażenie, że pani Penrith w jakiś sposób usiłuje ją sprowokować. Nie podobało jej się to.

- Uważam, że to normalne zatrudnić guwernantkę do dziecka. A Sam jest właściwie dzieckiem, prawda? W tym, że przede mną była tu guwernantka, naprawdę nie ma nic niezwykłego.

- Och, to nie była zwykła kobieta, panienko. O nie. Z całą pewnością nie była zwyczajną kobietą.

Aleksandra zaczęła tracić cierpliwość. Przede wszystkim nie podobało jej się, że uważano ją za guwernantkę, a do tego jeszcze gospodyni próbowała sprawić, by poczuła się gorsza od swej poprzedniczki.

- Skoro była taka nadzwyczajna, czemu odeszła? Samuel najwyraźniej nadal potrzebuje opieki.

- Nie odeszła, panienko. - Strach, stale obecny w jej głosie, teraz ujawnił się z całą mocą. - Zniknęła.

- Zniknęła?

- Tak. Zniknęła. To coś zupełnie innego niż odejść.

- Czyżby opuściła zamek w środku nocy?

- Nie. Jednego dnia była, a następnego zniknęła bez śladu. Wszystkie jej rzeczy nadal są w pokoju

panienki, spakowane w wielkim skórzanym kufrze pod oknem.

Aleksandra poczuła się dziwnie. Do tej chwili nie wiedziała, dlaczego stary, zniszczony kufer z czarnymi obręczami nie przestawał jej niepokoić, coś jej mówiło, że ma istotne znaczenie w całej tej historii. To zupełnie zrozumiałe, skoro ciągle miała go przed oczami; teraz nie chciała o nim myśleć. Fakt, że dobytek zaginionej kobiety, zamknięty w kufrze w jej pokoju, czeka na właścicielkę, której już dawno nie ma, wywołał u Aleksandry dziwny, niemożliwy do opisanego lęk.

Pani Penrith podeszła bliżej i szepnęła jej prosto do ucha:

- Czy napije się panienka herbaty w moim pokoju i pozwoli, żebym opowiedziała jej o zamku oraz o jego dawnych i obecnych mieszkańcach?

Aleksandra z całych sił starała się zapanować nad sobą, by nie zacząć przeraźliwie krzyczeć. W końcu cichym, opanowanym głosem powiedziała:

- Jeśli zamierza pani opowiadać mi jakieś historie mrozące krew w żyłach, to z góry uprzedzam, że...

Gospodyni położyła błagalnie dłoń na ramieniu Aleksandry.

- Nie próbuję panience napędzić stracha. Uważam jedynie, że powinna panienka wiedzieć, co się dzieje tutaj, w Cairncross. - Rzuciła ukradkowe spojrzenie na mężczyznę w czarnym surducie, który stał w drugim końcu westybulu.

Przyciszonym głosem dodała: - Musi panienka napić się herbaty w moim pokoju. Jest mnóstwo rzeczy, których 24

panienka nie wie o panu i jego nieszczęsnym bracie.

Aleksandra miała zamiar odmówić. Nie chciała słuchać plotek krążących wśród służby, ogromnie ją korciło, by oznajmić pani Penrith, że słuchanie starych bajek nie jest najlepszym sposobem poznawania dziejów zamku. Ale zwyciężyła ciekawość. Pragnęła dowiedzieć się czegoś więcej o Cairncross i jego mieszkańcach, szczególnie jeśli miała pomóc bratu lorda. Poza tym gospodyni patrzyła na nią z tak szczerym zaniepokojeniem, że Aleksandra stwierdziła, iż powinna spełnić prośbę kobiety. Zresztą gospodyni najwyraźniej ryzykowała, decydując się na opowiadanie Aleksandrze o tych sprawach, o czym świadczyły jej nerwowe spojrzenia, rzucone kamerdynerowi.

- Chętnie dowiem się czegoś więcej o Samie... - Aleksandra obserwowała gospodynię; po wczorajszym chłodnym przyjęciu nie mogła do końca pozbyć się podejrzliwości. - Z przyjemnością napiję się herbaty w pani pokoju.

Na twarzy gospodyni pojawił się wyraz niewysłowionej ulgi. Zwróciła się do dziewczyny na drabinie, by przyniosła herbatę z kuchni. Kamerdyner, czy kimkolwiek był ów mężczyzna w czarnym surducie, obserwował je z drugiego końca olbrzymiej, średniowiecznej komnaty, trzymając naręcze sreber.

- Panie Featherstone, jeśli ktoś mnie będzie potrzebował, jestem u siebie z panną Benjamin -

powiedziała pani Penrith uniżonym tonem.

- Bardzo dobrze - zaskrzeczał, zwracając surową twarz z podwójnym podbródkiem w stronę Aleksandry. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że on też wolałby, żeby stąd wyjechała.

Pani Penrith zaprowadziła ją na dół do małego, skromnego saloniku, specjalnie przeznaczonego dla gospodyni zamku. Kiedy herbatę rozlano do filiżanek, Aleksandra usiadła i zaczęła ostrożnie wypytywać.

- Czy pan Featherstone jest kamerdynerem jego lordowskiej mości? - spytała, odstawiając filiżankę na spodeczek z cieniutkiej jak opłatek porcelany.

- W rzeczy samej. - Pani Penrith nerwowo wygładziła suknię i przesunęła ręką po pokrowcu. Była widać dobrą gospodynią - nawet w swoich pokojach nie mogła się powstrzymać, by czegoś nie doglądać. - On, rzecz jasna, dba o wszystkie ważniejsze rzeczy w zamku. Mnie, ma się rozumieć, zostawiono mniej istotne obowiązki.

- Czy ja jestem takim „mniej istotnym” obowiązkiem? - Aleksandra wypła łyk gorącego naparu.

- Niezupełnie rozumiem. - Gospodyni była wyraźnie zakłopotana.

- Nie przedstawił mi się, ponadto do tej pory nie zauważyłam, by troszczył się o moje wygody. Rozumiem, że to należy do obowiązków kamerdynera. Mogę z tego wyciągnąć tylko jeden wniosek: lekceważy mnie, ponieważ nie uważa, bym była godna jego zainteresowania.

- Nie życzy sobie tutaj panienci obecności. Proszę co do tego nie mieć żadnych złudzeń. Pan Featherstone dawno temu uciekł z pewną kobietą. I chociaż od tamtego wydarzenia upłynęło wiele czasu, wszyscy się niepokoją, widząc w zamku kolejną młodą kobietę.

- Czy dobrze rozumiem, że uciekł z poprzednią guwernantką?

- Tak. - Pani Penrith zasznurowała usta, aż wokół nich pojawiła się siateczka zmarszczek.

- Jak dawno temu zniknęła?

- Minęło już dwadzieścia długich lat.

- Zniknęła dwadzieścia lat temu? - Aleksandra nie potrafiła ukryć zaskoczenia. Z jakiegoś powodu chciała wierzyć, że kobieta, której dobytek znajdował się na górze w jej pokoju, wróci po swoje rzeczy. Trudno, aby tak się stało, skoro od chwili, kiedy widziano ją po raz ostatni, upłynęło dwadzieścia lat.

- Kiedy panna Pole zniknęła, Samuel i lord Newell byli właściwie jeszcze dziećmi. Samuel miał niespełna dziesięć lat, lord Newell trzynastie. Z całą pewnością nie więcej niż czternaście.

- Była również jego guwernantką? Zdrowego, czternastoletniego chłopca? Był za duży na guwernantkę.

- To był błąd. - Pani Penrith dołąła sobie herbaty, wrzuciła kilka kawałków brązowego cukru i zaczęła wolno mieszać napój. - Lorda Newella należało posłać do szkoły albo przynajmniej zatrudnić dla niego nauczyciela w Cairncross. Był

bystry, w mig wszystko chwycił, ale obawiam się, że jego rodzice, lord i lady Newell, zaniedbywali swoje dzieci.

Większość czasu spędzali w Europie i nie interesowali się wykształceniem Johna Damiena. Zresztą Urszula Pole chciała ich uczyć. Była kuzynką starego barona, ojca lorda Newella, i miała nieograniczoną władzę. Rodzice byli nieobecni, ona została z Johnem Damienem. Chociaż chłopiec jej nienawidził, ona miała na jego punkcie jakąś obsesję.

Samuela, dzięki Bogu, zostawiła w spokoju, prawdopodobnie dlatego, że chłopiec był opóźniony w rozwoju, ale jej uczucia do Johna Damiena... - Gospodyni pokręciła głową. - Cóż, był to fatalny układ, który trwał zbyt długo...

rozumie panienka, co mam na myśli?

Aleksandra spojrzała jej prosto w oczy. Nagle doznała olśnienia, jakby otworzyły się przed nią drzwi krypty.

- Jest panienka przerażona, i słusznie.

- Chyba nie może pani mieć na myśli tego, co uważam, że ma pani na myśli? Lord Newell był młody, zgodna, i może łatwo uległ wpływowi kobiety wątpliwych obyczajów, ale sądząc po moim krótkim z nim spotkaniu, nie uznałabym go za człowieka, którym można łatwo kierować. Trudno uwierzyć, że nawet kiedy był chłopcem...

25

- Nawet kiedy był chłopcem, niełatwo ulegał cudzym wpływom. Podobno jej odmówił. Ale niektórzy mówią, że Urszula Pole kochała się w nim - gospodyni zniżyła głos - a inni twierdzą, że nadal się w nim kocha.

Aleksandra przyglądała się jej, zmarszczywszy czoło.

- A więc jednak dała jakiś znak życia?

Pani Penrith spojrzała jej prosto w oczy.

- Nie jako kobieta z krwi i kości.

- Chyba nie ma pani na myśli tego, co przypuszczam, że ma pani na myśli. - Aleksandra chciała z niej zadrwić, ale stwierdziła, że oburącz kurczowo trzyma się poręczy fotela. Cała ta rozmowa sprawiła, że czuła się, jakby nie siedziała w fotelu w saloniku gospodyni, lecz jechała trzęsącym się powozem.

- Może to tylko plotki rozsiewane przez służbę, ale właśnie taką wersję wydarzeń znam. - Gospodyni

uniosła filiżankę do ust i wypila łyk herbaty. Zdenerowanie kobiety zdradzało lekkie drżenie ręki.

Była to całkiem niesamowita historia, niewątpliwie mająca napędzić stracha. I robiła to skutecznie; Aleksandrze niemal odjęło mowę, ale w końcu zdołała spytać:

- A więc co się stało z panną Pole? Skoro mówi pani, że nie pojawiła się tu jako kobieta z krwi i kości, w takim razie musi to znaczyć...

Pani Penrith głośno odstawiała filiżankę na spodeczek.

- Zniknęła. Rozumie mnie panienka? Zniknęła, a my, którzy mieszkaliśmy w tym domu i kiedyś ją znaliśmy, codziennie dziękowaliśmy Bogu, że tej kobiety już nie ma.

Aleksandra, zaskoczona dziwnym zachowaniem kobiety, siedziała jak ogłuszona i piła herbatę. Brzęk porcelany jeszcze potęgował napięcie.

Pani Penrith opanowała się. Spytała cicho:

- Panno Benjamin, czy wie panienka, co to jest zło? Nie mówię o niegrzecznych dzieciach ani o biedakach, którzy posunęli się do kradzieży czy morderstwa. Mówię o złu. Całkowitym braku poczucia winy czy skrupułów. Bywają tacy ludzie. Wyglądają jak panienka i ja, ale nie są tacy jak my. O nie.

- Wydaje mi się, że wiem, co to zło - odpowiedziała Aleksandra. W gardle jej zaschło, zapomniała o filiżance z herbatą stojącej na stoliku przykrytym koronkową serwetą.

- Ona była zła. - Głos pani Penrith przeszedł w ochryply szept. - Nigdy nie wybaczyła chłopcu, że ją odepchnął.

Postanowiła zwrócić na siebie jego uwagę, uciekając się do najpodlejszego podstępu. Wiele lat temu John Damien miał

ulubionego ogara. Pewnego dnia biedne zwierzę zdechło w bardzo tajemniczych okolicznościach. Obłudnie pocieszała zrozpaczonego chłopca, jak tylko umiała. Potem pewnego dnia pojawiła się w pokoju do nauki w niezwykłych rękawiczkach. Były z zielonej skórki, z pomarańczową obwódką, ale nie uszyto ich ze skóry cielęcej ani jagnięcej, rozumie panienka? Uszyto je z wyjątkowej skóry. Była to, jak już powiedziałam, niezwykła para rękawiczek. Czy wie panienka, co ta kobieta zrobiła? - Pani Penrith nachyliła się bliżej. Miała taką minę, jakby zmuszono ją do przełknięcia żółci. - Ta kreatura, panna Pole, powiedziała Johnowi Damienowi, że kazała zabrać jego zdechłego psa do garbami i osobiście uszyła tę parę rękawiczek. Powiedziała to chłopcu, a jeśli się panienka nad tym zastanowi, panno Benjamin, zrozumie panienka, że samo okrucieństwo wcale nie polegało na tym, czy jej opowieść była prawdziwa, czy też nie.

Najważniejsze, że nosiła te rękawiczki codziennie, aby John Damien nie mógł zapomnieć, co mu powiedziała. - Pani Penrith zniżyła głos do szeptu. - Robiła rzeczy, o których trudno mówić. Trudno mówić...

Aleksandra wpatrywała się w kobietę. Opowieść przyprowadziła ją o mdłości, serce jej się ścisnęło z żalu nad młodym lordem Newellem. Ale wtedy przypomniała sobie coś gorszego.

- Pani Penrith - zaczęła - lord Newell powiedział mi ostatniej nocy, że Sam tak się czegoś przestraszył, że odjęło mu mowę. Czy to było coś, co ona...?

- To jej sprawka. Naturalnie, że to jej sprawka. Nie wiem, co takiego zrobiła, ale wiem, że to przez nią, jestem za to gotowa ręczyć własną głową.

Aleksandra poczuła nieprzyjemny skurcz żołądka. Ten koszmar stawał się coraz straszniejszy. Ostatnia rewelacja sprawiła, że Aleksandrę ogarnęły wątpliwości, czy chcąc tu zostać, sama jest przy zdrowych zmysłach. Nie warto dać się wciągnąć w taką historię. Zaczęła się zastanawiać, czy zdoła pomóc tym ludziom. Problem lorda Newella i jego brata to było coś znacznie poważniejszego niż utrata mowy. Ta myśl była jej niemiła, ale jeśli pani Penrith nie kłamała, to i Samowi, i lordowi Newellowi nikt nie będzie w stanie pomóc.

Gospodyni wyciągnęła rękę w błagalnym geście.

- Teraz panienka rozumie, dlaczego wszyscy uważamy, że najlepiej będzie, jeśli panienka stąd wyjedzie? Nie ma tu panienka czego szukać. Sprawy mogą przybrać jeszcze gorszy obrót.

Aleksandra siedziała cicha, zamyślona, przytłoczona wagą problemu. Prawdopodobnie nie zdoła pomóc, jednak w jej myślach uparcie pojawiał się obraz Sama siedzącego wczoraj w nocy przed kominkiem, patrzącego na nią przerażonym wzrokiem. Poza nią nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc. Który mężczyzna przyjechałby do 26

Cairncross, by tracić czas na zajęcia z wystraszonym półgłówkiem. A już z pewnością nikt nie przybędzie tu, by podjąć się niewykonalnego zadania przywrócenia mu zdolności mowy. Ciekawe, czy komuś tak ścisnęłoby się serce po wysłuchaniu opowieści o młodym Johnie Damienie, jego ogarze i tych okropnych rękawiczkach.

- Ktoś musi pomóc Samowi. - Powiedziała to cicho, ale z niezwykłą determinacją.

- Sama należało umieścić w domu wariatów. - Do oczu gospodyni napłynęły łzy. Był to tak szczery objaw żalu i rozpacz, że Aleksandrze też oczy zasły mgłą. - Jest taki przystojny. Tak podobny do lorda Newella. Jaka szkoda, że... że jest chory. Ale nic nie możemy mu pomóc. Biedny Sam nienawidzi tego zamku. Gdyby nie regularne wizyty jego brata w Cairncross, biedak w ogóle nie wiedziałby, co to szczęście. Musi panienka zrozumieć, że biedaczysko stracił poczucie czasu. W jego wyobrażeniach ta kobieta jeszcze wczoraj przemierzała zamkowe korytarze. Nadal za nic nie wejdzie do pokoju do nauki. Według niego ona czeka tam na niego. Czeka i...

- Lord Newell powinien go zabrać do Londynu. Jest tam wielu lekarzy, którzy zajęliby się nim z należytą troską...

- Jego lordowska mość raz próbował zabrać go do Londynu, ale Sam nigdy nie znał innego domu poza Cairncross.

Sama podróż do Yorku zdenerwowała go do tego stopnia, że John Damien był zmuszony odesłać go z powrotem. W

przypadku Sama być może lepsze zło znane niż nieznanne.

- I dlatego lord Newell nie sprzedał zamku? - spytała Aleksandra.

- To prawdziwy dramat. Zamek wchodzi w skład ordynacji. John Damien nie miałby nic, gdyby pozbył się Cairncross. Ale to nie wszystko. Walczył zawzięcie, by tu wrócić, by odzyskać to, co mu się słuszenie należy. Teraz niczego nie wypuści z ręki. Nawet mając najlepszego plenipotentę, lord Newell nadal osobiście wszystkiego dogląda.

Zamek wywołuje w nim przykre wspomnienia, ale i tak regularnie tu przyjeżdża. Myślę, że dlatego, by pilnować Sama i dotrzymywać mu towarzystwa.

- Dlaczego musiał walczyć, by wrócić do Cairncross?

Wydawało się, że to zwykłe pytanie, na które odpowiedź nie powinna nastęrczać żadnych trudności, ale nagle pani Penrith stała się znów powściągliwa. Ściągnęła usta, wokół których znów pojawiła się siateczka zmarszczek.

- Jeśli panią zostanie - odparła - powinien panię o tym powiedzieć lord Newell, a nie ja. Ja... ja... - Gospodyni urwała, jakby samą siebie ganiła za gadulstwo. - Opowiedziałam pani to wszystko, ponieważ uważam, że w pani interesie najlepiej stąd wyjechać. Cairncross nie jest odpowiednim miejscem dla młodej damy. Błagam panią, by kierując się rozsądkiem, pozwoliła pani jeszcze dziś odwiedzić siebie i swoją pokojówkę na stację kolejową.

Aleksandra gapiła się na nią. Była niemal zdecydowana wyjechać.

- Pan potrafi zachowywać się jak wściekły pies. Nie ma sensu, by pani próbowała mu się przeciwstawiać -

dodała pani Penrith.

- Ostatniej nocy zachowywał się jak dzentelmen. Był uprzejmy, mówił spokojnie...

- Chce, żeby ktoś pomógł Samowi odzyskać mowę. Może uważa, że pani się to uda.

- I może ma rację.

- Proszę sobie nie wyobrażać, że może pani pomóc. Zresztą cóż dobrego wyniknie z tego, że chłopak przemówi?

Co powie? Nic, tylko same okropne rzeczy. To nie ma najmniejszego sensu, panienko.

- Może Sam wcale nie chce mówić. Może jest to ważne dla lorda Newella. Czy kiedykolwiek brała pani pod uwagę tę ewentualność? - spytała Aleksandra i dodała cicho: - Sama mi pani powiedziała,

że on też nosi szramy z czasów dzieciństwa.

- To prawda. - Twarz pani Penrith nagle postarzała się o dobre dziesięć lat. - Wiem, że lord Newell chce, by Sam znów zaczął mówić, by znów stał się taki jak dawniej. Znam jego lordowska mość od dnia jego narodzin, panienko, i głęboko mu współczuję. Owszem, mówią, że ma gwałtowny charakter i jest pozbawiony serca. Potrafi być dobry tylko dla swego brata. Wszyscy się go boimy. - Spojrzała na Aleksandrę. - Ale kocha swego brata, a to dużo mówi o człowieku, który nigdy nie zaznał miłości. Wielu panów nie zaprzętałoby sobie głowy takim półgłówkiem jak Sam.

John Damien tego nie zrobił.

- To oznacza, że istnieje powód, by tu zostać. - Aleksandra spojrzała na gospodynię. - Ktoś musi pomóc im obu. Pani Penrith wstała. Była niezwykle wzburzona.

- Ale panience się to nie uda. Nie rozumie panienka? Tu nie pomoże taka młoda kobieta jak panienka. Jeszcze pogorszy panienka sytuację.

- Lord Newell nie jest niezadowolony z mojej obecności. Wspaniale ukrył swoją irytację, kiedy się okazało, że jestem kobietą...

- Jest mistrzem w maskowaniu swych prawdziwych uczuć i myśli. To ona go tego nauczyła i jest teraz w tym niedościgniony.

Aleksandra też wstała. Upuściła lnianą serwetkę na fotel.

- I właśnie dlatego powinnam zostać. Muszą uporać się z Urszulą Pole. Zniknęła dawno temu. Prawdopodobnie nie żyje.

27

Pani Penrith zasłoniła sobie uszy rękami, by nie słyszeć jej słów.

- Błagam, żeby panienka wyjechała. Teraz ma panienka okazję. Proszę wyjechać, nim panienka bardziej da się w to wciągnąć.

- Wyjadę wtedy, kiedy zechcę. I sama postanowię, czy mam wyjechać, czy zostać.

- Lord Newell nie jest taki jak Sam, panno Benjamin. - Głos gospodyni stał się piskliwy i natarczywy. - Samuel jest równie potężnie zbudowany jak jego brat, ale jest cichy i łagodny jak baranek. Nigdy nie widziałam, by nadepnął

kwiatek w ogrodzie. Ale jego brat... jego brat jest zupełnie inny.

- Można by powiedzieć, że dżentelmen, z którym rozmawiałam ostatniej nocy, jest niemal święty, uwzględniwszy jakiego podstępny użyłam. - Aleksandra chciała jak najszybciej wyjść.

- Panienko, musi panienka wiedzieć...

- Nie zapomnę tej naszej rozmowy. Chciałabym teraz pójść do ogrodu i nad wszystkim się zastanowić. Proszę mi wybaczyć.

- Panienko, proszę wyjechać dziś po południu. Pociąg do Londynu jest o czwartej jedenaście. Błagam, by zachowała się panienka rozsądnie.

- Czy jest rzeczą słuszną opuszczać tych, którzy są w potrzebie? - Aleksandra szykowała się do wyjścia.

Wyszła już z pokoju, kiedy gospodyni krzyknęła za nią, czyniąc ostatnią próbę.

- John Damien był bystrym chłopcem, rozumie panienka? Ludzie o tak przenikliwym umyśle nie zapominają łatwo okrucieństw, jakich się względem nich dopuszczono. Jako dziecko przeżył koszmar... i niektórzy mówią, że z tego powodu nie jest zupełnie normalny.

Aleksandra znieruchomiała. Słowa uderzyły ją jak obuchem. Odwróciła się do gospodyni, by poprosić o bliższe wyjaśnienie, ale drzwi do saloniku pani Penrith były zamknięte, jakby kobieta nie miała dość sił, by ponieść konsekwencje swego czynu.

Aleksandra spoglądała na zamknięte drzwi. Słowa pani Penrith huczały jej w głowie.

Ale była córką swego ojca; w końcu rozsądek wziął górę. Zaciśnęła zęby i opanowała strach. Lord Newell powinien mieć szansę. Ona sama zadecyduje, zostać czy wyjechać, i wcale nie zamierzała podejmować decyzji pochopnie. Miała swoje powody, by wywiązać się z powierzonego jej zadania, więc nie będzie się spieszyć; rozważy wszelkie możliwości działania, wszelkie za i przeciw.

I sama podejmie decyzję.

7

Za jego względy tę daję przysługę.

Przyjmie ją - dobrze, a nie - do widzenia.

Tylko nie krzywdźcie mię za moją miłość.

Kupiec wenecki

O gród wokół Cairncross stanowił przeciwieństwo zamku. Jeśli zamek wyciosał wojownik, ogród uprawiał romantyk.

Czterdzieści krzaków róż kwitło wzdłuż ceglanego muru ogrodu. Tworzyły wspaniałą mieszankę zapachów i feerię barw, od różu, przez żółcienie po szkarłaty. Rozsypane się, szare, zdobione sztukateriami mury osłaniały krzewy przed srogimi wiatrami, a nieurodzajna gleba została nawieziona próchnicą i torfem. Odgradzony od obojętnych na wszystko wrzosowisk, ogród był enklawą, gdzie mógł się rozrastać i kwitnąć nawet najdelikatniejszy jaśmin.

Aleksandra przeszła przez drewnianą furtkę i znalazła się w przestronnej kwaterze. Zielona farba wyblakła i niszczyła się, oba skrzydła furtki wisiały na zawiasach, dlatego pozostawały wiecznie uchylone. W najdalszym kącie dostrzegła starą figurkę świętego Franciszka, ukrytą wśród kęp kwitnącej lawendy. Obok niej wiekowa, powykręcana lipa chyliła się nad rzeźbioną marmurową ławką, która zapraszała, by na niej usiąść i podziwiać zdziczały, angielski ogród.

Aleksandra zdążyła w jej kierunku wolnym krokiem, pochylając się nad różami, narcyzami i miętą, wdychała ich upojny zapach. Pragnęła się rozkoszować wonnym powietrzem, ale myślami wciąż wracała do okropnej opowieści pani Penrith. Usiadła na pokrytej mchem ławce i z przyjemnością spoglądała na cień, jaki rzucały na ziemię gałęzki lipy. Dzięki ciepłej halce nie czuła chłodu marmurowej ławki, słońce mocno przygrzewało i zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna kupić sobie krynoliny z ażurowym, stalowym szkieletem, będącej ostatnim krzykiem mody.

Oparła głowę o porośnięty bluszczem mur i wdychała słodki zapach lawendy, zmieszany z wonią róż. W ogrodzie panowała cisza, zakłócał ją jedynie szelest skrzydełek motyla krążącego wśród kolczastych krzewów. Cisza była tak przemożna, że zdawała się posiadać własną moc, kierując myśli Aleksandry ku sprawom, o których wolałaby zapomnieć.

Myślała o Newellu.

Przyjechała tutaj, by pomóc jego bratu, ale od chwili gdy ujrzała Johna Damiena Newella, on właśnie pochłaniał całą jej uwagę. Zastanawiała się, co czuł, kim był, jak mu pomóc.

28

To absurdalne. Przyjechała tu, by pomóc Samowi. Zresztą czy jest coś, co mogłaby dać bogatemu arystokracie? Nie.

Jednak nie mogła odpędzić od siebie myśli, że Samowi można pomóc tylko w jeden sposób - pomagając jego bratu.

Uniosła głowę, spoglądając na najwyższe, lekko poruszone wietrzykiem gałęzie lipy. Chmury płynęły po błękitnym niebie i nie musiała wyglądać przez mur, by wiedzieć, że na pustym wrzosowisku zobaczyłaby ich szybko przesuujące się cienie.

Jakim cudownym miejscem był ten ogród. Zastanawiała się, kto go stworzył. Newell nie wyglądał na człowieka interesującego się ogrodnictwem. Zresztą jego lordowska mość dał jasno do zrozumienia, że nie spędza w zamku wiele czasu. To znaczy, że ktoś inny w Cairncross stworzył coś tak pięknego na nieurodzajnych glebach wrzosowiska.

- A więc trafiła tu pani.

Drgnęła na dźwięk tego głosu. Odwróciła głowę i ujrzała Newella stojącego kilka kroków od ławki, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Miał na sobie elegancki, przedpołudniowy strój: ciemny surdut, szare spodnie w kratkę, a pod brodą starannie zawiązany ciemnoczerwony krawat.

- Milordzie. - Spojrzała na niego i zmieszała się, kiedy ich wzrok się spotkał. Chciała wstać, ale dał

jej znak ręką, żeby siedziała.

- Widzę, że znalazła pani ogród. Szybciej, niż się tego spodziewałem. - Oparł się o mur, nie dbając o swój kosztowny strój. Przyglądała mu się, znów zdumiona jego potężną postacią. W jasnym świetle poranka wydawał się jeszcze wyższy. Przy nim Brian wyglądałby jak liliput.

- Zawsze lubiłam ogrody. Mieliśmy mały ogródek na tyłach naszego domu w mieście - powiedziała szybko, zaskoczona własną gadatliwością. - Oczywiście daleko mu było do tego. Jednak sprawiał mi wielką przyjemność. -

Wiedziała, że zza okularów świdruje ją oczami. Poczwała gwałtowną potrzebę bezpieczeństwa. Jakiś pierwotny instynkt mówił jej, że powinna się od niego odsunąć.

Gdyby Newell był starszy, nie zwracałaby uwagi na jego przenikliwy wzrok, ale był młody, niewątpliwie bardzo silny i nie wiedzieć czemu, wpatrywał się w nią uparcie.

- Razem z Samem bawiliśmy się w tym ogrodzie. Byliśmy wtedy dziećmi. Małymi chłopcami, mieliśmy obaj najwyżej po kilka lat. Bawiliśmy się tutaj w chowanego, śmieliśmy i biegaliśmy. Te róże zasadziła nasza babka.

Aleksandra zdobyła się, by spojrzeć mu prosto w oczy. Wymagało to wielkiej odwagi.

- A więc panem i Samem opiekowała się babka? Wyobrażałam sobie, że pan i pański brat mieszkaliście w zamku właściwie sami.

Przyjrzał się jej badawczo. Napiął mięśnie twarzy, jakby walczył z pragnieniem, by spytać ją, skąd ma takie informacje, ale najwyraźniej wiedział bez pytania. Służba roznosiła wiadomości, tak się działo od wieków w wielkich angielskich domach.

- Nie mieszkaliśmy tu sami - powiedział. - Mieszkała z nami babka, zresztą mieszka tu do dziś. To ona założyła ten ogród. Pokoje lady Bess znajdują się w północnej wieży. - Wskazał wieżyczkę wznoszącą się najbliżej morza. -

Mieszka tam ze swoją służbą i zazwyczaj jest w złym humorze. Cierpi na reumatyzm i zimne przeciągi oznaczają dla niej prawdziwe katusze. Jednak nadal żyje na tym świecie, chociaż ma już przeszło dziewięćdziesiąt lat.

- A więc była tu przez te wszystkie lata? - Aleksandra nie potrafiła ukryć niedowierzania. Nie mogła zrozumieć, jak ktoś mógł mieszkać z chłopcami i nie widzieć cierpień zadawanych im przez Urszulę Pole.

- Lady Bess jest... jak by to powiedzieć... jest osobą bezwonną. - Spojrzał na nią, jakby chciał się przekonać, czy go dobrze rozumiała.

Zrozumiała. Jego babka była obojętna na to, co się działo w zamku, i dlatego nigdy nie wstawiła się za wnukami.

- Zresztą całkiem dobrze znosimy jej obecność. Kocha kwiaty, - Urwał, a potem ni stąd, ni zowąd powiedział: - To dobre miejsce.

Aleksandra czuła, że Newell wywiera na nią hipnotyzujący wpływ. Jego słowa, ciepły tembr jego głosu sprawiały, że nie mogła jasno myśleć, jej umysł spowijały chmury jak te, które płynęły po niebie. Miała wiele pytań - dotyczących Sama, dotyczących niego - na które pilnie chciała usłyszeć odpowiedź. Ale teraz, w jego obecności, jedyne, o czym myślała, to zapach kwiatów, który nagle wydał jej się niezwykle intensywny. I odczuwała niemal fizyczny przymus, by przyglądać się lordowi Newellowi.

Badawczo obserwowała jego twarz, jego zachowanie. Zdawała sobie sprawę, że nigdy wcześniej na nikogo tak nie patrzyła. Zuchwale i przenikliwie. Jakby czegoś rozpaczliwie szukała. Ale było w tym coś więcej niż zwykłe przyglądanie się mężczyźnie przez kobietę. Było to nagłe, bezradne poszukiwanie, do którego coś ją zmuszało.

Szukanie dobroci, którą irracjonalnie pragnęła w nim odnaleźć.

Ale jeszcze nie znalazła.

- Tak, to dobre miejsce. - Jej szept był niewyraźny, słowa zwykłe i banalne jak woda do mycia, jednak prawda w nich zawarta pozostawiła na jej języku gorzko-słodki smak. Ogród był dobrym miejscem, a dobroć można poznać i ocenić jedynie w zetknięciu z otaczającym ją złem. Nagle Aleksandrę uderzyło, że w ogrodzie panuje zupełnie inna atmosfera 29

niż w zamku. Zamek był ciemnością; ogród światłem. W pewnej chwili dotarło do niej, że ogród wokół zamku Cairncross wcale nie jest ogrodem. Wprawdzie rosły w nim róże i lipy, stały kute, stare ławki z ze szłego stulecia, ale przede wszystkim ogród uosabiał również wszystko, i co prawi na tym świecie. Wszystko, co dobre.

- Myślę, że to musiało być wspaniałe miejsce zabaw dla dwóch chłopców - powiedziała cicho.

Spojrzał na nią twardo.

- Bo ona nigdy tu nie przychodziła. Ten ogród należał tylko do nas, do mnie i do Sama.

Aleksandra była ciekawa, czy zauważył, że zbladła. Domyśliła się, kogo miał na myśli.

- Mówi wasza lordowska mość o lady Bess, swej babce? - Zadała to pytanie, nie chcąc do siebie dopuścić oczywistości.

Nie widziała wyrazu jego oczu ukrytych za okularami. Wcale go nie poruszyło to, że wiedziała. Zadrzała.

Urszula Pole, myślała. Chodzi mu o Urszulę Pole. Wymów jej imię na głos. Nie może ci już zrobić krzywdy, Johnie Damienie. Zniknęła. Zapomniałeś? Zniknęła.

Nie odpowiedział na jej pytanie; zrezygnowała z udawania. Oboje wiedzieli, o kim mówił.

Zrozumieli się bez słów.

- Służący mówią, że była bardzo niedobra - szepnęła, przytłoczona ciężarem własnych wyobrażeń. Lekki wiaterek porwał jej słowa.

Newell wyciągnął rękę i ujął ją pod brodę tak, że musiała mu spojrzeć prosto w twarz. Widziała wyraźnie jego oczy za szklami okularów.'

- Nie była niedobra... była uosobieniem zła - odparł, a jego twarz wykrzywił grymas.

Odsunęła się, ogarnięta nagłą chęcią ucieczki. Te straszne słowa zmroziły jej serce.

- Ale już jej tu nie ma - usłyszała swoje słowa, jakby przez sen.

- Czyżby? - Uniósł szyderczo brew.

- Wspomnienia mogą trwać, ale ona sama odeszła. Samuel musi się nauczyć, by nigdy więcej się jej nie bać. - Pan też musi się nauczyć, by już się jej nie bać, pomyślała, ale nie mogła tego powiedzieć na głos.

- Jednak dzięki strachowi uczymy się dobrych manier, panno Benjamin. Strach sprawia, że jesteśmy tacy, jacy jesteśmy - rzekł z sarkazmem w głosie, a jego twarz pociemniała. - W przeciwnym razie byłibyśmy dzikusami, nieprawdaż?

- Nigdy mnie nie uczono za pomocą zastraszania - stwierdziła z mocą.

- Nigdy?

- Nigdy.

- A on? Jak miał na imię? Jak go pani nazwała? Powiedziała pani, że... ach, tak, że byliście po słowie. Jaką nauzkę on pani dał, panno Benjamin?

Czuła, że krew odpływa jej z twarzy.

- Nie miał na mnie najmniejszego wpływu. Rozstaliśmy się, to wszystko.

Okrutny uśmiech wypłynął na jego usta.

- Straciła pani pięć najpiękniejszych lat życia, czekając na mężczyznę, i niczego to pani nie nauczyło? Uważam, że bardzo dużo się pani nauczyła, panno Benjamin. Myślę, że gdyby była pani teraz mężatką, nie przyjechałaby pani tutaj w zastępstwie ojca. Moim zdaniem ten młodzieniec był świetnym nauczycielem. Wspaniale panią nauczył, jak się bać samotności.

Wpatrywała się w niego, jej serce, przemienione w glaz, zmiękło, do oczu napłynęły jej łzy. Jego spojrzenie świadczyło, że dokładnie zdaje sobie sprawę z tego, co robi. W ciągu zaledwie kilku minut znalazł jej słaby punkt i właśnie w to miejsce zranił ją jak mieczem. Nagle dotarło do niej

wyraźnie, że wszystkie przestrogi, jakie słyszała o tym człowieku, okazały się prawdą. Rzeczywiście był okrutny. Ale nigdy nie da mu tej satysfakcji i nie okaże mu, że ją dręczy. Wszystkie łzy już wylała przez Briana. Już nic nigdy nie skłoni jej do płaczu.

- Czy to ona nauczyła pana takich manier? - spytała cierpko, starając się pohamować łzy. Odepchnęła jego rękę, którą ujmował jej brodę.

- Nigdy niczego mnie nie nauczyła, panno Benjamin. - Chwycił ją za ramię mocno, jak okrutni Normanowie, i przyciągnął do siebie. Był tak blisko, że ledwo mogła oddychać, sparaliżowana strachem, - A wie pani dlaczego?

Odpowiedź była aż nadto oczywista, ale patrząc na niego, uwierzyła, że tak właśnie jest. John Damien Newell mógł

spoglądać prosto w czeluście piekła, pozwoliliby, żeby ogień piekielny go ogarnął.

- Ponieważ nie wie pan, co to strach.

Najprawdopodobniej właśnie ta cecha charakteru w większym stopniu niż jego okrucieństwo sprawiała, że ludzie się go bali. Ludzie zawsze bardziej kierują się instynktem niż rozsądkiem, ponieważ instynkt zazwyczaj nie kłamie.

- Nie będziemy więcej mówili o panie Pole. - Przyglądał się Jej. Spokój w jego głosie wzmacniał wrażenie gwałtowności tego dotyku. - To Sam potrzebuje pani pomocy. - Spojrzał na swą dłoń ściskającą ramię Aleksandry.

Wolno, jakby walcząc ze sobą, zwolnił uścisk.

30

Osunęła się na ławkę. Drżącą dłoń uniosła do skroni, by odgarnąć loki, które wysunęły się spod spinek. Wyjędź stąd, wyjędź stąd, powtarzała sobie, na próżno starając się opanować.

Spojrzała na niego i pokręciła głową, ręce nadal jej się trzęsły.

- Zaczynam rozumieć przestrogi, jakie słyszałam o panu, milordzie - powiedziała gniewnie. - Musi pan wiedzieć, że nie mogę walczyć o pańskiego brata i jednocześnie walczyć z panem.

Newell zdjął okulary. Znów oparł się o rozsypujący się, porośnięty bluszczem mur i zwrócił twarz ku słońcu. Jego zapadnięte policzki były blade, miał sińce pod oczami, wyraźny objaw zmęczenia. Niektórzy wzięliby takie zmarszczki w kącikach oczu za kurze łapki, które powstały od śmiechu, ale ona wiedziała, że powstały z innej przyczyny. Ten zamyślony mężczyzna, pogrążony w melancholii, nieokazujący żadnych emocji, prawie nigdy się nie uśmiechał. Śmiech był dla niego tak obcy jak bluźniercze arabskie inskrypcje na starym mieczu Cairncross przechowywanym w westybulu.

Ze zdumieniem stwierdziła, że coś ją w nim pociąga. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego twarz z zamkniętymi oczami, na pięknie wykrojone usta, z których zniknął grymas gniewu, by dotarło do niej,

że oczarował ją tak, jak jeszcze nikt. Tak podobny do Briana, był jeszcze jednym wychowankiem angielskiej szkoły, który ją zniszczy swoim beznamiętnym okrucieństwem. Jednak zachowywała się niczym ćma lecąca do ognia. A przecież powinna dobrze wiedzieć, jak niebezpieczne mogą być płomienie.

- Ostatniej nocy zastanawiałem się, co z panią zrobić - powiedział, nie otwierając oczu. - Pomyślałem, że zbyt pochopnie zgodziłem się na zatrudnienie pani. Ale ostatecznie doszedłem do wniosku, że musi pani tu zostać. Jeśli Sam pani zaufa, przezwycięży swój strach i zacznie mówić. Przez kobietę przestał mówić. Dzięki kobiecie odzyska mowę.

- Nie mogę obiecywać cudów. - Zaskoczyło ją, że przybrała postawę obronną, ale była to reakcja na to niespodziewane zauroczenie jego osobą. Wciąż jeszcze wrzał w niej i szukał ujścia wściekły gniew na Briana. Nie chciała drugi raz przeżywać katuszy, których był powodem. Prawdę mówiąc, uwierzyła, że już nigdy nie będzie zdolna do miłości, a teraz dopadły ją uczucia równie silne i gwałtowne, jak charakter tego człowieka.

- Nie należę do osób wierzących w cuda, panno Benjamin.

Jego postawa wskazywała, że porzucił wszelkie nadzieje. Aleksandra nie mogła wydobyć słowa przez ściśnięte gardło. Poruszył ją do głębi. Nie chciała kierować się emocjami, ale jego całkowita rezygnacja jakoś ją ku niemu pociągała. Wcześniej pomagała jej wiara, że serce złamane można mieć tylko raz; nie będzie drugiego Briana. Ale teraz, w jednej chwili teoria ta okazała się błędna. W porównaniu z tym udręczonym mężczyzną Brian stał się słabym i bladym wspomnieniem, a jej cierpienie - roztkliwianiem się nad sobą.

- Ostatniej nocy byłam naiwna. - Spojrzała na Newella, niemal nienawidząc go za uczucia, jakie w niej budził. - Nie zdawałam sobie sprawy ze skali trudności. Teraz wiem więcej i...

- Zostanie pani.

Te słowa nie były zaproszeniem, były stwierdzeniem faktu. Zacisnął zęby z niezłomną determinacją, która skłoniła go do podjęcia takiej, a nie innej decyzji.

Spojrzał na Aleksandrę, teraz jego wywołujących niepokój oczu nie przesłaniały szkła okularów. Miał oczy nieco ciemniejsze od koloru nieba. Były błękitne i puste.

- Rozsądek i instynkt mówi mi, żebym wyjechała. Nawet pan przestrzegał mnie przed pozostaniem w Cairncross.

Może to była dobra rada - powiedziała.

- To była bardzo dobra rada - zauważył jedynie, jakby postanowiła zostać wyłącznie na przekór jego słowom.

Odwróciła wzrok, oburzona, że wciąż nią manipuluje.

- Może nie będę w stanie pomóc Samowi. Może nikt nie potrafi mu pomóc - powiedziała i dodała

cicho: - A jednak jest w nim coś takiego, że pragnę mu pomóc... - Właściwie wbrew własnej woli spojrzała Newellowi prosto w oczy. Po tym wyznaniu poczuła się bezbronna i obnażona. Jakby samo obranie ścieżki ku dobru nie stanowiło wystarczającego zabezpieczenia przed egoizmem i złem.

- Podejrzewałbym panią o brak serca, gdyby było inaczej - oświadczył.

Spodziewała się ujrzeć złośliwy uśmieszek na jego ustach. Wpadła w pułapkę. Gdyby jego ktoś oskarżył o brak serca, tylko wybuchnąłby śmiechem. Ale taki zarzut postawiony jej miał służyć jedynie temu, by skłonić Aleksandrę do przyznania, że ma bardziej altruistyczną naturę. W przeciwieństwie do niego.

- Owszem, mogę spróbować skłonić go do mówienia, ale czy zastanawiał się pan nad tym, że swoimi metodami pracy mogę sprawić, że Sam jeszcze bardziej zamknie się w sobie? To, co nie pozwala mu mówić, tkwi w jego psychice. Nie znam się na psychologii.

Newell milczał. Pochylił się nad krzakiem i zerwał przekwitniętą różę.

- Co to sobą przedstawia, panno Benjamin?

Nie umiała odpowiedzieć.

31

Spojrzał na nią, a potem znów na suche, brązowe płatki. Bez słowa wcisnął jej kwiat do ręki. Pokruszył się jak zetlały papier.

- To śmierć, panno Benjamin. Śmierć - szepnął, jakby byli sami na poddaszu, jakby nad ich głowami nie wiał wiatr znad wrzosowisk. - Można zniszczyć różę, zgniatając ją w dłoni. Zerwanego kwiatu nie da się znów umieścić na łodydze. Mimo wszelkich starań i tak zginie. Ale róża to także życie - rzekł, wpatrując się w nią, jakby pragnął dotrzeć aż do najskrytszych zakamarków jej duszy. - Róża w rozkwicie to symbol pełni życia. A instynkt życia jest silny. Cykl trwa. Wiosną i latem ten krzak obsypie nowe kwiecie, a zwiędłe pąki opadną. Na tym polega doskonałość życia. Życie jest dobre, życie jest piękne, ale przede wszystkim życie jest niezniszczalne. Nie posiada statycznej natury zła.

Obserwowała go w milczeniu, nie odwracając wzroku.

Nagle, jakby powiedział więcej, niż chciał, odszedł od muru i skierował się do wyjścia. Zrobiło się jej przykro, że skończywszy swoją przemowę, zostawia ją bez słowa pożegnania.

- Milordzie...

Zatrzymał się.

Poczuła nowy przyływ sił.

Odwrócił się do niej zniecierpliwiony.

- Milordzie, domagam się, żeby mnie pan traktował przynajmniej tak, jak traktowałby mojego ojca. Oczekuję, że będzie pan się ze mną witał, a przy rozstaniu - żegnał.

- Spotkamy się o trzeciej w pokoju do nauki. Tam zaczniemy zajęcia z Samem. - Spojrzał na nią, ignorując jej prośbę. - Uważam, że w pani nasza ostatnia nadzieja.

Wpatrywała się w niego, tym razem jej uwagę przykuła rozpacz w jego oczach. Cierpienie, jakie w nich widziała, zniewoliło ją, jak nic do tej pory. Wiedziała, że bardzo trudno będzie jej zachować dystans wobec tego mężczyzny. Ale musi. Już wiedziała, że nie okrucieństwo lorda sprawi jej cierpienie. O nie. Tylko zwodnicze mamienie lepszą stroną jego natury. Już raz dała się temu zwieść i ostatecznie została z pustymi rękoma. Chociaż znajomość z Brianem sprawiła jej ból, przynajmniej zyskała nauczkę. Była teraz silniejsza. Już nigdy nie zrobi podobnego głupstwa.

- Spotkam się z panem w pokoju do nauki o trzeciej - powiedziała i minęła go, nie oglądając się za siebie.

8

Newell przez okno swojej sypialni wyglądał na otoczony murem ogród. Szyby aż dzwoniły od podmuchów wiatru, ale rośliny w kwaterach stały prawie nieruchomo, osłonięte przed żywiołem szalejącym wśród otaczających wrzosowisk.

Przypominała ten ogród. Miała w sobie spokój, piękno, obietnicę szczęśliwego życia tu, gdzie nie było miejsca na radość i spokój. Na samą myśl o tym ze strachu zasychało mu w gardle. Nie chciał dać się jej oczarować. Rozpaczliwie starał się widzieć w niej jedynie pospolitość. Nie odznaczała się wybitną urodą, ale cechowały ją wrodzona łagodność, kobiecość i siła; stwierdził, że coś go do niej ciągnie, jak psa do zatrutego mięsa wyłożonego na przynętę.

Zamknął oczy, by odegnąć jej obraz, ale natychmiast znów ujrzał ją taką, jaką zastał w ogrodzie. Była całkiem niepozorna, prawdziwa myszka; zwykła młoda Żydówka. Nie mógł jednak przestać o niej myśleć. Jej oczy nie dawały mu spokoju. Były takie przenikliwe. Zbyt przenikliwe. I zdawały się tyle obiecywać. Spojrzenie jej oczu stanowiło ucieczkę przed ciemnościami. Gdy patrzyła na niego, znikало przygnębienie, które przyłgnęło do niego i do Cairncross mrocznym cieniem. Nawet teraz odczuwał jej obecność w zamku i ciemności, które go spowijały, jakby znikwały na chwilę. To wszystko było w jej oczach. Szukały tego, co - jak się obawiał - już dawno nie istniało.

Otworzył oczy. Czuł suchość w ustach. Nie chciał mieć z nianie do czynienia. Pożądać dziwki z Wapping to jedno, pragnąć zaś spotkać kobietę dobrą, łagodną i mądrą, to zupełnie co innego. Musiałby być jej wart. Musiałby dokonać samooceny, a nie robi tego. Nie pozwoli też, by jakakolwiek kobieta stała mu się bliska na tyle, by zaczął jej potrzebować. Sama myśl go przerażała. Nigdy nie będzie potrzebował żadnej kobiety. Nigdy więcej nie da się żadnej zaskoczyć.

Dziwne, że pozwolił jej zostać. Nawet teraz zastanawiał się, dlaczego nie odesłał jej z powrotem do Londynu. Nigdy nie miał zamiaru pozwolić na przyjazd do Cairncross żadnej młodej kobiecie.

Ale jej obecność wszystko zmieniała.

On sam się zmienił.

Przeszedł przez pokój, machinalnie przesunął dłońmi po grubej, rzeźbionej kolumnie swego łóżka z baldachimem, pragnąc czuć zamiast niej kobiecą szyję. Nie podobało mu się uczucie, które w nim budziła. Było zbyt obce, nie miał

nad nim kontroli. Drażniło go to.

Nie chciał o tym myśleć, ale nie mógł udawać, że nie zdaje sobie sprawy, iż w jakiś irracjonalny sposób ona go pociąga. Gdyby była piękną jak Abbey, która myślała jedynie o zaspokajaniu zmysłów, mógłby to zrozumieć.

Gdyby Aleksandra Benjamin była równa mu urodzeniem, uwiedzenie jej mógłby potraktować jak wyzwanie. Ale była nikim w hierarchii społecznej, stała zaledwie o jeden szczebel wyżej od zwykłego wyrobnika.

32

Wrócił myślami do chwili, kiedy opuszczał ogród. Był zaskoczony jej żądaniem, by się pożegnał, jak tego wymagają dobre maniery. Aleksandra Benjamin była tylko kobietą, ale miała silny charakter i swoje zasady.

Jeśli pozwoli jej tu zostać, będzie wywierała na niego wpływ. Może sprawić, że zapragnie zboczyć z obranej ścieżki.

Dawno temu wybrał ciemność zamiast światła, okrucieństwo zamiast współczucia. Nie zmieni się teraz. Popchnęła go do tego kobieta. Ale żadna kobieta nie sprawi, by z tej drogi zawrócił.

Ta myśl sprawiła, że się zreflektował. Zastanawiało go, czemu w ogóle zaprzęta sobie głowę Aleksandrą Benjamin.

Powinien o niej zapomnieć, ale stanowiła wyzwanie, któremu chciał stawić czoło. Niewątpliwie pragnął z nią igrać, ale mogło się to okazać niebezpieczne. Nie może na to pozwolić. Nie zmieni się pod wpływem jej dobroci. Przez lata wypracowywał własną filozofię życiową. Lata katuszy i cierpień. Lata udręku i pierwotnego pragnienia bezpieczeństwa.

Nie zmieni się.

Rozległo się pukanie do drzwi. Gdy je otworzył, na progu stała pani Penrith, twarz miała ściągniętą.

- Milordzie - zaczęła - Nancy, jedna z pomywaczek, zachorowała i nie może sprzątnąć pokoju do nauki. Obawiam się, że nie uda mi się go przygotować na czas.

Spojrzał na drobną, czarno ubraną gospodynię i nagle ogarnęły go najgorsze przeczucia.

- W takim razie musi ją pani wydalić, pani Penrith.

- Ależ milordzie, jest przy nadziei, całą noc szorowała kamienne schody w wielkim westybulu, tak jak sobie pan życzył. Schody teraz aż lśnią; bardzo się napracowała, skóra na rękach popękała jej od ługu. Musi wasza lordowska mość zrozumieć...

- Nie jest chora, tylko nie chce iść do pokoju do nauki.

- Służba zawsze mówiła, że tam straszy.

Wykrzywił usta w kpiącym uśmiechu.

- Służący są głupszy od Sama. Powiedz tej dziewczynie, że zostanie odprawiona.

- Milordzie, ona musi pracować. Proszę pomyśleć o dziecku.

- Zostanie odprawiona, a jeśli pokój do nauki nie będzie sprzątnięty do trzeciej, pani też może spakować swój kuferek.

Pani Penrith aż odjęło mowę.

- Nie mam krewnych, nie mam dokąd pójść, milordzie. Od dwudziestu pięciu lat wiernie służę rodzinie.

- Wydawało się pani, że nic pani nie grozi, ale to pomyłka. Żegnam, pani Penrith.

Zamknął drzwi. Nie wątpił, że pokój do nauki będzie nieskazitelnie czysty.

Poczuł nieklamana, złośliwą satysfakcję. Uśmiechnął się, kiedy znów pomyślał o nowej guwernantce i wyrazie jej oczu, który wywoływał w nim wściekłość. Próbowala doszukiwać się w nim dobroci, a już dawno temu pozbył się tej słabości. Nie mógł się zmienić, nawet jeśli pragnął z niej szydzić, szokować ją. Wystawiać na próbę jej prawość, którą osłaniała się przed nim niczym tarczą.

Jeśli ma zostać, a on nadal będzie pod jej urokiem, wtedy najłatwiej będzie ją odmienić. W myślach znów ujrzął

Aleksandrę w ogrodzie, tak pełnym życia i wyzwania. Niemal tęsknił za starciem z nią.

Dobro przeciwko złu. Odwieczna batalia, którą zamierzał wygrać.

*

W ciągu dwudziestu czterech godzin spędzonych w Cairncross Aleksandra odbyła dwie rozmowy z lordem Newellem i za każdym razem odczuwała strach. Pojawiał się nagle i przesłaniał cieniem wszystko dokoła.

Myślała o tym, krążąc po swojej sypialni. Zegar wybił drugą. Mary zniknęła, a razem z nią jej kufry. Albo została porwana za pomocą czarów albo też, jak przypuszczała Aleksandra, pokojówce przydzielono sypialnię w części zamku zamieszkaną przez służbę, skoro jej pani miała tu jakiś czas

zostać.

Z niepokojem oczekując spotkania o trzeciej, chyba po raz setny podeszła do lustra na komodzie, by sprawdzić fryzurę.

- Kobieta, która potrafi zapanować nad swoimi włosami, potrafi zapanować nad wszystkim - pocieszała się dowcipną sentencją, przyglądając włosy na skroniach. Kiedy odkładała szczotkę na koronkową serwetę, nagle zauważyła wystającą spod niej kartkę.

Zdjęła z toaletki mosiężny świecznik i odwinęła serwetkę. Na podłogę spadła kartka pożółkłego papieru. Podniosła ją i zauważyła, że z jednej strony była nierówna, jakby wyrwano ją z zeszytu.

Wolno zaczęła czytać niewyraźne, drobne, wyblakłe pismo.

15 grudnia 1837

Nie chciał dziś na mnie spojrzeć. Siedział skulony na swoim krześle w kącie pokoju i nawet nie podniósł głowy, by napotkać mój wzrok. Ale nie przejmuję się tym. Ostatniej nocy weszłam do jego sypialni i zastałam go pogrążonego we śnie; młody lord, taki urodziwy i delikatny. Dotknęłam jego twarzy. Chciałam go pocałować, ale się zbudził. Usiadł na łóżku, jakby zobaczył zjawę, a ja wybuchnęłam śmiechem. To było takie zabawne. Myślał, że chcę mu zrobić krzywdę, 33

a przecież pragnęłam jedynie pieśczoły. Wiem, że świetnie zdaje sobie z tego sprawę. Widziałam, jak patrzy na pomywaczki, oczy mu błyszczą, jakby był dorosłym mężczyzną. Jeśli patrzy tak na nie, to dlaczego nie na mnie? Śmia-

łam się i śmiałam, a on przeklinał mnie, kiedy stałam nad jego łóżkiem. Wzięłam świecę i wyszłam, ale wie, że wrócę.

Nie chciał dziś na mnie patrzeć. Ale nie przejmuję się tym.

Aleksandra odłożyła kartkę na bok, poczuła, że ogarniają ją mdłości. Miała pewność, że to strona z dziennika Urszuli Pole. A chłopcem, którego opisywała, był Newell.

Kolejnym pytaniem było, skąd ta kartka wzięła się pod koronkową serwetę na komodzie w jej pokoju. Nie mogła tu leżeć przez dwadzieścia lat. Ktoś, kto miał dziennik, położył ją tu, jakby spodziewając się, że ktoś ją znajdzie.

Aleksandra.

Ale kto mógł to zrobić? Pani Penrith? Featherstone? Ta myśl wywołała nową falę mdłości. A może sam lord Newell?

Położyła kartkę na komodzie. Nie chciała czytać dziennika Urszuli Pole. Wystarczyła jej lektura tej jednej strony, by poczuć się, jakby spojrziała na życie oczami potwora.

Rzuciła wzrokiem na kartkę, potem starannie ją złożyła i wsunęła za stanik. Ktoś podrzucił ją do jej

pokoju. Dużo by wyjaśniło odkrycie, kto to zrobił, i postanowiła się tego dowiedzieć.

Z korytarza dobiegł jakiś hałas, który odwrócił jej uwagę od dziennika guwernantki. Umilkł pod jej drzwiami i przez chwilę odczuwała irracjonalny strach, jakby straciła rozum i rzeczywiście zaczęła wierzyć w duchy.

- Jest tam panienka? Może mi panienka otworzyć?

Aleksandra odetchnęła z ulgą i podbiegła do drzwi. Na progu stała Mary, w jednym ręku trzymała srebrną tacę z rodzynkowymi babeczkami i lukrowanymi ptifurkami; w drugim miała tacę ze świeżo wyczyszczonymi lampami naftowymi, ich szklane klosze okropnie dzwoniły przy każdym poruszeniu.

Aleksandra wzięła tacę z lampami i postawiła ją na komodzie.

- Brakuje im dziś na dole rąk do pracy. Zaproponowałam, że przyniosę to wszystko na górę, ale o mało nie upuściłam po drodze. - Mary weszła do pokoju, niosąc za sobą zapach wody lawendowej i szeleszcząc czarną taftową spódnicą.

Zaczęła nakrywać do herbaty przy kominku i Aleksandra doznała ulgi, znów widząc Mary. Zachowywała się tak zwyczajnie.

Aleksandra usiadła na jednym z ciemnoczerwonych skórzanych foteli i dała znak Mary, by spoczęła na drugim.

Pokojówka, która często odgrywała rolę krewnej i powiernicy, zajęła wskazane miejsce i zaczęła smarować masłem słodką bułeczkę, a Aleksandra nalała herbaty.

- Mizernie wyglądasz, kochaneczko. Nie potrafię sobie wyobrazić, co ci powiedział ten potwór. Powinnaś usłyszeć, co o nim mówią na dole. - Mary starannie smarowała bułeczkę, chcąc swoją pozorną obojętnością skłonić Aleksandrę do mówienia.

- Przyznaję, że jest dziwnym człowiekiem. Bardzo dziwnym. - Aleksandra podała jej filiżankę parującej herbaty.

Przez moment chciała uszczypnąć się w policzki, żeby przywrócić im żywszy kolor. Kartka z dziennika zupełnie ją wytrąciła z równowagi. Wciąż jeszcze czuła mdłości, ale nie zamierzała mówić o tym Mary. Nie chciała wywoływać u niej kolejnego ataku hysterii, bez tego miała dość zmartwień.

- Z tego, co dzisiaj słyszałam, jest tak okrutny, jak mówili. - Mary przestała jeść i spojrzała na nią.

Aleksandra unikała jej wzroku. Skupiła uwagę na cukiernicy, żeby Mary nie dostrzegła jej niepokoju.

- Do tej pory w mojej obecności zachowywał się tak, jak się tego można spodziewać po angielskim lordzie, ani lepiej, ani gorzej.

Kiedy w jej filiżance znalazło się pięć kostek cukru, Aleksandra w końcu zorientowała się, co robi. Krzywiąc się, wypila łyk herbaty; nie znosiła zbyt słodkich potraw, a szczególnie herbaty.

- Wyobrażam sobie, że większość służących nie lubi swych panów. Lord Newell prawdopodobnie nieraz bywa gruboskórny. Jest wyniosły i trochę oschły, ale niewątpliwie ma wiele na głowie, nic więc dziwnego, że uchodzi za okrutnika. Prawdopodobnie nie potrafią znaleźć odpowiedniego słowa, by go opisać, więc uczepili się tego określenia

„okrutny”, chociaż wcale nie mają na myśli „okrutny”, tylko... - urwała i utkwiała wzrok w filiżance z herbatą.

- Co?

Zły, pomyślała Aleksandra, przypomniawszy sobie kartkę z dziennika i przestrożę pani Penrith. Służący uważają, że John Damien Newell jest zły. Poczwała ucisk w gardle. Z pewnością John Damien przeżył dość, by zejść na manowce.

Prawdopodobnie mieszkańcy zamku to zauważyli.

- Co takiego mają na myśli, panienko? - powtórzyła Mary. Jej głos zdradzał niepokój.

- Coś sobie pomyślałam, ale to absurdalne. Zawiódł mnie instynkt. Coś w nim jest. Jak powiedziałam, jest dziwnym człowiekiem. Władczym, milczącym, gwałtownym, wyniosłym. - Wypiła jeszcze jeden łyk mdląco słodkiej herbaty, by ukryć lęk. - Cóż, nic dziwnego, że ktoś taki wywołuje złe wrażenie.

Nawet nie zauważyła, w jaki sposób Mary wpatruje się w nią. Była zbyt pochłonięta własnymi myślami i mieszaniem 34

herbaty, której wcale nie zamierzała wypić.

Dlaczego przyszedł jej do głowy wyraz „zły”? Sama nie wierzyła, że Newell jest złym człowiekiem. Zło oznaczało całkowity brak dobroci, a wiedziała, że jest w nim dobroć. Troszczył się o swego brata. Mogła to wyczytać z jego twarzy, kiedy mówił o Samie; prawie to powiedział w ogrodzie. Zły człowiek tak by nie postępował. Znalazł azyl w ogrodzie tak jak ona. Zły człowiek zdolny był do podziwiania niewinności i piękna otoczonego murem ogrodu, ale nigdy nie znalazłby pocieszenia w dobroci, nierozzerwalnie z nim związanej. A Newell je znalazł.

Więc dlaczego pomyślała, że służba uważa Newella za złego człowieka? Czy dlatego, że zło zawsze towarzyszy smutkom i tragediom, których zamek w Cairncross widział tak wiele? Nie mogła aż tak nie doceniać służby.

Wprawdzie nie mieli wykształcenia, ale ani Jaymes, ani pani Penrith czy stary kamerdyner o surowej twarzy, pan Featherstone, nie byli głupi. Wyczuwali dwoistość Cairncross, polaryzację, którą ona dopiero zaczęła dostrzegać.

Najpierw ujrzała ją w ogrodzie. Siedząc teraz w swoim pokoju, nie potrafiła wyczuć aury zła, która zdawała się spowijać to miejsce. Uświadomiła to sobie dopiero w ogrodzie; dostrzegła dopiero wtedy, gdy tego zabrakło.

To dlatego Newell cieszył się taką złą opinią. On sam nie był zły, inni mieszkańcy zamku byli złymi ludźmi. Na przykład Urszula Pole. Aleksandra bardzo niewiele wiedziała o tej kobiecie, ale nietrudno było przypisać jej etykietę złej kobiety. Guwernantka musiała być szalona. Świadczyła o tym kartka z jej dziennika. W 1837 roku Newell miał

może trzynaście lat. Uczucia Urszuli do chłopca w takim wieku nie były normalne. Były czymś złym, grzesznym i niszczącym. W końcu Newellowi udało się od niej uciec. Jego wyjazd - czymkolwiek spowodowany -

prawdopodobnie okazał się zbawieniem. Ale musiał zostawić Sama. A Urszula, nim się stąd wyniosła, wyrzuciła Samowi jakąś krzywdę. Teraz Aleksandra przygotowywała się, by stawić czoło temu właśnie złu. Lord Newell nazwał

Urszulę Pole uosobieniem zła. Na te słowa aż przeszły ją ciarki.

Ale ta kobieta wyjechała. Wyjechała dawno temu, nigdy nie wróciła po swoje rzeczy. Nawet

nikczemna, zdemoralizowana guwernantka nie mogła być aż tak zła, jak historia Cairncross - wszystkie te stoczone bitwy, wszyscy ci mężowie, którzy polegli, broniąc jego granic. Zresztą Aleksandra przede wszystkim uważała się za osobę wykształconą. Nie dopuszczała do siebie myśli, że ta dwoistość natury zamku w Cairncross była wywołana osadem wspomnień. Ludzie i ich okrutne czyny należą do przeszłości. Przeszłość minęła, zastąpiła ją teraźniejszość.

Wolno przeniosła spojrzenie na stojący pod oknem zamknięty kufer. Przeszłość rzeczywiście odeszła, ale nawet jeśli wspomnienie Urszuli Pole było eteryczne i zbladło, nie można tego powiedzieć o jej dobytku. Kartka, którą wsunęła za gorset, nie była urojeniem. Kufer nie był wspomnieniem z przeszłości. Te przedmioty były rzeczywiste. Można to nazwać szalonym, irracjonalnym przecuciem, ale Aleksandra nienawidziła tego kufra, gardziła nim i przy pierwszej okazji zamierzała polecić służbie, by go stąd zabrano.

- Jesteś tysiące kilometrów stąd, kochaneczko. W samym Londynie.

Aleksandra skupiła wzrok na Mary. Zapomniała o jej obecności w pokoju, chociaż pokojówka siedziała naprzeciwko niej.

- Czy to przez niego, panienko? - spytała Mary.

- Skąd ci to przyszło do głowy? Nie jest złym człowiekiem. Wiem o tym. - Nie zamierzała się zwierzać, ale słowa same wymknęły się z jej ust.

- Nie pytałam, czy jest zły. Dlaczego sobie tak panienka pomyślała? - Twarz Mary stała się taka sama, jak ostatniej nocy: zmęczona, pokryta zmarszczkami, nagle postarzała.

- Jest w nim coś, czego nie powinno być. Lord Newell nie jest w zasadzie zły, uważam jedynie, że...
- Aleksandra szukała odpowiednich słów. - Podejrzewam, że zbyt przywykł do obecności drugiej strony naszej natury. Czy to ma sens?

- Nie wiem. - Mary odłożyła bułeczkę, wyraźnie straciwszy apetyt.

Aleksandra zamyśliła się.

- Już mnie pytał o Briana i wszystko mu powiedziałam. Wyznałam mu więcej niż komukolwiek. Nie wiem, dlaczego lord Newell pomyślał, że to mój czuły punkt, ale wiedział o tym i znajdował dziwną przyjemność w wypytywaniu mnie o Briana.

Aleksandra obserwowała mieszane uczucia malujące się na drogim obliczu Mary. Pokojówka niezbyt dobrze wiedziała, co zaszło między Brianem Denysem Tewesburym i Aleksandrą, ale domyślała się, że złamał Aleksandrę serce. Od tamtej pory otaczała Aleksandrę taką opieką jak lwica chroniąca młode. Zawarły niepisaną umowę, żeby nie mówić o Brianie. Teraz tę umowę pogwałcił ktoś z zewnątrz.

- Łobuz - wyrwało się Mary.

- Nadal twierdzą, że nie jest do końca zły. - Aleksandra zmarszczyła czoło, trudno jej było ubrać

myśli w słowa. -

Sprawiało mu przyjemność wypytywanie mnie o Briana i drażnienie tematu, który - jak doskonale wiedział - sprawia mi ból, ale nie ukrywał, że go to bawi. - Ściągnęła brwi. - Może sprawiać ludziom przykrość, Mary, ale wie, że ich rani, i dlatego mogę cię zapewnić, że nie jest taki jak Brian. Brian usprawiedliwiał swoje uprzedzenia, uważając, że postępuje 35

słusznie, bez względu na to, jak było to okrutne. Nie miał żadnych wyrzutów sumienia, że mnie rzucił, ale lord Newell poczuwałby się do winy. Może być równie okrutny jak on, a nawet bardziej, ale wie, że jest okrutny. Gryzło by go sumienie. Dlatego jest inny. Dlatego można go... - Uratować, pomyślała, zaskoczona swoim wnioskiem. Wydawało się, że pojawił się nie wiadomo skąd, ale wierzyła w to. Wierzyła w to całkowicie.

- Moim zdaniem jeśli lord Newell sprawia komuś ból i znajduje w tym przyjemność, to znaczy, że jest łajdakiem. -

Mary wstała i zaczęła ustawiać na tacy filiżanki z zimną już herbatą.

- Tak, przypuszczam, że pod pewnym względem jest łajdakiem. Nie jestem pewna, czy go lubię. Wiem jedynie, że jest inny niż Brian. Nie przekroczył jeszcze punktu, z którego nie ma powrotu. - Aleksandra podeszła do lustra i stała przed nim w milczeniu, przyglądając niesforne loki. Znów zawładnęło ją niezdrowe zainteresowanie lordem Newellem. Naprawdę nie lubiła lorda Newella. Teraz o tym wiedziała. A jednak coś ją w nim pociągało.

Konieczność musi zachować rozsądek. Będzie się trzymała na dystans. Uroczyście to sobie przyrzekła, kiedy zegar na kominku wybił trzecią. Z każdym uderzeniem jej nerwy stawały się coraz bardziej napięte.

Nie miała się czego bać, póki zachowa rozsądek. Musi zawsze pamiętać, by trzymać Newella fizycznie i psychicznie na stosowną odległość. Jeśli o tym zapomni, może to oznaczać jej zgon. Ale instynkt jej podpowiadał, że jeśli jej się to uda, wtedy nigdy nie będzie mogła stawić czoła temu, co wydarzyło się kiedyś w Cairncross.

9

Służąca wysprzątała pokój do nauki. Z podłogi znikła warstwa kurzu, na kominku płonął ogień, przez odsłonięte okna do pokoju wpadało światło słoneczne.

Aleksandra, która przyszła pierwsza, stwierdziła, że jest tu nawet dość przyjemnie. Jednak ten pokój miał w sobie coś, co wywoływało dreszcz. Panowała w nim przejmująca cisza. Wciąż jeszcze odczuwało się obecność tamtej kobiety. Nic dziwnego, że wszyscy unikali tego miejsca. Przebywanie w pustym pomieszczeniu lekcyjnym sprawiało, że każdy czuł się tak, jakby siedział w osłej ławce.

Postanowiła przestawić meble. Krzeselko i biurczko, odpowiednie dla chłopca, nie nadawało się zupełnie dla dorosłego mężczyzny. Aleksandrę zdumiało, że wciąż stały tu stare meble, były za małe nawet dla kilkunastoletniego chłopca. Ale najwidoczniej nikt się tym nie przejmował. Może nawet

był w tym jakiś ukryty cel. Może Urszula Pole, upokarzając ich w ten sposób, starała się nad nimi dominować, a przynajmniej nad Johnem Damienem.

Aleksandra wzdrygnęła się i podeszła do biurka nauczycielki. Krzesło stało na blacie, niewątpliwie pozostawione tak przez nieuważną służącą, która zamiatała podłogę. Zestawiła krzesło i wsunęła je pod śliczne mahoniowe biurko.

Takie sekretarzyki nazywano kiedyś *bonheur du jour*. W ubiegłym wieku były szalenie modne, ale teraz trafiały na strychy i do nieużywanych pokoiów do nauki, a bardziej podniszczone zostawiano guwernantkom. Banalne, nieodpowiednie biurko do banalnej, nieodpowiedniej edukacji.

Aleksandra przyniosła ze swojego pokoju stare, poczerniałe krzesło z epoki Windsorów. To śmieszne, aby mogła pracować z Samem w tym pokoju zastawionym dziecinnymi mebelkami. Mogą tutaj rozpocząć terapię, ale chyba najpierw powinna porozmawiać z lordem Newellem, by zgodził się na prowadzenie zajęć w innym pomieszczeniu. Jej pacjenci zazwyczaj najlepiej czuli się w salonie muzycznym, o ile taki był. Nawet osoby dotknięte głęboką głuchotą odbierają wibracje wywoływane strunami fortepianu lub dmuchaniem w róg. To był początek zmuszonego demonstrowania, że mowa to jedynie rozmaite wibracje i dźwięki.

- Punktualna. Jestem pełen podziwu.

Aleksandra odwróciła się i ujrzała Newella stojącego w drzwiach do pokoju, a raczej wypełniającego je sobą. Jak zwykle pojawił się niepostrzeżenie, jakby nie stąpał po ziemi jak zwykły śmiertelnik. Ale może było to spowodowane tym, że wiecznie była czymś zaabsorbowana w Cairncross. Prawdopodobnie nie zauważyłaby nawet słonia.

- Gdzie jest Sam? - spytała, przesuwając dwa małe biurka bliżej półki, na której stały powieści Waltera Scotta.

- Już idzie. Featherstone powinien wkrótce go przyprowadzić. - Newell wszedł do pokoju. Szybko zlustrował

wzrokiem pomieszczenie, zupełnie jakby się spodziewał, że Aleksandra nie jest sama.

Dziwnie niespokojna, sięgnęła po swoją czarną torbę i wyciągnęła pomoce naukowe. Trzymała w niej zestaw bębenków, ksylofon i dzwonki, a także kilka plansz pokazujących położenie języka przy wymawianiu różnych głosek.

Rozstawiając rysunki na półkach, zastanawiała się nad beznadziejnością sytuacji, w jakiej się znalazła. Do tej pory pracowała wyłącznie z dziećmi, nigdy z dorosłymi. Dzieciom można pomóc, ponieważ są gotowe podjąć wysiłek opanowania sztuki mówienia; nie wyrosły jeszcze z wieku, w którym człowiek uczy się mówić. Samuel Newell miał

trzydzieści lat. I już nauczył się mówić. Jak można kogoś nauczyć tego, co już umie?

- Przede wszystkim muszę wyznać, że jeszcze nigdy nie znalazłam się w podobnej sytuacji. - Wzięła swoją torbę, a potem nerwowo rzuciła ją na biurko Urszuli Pole. - Musi pan zrozumieć, że nigdy nie

uczyłam mówić kogoś, kto już to potrafi. Ci, którzy stracili słuch już umiając mówić, nie musieli korzystać z pomocy mojego ojca. - Spojrzała na Newella i cofnęła się o krok. Obecność lorda w małym pokoju przytłaczała ją.

Wykrzywił usta.

36

- Jeśli pani chce, może go pani uczyć geografii, byleby go pani uczyła.

- Ale chodzi o to, że...

- Chodzi o to, żeby się do pani przyzwyczaił. - Rozejrzał się po pokoju i dodał: - I do tego pomieszczenia.

- Uważa pan, że zacznie mówić, jeśli pokona swój strach?

- Tak.

- A jeśli nie? Jego niedorozwój umysłowy może stanowić dodatkową przeszkodę. Samuel może już nigdy nie mówić tak, jak kiedyś.

Newell podszedł do niej bliżej, oczy błyszczały mu za szklanymi okupów.

- Na zawsze pozostanie taki, jaki jest obecnie, jeśli mu nie pokaże - jeśli pani mu nie pokaże - że ona stąd wyjechała.

- Urszula Pole.

Nie było to pytanie, ale i tak odpowiedział.

- Tak - stwierdził ochryple.

- Przecież nie ma jej tutaj. Powiedziano mi, że zniknęła.

Newell spojrzał na nią. Widziała, że próbuje się opanować. Widać to było w napięciu twarzy i sztywnej postawie.

Miała wrażenie, że za chwilę przygwoździ ją do ściany i każe powtórzyć wszystko, co usłyszała o Cairncross, Urszuli Pole i o nim. Ale nie zrobił nic takiego. Odparł spokojnie:

- Tak, zniknęła. Samowi wciąż trzeba to powtarzać. Musi wiedzieć, że jej tu nie ma.

- Czy on myśli, że nigdy stąd nie wyjechała?

- Być może.

- Nie rozumie upływu czasu - szepnęła, a serce jej się ścisnęło z żalu nad biednym, niedorozwiniętym

Samem. Dla niego dwadzieścia lat znaczyło tyle co jeden dzień. Jego udręczony lękami umysł sprawił, że znalazł się w pułapce.

Chciała mu pomóc wydostać się z niej. Spojrzała prosto w oczy Newellowi.

Featherstone wprowadził Sama do pokoju tak, jakby prowadził starą, słabą kobietę, która straciła kontakt z rzeczywistością. Sam uczeplił się jego ramienia, w jego ślicznych, niebieskich oczach malowało się przerażenie.

Uspokajał się tylko wtedy, kiedy patrzył na swego brata.

Aleksandra sztywnym krokiem podeszła do małego sekretarzyka i usiadła na tym samym krześle, na którym siadała Urszula Pole.

- Proszę, usiądź, Samie. Pomyśleliśmy, że najlepiej będzie rozpocząć nasze zajęcia w pokoju do nauki. To miejsce, które dobrze znasz, prawda? - Aleksandra wskazała mu krzesło przyniesione ze swojej sypialni. Samuel wyprostował

się i cofnął o krok. Nie chciał usiąść.

Aleksandra wolno wstała. Nie rozumiała, dlaczego miała prowadzić terapię w tym okropnym pokoju. Lepiej byłoby znaleźć się w bawialni albo pod wierzbą nad stawem. Spojrzawszy w przerażone oczy Sama, zwróciła się z wahaniem do jego brata:

- Lordzie Newell, nie sądzi pan, że lepiej byłoby przenieść się gdzie indziej...

- Nie - szepnął Newell prosto do jej ucha, z napięciem wpatrując się w twarz brata.

- Usiądź, Samie, dobrze? - Znów wskazała krzesło.

Sam pokręcił głową i odwrócił się do Featherstone'a. Newell ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy polecił kamerdynerowi wyjść. Stary służący zrobił to, ani na chwilę nie przestając z wyraźną wrogością spoglądać na Aleksandrę.

Uważa, że skrzywdzę Sama, pomyślała, dostrzegłszy pełne nienawiści spojrzenie kamerdynera. Staruszek musiał

służyć w zamku od dziesięcioleci. Podobnie jak pani Penrith, nie zawsze aprobował ich zachowanie, ale zbyt długo okazywał im bezgraniczną lojalność, by ich teraz krytykować.

- Usiądź na krześle, Samie. Panna Benjamin jest tutaj, by nam pomóc. Nie zrobi ci krzywdy. - Newell ujął swego brata pod ramię i podprowadził go do krzesła. Sam niechętnie usiadł i patrzył z przerażeniem, jak jego brat kieruje się do drzwi.

- Proszę zaczynać, panno Benjamin - polecił Newell.

Przeniosła wzrok z twarzy lorda, którą przyoblekł w maskę wystudiowanej obojętności, na twarz

Sama, tak przystojną, niewinną i zalęknioną. Ten kontrast był zbyt ostry, wręcz nie do zniesienia.

- Zawsze zaczynam od dźwięków. Muzyka jest taka piękna, taka... dobra. - Ujęła młoteczek pokryty filcem i uderzyła nim w dzwonki. - Słyszysz to, Samie? Potrafisz odróżnić różne dźwięki? - Spojrzała na Sama i omal nie krzyknęła z przerażenia. Idąc za jego obłąkanym wzrokiem, spojrzała na swą rękę, trzymającą młoteczek. Nagła, okropna myśl za-

świtała jej w głowie i rzuciła młoteczek, jakby to było rozpalone do czerwoności żelazo. Upadł z hałasem na podłogę.

- Sam! - krzyknął ochryple Newell, kiedy jego brat zerwał się z krzesła. Aleksandra się skuliła, ale Sam wcale nie rzucił się na nią, chciał tylko dostać się do drzwi.

- Zostań, Sam! Musisz tu zostać i stawić wszystkiemu czoło! - Newell próbował go zatrzymać, ale Sam nie słuchał

zapewnień brata. Usiłował przedostać się przez otwarte drzwi na korytarz.

37

- Proszę go puścić! Błagam, proszę go nie zmuszać siłą do zrobienia tej strasznej rzeczy. - Aleksandra ledwo mogła uwierzyć, że sama wypowiedziała te słowa. Podbiegła do braci splecionych w uścisku, jakby toczyli pojedynek na śmierć i życie, i próbowała ich rozdzielić. W końcu udało jej się skłonić Newella, by na nią spojrzał. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że po jej policzkach toczą się łzy, nie wiedziała, że cała krew odpłynęła jej z twarzy, co jeszcze wzmocniło jej prośbę. John Damien puścił Sama. Oboje patrzyli, jak nieszczęśnik chwytą się gipsowych ścian korytarza, potyka się, jęczy i próbuje zaczerpnąć powietrza.

- Nie możemy tak robić. W ten sposób mu nie pomożemy - powie- ziała zdławionym głosem, tłumiąc łkanie.

Newell nie patrzył na nią. Zapewne jego zdaniem to, że nie udało się przewyciężyć strachu brata, oznaczało porażkę. Ale czyją? Jej czy Sama? A może Newella? Nigdy się tego nie dowie.

- Nie wydaje mi się, by cokolwiek udało się pani zdziałać. - Spojrzał na nią oskarżycielsko.

- Nie... nie chciałam upuścić młoteczka- wyjąkała, próbując się usprawiedliwić. - Po prostu pomyślałam, że... że go uderzyła... patrzył na mnie z takim przerażeniem... nie mogłam tego znieść.

- Zobaczysz pani gorsze rzeczy.

Wpatrywała się w niego, nie chcąc uwierzyć w to, co próbował jej dać do zrozumienia.

- Czy go biła? - spytała cicho.

- Nie. Czy to najgorszy rodzaj bólu, jaki potrafi sobie pani wyobrazić, panno Benjamin? Czerwona pręga od rzemienia na policzku?

- Nie - szepnęła, nagle zmrożona do szpiku kości.

- Co jest gorsze? Samemu czuć razy, czy też patrzeć, jak spadają na tego, kogo się najbardziej kocha?

- Gorzej patrzeć, niż samemu czuć.

- Właśnie - rzekł, spoglądając na nią twardo. Znał wiele szczegółów, o których ona nie miała najmniejszego pojęcia.

Nie wiedziała nawet, jakie zadawać pytania.

- Proszę mi o niej opowiedzieć. Jeśli mam mu pomóc, muszę to wiedzieć. Proszę - powtórzyła, czując nieprzewartą potrzebę poznania ich prześladowczym.

- Powiem pani dziś wieczorem. Podczas kolacji. Jadam punktualnie o ósmej. - Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, jakby zmagając się z jakąś decyzją.

Potem się odwrócił i ruszył prosto przed siebie drugim korytarzem, zostawiając ją samą w pokoju.

*

Wiele godzin spędziła w swojej sypialni, rozmyślając o tych kilku minutach, jakie przeżyła w pokoju do nauki, wreszcie doszła do wniosku, że wszystkiemu winna była tylko ona. Cóż za głupota z jej strony. To ona miała nadmiernie wybujałą wyobraźnię; to ona wyobraziła sobie, że Urszula Pole biła Sama młoteczkiem, to Aleksandra błędnie pomyślała, iż Sam był pewien, że jego też uderzy. Gdyby nie upuściła młoteczka, gdyby nie ogarnął jej strach, którego przyczyn jeszcze nie potrafiła zrozumieć, popołudnie przebiegłoby zgodnie z planem. Mogliby się zaprzyjaźnić, ona i Sam, a ich przyjaźń mogłaby się przyczynić do tego, by Sam znów zaczął mówić.

Przez nią tylko się cofnęli. Samuel, zamknięty w swym małym, prostym świecie, zaczął ją kojarzyć z panną Pole, musi więc zniszczyć to skojarzenie, i to jak najszybciej. Dziś wieczorem postara się udowodnić lordowi Newellowi, że bardzo ważne, by pozwolono jej działać tak, jak uzna za stosowne. Koniec z rzucaniem owieczek wilkom na pożarcie.

Samuel, pomimo swego wieku i postury, jest tylko przerażonym dzieckiem. Potrzebuje pocieszenia, nie konfrontacji.

Lord Newell będzie musiał to zrozumieć i pogodzić się z tym, w przeciwnym razie Aleksandra wyjedzie najbliższym pociągiem na południe.

- Nie pamiętam, by kiedykolwiek w Londynie panią była taka milcząca. - Mary strzepnęła jej jedwabną lawendową suknię, którą Aleksandra postanowiła włożyć na kolację z właścicielem zamku.

Aleksandra nie wiedziała, jak zareagować na oskarżenie brzmiące w głosie pokojówki. Nie zapytała Mary o jej nowy pokój ani o innych służących, na których towarzystwo Mary będzie skazana teraz, kiedy jej pani mieszkała na górze.

Aleksandra miała jej dużo do powiedzenia, ale nie znajdowała odpowiednich słów. Nie chciała jej mówić o swoich od -

czuciach, których przyczyn nie umiała dociec. Na przykład kufer Urszuli Pole. Od pierwszej chwili budził w Aleksandrze wstręt. Odkąd jednak pani Penrith opowiedziała jej o tamtej kobiecie, niechęć zastąpiła ciekawość. Teraz spoglądała ukradkiem na kufer stojący pod oknem i tam, gdzie wcześniej widziała jedynie zniszczoną, zamkniętą na kłódkę skrzynię wypełnioną tajemniczą zawartością, teraz widziała coś mrocznego i niewypowiedzianie odrażającego.

W jej oczach kufer stał się czymś złym. Wręcz szatańskim. Bezgranicznie lojalna Mary uwierzyłaby swej pani, gdyby się jej zwierzyła ze swych uczuć, ale Aleksandra wiedziała też, że zaniepokoiłaby starszą kobietę, a nie miała zamiaru spędzić reszty czasu w Cairncross walcząc ze służącą, pragnącą uciec stąd jak najdalej. Zresztą była przeświadczona o tym, że kiedy raz ubierze swoje uczucia i podejrzenia w słowa, wszystkie te strachy pierzchną. Jako osoba wykształcona, na pewno uznaje za śmieszne. Nie można traktować poważnie duchów, chochlików i diabłów. Ojciec nie po to ją kształcił, by była taka naiwna.

38

A jednak...

A jednak był jeszcze jeden powód, dla którego nie chciała wyrazić słowami rosnącego niepokoju. Jeśli wypowie na głos swoje obawy, będzie zmuszona z nich zakpić, a coś jej mówiło, że to ściągnie na jej głowę prawdziwe kłopoty.

Ludzie zajmujący się nauką wiedzieli, że lepiej nie szydzić z nieznanego. Tak postępują jedynie głupcy. I ofiary.

- Wciąż myślę o Samie. Nie wiem, jak zabrać się do nauczania biednego brata lorda Newella, to wszystko. - Biedny Sam. Biedny Sam. Aleksandra teraz wiedziała, dlaczego wszyscy przed imieniem Sama stawiali ten przymiotnik.

Wygląd Sama nie pasował do jego prostej psychiki. Jego tężyzna fizyczna jeszcze silniej kontrastowała z dzieckiem, które w nim tkwiło.

- Coś jest nie tak w Cairncross - powiedziała ponuro Mary. - Służący mówią takie rzeczy...

Aleksandra utkwiała w niej wzrok.

Mary zebrała się w sobie.

- Nie mówię o plotkach. Chodzi o atmosferę. Wszystko spowija tu mrok. Nie potrafię tego określić.

- Zamek jest stary. Jest tu od wieków. Stoi samotnie wśród wrzosowisk. Ponadto nie powitano nas tu z otwartymi ramionami. W tej sytuacji każdy czułby się tu nieswojo.

- Ale na panienkę też to wpływa. Proszę tylko na siebie spojrzeć. Jest panienka taka blada. Błada i

milcząca. Wie panienska, że coś tu jest nie tak, jak należy. Co to takiego?

Aleksandra zerknęła na swój gorset. Pomyślała, by wyciągnąć kartkę z dziennika i zrzucić ciężar z serca, ale wiedziała, że to jeszcze pogorszy sytuację. Zresztą dochodziła ósma, a ona jeszcze się nie przebrała do kolacji.

- Zgadzam się z tobą, że panuje tu niemiła atmosfera, ale może to wszystko z powodu Sama. Nie wolno nam popuszczać wodzy fantazji, opierając jedynie na przeczuciu, prawda?

- Przeczucia to jedyne, co mamy. - Mary zaciskając usta, pomogła jej zdjąć czarną suknię, a włożyć lawendową. - To jedyna realna rzecz, którą znamy, prawda?

Aleksandra wpatrywała się w swoją bladą twarz w lustrze stojącym na komodzie. Czuła na sercu złożoną kartkę, którą wsunęła za stanik.

- Tak - szepnęła tylko.

Dwadzieścia minut później, z włosami ułożonymi pod czarną siateczką, życzyła Mary dobrej nocy i udała się do pokoju stołowego. Newell nie powiedział jej, gdzie zazwyczaj spożywa kolację, więc zamierzała odszukać Featherstone'a, by go spytać, gdzie może znaleźć lorda.

Idąc przez to skrzydło zamku, nie mogła pozbyć się wrażenia, że panuje jeszcze gęstszy mrok, cienie wydawały się bardziej niepokojące niż poprzedniego wieczoru. Dotarła do schodów i zeszła cztery piętra niżej, gdzie wydawało jej się, że jest wielki westybul, ale wkrótce zabłądziła w labiryncie korytarzy i niebawem znalazła się w ślepym zaułku.

Zmieszana odwróciła się i ujrzała przed sobą drugą, jeszcze niezbadaną część korytarza.

Poczuła, że krew ścina się w jej żyłach.

Stała tam kobieta. Jej postać majaczyła niewyraźnie w drugim końcu pogrążonego w ciemnościach korytarza. Stała nieruchomo, odziana na czarno, spowita w otaczający ją cień. Kobieta milczała, jakby skamieniała, nie słysząc było nawet szelestu jedwabiu. Jej twarz przesłaniała woalka, jednak wydawało się, że wpatruje się w Aleksandrę, nie mogąc oderwać od niej oczu.

W pierwszej chwili Aleksandra pomyślała - a może raczej chciała, żeby tak było - że to pani Penrith. Czarno odziana kobieta była drobniutka i ubrana w strój bardzo podobny do sukni gospodyni. Ale kiedy Aleksandra wypowiedziała jej nazwisko, nawet nie drgnęła, tylko stała bez słowa.

Jej twarz, ukryta w półcieniu, majaczyła niewyraźnie pod czarną przezroczystą woalka, lecz Aleksandra czuła, że nieznajoma wciąż wpatruje się w nią, nie mogła jednak dostrzec wyrazu jej zapadniętych oczu. Na ramionach miała niedbale zarzucony ciężki, czarny wełniany płaszcz, jakie nosi się zimą, by uchronić się przed lodowatym wiatrem.

- Kim pani jest? - krzyknęła Aleksandra. Chciała podejść do nieznajomej, ale coś ją przed tym powstrzymało. - Czy może mi pani powiedzieć, gdzie jego lordowska mość jada wieczorem kolację?

W zamku mieszkało przypuszczalnie pięćdziesięcioro służby. Z pewnością Aleksandra jeszcze wszystkich nie widziała, ale domyślała się, że ta kobieta nie jest służącą. Służba tak się nie zachowuje. Była w niej jakaś wrogość, coś nienaturalnego. Chociaż Aleksandra stała trzydzieści metrów od niej, sama spowita w cieniu, nie mogła opanować drżenia. W tej kobiecie było coś strasznego. I nie było to spowodowane jej nieruchomą postacią, jej spojrzeniem, jej twarzą, ukrytą za woalka. Odnosiło się wrażenie, że nie powinna się tutaj znajdować. A fakt, że była, że wpatrywała się w Aleksandrę, wywołał w młodej dziewczynie przejmujący lęk.

- Proszę, żeby się pani przedstawiła - powiedziała Aleksandra, idąc w stronę, gdzie majaczyła postać.

Odpowiedziała jej cisza. Zimna, wszechobecna cisza.

- Lord Newell się o tym dowie. Nie będzie zadowolony z tego, że służba myszkuje po ciemnych korytarzach zamkowych... - Aleksandra wpatrywała się w nieznaną, modląc się, by nieruchoma postać wykonała jakiś gest, 39

wzruszyła ramionami, westchnęła, zrobiła cokolwiek, co świadczyłoby, że jest zwykłą śmiertelniczką.

- Dlaczego się pani kryje po kątach? Czy ktoś pani szuka? Pani Penrith będzie bardzo niezadowolona, kiedy się o tym dowie. - Podeszła bliżej, włosy na głowie nastroszyły się jej jak sierść u psa. Przypomniała sobie kobietę na murze w Yorku, której widok tak przeraził Mary. Jeśli to była ta sama osoba, Aleksandra mogła w końcu zrozumieć po wód tego strachu. Chociaż podchodziła coraz bliżej, postać się nie poruszyła, nawet nie drgnęła.

- Próbuje mnie pani nastraszyć? - szepnęła. - Czy dlatego nic pani nie mówi? Czy zależy pani, żeby nastraszyć właśnie mnie?

Kobieta nic nie powiedziała. Patrzyła tylko na Aleksandrę z głębi czarnych oczodołów.

- Prosiłam, żeby pani coś powiedziała! Słyszysz mnie pani? Proszę się odezwać! - Złość sprawiła, że zapomniała o swym strachu. Aleksandra podbiegła do czarno odzianej postaci. Wyciągnęła ręce, by ściągnąć woalkę, by spojrzeć prosto w oczy tej złowrogiej postaci, ale udało jej się złapać tylko czarny płaszcz z szorstkiej wełny. Wydawało się, że ciało kobiety nic nie waży, jej postać zdawała się utkana z powietrza. Pod wpływem gwałtownego ruchu Aleksandry kobieta przechyliła się najpierw w jedną stronę, a potem w drugą, jak drewniany pajac, którego Aleksandra widziała kiedyś w sklepie z zabawkami. Wyglądało to niemal komicznie. Kobieta upadła na posadzkę.

Aleksandra krzyknęła.

10

*T*rwalo całą wieczność, nim Aleksandra dotarła do lampy gazowej przymocowanej do ściany. Odskoczyła od leżącej postaci i dysząc głośno, pobięła potykając się w stronę lampy w drugim końcu długiego korytarza.

Musi tu być światło, musi tu być więcej światła, powtarzała, wpadając na stoły i kufry, potem potknęła się i upadła na kolana. Grad szpulek z niemi posypał się na jej plecy. Chwilę potem natknęła się na stos mate riałów i krzyknęła głośno, kiedy para długich nożyc krawieckich spadła ze stołu i wbiła się ostrzem tuż przy jej twarzy.

Cała dygotała ze strachu. Uciekała, starając się nie upaść. Droga była usiana przeszkodami, ale udało jej się je omijać. Pragnęła za wszelką cenę dostać się do lampy gazowej. Chciała dokładnie obejrzeć sobie tę figurę.

Z ulgą podeszła do lampy. Wyciągnęła rękę, by sięgnąć do przełącznika, umieszczonego za wysoko, by mogła go dostać, ale nie zniechęciło jej to. Strach i złość okazały się wystarczającym bodźcem. Odkręci maksymalnie gaz i wróci na drugi koniec korytarza, by dokładnie obejrzeć swą prześladowczynię, nawet jeśli będzie to wymagało wielkiej odwagi i mobilizacji wszystkich sił.

Próbowała zwiększyć płomień lampy, ale nie mogła dosięgnąć palcami pokrętła. Potem, ku jej przerażeniu, dwoje mocnych rąk wyłoniło się z mroku i przekręciło regulator.

Odwróciła się gwałtownie i znalazła się twarzą w twarz z Newellem. Miał na sobie elegancki, wieczorowy strój.

Ubrany był w czarny surdut, przy koszuli miał świeżo wykrochmalony kołnierzyk. Patrzył na nią inaczej, niż się tego spodziewała. We wzroku lorda nie dostrzegła szyderstwa, jego ust nie wykrzywiał drwiący uśmiech. Aleksandra wiedziała, że wygląda jak szalona, starając się dosięgnąć przełącznika lampy gazowej, jakby od tego zależało jej życie.

Zadała sobie pytanie, czy słyszał jej krzyk, ale nie spytała go o to. W ogóle się do niego nie odezwała. W jasnym świetle lampy udała się w drugi koniec korytarza, gdzie wcześniej stała kobieta.

- Widzę, że zabłądziła pani i wystraszyła się - zauważył Newell, idąc za nią.

Aleksandra wpatrywała się w stos czarnych ubrań i szary, pokryty lnem, leżący na ziemi manekin, z głową wymodelowaną na kształt ludzkiej.

- To skrzydło dla służby. - Wskazał w kierunku schodów. - Zeszła pani pięć pięter w dół, a nie cztery.

Skinęła głową, nie mogąc wykształcić słowa. W świetle lampy ujrzała wyraźnie, że ściany i drewniane wykończenia są skromne. Nie było tu boazerii z drewna orzechowego, tak jak na wyższych kondygnacjach, ani grubych tureckich chodników, którymi wyłożono korytarze w nowszych skrzydłach. W jednym kącie korytarza stał manekin krawiecki i bele czarnego samodziału. Przez okna za dnia wpadało tu dużo światła. Sądząc po porozciąganych krzesłach i stołach, różnokolorowych szpulkach i błysku nożyc krawieckich, można się było z łatwością domyślić, że tutaj szwaczka wraz z armią swych pomocnic szyła ubrania dla służby.

- Niczego tu nie ma, widzi pani? - powiedział lekko.

Spojrzała na manekin krawiecki i ogarnęły ją mdłości na widok odsłoniętej głowy, twarzy

pozbawionej rysów i głębokich dołów w miejscu, gdzie powinny być oczy, które, jak jej się wydawało, przed chwilą spoglądały na nią zza woalki. Podniosła z ziemi czarny szal i uświadomiła sobie, że udrapowano go na głowie manekina. Nie było żadnej woalki. Wszystko powstało w jej dziecinnej i nadmiernie wybujałej wyobraźni.

- Skoro panią odnalazłem, chodźmy zjeść kolację, dobrze? - Podał jej ramię.

Spojrzała na niego, niezadowolona, że nie może dostrzec wyrazu jego oczu skrytych za okularami.

- Wydawała się taka prawdziwa. - Nie wiedziała, dlaczego wyszeptała te słowa, ale musiała je powiedzieć.

Rozpaczliwie pragnęła pozbyć się swych lęków, a jedynym sposobem było ich wyrażenie.

- To tylko manekin stojący w ciemnym korytarzu. - Czyżby dosłyszała rozbawienie w jego głosie?

40

Cofnęła się o krok, instynkt jej mówił, by się od niego odsunąć. W jej umyśle zrodziło się okropne podejrzenie.

Przypomniała sobie słowa pani Penrith: „...niektórzy mówią, że z tego powodu nie jest zupełnie normalny”.

- Była taka prawdziwa. Wiem, co widziałam. Widziałam manekin krawiecki, który specjalnie ktoś tak ustawił, żeby mnie nastraszyć. Ktoś to zrobił i dlatego było to takie prawdziwe. To nie przypadek.

- Skąd ktoś mógł wiedzieć, że pani się pomyli i zejdzie piętro niżej? - Powinien to powiedzieć cierpliwie, tonem rozdrażnionego ojca przemawiającego do przestraszonego dziecka. Tymczasem zdawał się niemal znudzony jej lękami, jakby się tego spodziewał, i teraz, kiedy rzeczywiście dała się nastraszyć, zaczął mieć o niej gorsze mniemanie.

- Czy to pan tak go ubrał? Próbuje mnie pan nastraszyć? - Spojrzała na niego oskarżycielsko. Była teraz bardziej rozbawiona niż przestraszona. To, co widziała, okazało się rzeczywiste przynajmniej w takim znaczeniu, że specjalnie postarano się, żeby ją nastraszyć, i to się udało. A jego zachowanie - lekkie rozbawienie w głosie, znudzenie, przechyłona głowa - uznała za wyjątkowo niestosowne. Jego reakcja zmroziła ją niemal tak samo, jak widok postaci w kącie.

Wcześniej ktoś umieścił kartkę z dziennika Urszuli Pole pod serwetką na komodzie w jej sypialni. Zastanawiała się, czy korytarzami zamku w Cairncross przemykają duchy, czy też wszystko to jest jedynie efektem niewybrednego poczucia humoru stojącego przed nią mężczyzny.

- Nie zajmuję się straszeniem małych kobietek. - Spojrzał na nią, w jego ciemnych oczach wciąż dostrzegała brak zaufania. - Poza tym nie mogłem wiedzieć, że zejdzie pani tutaj i zobaczy manekin.

- Racja - przyznała szeptem, odwracając się od manekina leżącego na podłodze. - Zupełnie jakby ktoś wiedział, że tu zejde... albo...

- Albo...? - Uniósł pytająco brew.

- Albo ktoś mnie śledził. - Spojrzała w drugi koniec długiego korytarza. Teraz tonął w ciemnościach. - Najpierw poszłam w tamtą stronę. Ktoś miał dość czasu, by ubrać manekin, kiedy tam byłam. - Uniosła głowę i znów rzuciła mu oskarżycielskie spojrzenie.

- Miałbym na to dość czasu, czy to ma pani na myśli?

- Może chce mnie pan wystawić na próbę. Może chce się pan przekonać, czy łatwo mnie nastraszyć.

- Chcę tylko wiedzieć, czy może pani pomóc Samowi.

- Specjalnie się postarano, by ten manekin tak wyglądał - broniła się nieporadnie jak dziecko.

Uniósł kącik ust, niemal jakby się uśmiechał.

- Zjedźmy kolację, dobrze? Opowiem pani kilka strasznych historyjek o Urszuli. Czy to uspokoi pani nerwy?

- Myślałam, że panna Pole po prostu wyjechała. Nie wiedziałam, że umarła.

- Nigdy nie znaleziono jej ciała, ale większość mieszkańców miasta uważa, że zna zabójcę. - Ujął ją pod rękę i położył jej dłoń na swoim ramieniu. Powiedział z wielce zadowoloną miną: - Wiedziała pani, panno Benjamin, że uważają mnie za mordercę Urszuli?

*

Aleksandra siedziała sztywno naprzeciw Newella za wielkim stołem z drewna orzechowego. Od czasu do czasu rzucał na nią ukradkowe spojrzenia, które niewiele jej o nim mówiły. Nie miała apetytu. Oboje tylko marnowali czas udając, że kulturalnie się posilają.

Jego lordowska mość jadał w pokoju stołowym sąsiadującym z przestronnym westybuliem. Ściany wybite były, zgodnie z najnowszą modą, aksamitem w kolorze rdzy. Pod sufitem wisiał ogromny żyrandol, jego ramiona zakończone były kłoszami, które przytrzymywały mosiężne gryfy.

Newell nie pasował do tego pokoju. Pomieszczenie to niedawno odnowiono, założono nowoczesne oświetlenie gazowe i nowe paleniska w kominkach. Bardziej odpowiednim tłem dla lorda był mrok. Ciemno brązowe aksamitne zasłony, przewiązane sznurami zakończonymi wielkimi chwostami, były zbyt wymuskane. Pokój urządzone ze smakiem, nowoczesnie i zimno - niemal sterylnie.

Przypuszczalnie odnowiono go, kiedy lord Newell ponownie zamieszkał w zamku. Prawdopodobnie młody właściciel polecił unowocześnić wiele pomieszczeń w Cairncross. Zaintrygowało ją, że lubi wygodę, szczególnie że zdawał się specjalnie nikogo nie rozpieszczać. Wprost przeciwnie. Jedyne wyjątki czynił dla Sama. Newell sprawiał

wrażenie, jakby znajdował przyjemność w tym, że ludzie w jego obecności czują się nieswojo. Świadczyło o tym chociażby to, co powiedział w korytarzu dla służby.

Aleksandra spojrzała na bażanta nadziewanego skórą pomarańczową i ociekającego sosem burgundzkim. Rzadko jadła tak wyszukane dania; Newell musiał zatrudnić pierwszorzędnego kucharza, płacąc mu krocie. Jednak nawet najwykwintniejsze potrawy nie mogły odwrócić jej uwagi od postaci w korytarzu i palących pytań dotyczących przeszłości.

- Jest pani dziwnie milcząca, panno Benjamin. Rozczarowała mnie pani. Sądziłem, że będzie miała pani coś więcej do powiedzenia po tym, co dziś wieczorem wspólnie przeżyliśmy. - Spojrzał na kęs mięsa, nabity na widelec, i zgrabnie wsunął go do ust.

41

- Nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem, co myśleć. - Spojrzała mu prosto w oczy.

- Myśli pani o wyjeździe.

Ich spojrzenia się spotkały. Poczowała zimny dreszcz na plecach.

- Ale jeszcze pani nie wyjechała - zauważył. - Chce pani wiedzieć dlaczego, panno Benjamin?

- Dlaczego? - szepnęła, dreszcz przypominał dotyk czyichś lodowatych palców.

- Ponieważ chociaż bardzo się pani boi, zarazem jest pani ciekawa. Odziedziczyła pani tę cechę po ojcu. Znakomitym doktorze Horacym Benjaminie, lekarzu, człowieku, który - myślałem sobie - mógłby tu przyjechać i wyleczyć Samuela.

- Ciekawość nie zawsze jest dobra.

Roześmiał się.

- Chce pani powiedzieć, że to pierwszy stopień do piekła?

- W pewnym sensie. - Zaschło jej w ustach. Trudno jej było mówić. - Powtarzam sobie, że to pana sprawa, nie moja.

Ale jeśli zostanę, ta sprawa stanie się też moja.

- A uważa ją pani za coś, co budzi strach.

- Tak. - Spojrzała na niego. - Pan uważałby inaczej?

Usiadł wygodniej w krześle i utkwiał w niej wzrok, jakby zastanawiając się nad odpowiedzią. Fular miał jak zawsze starannie zawiązany, jego szary kolor znamionował najwyższy smak właściciela. Zresztą tak czy inaczej prezentował

się znakomicie, a prosty, ciemny strój jeszcze podkreślał jego rysy. Eleganckie, ciemne ubrania lorda sprawiały, że czuła się przy nim jak uboga krewna. Wydawało jej się, że w swej lawendowej sukni przypomina strzyżyka, w którego wpatruje się sokół.

Utkwiła wzrok w jego okularach, w tarczy, za którą się krył. Jeśli oczy rzeczywiście były zwierciadłem duszy, nie mogła nic o niej powiedzieć, bo jej obraz był zniekształcony przez te dwa szkła.

- Chcę, żeby pani została - powiedział wolno, dobierając słowa. - Pani ciekawość czyni z pani naukowca.

- Obawiam się jednak, że musi pan wczuć się w moje położenie. Przeczucie mi mówi, że pozostanie tutaj może nie okazać się ani skuteczne, ani roztropne.

Jej odpowiedź wywarła na nim pewne wrażenie. Spojrzał na nią z szacunkiem.

- Proszę mi powiedzieć, co pani czuje.

- Jestem oburzona. Ktoś specjalnie ubrał manekin krawiecki, by mnie przestraszyć. Zrobiono to celowo. Uważam, że powinnam wiedzieć, kto się dopuścił tego czynu.

- Może był to tylko figiel kogoś ze służby - stwierdził lekko. - Wie pani, że nie lubią nowych. Przybierają groźną postawę.

- Jednak instynkt mi mówi, że to nie figiel jednego ze służących. W ten sposób próbowano mi coś dać do zrozumienia. - Wpatrywała się w niego, czekając, co odpowie.

- Co? - Uniósł brew i odniosła wrażenie, że z niej pokpiwa.

- Coś, co było przeznaczone wyłącznie dla mnie - odparła. - Ale może pan potrafi to lepiej zinterpretować. - Zarówno słowa, jak ton jej głosu zawierały oskarżenie.

Roześmiał się, był to śmiech wydobywający się z głębi trzewi, przypominający warczenie psa. Podobnego odgłosu spodziewałaby się z gardeł połączanych gryfów znajdujących się nad ich głowami.

- Panno Benjamin, musi pani uwierzyć, że nie mam z tym nic wspólnego. - Pochylił się nad stołem i ujął jej dłoń. - W

najgorszym wypadku był to figiel, w najlepszym - wytwór pani wyobraźni.

- Jeśli to był dowcip, nie będę tolerowała takich rzeczy. Postanowiono napędzić stracha właśnie mnie i chcę wiedzieć, kto to zrobił. Ktoś mnie śledził, by sobie ze mnie zażartować w ten okrutny sposób. Bo kto mógł wiedzieć, że zabłądzą i źle policzą pietra?

- Chyba że są tacy, którzy wiedzą o rzeczach, o których my nie mamy pojęcia - powiedział poważnym tonem, jakby naprawdę wierzył w istnienie kogoś takiego.

Siedziała milcząc, wolno przeniosła wzrok na jego rękę trzymającą jej dłoń. Ścisnął ją mocno jak w imadle. Ten uścisk zdradzał jego prawdziwe uczucia - strach i wrogość - chociaż słowami i tonem głosu próbował temu zaprzeczyć.

- Proszę - wydusiła, kiedy poczuła, że niemal miażdży jej rękę.

Puścił ją. W jego oczach pojawił się błysk, który niemal przypominał spojrzenie rannego zwierzęcia.

Wstała, poruszona tą wymianą zdań.

Również wstał, szybkość ruchów lorda świadczyła o gwałtowności jego natury.

Utkwiła w nim wzrok. Nagle jakby zrozumiał, jaki musiał się wydać w jej oczach. Znów usiadł, tym razem przybierając mniej groźną minę.

- Nie tak wyobrażałem sobie ten wieczór - powiedział. - Miałem nadzieję, że porozmawiamy o Samie, by mogła go pani lepiej poznać.

42

- Chcę go lepiej poznać; Mam wiele pytań...

- To proszę je zadać.

Przewyciężyła lęk.

- Chcę się czegoś dowiedzieć o tamtej guwernantce. Chcę się czegoś dowiedzieć o Urszuli Pole. O jej pobycie tutaj.

- Nie żyje. Cóż więcej można o niej powiedzieć? - Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. - Za dużo pani myśli o przeszłości, a za mało o przyszłości.

- Przeszłość kształtuje przyszłość. Jeśli nie znamy naszej przeszłości, nie możemy poznać przyszłości.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, potem wstał, tym razem przestrzegając dobrych manier. Dżentelmen w każdym calu.

- Napijmy się sherry w mojej bibliotece... Porozmawiamy o tym wszystkim. Bez ogródek, tak jak było naprawdę. - W

końcu się uśmiechnął. Na jego twarzy malowała się ulga. Od razu stał się przystojniejszy. Był obrzydliwie atrakcyjny.

Ujął ją pod rękę i wyprowadził z pokoju troskliwie, jakby była rekonwalescentką, która niedawno wstała z łóżka.

Mogła się tylko na niego patrzeć, sparaliżowana przez emocje, które nią zawładnęły.

- Chcę się dowiedzieć czegoś o Urszuli - szepnęła, nawet to wymagało od niej olbrzymiego wysiłku.

- Ach, chcemy się czegoś dowiedzieć o Urszuli - powtórzył, jak- rozmawiał z dzieckiem. - W takim

razie chodźmy, panno Benjamin, napijmy się sherry. Jeśli wleję w siebie dość wina, może opowiem pani przerażającą historię Urszuli Pole. - Spojrzał na nią, wyraźnie rozbawiony tym, że wpatruje się w niego, jakby był szaleńcem, który dopiero co uciekł z domu wariatów. - A jeśli uznam pani towarzystwo za wystarczająco miłe, panno Benjamin, może nawet pozwolę pani zadać pytanie, czy ją zabiłem.

*

W bibliotece było ciepło, mimo, że nocny wiatr siekł zarośla pod oknami. Aleksandra sączyła sherry i zastanawiała się nad swoim położeniem, cały czas wpatrując się w ogień na kominku. W tej części domu nie palono torfem.

Wszędzie były nowoczesne paleniska na węgiel.

- Jakie nieobecne spojrzenie.

Uniosła wzrok i stwierdziła, że Newell jej się przygląda, na jego twarzy malowała się nadzieja, ale zarazem nieufność.

- Proszę mi powiedzieć, o czym pani myśli.

Podświadomie bała się przekroczyć zakazane progi Cairncross, jednak rozpaczliwie pragnęła zrozumieć mroczny labirynt, w jakim się znalazła. Kartka z dziennika, którą schowała na piersiach, parzyła ją.

- Myślę o panie Pole. I o panu.

- Co chce pani wiedzieć?

- Uważam, że muszę wiedzieć wszystko, jeśli mam pomóc Samuelowi. - Gardło jej się ścisnęło ze strachu.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się jej badawczo, obracając w palcach kieliszek brandy, hipnotyzując ją, sprawiając, że czuła się jak na karuzeli, z której nie można zejść,

- Jak mogła się już pani dowiedzieć od służby, Urszula Pole została zatrudniona w charakterze guwernantki, chociaż było to absurdalne. - Mówił wolno, wręcz ostrożnie. Jego głos był szorstki, urywany, jakby mówienie o niej sprawiało mu ból. - Dwaj kilkunastoletni chłopcy, nawet jeśli jeden z nich był niezbyt rozbawiony, powinni mieć preceptora, ale... - Ich spojrzenia się spotkały. - Była kuzynką ojca, bez środków do życia, znalazła się w naszym domu, gdy ojciec bawił w Paryżu. Nie chciał sobie tym zaprzętać głowy, więc zostawił wszystko jej. Spędziła tu cztery lata, potem zniknęła. Miałem wtedy czternaście lat. - Wsunął dwa palce pod oprawkę okularów i potarł nos gestem znamionujący zmęczenie. - Nie muszę tego pani mówić, ale nie lubiliśmy jej z Samem. - Urwał. - Samuel bał się jej.

- Ale pan nie - szepnęła, całkiem zbytecznie. Dzięki lekturze kartki wyrwanej z dziennika Urszuli dokładnie wiedziała, co Newell czuł do swojej dawnej guwernantki; jednak chciała to usłyszeć od

niego. Tak bardzo chciała wszystko zrozumieć.

Ich spojrzenia się spotkały. Jej było szczere, nieukrywające emocji; jego - chmurne i schowane za okularami.

- Nie bałem się jej, gardziłem nią - powiedział głosem wypranym z wszelkich uczuć. - To zupełnie co innego.

Nagle poczuła falę współczucia do tego chłopca, jakim kiedyś był. Jako dziecko był prześladowany przez kobietę i nie miał się jak przed nią bronić. Nic dziwnego, że wyrósł na takiego posępnego człowieka.

- Dlaczego został pan zmuszony do opuszczenia zamku? - Pytanie to zadała, nim zdołała pomyśleć, co robi.

Brandy w jego kieliszku zakółysała się gwałtownie. Znów się roześmiał. Ponurym, niewesołym śmiechem, który odbił się echem w jej sercu.

- Pyta pani, czy chcieli mnie zlinczować za jej zabójstwo? Miałem powody, żeby ją zabić. I nie wszyscy mieliby mi to za złe. Jednak muszę panią rozczarować, panno Benjamin. Wyjechałem z Cairncross przed zniknięciem naszej drogiej panny Pole.

- Wyjechał pan? - spytała zaskoczona. Fragmentaryczne wnioski, jakie sformułowała, kierując się intuicją, nagle 43

okazały się błędne. - To nie ma sensu. Skąd się wzięły plotki o tym, że ją pan zabił? Pan sam dawał do zrozumienia...

- Dawać do zrozumienia to nie to samo, co przyznać się do czegoś. Nie mam wpływu na to, co opowiada służba.

- Nawet jeśli pan wyjechał, może wierzono, że mógł pan wrócić i...

- Ale nie wróciłem. W owym czasie nie miałem tu już nic do roboty. Poprzedniego wieczoru ojciec mnie wydziedziczył i w dniu, w którym wszelki ślad po niej zaginał, jechałem wozem, zaprzężonym w woły, w kierunku Londynu.

Aleksandra pociągnęła łyk z kieliszka, ledwo wiedząc, co pije. Ogarnęło ją lekkie rozbawienie. Wszystko zdawało się wyglądać inaczej, niż sądziła. Naturalnie, jeśli Newell mówił prawdę.

- Dlaczego? - spytała.

Nie można było nic wyczytać z jego oczu, matowych, pustych, przesłoniętych okularami.

- To, co mnie wtedy spotkało, nie ma nic wspólnego z Samem, ale wiem pani. Może pani wierzyć, jeśli pani chce: zostałem wypędzony z Cairncross, ponieważ oskarżono mnie o niewłaściwe zachowanie wobec panny Pole.

Odwróciła wzrok, pragnąc ukryć współczucie malujące się w jej oczach. Po przeczytaniu kartki z dziennika mogła się domyślić, że musiało dojść do takiego skandalu. To prawdziwa tragedia, że topór spadł na głowę młodego Newella, a nie jego nikczemnej guwernantki.

- Wszyscy potwierdzą te fakty, panno Benjamin. Featherstone dobrze pamięta tamten dzień, podobnie jak Jaymes i pani Penrith. Nie było mnie tutaj.

Milczała, rozmyślając o dzienniku i przeszłości.

- Uważa pani, że ją zamordowałem, Aleksandro?

Uniosła wzrok i zobaczyła, że niemal świdruje ją na wylot swym spojrzeniem. Otwartość pytania zaskoczyła ją, ale jeszcze bardziej zaniepokoiło Aleksandrę to, że zwrócił się do niej po imieniu.

- Nie było mnie wtedy tutaj. Nie znam panny Pole. W tej sprawie mogę się kierować jedynie intuicją.
- Naturalnie, że nie zamordował tej kobiety. Ale powód, dlaczego tego nie zrobił, nie dawał jej spokoju niemal tak samo, jakby dopuścił się zbrodni. Chociaż niewiele o nim wiedziała, była przekonana, że zna go na tyle, by mieć pewność, że przyznałby się, gdyby odebrał życie Urszuli Pole. Było to morderstwo sprzed dwudziestu lat. Nie poniósłby za nie kary, nawet gdyby upomniała się o niego sprawiedliwość. Chroniły go pieniądze i pozycja społeczna. Nie mając świadków i dowodów, nikt nie wysunąłby przeciwko niemu oskarżenia.

- Co podpowiada pani intuicja, Aleksandro?

- Że pan tego nie zrobił - szepnęła.

- Ciekawe.

Zorientowała się, że Newell się uśmiecha, jeszcze zanim ujrzała jego uśmiech. Nie był to szczery, niefrasobliwy uśmiech. Był to uśmiech kogoś, kto właśnie wygrał.

Ogarnął ją niepokój. Zachowanie Newella nie było podyktowane poczuciem bezkarności. Na tyle poznała jego charakter, by zrozumieć, że z radością wyznałby prawdę, gdyby prawda była ohydna. Lubował się w takich wyrafinowanych torturach. Sprawiałoby mu praw dziwa przyjemność zatrzymanie jej tu, w zamku, gdyby mógł ze wszystkimi szczegółami opowiedzieć o śmierci poprzedniej guwernantki. Jego lordowska mość John Damien Newell był człowiekiem na tyle perwersyjnym, by w pełni docenić ironię takiej sytuacji.

Przyznałby się do zabójstwa guwernantki, gdyby ją naprawdę zabił. Aleksandra mogła teraz z czystym sercem stwierdzić, że tego nie zrobił. Nie tknął palcem Urszuli Pole.

Spojrzał na nią i rzucił jej czarujące spojrzenie, pełne męskiego podziwu - niebezpieczne szczególnie dla rzekomej Żydówki, którą już wcześniej obrzucano takimi spojrzeniami. Jednak wyraz jego twarzy był niebezpieczny, zawierał

ostrzeżenie.

- Panno Benjamin, sprawia pani wrażenie niemal rozczarowanej. Nie mogła mu wyjaśnić, że źródłem jej prawdziwego rozczarowania było odkrycie kolejnego diabolicznego rysu jego charakteru. Nigdy • w życiu nie spotkała mężczyzny tak ochoczo potrafiącego akceptować zło, do jakiego są zdolni ludzie.

- Rozczarowanie jest całkiem nie na miejscu w tym wypadku, prawda? - Przyglądała mu się uważnie.
- Z pewnością nie poczułam ulgi. Nie chciałabym mieszkać pod jednym dachem z mordercą, nawet w tak wielkim zamku.

Pokrzepiające jest to, że nie jest pan zdolny do tak ohydnych postępku.

- Na razie.

Ich spojrzenia się spotkały.

- Przypuszczam, że każdy z nas jest zdolny do popełnienia morderstwa, ale nie żartowałabym sobie z tego, milordzie

- urwała, spoglądając na niego zimno, z naganą.

Nie odwrócił wzroku, jakby jej strofowanie, jej zwykłe pojmowanie dobra zaintrygowało go. Jakby to było coś nowego i całkowicie mu obcego.

- O czym pani myśli, kiedy staje się pani taka milcząca, Aleksandro? - spytał cicho.

44

- Myślę o wielu rzeczach, milordzie, na przykład dlaczego zwraca się pan do mnie po imieniu.

Jego twarz zastygła jak marmur.

- Tak się do pani zwracam? Zrobiłem to niechcący.

Spojrzał na jej spokojną, drobną postać, kiedy tak siedziała naprzeciwko niego. Było to przenikliwe spojrzenie, jakby próbował wypatrzeć to, co ukrywała. Była tego pewna, gdy badawczo mierzył jej twarz. Starał się przekonać, czy mu uwierzyła.

Nie uwierzyła mu.

- Siedzi pani taka poważna, panno Benjamin, z tą swoją uczciwą twarzą i niezapomnianymi oczami. Pragnie pani pomóc Samowi, mojemu rodzonemu bratu. Jeśli zachowuję się wobec pani zbyt poufale, to dlatego, że tego chcę. -

Przyglądał się jej i czekał. Zacisnął usta. - Poza tym... myślę, że pani też mogłaby chcieć zaprzyjaźnić się ze mną...

- Z całą pewnością nie. - Wstała, jakby to mogło zmienić słowa, które przed chwilą wypowiedział.

Jakby sam jego pomysł był absurdalny. Wiedziała, że nie może dać mu poznać, jak bardzo przeraziły ją jego słowa. Nigdy nie może się dowiedzieć, jak bliski był odkrycia niebezpiecznej prawdy.

Podniosła dumnie głowę, chociaż w duszy czuła zamęt. Szukała jakiejś odpowiedzi, chciała rzucić jakąś ciętą uwagę, która by go osadziła i ukazała, jak niestosowne jest jego zachowanie. Zatrudnił ją, nie była jego przyjaciółką ani osobą równą mu urodzeniem. Nie może pozwolić, by traktował ją poufale. Nie może dopuścić, by się zorientował, jak bardzo ją pociąga i jak mocno zranił ją Brian. Po pierwszej rozmowie, którą odbyli właśnie tu, w tej samej bibliotece, wiedziała, że nie wolno pozwolić, by Newell jeszcze kiedykolwiek ujrzał jej cierpienie.

- Chciałabym się udać na spoczynek, wasza lordowska mość, ale zanim się rozstaniemy, muszę panu przypomnieć, że przyjechałam tu, żeby pracować z pańskim bratem. Może byłoby lepiej, gdyby wrócił pan do Londynu i pozwolił mi bez niczyjej pomocy zaprzyjaźnić się z Samuelem.

Utkwił w niej wzrok, pocierając brodę, na której zaczął się pojawiać pierwszy ślad zarostu.

- Dziękuję za tę sugestię, panno Benjamin, ale proszę mi pozwolić również na jedną uwagę: służący nie powinien strofować swego pana.

- Nie jestem służącą. Jestem guwernantką.

Zamilkła, zaskoczona swoimi słowami. Nie chciała, by mówiono na nią „guwernantka”; poczuła niepokój, słysząc to określenie z własnych ust. Ale słowa wymknęły się jej jakby za podszeptem szatana.

- To był bardzo męczący dzień dla nas obojga. - Jej wzrok powędrował w kierunku zamkniętych drzwi biblioteki. -

Gdyby był pan tak dobry, milordzie, chciałabym udać się na spoczynek.

Wstał.

- Nie. Proszę nie odchodzić. - Teraz on miał taką minę, jakby żałował, że nie ugryzł się w język. Jakby słowa wypowiedział wbrew własnej woli.

- Jest już późno - szepnęła, zdumiona wyrazem jego twarzy. Wyglądało na to, że chciał ją zatrzymać. Jakby z jej obecności czerpał pocieszenie.

- Powiedziała pani, że chciała mnie pani o coś spytać.

- Zaczynam teraz wszystko rozumieć. Obiecuję, że będę dobra dla Sama. Nigdy nie będzie miał powodu, by się mnie bać. - Rzuciła mu ukradkowe spojrzenie. Wydawało się, że próbuje znaleźć sposób na przedłużenie tej rozmowy.

Zrobiła krok do tyłu. On zrobił krok w przód. Zupełnie jakby tańczyli walca.

- Czy mogę odejść, milordzie? - spytała. Ze strachu zapało jej dech.

Jego wzrok padł na poślaczoną gałkę u drzwi, którą ścisnęła niczym krucyfiks. Ogarnął go nagły gniew. Patrzył w sufit, z całych sił próbując się opanować. Na chwilę serce w Aleksandrze zamarło, bała się, że może ją zatrzymać w bibliotece wbrew jej woli. Jednak zachował się jak dżentelmen. Nie próbował jej zatrzymać. Tylko spojrzął na nią, a potem skinął głową, wyrażając zgodę na jej odejście.

Wybiegła przez drzwi. Szeroki korytarz, wyłożony rubinowym, wełnianym chodnikiem, prowadził do głównych schodów. Chciała do nich dotrzeć tak szybko, że mało się nie przewróciła, spodziewała się, że Newell pójdzie za nią, że będzie ją gonił korytarzami, a kiedy ją dopadnie, zrobi z nią, co będzie chciał. Nie chciała się go bać, właściwie wiedziała, że nie ma żadnego powodu, żeby się go bać, ale było coś nieprzyzwoitego w tym, jak na nią działał. Był

nieprzewidywalny, a przy tym odznaczał się potężną posturą. A teraz próbował się z nią zaprzyjaźnić. Chociaż nigdy nawet jej nie dotknął, chociaż w jego wzroku nie było śladu lubieżności, głos lorda zdradzał jakąś łagodność, zaciekawienie, zbytnią poufałość.

Musi się od niego trzymać z daleka, powtarzała sobie, wchodząc po schodach. Nie może pozwolić, by się do niej zbliżył. Był jej chlebodawcą. I bez względu na to, jak dziwne i intrygujące są jego problemy, nie dotyczyły jej.

- Proszę dobrze spać, panno Benjamin.

Odwróciwszy się gwałtownie, ujrzała Newella stojącego w cieniu u podnóża majestatycznych dębowych schodów.

Poczuła, że jej dłoń, którą trzymała się poręczy, zwilgotniała od potu.

45

- Dobranoc, milordzie - szepnęła, nie będąc w stanie spojrzeć prosto w oczy przesłonięte okularami.

Odwróciła się, by kontynuować wspinaczkę po schodach, ale zatrzymał ją jednym słowem.

- Aleksandro.

Na dźwięk swego imienia ścisnęło się jej serce.

Odwróciła się, by jednak spojrzeć na niego. Stał bez ruchu w cieniu.

- Słucham - szepnęła.

- Proszę pomóc Samowi. - Jego głos był ochryply, zdradzał jakieś trudne do określenia uczucie.

Przymknęła powieki, nie mogąc znieść przyływu uczuć. Skinęła tylko głową, z trudem odwróciła się i zaczęła wchodzić po stopniach. Z przerażeniem stwierdziła, że oczy ma pełne łez.

Prawdę nade wszystko cenię,

I póty wierzyć jej będę,

Póki serce bije we mnie.

Cartwright

Z budź się, panienko! Zbudź się! Stało się coś strasznego! Pan jest ranny! Musi panienka natychmiast do niego iść!

Aleksandra zerwała się z pościeli i potykając się w ciemnościach, podbiegła do drzwi. Kiedy rozległo się walenie do drzwi i wołanie pani Penrith, pogrążona była jeszcze w półśnie.

- Mój Boże, co się stało? - Aleksandrze zaniemówiła, ujrawszy bladą twarz gospodyni przesłoniętą wielką naftową lampą, którą kobieta trzymała w ręku.

- Panienko, pan jest ranny. Posłaliśmy po chirurga, ale pan chce się zobaczyć z panienką.

- Co się stało? - spytała Aleksandra, sięgając po czarny szal leżący na pobliskim krześle.

- To się wydarzyło na korytarzu, panienko. Przy schodach. Pokojówka słyszała jakieś głosy, więc myślała, że lord rozmawia z panienką. Potem rozległ się straszny hałas. Stary żyrandol z kutego żelaza urwał się i spadł prosto na pana.

Zranił go w rękę. Ach, nigdy nie widziałam tyle krwi. Pan miał szczęście, że nie zginął na miejscu.

- To okropne... - Aleksandra nawet nie włożyła butów, tylko bosobiegła za kobietą korytarzem, prawie nie czując zimnej jak lód kamiennej posadzki. Myślała tylko o jednym: o pełnej melancholii postaci Newella u podnóża schodów i znów łzy napłynęły jej do oczu. W głębi serca czuła ból i żal. Po wieczornej rozmowie długo leżała, nie mogąc usnąć, rozmyślając o Newellu. Aleksandrę niepokoiło, że tak trudno było jej się z nim rozstać, kiedy widziała go tak bezbronny.

- Myślę, że chirurg się nim zajmie. Ale pan jest bardzo poruszony. Kazał wezwać panienkę. Tak, kazał wezwać panienkę i powiedział, żeby dać pokojówce dużą dawkę laudanum, by przestała płakać.

- Czy aż tak lubi pana? - Aleksandra poczuła ucisk serca. To było zuchwałe pytanie, wręcz uszczypliwe, ale reakcja pokojówki wydała jej się trochę przesadna. Chyba że dziewczyna darzyła swego pana wyjątkową sympatią. I chociaż Aleksandra nie chciała się do tego przyznać, świetnie ją rozumiała, sama też zaczynała czuć do lorda Newella niezwykłą sympatię.

- Nasza Sally jest lojalna, ale nie aż tak. Nie, panienko, ta głupia dziewczyna nie płacze z powodu pana. Jest pewna, iż to, że żyrandol spadł, to sprawa samego szatana. Mówi, że tuż przed tym, nim urwał się żyrandol, w głębi korytarza widziała ciemno odzianą postać. Mój Boże, tu dzieje się tyle rzeczy, aż dziw, że udaje nam się utrzymać służbę w Cairncross.

Aleksandra zamarła. Krew w żyłach ścięła się jej z przerażenia.

- Czy służący już wcześniej widywali tę postać?

- Jest tu od lat, wciąż pojawia się i znika.

Aleksandra przesunęła dłonią po włosach, które zaczęły jeżyć się ze strachu. Chciała raz na zawsze zapomnieć o postaci spowitej w czarny welon.

- A co o tym myśli jego lordowska mość? - spytała cicho.

- Jego lordowska mość jest prawie nieprzytomny, wziął laudanum, panienko. Okropnie cierpi; jednak już na tyle przyszedł do siebie, by nam oświadczyć, że to wierutne bzdury. Zaprzecza, by z kimkolwiek rozmawiał. Mruknął tylko pod nosem, że dziś wszyscy spotykają w zamkowych korytarzach czarno odzianą postać.

- W tym względzie ma rację. - Aleksandra uniosła skraj długiej nocnej koszuli, by móc nadażyć za gospodynią.

- I kazał wezwać panienkę. Pomimo laudanum, bólu i tego wszystkiego, kazał przyprowadzić do siebie panienkę. -

Gospodyni odwróciła się i obrzuciła ją badawczym spojrzeniem. - To, co się wydarzyło w holu, jest bardzo dziwne. W

każdym razie biednej pokojówce nie wyszło to na zdrowie. Chociaż dostała tyle opium, nie przestaje bredzić o postaci, którą widziała.

- A jak się czuje lord Newell? - Aleksandra rozpaczliwie chciała zmienić temat. Pokojówka i jej widzenia zaczynały ją drażnić.

46

- Pan dzielnie się trzyma. - Pani Penrith uśmiechnęła się z przymusu. - Czasem miewa humory, ale nie należy do ludzi, którzy się nad sobą roztkliwiają.

Kiedy dotarły na miejsce, zastały Featherstone'a czuwającego pod rzeźbionymi, podwójnymi drzwiami sypialni Newella. Pani Penrith postawiła lampę naftową na starym chińskim kufrze podróżnym i dała znak Aleksandrze, by weszła do środka.

Featherstone obrzucił Aleksandrę spojrzeniem pełnym niechęci. Kiedy go mijala, szepnął cicho, żeby nie usłyszała go gospodyni:

- Ona chce go teraz ze sobą zabrać, a wszystko przez panienkę.

Aleksandra spojrzała na starego kamerdynera, nie wiedząc, jak się go bronić, nawet nie będąc pewna, jak rozumieć jego zagadkową uwagę. Na jego pomarszczonej twarzy nie dostrzegła złośliwości, lecz

gniew i rozpacz.

Minęła go bez słowa i weszła do pokoju Newella.

- Do cholery, czy nie można tego zrobić szybciej! - Dobięło ją z sąsiedniego pomieszczenia przekleństwo Newella.

Leżał na wznak na łóżku, nad nim pochylał się chirurg z igłą i nitką.

- Milordzie - rzekła, wchodząc do sypialni. Newell szybko odwrócił głowę, by zobaczyć, któż to taki. Nawet chirurg uniósł wzrok na chwilę i dalej zakładał szwy na muskularnym ramieniu Newella.

- Ach, panna Benjamin. Proszę wejść. Czekałem na panią. - Po zażyciu sporej dawki laudanum Newell mówił dość niewyraźnie, jakby z trudem. Wydawało się, że każde słowo sporo go kosztuje. Oczy miał błyszczące, przekrwione, malowało się w nich cierpienie. Widocznie dawka była niewystarczająca, by złagodzić ból.

Wskazał ruchem głowy fotel do robótek ręcznych, zabytek z ubiegłego wieku.

- Proszę spocząć. Niech będzie pani świadkiem, co robi ten rzeźnik. - Rzucił ponure spojrzenie chirurgowi, któremu zaczęły się trząść ręce.

Opadła na fotel, nie mogąc oderwać oczu od Newella. Na prześcieradle widniała wielka purpurowa plama, ręce chirurga też były unurzane we krwi. Stwierdziła łagodnie:

- Widzę, że jest pan w świetnej formie, milordzie, nawet jeśli ramię panu dokucza. Niewątpliwie to znak, że będzie pan żył.

- Jeśli przeżyję jego szycie. - Zwrócił się do młodego lekarza: - Do cholery, człowieku, jeszcze długo będziesz się guzdrał?

- Właśnie skończyłem, milordzie. - Chirurg uciął nici, fioletowe od gencjany. Osuszył ranę biegnącą zygzakami wzdłuż ramienia i zaczął ją owijać bandażami z gazy. Newell przyglądał się temu ze zniecierpliwieniem.

Po opatrzeniu rany i usunięciu zakrwawionych prześcieradeł, lekarz wziął swoją czarną torbę i powiedział:

- Zostawię pani Penrith instrukcje, jak się panem opiekować, i zajrzę rano. - Skinął głową i w tym momencie pojawił

się Featherstone, by go odprowadzić na dół.

Aleksandra, zostawszy sama z Newellem, poczuła się nieswojo. Naprawdę nie było powodów do obaw. W stanie, w jakim się obecnie znajdował, jego lordowska mość nie mógłby skrzywdzić nawet muchy. Jednak przyglądała mu się uważnie, poruszona jego bliskością, a jeszcze bardziej - falą ciepła, która ją zalała, kiedy siedziała przy jego łóżku.

- Bardzo pan cierpi? - spytała cicho.

- Bywało gorzej. Jutro pojawi się opuchlizna i będę wyglądał jak potwór.

- Proszę mi przypomnieć, bym odczekała dzień, nim przyniosę panu kwiaty. - Uśmiechnęła się lekko.

Ich spojrzenia się spotkały i lord Newell też się uśmiechnął. Było to zaledwie lekkie uniesienie kącików ust, ale stwierdziła, że to niezwykła chwila. Szczególnie że wiedziała, iż lord uśmiecha się równie często, jak przedstawiciele rodu Borgiów dawali jałmużnę.

- Cieszę się, że jeszcze się pani nie położyła i Penrith mogła panią przyprowadzić do mnie - rzekł, kładąc głowę na poduszce.

- Wcale nie byłam na nogach. Wyrwała mnie z głębokiego snu, o czym dobrze pan wie.

Znów się uśmiechnął, a po chwili z jego gardła wydobył się chichot.

Aleksandra też się roześmiała. Nigdy w życiu nie spotkała równie zuchwałego mężczyzny. Ale przynajmniej ujawnił, że kiedy nie zachowuje się jak tyran, potrafi być czarujący.

- Proszę nalać herbaty. Pokojówka zostawiła tacę na stoliku w pobliżu mahoniowego biurka. W górnej jego szufladzie jest srebrna butelka. Ją też proszę przynieść.

- Czyżbym była nie tylko guwernantką, lecz również pielęgniarką? - Nie czekając na odpowiedź, podeszła do czarnego metalowego stolika, znajdującego się obok biurka, i nalała filiżankę herbaty. Srebrną butelkę znalazła w górnej szufladzie, między wykrochmalonymi koszulami. Szuflada pachniała palczatką i mydłem. Miała chęć dotknąć śnieżnobiałych koszul, przekonać się, czy batyst jest rzeczywiście tak delikatny, na jaki wyglądał. Tęskniła za bliższym kontaktem z Newellem, chociaż zdawała sobie sprawę, że nie wolno jej mieć z nim nic wspólnego.

Cicho zamknęła szufladę i podeszła z powrotem do łóżka. W końcu dotarło do niej, że zupełnie nie tak wyobrażała 47

sobie ten pokój. Wcale nie przypominał pomieszczeń na dole. W pierwszej chwili pomyślała, że sypialnia Newella bardziej przypomina komnatę w pałacu, kiedy spoglądała na średniowieczne tapicerie w kolorach indygo, szkarłatu i złota, pokrywające wszystkie ściany. Każda z nich przedstawiała jedną z czterech pór roku. Wielkie łóżko z baldachimem, rzeźbione w liście dębu i żółędzie, stało na kamiennym podwyższeniu. Pokoju nie zmodernizowano.

Oświetlały go łojowe świece koloru kości słoniowej, grube jak ramię dorosłego mężczyzny. Na kominku płonął torf.

Podczas gdy w salonie pachniało nowym dywanem i pastą, w sypialni Newella unosiła się woń starego czerwonego wina, aksamitu i pajęczyn.

- Milordzie - powiedziała, podając mu filiżankę herbaty i butelkę.

Wziął butelkę, ale gestem dłoni podziękował za herbatę.

- To dla pani - powiedział i pociągnął długi łyk z butelki.

Zapadło milczenie. Popijała herbatę i zastanawiała się, dlaczego właściwie ją wezwał. Było rzeczą wyjątkowo niestosowną, by siedziała z nim sam na sam w jego sypialni, choć z drugiej strony nie tak bardzo. Nie stanowił zagrożenia z powodu dopiero co odniesionej rany; mimo wszystko czuła się przy nim dobrze, lepiej niż kiedy byli w bibliotece.

- Co pani sądzi o moim wypadku, panno Benjamin? Przypuszczam, że już słyszała pani najnowszą plotkę. - Znow pociągnął długi łyk z butelki i opadł na poduszkę. Jego urodziwą twarz wykrzywił grymas bólu.

- Słyszałam o pokojówce - powiedziała cicho.

- Płocha dziewczucha. Nigdy jej nie lubiłem, nawet nie pamiętam jej imienia. - Zamknął oczy. Okulary leżały na nocnym stoliku. Teraz, kiedy nie miał ich na nosie, stały się jedynie zwykłym przedmiotem ze złota i szkła.

Wypiła łyk herbaty i niemal zatęskniła za napojem z butelki, dodającym odwagi. Była to ostatnia rzecz, o której chciała rozmawiać, ale musiała coś powiedzieć. Zaczęła lekkim tonem:

- Zdaje się, że dziewczyna zobaczyła postać bardzo podobną do tej, którą ja widziałam na korytarzu.

- Zgadza się.

- Czy rzeczywiście ktoś tam był?

Otworzył oczy i spojrzał na nią. Aż się cofnęła na widok udręki, jaką dostrzegła w jego wzroku.

- Co by pani powiedziała, panno Benjamin, gdybym pani oświadczył, że tej nocy w holu rzeczywiście ktoś ze mną był? I że właśnie ten ktoś sprawił, że urwał się łańcuch, na którym wisiał żyrandol? To nie był wypadek. Co by pani powiedziała?

- Zastanawiałabym się, dlaczego... dlaczego stara się pan to utrzymać w sekrecie - odparła przyciszonym głosem.

- Jak zwykle rozumuje pani niezwykle logicznie. Niezwykle logicznie. A nawet w sposób naukowy. - Odwrócił

wzrok i jego twarz zastygła. - Nie rozwodzi się pani nad duchami i demonami, ponieważ jest pani racjonalistką, panno Benjamin, a nie dowiedziono istnienia takich rzeczy. Woli pani skupiać się na faktach. A faktem jest, że skłoniłem wszystkich do uwierzenia, że to, co mnie spotkało, to wypadek, chociaż zdecydowanie nie był to wypadek. - Wciąż jeszcze mówił niewyraźnie. - To wcale nie był wypadek.

- Kto to zrobił? - Przysunęła się bliżej do niego, zaniepokojona jego stanem fizycznym i psychicznym.

Pochylił głowę gestem ogromnego znużenia.

- Nie kto, tylko co.

- W takim razie co? - szepnęła, czując, jak dziwne wzruszenie ściska ją za gardło.

- Zło, panno Benjamin. To było Zło. - Uniósł głowę i spojrzał na nią, jego oczy przypominały śliczne niebieskie kamienie, błyszczące cierpieniem, jakie musiał znosić.

Aleksandra wyprostowała się w fotelu, zaskoczona jego odpowiedzią.

Jego twarz, tak przystojna i ściągnięta bólem, majaczyła w półmroku.

- Patrzy pani na mnie, jakby mi nie wierzyła, panno Benjamin.

- Cierpi pan. Dostał pan laudanum na uśmierzanie bólu.

- Tak. To logiczny wniosek. Tego się właśnie spodziewałem.

Spojrzała na jego potężną postać. Prześcieradło sięgało mu jedynie do bioder, dostrzegła skraj jego spodni.

Obnażony, muskularny tors porastały jasne włoski, teraz błyszczące od potu. Ten widok stanowił ucztę dla kobiecych oczu. Newell był piękny niczym młody bóg. Można by pomyśleć, że to Thor w całej swej furii leżał półnagi w sypialni jego lordowskiej mości.

A biło od niego Zło, o którym mówił. Zło, które równie dobrze mogło tkwić w pięknie, jak i w brzydocie.

Oblizwała spierzchnięte wargi, zdenerwowana tym, że chociaż znajdował się pod wpływem leków, zauważał każdy jej ruch.

- Manekin, który ustawiono w korytarzu, by mnie nastraszyć, nie był zjawą. To rzecz namacalna, tak realna, jak człowiek, który go ubrał.

- I tu zawodzi panią logika. Zło nie kryje się tylko w mroku ani w naszych umysłach. Jest realne, panno Benjamin.

Istnieje w wielu postaciach i w każdej postaci. Na przykład w postaci dziecka. - Oczy mu pociemniały; rysy 48

wyostrzyły się. - Kiedy dziecko zobaczy, jaką ucztę przygotowało dla niego Zło, może chcieć przysunąć sobie krzesło do stołu.

- Czy pan jest takim dzieckiem?

Spojrzał na nią; wytrzymała jego wzrok.

- Mogłem być... - odpowiedział wolno.

Poczuła ucisk w gardle. Nie mogła uwierzyć, że prowadzą tę rozmowę, nie mogła uwierzyć, że to prawda.

- Chce pan czynić zło? - Wstrzymała oddech. Zahipnotyzował ją, złapał w pułapkę swych słów.

- W złu tkwi siła. Taką siłą posłużono się wobec mnie. - Jego głos brzmiał teraz ostro i twardo. - Nigdy więcej na to nie pozwolę.

Wstała, serce waliło jej jak oszalałe.

- Posłużono się nią również wobec mnie, milordzie, ale nie szczycę się tym, że się z nim zetknęłam. Wzgardziłam złem i gardzę tymi, którzy je pielęgnują.

Dotknął jej ręki. Ta pieśczoła była delikatna, a obecność Newella zdawała się wszechpotężna i wszechogarniająca, jak uścisk jego dłoni.

- Takimi odpowiedziami ściągą pani na siebie klątwę - szepnął. - Nie wie pani, że coś mnie w pani pociąga. - Uczynił

to wyznanie z wahaniem, jakby siłą do niego zmuszony.

- Skoro już używamy metafor, milordzie, kim było to uosobienie zła, które widziała pokojówka? Co przedstawiało? -

Jej dłoń, jej usta drżały ze strachu.

Ujął ją za rękę i przyciągnął do siebie. Twarz miał jak wykutą w marmurze.

- Obawiam się, że widziano postać panny Pole.

Znieruchomiała. W pokoju zapanowała taka cisza, że aż dzwoniło w uszach. Musiał słyszeć, jak jej wali serce.

- To nie mogła być ona. Od dnia, kiedy stąd zniknęła, nikt o niej nie słyszał. Niektórzy nawet przypuszczają, że nie żyje.

- Istotnie.

- Chce mi pan powiedzieć, że pokojówka zobaczyła ducha?

- Tak się to określa.

- To niemożliwe. - Spojrzała na niego wielkimi oczami. Uświadomiła sobie, że jej głos stał się piskliwy.

- Dobry żyd nie wierzy w duchy. - Spojrzał na nią. - Dobry chrześcijanin też nie powinien w nie wierzyć. A jednak jest inaczej.

- Nieważne, czy jesteśmy dobrymi żydami czy dobrymi chrześcijanami. Można wierzyć w duchy albo nie. A ja w nie nie wierzę - wyszeptała tak roztrzęsiona, że nie zauważyła, że z każdą chwilą przyciąga ją bliżej do siebie.

- To pani wybór. Ma pani do tego pełne prawo.

Pokręciła głową.

- Powiedziano mi, że Urszula Pole zniknęła. Nawet pan nie może stwierdzić z całą pewnością, czy żyje, czy umarła.

Jeśli wierzy pan, że to ona stała z panem tam w holu, czy nie można wykluczyć, że wróciła? Czy nie mogła zniknąć, by teraz znów wrócić do zamku?

- Chce mi pani wmówić, że może przez nikogo niezauważona kręcić się po setce pokoiów w Cairncross?

- To całkiem możliwe. Ostatecznie była... - Aleksandra urwała i zamknęła usta. Zaskoczyła ją myśl, która jej przyszła do głowy.

Utkwił w niej wzrok, oplatał ją swym spojrzeniem jak pajęczą siecią.

- Tak. Tak.

- Przecież nie wie pan, co zamierzałam powiedzieć - odezwała się cicho, załęczona.

- Chciała pani powiedzieć, że wróciła tutaj, ponieważ miała obsesję na moim punkcie. - Podniósł się i ujął ją pod brodę. - Czy nie to chciała pani powiedzieć?

- Tak - wyrzuciła z siebie jednym tchem, poruszona tym, że aż tak potrafi czytać w jej myślach.

- I znów pani umiejętności rozumowania są wspaniałe, panno Benjamin. Uwzględnia pani wszystkie fakty i na tej podstawie wyciąga pani logiczne wnioski.

- Powinien pan nakazać przeszukanie zamku. Ona musi gdzieś tu być. Tyle tu skrzydeł i korytarzy. Wiem, że niektóre pomieszczenia zamku nie są używane. Kiedy się sprawdzi wszystkie pokoje, będzie można ją odnaleźć, a potem się jej pozbyć. Raz na zawsze.

- Czy zadała sobie pani pytanie, dlaczego chciała mnie skrzywdzić?

Spojrzała na niego, bo ją do tego zmusił, trzymając ją mocno pod brodę. Jego piękna twarz znajdowała się bardzo blisko, malujące się na „niej cierpienie tak silnie przemawiało do jej kobiecej, współczującej natury.

- Nie rozumiem, dlaczego miałyby pana krzywdzić. Może jest szalona...

- Nie - szepnął. Był tak blisko, że poczuła na swym policzku jego ciepły oddech. - Nie jest szalona, tylko zła. Ale 49

jest oczywistym złem, więc nie ma się co jej bać. Jest tylko małą kroplą z ogromnej ilości zła, które zatruwa całą naszą ukochaną ziemię. Chce mnie teraz zniszczyć ze względu na panią.

Aleksandra pokręciła głową, zbyt oszołomiona i przestraszona, by mówić.

Przesunął ręką po jej ciemnych włosach.

- Chce, żebym umarł, bo wtedy będę z nią...

- Ale przecież jeśli nie żyje i nawiedza te mury jako duch, jest z panem w każdej chwili - wykrztusiła, nie godząc się z jego tokiem rozumowania.

- Tak, ale teraz przeszkadza jej w tym pani. - Jego oddech stał się przyspieszony, urywany. Powieki mu ciążyły, patrzył na nią nieufnie, ale spragniony był jej widoku. Miał wzrok wilka na pustym wrzosowisku. - I wie, że pragnę...

pragnę... tego...

Przyciągnął ją do siebie i utkwiał w niej wzrok, czekając na coś - Wstręt, nienawiść, złość. Kiedy żadne z tych uczuć nie pojawiły się na jej twarzy, kiedy żadne z nich jej nie uratowało, wolno uniósł głowę, a ich usta się zetknęły.

Dotyk jego warg podziałał na nią jak prąd elektryczny. Na chwilę przyłgnęła do niego całym ciałem. Natychmiast chciała się cofnąć, ale obejmował ją za szyję. Przytrzymał jej głowę, a jego pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny, a usta twarde i bezlitosne. Nigdy nie podobał się jej kształt własnych warg; uważała, że są zbyt pełne, ale on zdawał się tym rozkoszować. Ulegała pod naporem jego zaborczości, stała się całkiem bezwolna, a on w pełni z tego korzystał.

Poczuła na swych zębach jego aksamitny język i coś ją ścisnęło za gardło. Coś w niej krzychało, by uciekała, by mu się wyrwała, by nie pozwalała temu mężczyźnie się dotykać. Ale chociaż kiedyś tak jej przypominał Briana, wiedziała, że nie jest Brianem. Nie całował tak, jak Brian. Zawsze sobie wyobrażała, że gdy już jej zranione serce się zagoi i jakiś inny mężczyzna spróbuje ją pocałować tak, jak ją całował Brian, przyjmie ten pocałunek bez emocji, bez zaangażowania. Pozwoli się pocałować, a potem oceni ten pocałunek tak bezlitośnie, jak Brian ocenił ją. Kierując się mściwością, wyobrażała siebie, jak beznamiętnie wydaje sąd o tym, co się dzieje. Pocałunek mężczyzny zostanie oceniony, wyśmiany i prawdopodobnie wzgardzony.

Ale nigdy nie przewidziała czegoś takiego.

To było coś zupełnie innego; wiedziała o tym, tak jak wiedziała, że serce wali jej w piersiach, jak wiedziała, że jej ojciec potrafił cytować Torę.

I z całą pewnością wiedziała to, kiedy jego lordowska mość John Damien Newell tak całkowicie odebrał jej rozum, że rozchyliła wargi. Z sercem przepełnionym trwogą i wdzięcznością, drżała, ale pozwalała, by do woli rozkoszował

się jej pocałunkiem. Ponieważ ona też go pragnęła; ponieważ nie było przed nim ucieczki.

- O Boże - szepnęła, kiedy oderwał usta od jej ust.

Ich oczy znajdowały się zaledwie kilka centymetrów od siebie. Była tak blisko, że czuła jego zapach, metaliczny zapach krwi, jego krwi, i tego czegoś, czym przesiąknięta była jego skóra. Czuła to teraz na swych ustach. To był

zapach mężczyzny, ale było w nim jeszcze coś, czego nigdy nie uda się wyodrębnić, oddestylować czy zanalizować, ponieważ było to coś, co należało tylko do niego. Elixir jego duszy. Teraz paliły od tego usta.

Odwróciła się, by uciec.

- Nie - powiedział, chwytając jej rękę.

- Nie powinien pan tego robić. Nie ze mną - wykrztusiła zawstydzona, wbijając wzrok w podłogę.

- Dlaczego nie z tobą? - spytał groźnie. Ujął ją pod brodę i przechylił jej głowę tak, że musiała mu spojrzeć w oczy.

Przypominały kawałki lazuru. Cierpienie, jakie w nich ujrzała, sprawiło, że zabrakło jej tchu. - Co sprawia, że myślisz, iż jesteś na to odporna?

- Jestem ponad to! - wykrzyknęła gniewnie.

- Ach, rozumiem. - Opadł na poduszki, twarz miał bladą i ściągniętą. Jednak nie puścił jej ręki. - Ze swoją dobrocią, układnymi manierami i wielkimi oczami przepełnionymi bólem. - Przyciągnął ją do siebie, nie mal zmuszając, by uklękła na materacu. - ...I tymi miękkimi różowymi ustami, dzięki którym mogłabyś zbić majątek tam, gdzie się obracałem.

Jęknęła i poczuła, że się czerwieni ze wstydu. Machinalnie zakryła wargi dłonią.

- Nie widzisz tego? Jesteś ponad to - szepnął, przyciągając ją jeszcze bliżej. - Nie wie pani, jak mnie pani kusi, skromna panno Benjamin? Nigdy nie miałem takiej kobiety. Pani prawość pociąga mnie i tak bardzo... - urwał

powtórzył z naciskiem ostatnie słowo: - ...tak bardzo chciałbym, żeby ta prawość należała do mnie, bym mógł ją kształtować według własnej woli.

Wyrwała się, przerażona jak zwierzę, które zwietrzyło niebezpieczeństwo. Było w nim coś groźnego, co już wcześniej dostrzegła. Jego słowa, jego zachowanie, jego niewytłumaczalne pożądanie zmroziły ją no szpiku kości.

- Zdeprawowała pana - szepnęła ochryple. - Pana i pańskiego brata. To nie pan mówi, tylko ona.

- Być może - stwierdził wesoło. - Ale przeszłość minęła i teraz jestem człowiekiem, który sam kieruje swoim losem.

50

Mówię to, co myślę.

Usta jej zadrżały, ale jej głos był silny, słowa treściwe.

- Nie będę pana kusiła, bo nie zabawię tu długo. Przyjechałam, żeby pomóc Samowi, a nie po to. - Spojrzała na dłoń trzymającą jej rękę.

- Mogła mnie pani spoliczkować i uciec, ale nie zrobiła pani tego - rzekł.

Nie miała odwagi na niego spojrzeć. Chciała powiedzieć, że podali tylko dlatego, iż tak bardzo przypomina jej Briana, mężczyznę, którego kochała, mężczyznę, który złamał jej serce. Ale nie mogła kłaniać. Newell już nie przypominał jej Briana i z całą pewnością już nie kochała Briana. Był tylko jeden powód, dla którego nie wzbraniała się Przed tym pocałunkiem: sama tego pragnęła. Zuchwalstwo i uroda Newella intrygowały ją. Ale to nigdy więcej się nie powtórzy, zapewniała sarną siebie, usiłując wyszarpnąć rękę.

- To zwykła pomyłka - powiedziała obojętnie, modląc się w duchu, by nie dostrzegł niepokoju w jej oczach. - Jest pan pod wpływem leków... proszę pamiętać o swoim ramieniu, milordzie.

Najwyraźniej nie wie pan, co pan robi, a ja dałam się zaskoczyć. - Przestała szarpać rękę i znieruchomiła. Cichym, gniewnym głosem powiedziała: - Więc proszę mnie puścić i zapomnimy, że to się kiedykolwiek wydarzyło.

Utkwił w niej wzrok. Twarz miał kamienną.

- Proszę mnie puścić - powtórzyła. - Nie wolno panu zapominać o swoim ramieniu, milordzie.

Kącik jego ust uniósł się w drwiącym uśmiechu.

- Tak, naturalnie, moje ramię.

- Musi pana okropnie boleć. Nic dziwnego, że nie może pan jasno myśleć.

- Tak. - Spojrzał na bandaż. Schrypniętym, lekko rozbawionym głosem powiedział: - Zabija mnie.

Poczuła się, jakby owionął ją zimny wiatr. Nie rozbawiła jej ironia zawarta w jego słowach. Myślała o Urszuli Pole i jego szalonym wytłumaczeniu przyczyn ostatnich wydarzeń. Pragnęła uciec. Uciec jak najszybciej.

- Powinnam wezwać lekarza. - Przeniosła wzrok z dłoni, którą ścisnął jej ramię, na jego drugą rękę. Na śnieżnobiałym bandażu pojawiła się jasnoczerwona cienka linia.

- Nie. Będę spał.

- Ale... musi pana... boleć... - Do oczu napłynęły jej łzy. Raz sprawiał, że śmiertelnie się go bała, po chwili zaś serce ją bolało, zdejmowała ją taka niewytłumaczalna żałość.

- Potrzebuję jedynie snu.

Aleksandra odniosła wrażenie, że Newell odsuwa się od niej zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Nagle się zmienił, czuła, że sam sobie wyrzuca własne zachowanie, tak jak wtedy w bibliotece, kiedy wpadł w złość i zapomniał o dobrych manierach.

- Może pani odejść, panno Benjamin. W przyszłości oszczędzę pani takich nocy. - Zamknął oczy i znów opadł na poduszki. - Laudanum spowodowało tę chwilę słabości. Nigdy więcej nie będziemy mówić o takich rzeczach.

- Dobrze, milordzie, ale co z Urszulą Pole? Czy mógł pan mieć rację? Czy to naprawdę ona była w holu? Czuję, że należy wezwać służbę, by przeszukała...

Otworzył oczy. Puścił jej rękę. Cofnęła się jak przed warczącym psem.

- Tego, o czym tu mówiłem, nigdy więcej nie powtórzę. Wyprę się, że kiedykolwiek coś takiego pani mówiłem. Ta noc, ta rozmowa nigdy nie miały miejsca, rozumie pani?

- Tak - odpowiedziała - Ale, milordzie, dlaczego...?

Ich spojrzenia się spotkały. Poczwała, że nogi majak z ołowiu; aż ją korciło, by ukryć twarz w dłoniach, by się osłonić przez nienazwanymi, a co za tym idzie, bardziej przerażającymi lękami. Wydawało jej się, lżę w jego oczach dostrzega zagubioną, rozdartą duszę, która nie wy- trzyma już długo. Przeraziło ją to, a zarazem wzruszyło. Serce jej się ścisnęło.

- Nie wierzy pani w duchy, prawda, Aleksandro?

Drżała, zdołała tylko skinąć głową.

- Oto więc, dlaczego. - Zamknął oczy i opadł na poduszki. Nie odezwał się więcej.

12

O, ja mam żale odmiennej natury,

Stokroć straszniejsze od zbrodni i kar.

Jeśli mej duszy chcesz zmniejszyć tortury.

O, użycz ucha spowiedzi mych skarg.

Zwól, jeśli nie mam przyjacielskiej dłoni,

Niech chociaż ucho się ku mnie nakłoni.

Crabbe Sala sprawiedliwości

C o robi pszczoła, kiedy krąży nad kwiatkiem? Bzzzz... - Aleksandra przesunęła palcem po ksylofonie.

Spojrzała na Sama, który siedział sztywno na ogrodowej ławce, nie patrząc na nią, raczej wyczuwając jej obecność i informując o tym napięciem mięśni. Od wypadku Newella minęło dziesięć dni. Aby odwrócić uwagę Sama od stanu 51

zdrowia brata, zaczęła go zabierać do ogrodu i tam stosować swoje metody terapeutyczne. Potem zawsze prowadziła go do Newella. W nagrodę za to, że jej ufał. Chociaż Newell gorączkował i nie był miłym towarzyszem, Sam znajdował pocieszenie w tych wizytach. Stosunki między nimi szybko się zacieśniały.

- Potrafisz tak zrobić, Sam? Bzzzz...? - Patrzyła na niego z nadzieją.

Sam się nie poruszył. Patrzył na nią jedynie takimi samymi błękitnymi oczami, jak jego brat, a potem przestał

uważać.

Westchnęła i spojrzała znużona na czarne paski na kraciastym kocu, na którym siedziała. To był jej pomysł, by zabrać Sama do ogrodu. Musieli się zaprzyjaźnić, ponieważ tylko wtedy na tyle jej zaufa, by mogła zacząć z nim pracować. Ale teraz miała wrażenie, że jej trudy są daremne. Była zmęczona i zdrętwiała, siedząc na trawie w swojej krynolinie. Poza tym ostatnio bardzo źle sypiała.

Całymi godzinami rzucała się na łóżku, myśląc o Newellu, rano wstawała znużona. Ale jeszcze gorsze były majaki, które nie dawały jej spokoju.

Duchy nie istniały. Tego była pewna. Samą ideę uważała za absurdalną. Nawet kiedy tamtej nocy wracała z sypialni lorda do swojego pokoju, nie odczuwała lęku przed duchami. Istniały tylko w umysłach dzieci i osób nie zrównoważonych psychicznie. Nie, jej wszystkie obawy i lęki związane były z Newellem. Było to tylko niejasne przypuszczenie, ale coś jej kazało wierzyć, że Newell skrycie toczy jakąś batalię. Dobro i zło zdawały się walczyć w jego sercu, ani jedno, ani drugie nie chciało wypuścić jego duszy ze swych objęć.

Przegrywał tę bitwę. I zaczął się godzić ze swoją klęską.

Ich rozmowa nie dawała jej spokoju jak cień nieistniejącej Urszuli Pole. Była przekonana, że z upływem czasu i w świetle poranka jej niepokój ustąpi, ale tak się nie stało. Ciągle się zastanawiała, dlaczego pozwoliła mu na pocałunek.

Czy sprawiła to jego uroda? Czy, co gorsze, skłoniła go do tego mroczna strona jego natury?

Nie chciała dociekać prawdziwych przyczyn. I dlatego o pierwszym brzasku zjadła śniadanie i

postanowiła zacząć pracować z Samem. Tak bezgranicznie odda się pracy, że już nigdy więcej nie pomyśli o Newellu. Zdobędzie zaufanie Sama, skłoni go do tego, by znów zaczął mówić, a potem spakuje manatki i wróci do Londynu, rozpoczynając nowe życie.

A jeśli dzięki niej Sam znów będzie mówił, być może lord Newell nawet da jej rekomendację. Być może uda jej się kontynuować dzieło ojca, chociaż formalnie nie miała do tego podstaw.

- Sam, chodź ze mną - powiedziała, biorąc go za rękę. Poczula, jak się cofa, ale trzymała go mocno, jakby ten potężny mężczyzna był kilkulatek, a ona chciała przejść przez ulicę, którą pędziły powozy. - Przejdziemy się wzdłuż ogrodzenia. Opowiem ci pewną historyjkę.

Zaprowadziła go do omszałego, kamiennego muru w miejscu, gdzie krzywo wisiała furka.

- Pewnego razu był sobie chłopiec. Miał na imię John Damien i przychodził tu ze swym bratem, żeby się bawić. Jego brat miał na imię Sam. - Uśmiechnęła się do niego, ukrywając rozczarowanie, że nie oddał jej uśmiechu. Przesuwając ręką po zmurszałym wapieniu, rzekła: - Bawili się tu w różne gry, bezpieczni w obrębie tego wysokiego kamiennego muru. Czasem psocili... - Schyliła się po garść zielonych orzechów laskowych, pierwszych, które w tym roku opadły ze starego krzewu. - Ale psoty to najlepsza zabawa, prawda? Ja też je lubiłam, kiedy byłam dziewczynką. - Spojrzała na niego, mając nadzieję, że to go zainteresuje. Z radością stwierdziła, iż tak jest. - Więc czasem dla zabawy John Damien rzucał orzechami laskowymi, by się przekonać, jak daleko rzuci...

Chciała wywołać jakieś dawno zapomniane wspomnienia, ale nie była pewna, czy zmierza w dobrym kierunku.

Bardzo mało wiedziała o chłopcach, a jeszcze mniej o ich figlach i zabawach.

- Rzucali więc nimi w stronę domu... - Rzuciła kilka z całej siły, ale ponieważ ruchy krępował jej mocno zasznurowany gorset, ledwo jej się udało przerzucić orzechy laskowe przez kamienny mur, nie było mowy o tym, by doleciały i odbiły się od okien zamku.

Nagle Sam ją pociągnął. Bała się, że czymś go przestraszyła, ale szybko się przekonała, że tak nie jest. Zaprowadził

ją do muru otaczającego ogród od strony południowej.

Wskazał w górę. Mur gęsto porastały glicynie.

- Co tam jest? Niczego nie widzę - powiedziała do niego, zmieszana, ale szczęśliwa, że w końcu prowadzą ze sobą swego rodzaju rozmowę, nawet jeśli Sam milczał.

Sam wskazał mur. W tym miejscu glicynie zdawały się szczególnie gęste. Z ziemi ledwo udało jej się dostrzec granitową łapę na samej górze.

- Coś tam jest. Masz rację, Sam. - Rozejrzała się po zarośniętym ogrodzie za drabiną. Niewyraźnie sobie przypominała, że widziała ją, porzuconą widać przez ogrodnika, który pielęgnował tych kilka akrów, ale nie mogła sobie przypomnieć dokładnie gdzie.

Sam zniknął za szpalerem dawno niestrzyżonych cisów. Jeszcze nie widziała związku między rzucaniem orzechami laskowymi a kamiennym stworem ukrytym za glicyniami, ale była pewna, że Sam dostrzegł taki związek. Będzie musiała zaczekać, aż uda mu się to wyjaśnić.

52

Sam wrócił z drabiną ogrodnika, która przy jego potężnej postaci Wydawała się niewielka. Aleksandra wzięła drabinę i oparła ją o wapienny mur. Miała nadzieję, że Sam się domysli i ją złapie, gdyby groził jej upadek. Wspięła się po drabinie i zaczęła ciągnąć grube, splątane pędy glicynii.

Ukazały się dwie granitowe łapy, jedna była porośnięta zielonym mchem. To pies, to musi być pies, myślała.

Zrywając glicynie poraniła sobie ręce do krwi.

Wkrótce ukazał się ciężki łańcuch wykuty w granicie. Zwisał z szyi zwierzęcia. Zerwała ostatni pęd, zakrywający je-go pysk, i omal się nie roześmiała. Była to szkaradna chimera, przykuta kamiennym łańcuchem do ogrodowego muru.

Przemknął obok niej orzech laskowy i odbił się od ociekającego śliną pyska chimery. Uderzył w psie zębiska, a potem spadł na ziemię.

Odwróciła się na drabinie, żeby zobaczyć, kto rzucił orzechem. Okazało się, że Sam. Ciesząc się jak dziecko, zbierał

orzechy leżące pod leszczyną i biegł w kierunku chimery, by w nią rzucać.

Uchyliła się, podziwiając celność jego rzutów. Trafił chimere prosto między oczy. Aleksandra po bliższym przyjrzeniu się zobaczyła, że na granicie są setki rys i wgłębien w miejscach, gdzie przez lata był bombardowany.

Zeszła z drabiny i przyłączyła się do zabawy. Zbierała orzechy laskowe i żołędzie do spódnicy i pozwalała rzucać Samowi. Samuel trafiał celnie i Aleksandra śmiała się na głos, kiedy orzechy stukały w pysk groteskowego stwora.

- Bawiłeś się tak z Johnem Damienem, prawda? - spytała.

Sam nie odpowiedział, tylko dalej obrzucał chimere.

Znów zebrała trochę orzechów i żołędzi. Samuelowi ta zabawa najwyraźniej sprawiała ogromną przyjemność.

Nagle z jego ust wydobył się jakiś dźwięk.

- Bzzzzz...

Aleksandra umilkła. Nie śmiała mieć nadziei. Utkwiła wzrok w Samie.

- Bzzz... - powiedział, wskazując chimerę.

Serce jej waliło ze szczęścia. W końcu udało jej się sprawić, by wydał z siebie jakiś dźwięk. Próbował mówić.

Wreszcie udało jej się przełamać dzielącą ich barierę.

- Bzzzeb - powiedział w końcu.

Miała ochotę zarzucić mu ręce na szyję i go uściskać, a potem skakać na ogrodowych ścieżkach. Nie obchodził jej cały świat. Samuel próbował mówić. Jej metody przyniosły skutek. Biedny Sam próbował wrócić do rzeczywistości.

W milczeniu obserwowała, jak Sam zmaga się z dźwiękami. Początkowo myślała, że w końcu zainteresował się tym, co robili na początku lekcji, i naśladował bzyczenie pszczoły, ale kiedy uparcie pokazywał na chimerę, doszła do wniosku, że chodzi mu o coś innego. Słuchała, lekko zmarszczywszy czoło.

- Bzzzbb... - powiedział wolno, z namaszczeniem Sam.

- Bezzzeb... - powtórzyła, próbując rozpaczliwie zrozumieć, co mówi.

- Beelzzzb... - spróbował znowu, wskazując uparcie potwora wykutego w kamieniu.

- Belzebub - powiedziała cicho, groźnie, otwierając szeroko oczy na widok ulgi malującej się na twarzy Sama. -

Belzebub. - Wpatrywała się z nienawiścią w chimerę.

- Bzzzebub - powtórzył Sam, ciskając kolejnym żołędziem w jego wykrzywiony pysk.

- Tak to nazwaliście razem z bratem? Belzebub? Imieniem władcy piekieł?

Sam skinął głową i znów rzucił żołędziem. Ale teraz patrzył na nią nieufnie, jakby znów się jej bał, jakby myślał, że się na niego gniewa.

Wzięła dwie pełne garście orzechów laskowych i rzuciła nimi w chimerę, jakby chcąc udowodnić, że jest po stronie Sama. Obserwował ją z powagą, jakby oceniając, czy jest dobra, czy zła, zupełnie tak jak pies, który kiedyś obserwował ją w londyńskim parku. Nagle się uśmiechnęła, wzięła jego żołędzie i znów rzuciła nimi w chimerę.

Odprawiwszy te egzorcyzmy, roześmiała się i zobaczyła, że Sam też się do niej uśmiecha. A przynajmniej prawie uśmiecha. Był to uśmiech jego brata. A właściwie półuśmiech, w którym unosił się tylko jeden kącik ust, jakby tylko w połowie jej ufał.

- Belzebub! - krzyknęła, mając nadzieję, że po niej powtórzy.

- Belzebub - powiedział, przyglądając się jej tak, jak dziecko patrzy na Puncha i Judy.

- W ten sposób obaj nie pozwalaliście mu wejść do ogrodu, prawda? - spytała go.

Sam skinął głową. Roześmiała się, teraz wiedząc, dlaczego to miejsce było takie cudowne. Ponieważ dzieci naiwnie wierzyły, że na murze siedzi diabeł i nie może wejść do środka. Nie został zaproszony. Wyobrażenie chimery, przycupniętej niepewnie na murze prawości, było tak silne, że Aleksandra mogła niemal przysiąc, że gdyby odłamać fragment granitu, rozsypie się, nim dotrze do ziemi. Chimera nie miała wstępu do ogrodu. Była w nim skazana na zagładę.

Aleksandra uścisnęła rękę Sama. Bojaźliwy, opóźniony w rozwoju olbrzym jakby nagle zniknął. Tam, gdzie wcześniej widziała wysokiego mężczyznę, który ją przytłaczał, teraz widziała jedynie małego chłopca, jakim kiedyś 53

był, może niezbyt bystrego, ale na tyle rozgarniętego, by wiedzieć, że kiedy diabeł puka do drzwi, nie należy mu otwierać.

- Belzebub - szepnęła. Imię to budziło w niej wstręt, ale zarazem niemal je pokochała, ponieważ strach Sama przed księciem ciemności sprawił, że zaczął mówić.

- Belzebub - powtórzył wolno, patrząc na nią oczami, z których zniknął lęk.

*

Ona kroczyła w świetle, on - w mroku. Ona wyrosła w stałości Starego Testamentu, on - w gwałtowności Nowego.

Albo musi ją zostawić w spokoju, albo liczyć się z tym, że ją zniszczy.

Damien stał przed furtką ogrodową i nie posiadał się z radości, że jego brat po dwudziestu latach wypowiedział

pierwsze słowo. Chociaż się nie odwróciła i go nie widziała, Damien widział ją. Wpatrywał się w Aleksandrę przez dłuższy czas i wiedział, że jest aniołem zbawienia, który przybył, by uratować Samuela.

A jego potępić.

Myśląc o niej, zacisnął zęby. Nigdy nie spotkał kobiety lepszej, mądrzejszej i odważniejszej od niej. Pragnienie, by zdobyć kogoś takiego jak ona, sprawiało potworny ból. Pożądanie, które czuł, było silne i bezlitosne. Chęć zniszczenia tego, co było tak do niego niepodobne - przemożna.

Ale podjął słuszną decyzję. Musi wyjechać. I to natychmiast. Albo będzie świadkiem, jak sytuacja się diametralnie zmienia. Aleksandra może mu zacząć być potrzebna.

Ta myśl wywołała w nim znajomy lęk. Nie ufał kobietom. Jego matka przestała się interesować synami właściwie zaraz po położeniu. A potem pojawiła się Urszula, od niej najwięcej się nauczył o kobietach. Odczuwał do nich pociąg fizyczny, ale im bardziej były upadłe, tym bardziej mu odpowiadały. Wmówił sobie, że potrzebne mu są tylko do zaspokojenia prymitywnego pociągu płciowego, bo tak mu było wygodniej. Pożądanie było początkiem i spełnieniem, a tego rodzaju kobiety nie miały dużych wymagań. Nie błagały o miłość, kiedy znał jedynie nienawiść. Nie prosiły o światło w mroku. Nie wyciągały rąk i nie prosiły, by zostać jedynym strażnikiem jego słabości.

Ale wiedział, że ta kobieta tego zażąda. Aleksandra Benjamin już zmusiła go, by znalazł w sobie serce i duszę. I nawet teraz, chociaż milcząc krzyczał, że na próżno ich szukać, to, co ujrzał w jej oczach, przeczyło temu.

Musi więc wyjechać. Niczym senna zmora prześladowało go wspomnienie owej nocy, kiedy przyszła do jego sypialni. Ze zdumieniem stwierdził, że ją polubił, że ją szanuje. Ale co najgorsze, pociągała go. A nie znał łagodności wobec kobiet tam, gdzie istniał pociąg fizyczny. W sytuacjach intymnych przyjemność sprawiało mu zadawanie bólu.

Zawsze starał się z całych sił, by trzymać się z dala od kobiet takich jak Aleksandra, łagodnych istot, które łatwo można było zniszczyć brutalnością. Ale w rzeczywistości trzymał się od nich z daleka nie przez wzgląd na nie, a raczej z uwagi na siebie. Żadna kobieta nie zmusi go, by otworzył przed nią serce. Ponieważ nie wiedział, czego się bardziej lęka; tego, że się okaże, iż jego serce jest czarne i puste; czy tego, że może w nim nadal tkwić ów mały chłopiec, jakim kiedyś był, chłopiec, który kochał i w zamian pragnął miłości. Ogarniały go mdłości na samą myśl, że gdzieś w głębi nadal pozostał wrażliwy i tylko czeka na to, by pojawiła się kobieta i skazała na mękę ostatecznej egzekucji.

Nie, powiedział sobie patrząc na swego brata, który starał się, jak mógł, uśmiechnąć do Aleksandry. Zostawi tę kobietę w spokoju i wyjedzie z Cairncross.

Bo jeśli zostanie, może zbyt polubić Aleksandrę Benjamin. I aby się ratować, może być zmuszony zabrać ją z sobą w wędrówkę pośród cieni.

*

Jakiś hałas sprawił, że Aleksandra odwróciła głowę. Daleko od nich, przy furtce, obserwując ich, stał Newell.

Przypominał własnego ducha. Twarz miał ściągniętą i bladą. Ręka zwisała mu bezwładnie wzdłuż ciała i nawet wspaniale skrojony czarny surdut nie mógł ukryć faktu, że sprawiała mu ból. Ale też dostrzegła blask bijący z jego oblicza. Otwartość. Po wyrazie jego twarzy poznała że słyszał, jak Sam mówi.

- Milordzie! - zawołała do Newella, obawiając się podbiec do niego i dzielić jego radość, szczególnie po tym ich nieszczęsnym spotkaniu przed prawie dwoma tygodniami.

Newell skinął jej głową i przez dłuższą chwilę patrzył na nią.

A potem odszedł od furtki.

Nagle dotarło do niej, że miał na sobie strój podróżny.

Szybko przebiegła ogród, pragnienie spotkania z nim z każdym krokiem stawało się silniejsze. Jego obietnica, że nigdy więcej nie będzie mówił o duchach i ciemnościach spowijających zamek, zaniepokoiła ją teraz bardziej niż przedtem. Chciał dotrzymać tej obietnicy i dlatego wracał do Londynu. Wiedziała to.

Uniosła spódnicę i pobiegła w stronę zewnętrznego ogrodzenia, za którym czekał powóz. Kiedy dotarła do bramy, Featherstone akurat zamykał drzwiczki. Powóz ruszył, mignęły jej w oczach tylko zasłonki z rubinowego aksamitu.

Poczuła się, jakby była tylko bezdomnym włóczęgą, a pasażer powozu - udzielnym władcą.

- Panienko, jego lordowska mość wyjechał do Londynu. Zostawił dla panienki instrukcje. Czy mam je przynieść do 54

ogrodu? - Featherstone jak zwykle patrzył na nią z góry, ale z jego pomarszczonej twarzy zniknęła wrogość.

Wydawało się, że trochę więcej jej ufa teraz, kiedy jakiś czas spędziła w zamku. Nagle zaintrygowało ją, cóż takiego mu zrobiła Urszula Pole, że stał się taki zgorzkniały.

- Tak. Przynieś mi do ogrodu. Zostawiłam tam Sama. - Po raz ostatni spojrziała za znikającym powozem. Błyszczące, czarne lando Newella oddalało się szybko. Ciekawa była, kiedy znów zobaczy Johna Damiena Newella. I serce jej się ścisnęło dziwnym bólem na myśl, że może już nigdy.

23 czerwca 1858

Droga panno Benjamin!

Nie powinno pani zdziwić, że postanowiłem wrócić do Londynu. Nie mogę pani pomóc w zajęciach z Samem, prawdę mówiąc uznałem, że mogę jeszcze przeszkadzać. Wiem, że mu pani pomoże. Znów będzie mówił, jeśli znajdzie się ktoś cierpliwy i dobry. Pani taka jest.

Powierzam Sama pani opiece i temu miejscu. Może niedobrze, że tu mieszka, jednak zamek to jedyny dom, jaki potrafi ogarnąć jego prosty umysł. Znajduje się w pułapce dzieciństwa. Dlatego też nie mogę go siłą zabrać z tego domu w obawie, że może to źle na niego wpłynąć.

Może już nigdy się nie zobaczymy, panno Benjamin. Jeśli mam być szczery, chyba bym to wolał. Ale chcę, żeby zawsze, kiedy pani o mnie pomyśli, pamiętała pani o jednym: Tutaj również cnota jest nagradzana.

Szczerze pani oddany

Damien

Poczuła, że po twarzy płyną jej łzy. Zarośnięty ogród, który jeszcze przed chwilą wydawał się oazą szczęścia, teraz stał się tylko opuszczonym, zaniedbanym miejscem. Aleksandra raz jeszcze przeczytała list Newella.

Wyjechał. Nie chciał jej więcej widzieć. Czowała się tak, jakby wziął jej serce i ścisnął, jakby je pozbawił życiodajnej krwi. Pozwoliła mu się pocałować, chciała, żeby ją pocałował, a teraz ją zostawił. Wolał obejść się bez niej, jak Brian.

Poczuła na swoim ramieniu czyjąś dłoń. Uniosła wzrok i zobaczyła, że to Sam. Gdy dostrzegł jej łzy, na jego twarzy ukazał się lęk.

Poklepała go po dłoni i pomyślała, jak bardzo jest podobny do brata. W świetnie skrojonych spodniach z zielonego sztruksu i w czarnej marynarce w kratę mógł uchodzić za bliźniaka Newella.

Ale nie był kopią Newella. Szczególnie kiedy się pochylił i dotknął palcami łez na jej policzku, jakby to były brylanty.

- Czy ona nigdy nie płakała? - spytała ni w pięć, ni w dziewięć. Nie spodziewała się odpowiedzi, bo już podejrzewała, że Urszula Pole była zbyt nieczuła, by ronić łzy. - Twój brat wrócił do Londynu. - Wyciągnęła chusteczkę z rękawa sukni i osuszyła nią twarz. - Uważa, że lepiej, byśmy pracowali bez przerw, i zgadzam się z nim. -

Wydmuchała nos i nagle poczuła wstręt do samej siebie. Niewątpliwie Newell uznał, że ma jak na damę za duży nos. I prawdopodobnie wyśmiewa się z jej kręconych kasztanowatych włosów i jej niezręcznych prób ich poskromienia.

Krew pulsowała jej w żyłach, a potem przemieniła się w lód. Nie, nie będzie karała samej siebie, jak to zrobiła, gdy odepchnął ją Brian. Jest wystarczająco dobra dla każdego, powiedziała sobie w duchu, ponieważ jest córką człowieka, który pomagał głuchym mówić. Jest córką człowieka, który kochał swoją żonę. Jest córką człowieka, który wie- dział, co to współczucie i honor. Przyjechała do tego zapomnianego przez ludzi i Boga miejsca, by pomóc mężczyźnie, który teraz stał obok niej. O tak, jest warta każdego, a świat niech będzie przeklęty.

- Ale jestem niemądra - powiedziała lekko, podparła się na rękę i wstała. - A teraz wracajmy do pracy. Muszę ci powiedzieć, Samuelu, że jeśli dalej będziesz robił takie postępy, w grudniu będziesz mówił. Wtedy ty i... - urwała. - Ty i jego lordowska mość będziecie święcili najbardziej radosne święta Bożego Narodzenia.

- Dam'en - powiedział mężczyzna, spoglądając żałośnie w stronę furtki.

- On wróci. Nie smuć się. On cię kocha. Samie. - Ujęła rękę olbrzyma i powiedziała cicho: - Wykonam swoją pracę, a kiedy skończę, on wróci.

- Kocham... - powiedział Sam, do jego niebieskich oczu napłynęły łzy.

- Tak. Miłość... - szepnęła, ale nie mogła dokończyć.

Aleksandra z trudem wspinała się po stopniach wysokich schodów do swego pokoju, jakby na górze czekała na nią gilotyna. Napiła się herbaty z Samem w bawialni i chociaż było miło, czuli się, jakby spowijał ich całun. Newell wrócił

do Londynu. Cała służba rozprawiała o jego niespodziewanym wyjeździe z Cairncross, szczególnie w świetle jego wypadku sprzed dziesięciu dni. Nie powinien jeszcze podróżować, jęczała pani Penrith, poleciwszy pokojówce, by przyniosła tacę z herbatą.

Samuel już za nim tęsknił. Widziała to na jego chmurnej, niewinnej twarzy. Sytuacja była całkiem niewesoła: Newell nie mógł znieść pobytu w Cairncross, a jego brat nie uznawał żadnego innego miejsca, poza zamkiem, za swój dom.

Powinien zostać u boku swego brata, myślała, przyglądając się smutnej twarzy Sama, pamiętając, jak wypatrywał powozu Newella. Serce jej się ścisnęło, kiedy widziała, jak Sam szuka brata, którego tu nie było, ale wiedziała, że póki 55

John Damien nie upora się ze swoją przeszłością, nigdy nie zabawi w Cairncross zbyt długo.

Coś jej mówiło, że tak jest najlepiej. Rozprawiając o duchach i złu, John Damien Newell udowodnił, że nie należy do tego rodzaju mężczyzn, jakich obecności kobieta może sobie życzyć. Ich pozycja społeczna praktycznie rzecz biorąc przekreślała szansę małżeństwa. Tym razem Aleksandra już nie była taka naiwna, by uwierzyć, że uczucie i pocałunek o północy mogą się zakończyć czymś pożądanym.

Jednak nie mogła przestać o nim myśleć nawet teraz, gdy wyjechał. Musiała przyznać, choć czyniła to niechętnie, że opłakiwała jego nieobecność, tak jak Sam. Tamtej nocy, kiedy poszła do jego sypialni - a nawet wcześniej, w bibliotece - wyczuwała, że jest mu potrzebna, ale nie rozumiała dlaczego. Teraz zrodziły się w niej dziwne podejrzenia, że wyjechał z Cairncross, bo chciał jej czegoś oszczędzić. Ale teraz odkryła, że może wcale nie chciał, by jej tego oszczędził. Pragnęła jego obecności, nawet jeśli się to wiązało z odkrywaniem demonów.

Dotarła na swoje piętro pogrążona w depresji i melancholii. Drzwi do jej sypialni były otwarte i pomyślała, że w środku może jest pokojówka, ale kiedy stanęła na progu, przekonała się, że pokój jest pusty. Ogień na kominku zgasł; Mary nie przyszła na górę i nie sprawdziła, że należy dołożyć torfu.

Z miejsca, w którym stała, rozejrzała się po sypialni zalanej światłem letniego zmierzchu. Pokój zdawał się wypełniony eteryczną mgiełką. Aleksandra odruchowo skierowała się do sali lekcyjnej. Stamtąd docierało światło.

Drzwi znów zostawiono otwarte, przez uchylone okiennice wpadał blask, tworząc na podłodze długie, jasne smugi.

Była pewna przynajmniej jednego: to nie Sam tu był.

Rzuciła szal na łóżko i podeszła do drzwi sali lekcyjnej. Dawniej nie była taka lękliwa, ale teraz się

zmieniła.

Aleksandra, która przyjechała do Cairncross zaledwie kilka dni temu, nigdy nie widziała potwornej postaci, przebranej za kobietę, w ciemnym korytarzu na dole. Nie dostrzegła w nim zła. Nawet teraz była głucha na wszelkie tłumacze -

nia, że to tylko manekin krawiecki z artystycznie udrapowanym szalem.

Wchodząc do pokoju do nauki, poczuła na plecach zimny dreszcz. Pomieszczenie znów niedawno wysprzątała jakaś służąca, która nie miała prawa protestować. Pokój wydawał się niemal przyjemny, kiedy do środka wpadały ostatnie promienie słońca, orzech i mahoń lśniły, świeżo pociągnięte warstwą wosku.

A jednak nadal było tu coś odpychającego. I w żaden sposób nie potrafiła tego wytłumaczyć. Może to stolarze pierwsi rzucili urok na to pomieszczenie. Aleksandra zawsze odnosiła wrażenie, że podłoga w pokoju do nauki nie jest tak równa, jak w pozostałych salach zamku. Deski biegły w różne strony, choć trudno było zauważyć to na pierwszy rzut oka. Za każdym razem, kiedy wchodziła do tego pokoju, ogarniały ją okropne zawroty głowy. Wydawało jej się, że podłoga ucieka jej spod nóg. Traciła równowagę. Poczula się bezbronna. Miała ochotę natychmiast stąd wyjść.

Rozejrzawszy się uważnie, stwierdziła, że wszystko jest w porządku, że wszystko stoi na swoim miejscu, jedynie jakaś niestaranna sprzątaczką zostawiła uchylone drzwi.

Coś kazało jej przystanąć i po raz wtóry zlustrować pokój. Zobaczyła, co się zmieniło i co ją zaniepokoiło. Dziwnie wystraszona wpatrywała się w stojącą naprzeciwko biblioteczkę.

Zniknął egzemplarz powieści *Ivanhoe*.

13

Na świętego Dunstana, to nie Żydówka, ale istny anioł z nieba!

O Rebecce z *Ivanhoe*

Aleksandra nie wierzyła w duchy. Nawet po zniknięciu książki nie chciała dać wiary w istnienie mocy nadprzyrodzonych. Wszystko, nawet to, co się działo w Cairncross, można racjonalnie wytłumaczyć. Nie umiała jednak pogodzić się z jednym: że zniknęła akurat ta, a nie inna książka. Powieść *Ivanhoe* tyle dla niej znaczyła, wywarła na nią ogromny wpływ. Cierpienie Rebeci było jej cierpieniem, ale przecież nikt nie mógł o tym wiedzieć.

Ani Mary, ani jej ojciec nie wiedzieli, ile znaczył dla niej *Ivanhoe*.

W nauce nie ma zbiegów okoliczności. Ale tutaj istniały dziwne zbieżności, za każdym razem, kiedy ogarniała ją panika.

Od tamtej przełomowej sceny w ogrodzie Samuel robił postępy i teraz cieszy się na ich wspólne zajęcia niemal tak samo jak ona. Z każdym dniem darzył ją coraz większym zaufaniem. Pewnego razu

tuż po przebudzeniu Aleksandra usłyszała jakieś szuranie za drzwiami do swej sypialni. Otworzywszy je, ujrzała bukiet zwiędniętych nasturcji przewią-

zanych kawałkiem konopi. Gdy spotkała się z Samem na herbacie, pokazała mu kwiaty, a potem pocałowała go w policzek. Patrzył na nią, jakby w całym swym dotychczasowym życiu nie spotkał nikogo takiego jak ona. I chyba rzeczywiście tak było.

Wydarzyło się jeszcze coś i Aleksandra wiedziała, że będzie musiała powiedzieć o tym Newellowi, kiedy znów się tu pojawi. Stało się to pewnej nocy, kiedy burza targała wrzosowiskiem, niczym szczotka do szorowania w rękach zbyt energicznej pomywaczki. Aleksandra miała kłopoty ze snem, wciąż myślała o Newellu. Postanowiła zejść na dół i znaleźć w bibliotece coś do czytania.

Naturalnie w pokoju do nauki stały książki, mogła sobie coś wybrać - były tam wszystkie powieści historyczne Waltera Scotta, z wyjątkiem Ivanhoe - ale nie mogła się zmusić do wejścia do sali 56

lekcyjnej, odkąd stwierdziła brak powieści, a tamtej szczególnej nocy, kiedy była niespokojna, zaprzątnięta rozmy-

ślaniami o swych niewesołych widokach na przyszłość, z całą pewnością nie zamierzała zapuścić się do dawnego pokoju do nauki.

Zeszła głównymi schodami ze świecą w rękę, bo lampy gazowe były przykręcone, a służba udała się na spoczynek. Z

dołu dobiegał ją jeszcze gwar rozmów pomywaczek kończących szorowanie rondli. Jakaś służąca pojawiła się na półpiętrze i zaczęła wchodzić po schodach. Początkowo Aleksandra nie zwróciła na nią uwagi. Odnosiło się wrażenie, że w zamku kręci się wiele kobiet, pomywaczek i pomocy kuchennych, pokojówek i sprzątaczek. Ta niczym się od nich nie różniła w swojej czarnej sukience z serży. Ale coś trudnego do określenia, coś niezależnego od jej woli kazało Aleksandrze zatrzymać się na stopniu i spojrzeć na kobietę.

Minęła Aleksandrę bez słowa. Dopiero później Aleksandra sobie uświadomiła, że kobieta nie miała na sobie czepka wskazującego na to, jakie obowiązki wykonuje w domu, ani nie raczyła odpowiedzieć na pozdrowienie Aleksandry, co stanowiło poważne uchybienie, albowiem guwernantka stała w hierarchii jeszcze wyżej od gospodyni. Ale wtedy Aleksandra nie zwróciła na to uwagi. Natomiast uderzyła ją twarz kobiety. Służąca odznaczała się wyjątkową urodą, jej twarz była jakby wyrzeźbiona w marmurze, całkowicie nieruchoma. Aleksandra nigdy wcześniej nie widziała u nikogo tak nieruchomej twarzy. Nawet oczy jej nie błyszczały. Były matowe, jakby z kredy, i na niczym się nie skupiały; wydawało się, że niczego nie widzą albo - co gorsza - że widzą wszyst ko. Tylko raz zwróciły się na Aleksandrę, ale Aleksandra wiedziała, że nigdy nie zapomni ich wyrazu. Kiedy mijały się na schodach, kobieta nie odpowiedziała na jej pozdrowienie i Aleksandra poczuła na sobie spojrzenie pustych, złowrogich, strasznych oczu.

Oparła się o poręcz, nagle spłoszona jak łania, gdy usłyszy trzask gałązki na polanie. Nogi jej wrosły w ziemię; bała się pójść za kobietą i spytać, kim jest. Mogła tylko za nią patrzeć, jak wchodzi po schodach i znika w mroku na górze.

Dopiero wtedy zwróciła uwagę na jej rude włosy.

Nie powiedziała Mary o tym wydarzeniu. Nazajutrz od niechcienia spytała Featherstone'a, czy w zamku są jakieś rudowłose służące. Okazało się, że nawet dwie. Aleksandra знаła je obie, ale żadna z nich nie była tą, którą widziała na schodach.

*

- Jest panienka tutaj prawie dwa miesiące. - Słowa pani Penrith zawisły w powietrzu jak siatka pajęczna. Nalała herbaty ze srebrnego imbryka i podała Aleksandrze porcelanową filiżankę. W ciągu tygodni po wyjeździe Newella kobiety trochę się zaprzyjaźniły, za co Aleksandra była wdzięczna, czuła się bowiem w Cairncross zupełnie samotna.

- Czasem odnoszę wrażenie, że znam to miejsce zaledwie od kilku dni, a kiedy indziej... - Aleksandra nie dokończyła. Ustawicznie rozmyślała o Newellu, a nie widziała sensu w ujawnianiu tego przed sobą czy gospodynią.

- Myślałam, że będzie gorzej. - Pani Penrith uśmiechnęła się, naprawdę polubiła nową guwernantkę.
- Jest panienka bardzo dobra dla Sama. Wydaje mi się, że nasz chłopiec darzy panienkę sympatią.

- To cudowne obserwować, jak wraca do życia, odkrywać jego niektóre uczucia. Spodziewam się, że do Bożego Narodzenia powinien już mówić całkiem dobrze. Trudno mi będzie się z nim rozstać.

- Ależ panienko, chyba nie opuści nas panienka tak szybko?

- Wie pani, że nie przebywam tu właściwie w charakterze guwernantki. Lord Newell zatrudnił mnie, żebym pomogła Samuelowi odzyskać mowę. Kiedy to się stanie, moja rola się skończy. - Aleksandra wypita łyk herbaty, patrząc w zamyśleniu na dęby rosnące pod oknem saloniku pani Penrith. Liście zaczynały żółknąć. Czas mijał szybko.

- Czy jego lordowska mość naprawdę uważa, że taki szybki wyjazd jest wskazany? - spytała pani Penrith, nie ukrywając zdziwienia.

- Obawiam się, że nie zobaczę lorda Newella, by to z nim omówić. Myślę, że wyjadę przed jego powrotem. -

Wypowiedziawszy te słowa, poczuła w środku pustkę. Już zaczęła szukać różnych możliwości zatrudnienia, jedna odpowiedź przyszła akurat tego ranka. Trzynastego stycznia odwiedzi swego przyszłego ewentualnego chlebodawcę.

Tym razem ubiegała się o posadę guwernantki. Ale nie chciała o tym myśleć.

- Naprawdę uważam, że Samowi trzeba poświęcić więcej czasu. I tak dobrze się tu panience układa ze wszystkimi.

Nie było żadnych przykrości ze strony... - Pani Penrith gwałtownie urwała.

- Ze strony panny Pole? - Aleksandra wypiła łyk herbaty, nie wiedząc, jak poruszyć temat spotkania z kobietą na schodach. - Wie pani, wydaje mi się, że ją widziałam. A przynajmniej widziałam kobietę, która wyglądała tak jak ona dwadzieścia lat temu. Kobieta, którą widziałam, nie miała siwych włosów ani zmarszczek na twarzy, więc mało prawdopodobne, żeby to była dawna guwernantka. A jednak...

- Widziała... ją... panienka? - Pani Penrith zbladła.

- Tak. Na schodach.

- Dlaczego nic panienka o tym nie powiedziała? - spytała gospodyni ostrym tonem.

- Trochę czasu trwało, zanim ustaliłam, że to nie służąca. Myślałam, żeby napisać list do lorda Newella, że mam dowód, iż dawna guwernantka wróciła do zamku, ale nie znalazłam nic konkretnego. Poza tym przypuszczam, że on 57

wie, co się tu dzieje. Jeśli Urszula w swym szaleństwie w jakiś sposób tu wróciła i dostała się do zamku, to oczywiste, że właśnie ona mogła być przyczyną wszystkich nieszczęść, prawda?

- Och, panienko, panienko... - lamentowała pani Penrith.

- Powiedziałabym o tym wcześniej, ale nie widziałam sensu w straszeniu wszystkich, szczególnie w sytuacji kiedy jestem pewna, że nigdy jej nie odnajdziemy. Jest tu tyle pomieszczeń, w których może się ukryć, ona ma wielki wybór.

Cóż, prawdopodobnie przychodzi tu, kiedy chce, a jeśli pomaga jej jakiś nikczemny służący, to odnalezienie jej jest praktycznie niemożliwe. Tego jestem pewna.

- Ale ona nie żyje, panienko. Nie żyje. Wszyscy w to wierzymy. Ona musi być martwa! - krzyknęła gospodyni. -

Zresztą gdyby wróciła, czy nie chciałaby odzyskać swoich rzeczy? Nie wiem, co jest w kufrze, ale wiem, że trzymała w nim cały swój ziemski dobytek. Czy więc nie zabrałaby tego kufra, gdyby mogła?

- Kobieta, którą widziałam, nie była duchem. Mogłam wyciągnąć rękę i jej dotknąć. - Aleksandra odstawiła filiżankę.

Niepokoilo ją, wręcz przerażało to zainteresowanie tamtym światem. W duszy Urszuli Pole zagnieździł się diabeł, ale kobieta dwadzieścia lat temu, kiedy znęcała się nad swymi podopiecznymi, nie była duchem i nie była duchem, kie dy Aleksandra cofnęła się przed nią na schodach. Nigdy nie pogodzi się z tymi dziwacznymi opowieściami, za każdym razem sprzeciwiał się temu jej racjonalny umysł.

- Co panienka wie o duchach? - Głos pani Penrith przerodził się w pisk. Mówiła przez ściśnięte gardło.

- To co wszyscy - odparła Aleksandra.

- I jest panienka pewna, że nie można ich dotknąć? Że nie można z nimi usiąść do herbaty i podać im słodkiej bułeczki posmarowanej masłem?

- Do czego pani zmierza, pani Penrith?

- Chodzi mi o to, że panienka nie wie, co widziała na schodach. Jeśli panienka wierzy, że mogła to być Urszula Pole, to ja powiem, że równie dobrze mogła być duchem, co postacią rzeczywistą, która w jakiś sposób zakradła się do zamku.

- Niemal wierzę, że chce pani, żeby to był duch. Tak łatwiej wytłumaczyć jej obecność w zamku, prawda? To usprawiedliwia, dlaczego nigdy nie przeszukano wszystkich pomieszczeń i nigdy jej nie znaleziono. Pani Penrith, ta kobieta była okrutna i zdemoralizowana. Uważam, że jest zdolna wślizgnąć się do Cairncross i straszyć ludzi.

Zwłaszcza jeśli dzięki temu może być bliżej niego.

- Ma panienka na myśli Johna Damiena?

Aleksandra nie miała ochoty odpowiadać na to pytanie. Bolało ją, że może w ten sposób wywołać plotki wśród służby, ale teraz oszukiwanie nie miało sensu.

- Rozumiem, że się w nim kochała, chociaż właściwie, gdy była tu guwernantką, jeszcze nie był mężczyzną.

- Rzeczywiście go kochała, panienko, ale nikt nie życzyłby sobie takiej miłości. Było w niej jedynie pożądanie i chęć niszczenia. Gdyby unie wyjechał stąd przed jej zniknięciem, wierzę, że byłby zdolny ją zabić. Zmusiłaby go do tego.

- Nikt mi nie opowiedział, dlaczego właściwie został stąd wypędzony. - Aleksandra czekała, mając nadzieję, że gospodyni coś jej powie.

- To bardzo nieprzyjemna historia, panno Benjamin - odparła sztywno kobieta, jej usta zacisnęły się w wąską linię koloru kości słoniowej, zaledwie o ton ciemniejszą od jej cery. - To był zwyczajny skandal i tyle. Byli w stajni i robili rzeczy, których nie powinni robić. Och, do końca życia będę wierzyła, że to ona zmusiła go do zrobienia tego, na czym go przyłapano. Ale przeświadczenie to za mało, ta kobieta oświadczyła, że została zgwałcona.

- Zgwałcona? - Aleksandrę ogarnęły mdłości. Cichym głosem powiedziała: - Miałam nadzieję, że to nie było aż tak drastyczne.

- Przedstawiam panience fakty, znane każdemu mieszkańcowi Yorkshire. Stajenny przyłapał Johna Damiena i Urszulę Pole, jak baraszkowali we dwoje. Stary lord Newell nie miał innego wyjścia, musiał wypędzić syna. Jak panienka wie, panna Pole była jego kuzynką, a nikt nie stanął w obronie Johna Damiena. Był duży jak na swój wiek.

Mógł ją zmusić.

Gospodyni westchnęła głęboko.

- Jak w każdej opowieści o dobru i złu, wszystko można tłumaczyć dwojako. Niektórzy mówią, że ją zniewolił, a potem zabił, kiedy oskarżyła go o gwałt. Ale ja trzymam stronę jego lordowskiej mości. Ta kobieta zmusiła go do tego nierządneho czynu, a nie on ją, a kiedy ich przyłapano, by chronić swą cześć, powiedziała, że wziął ją siłą. Nie wiem, dlaczego zniknęła, ale nie sędzę, by lord Newell miał z tym cokolwiek wspólnego. Widzi panienka, nadal trzymam jego stronę, chociaż wyrósł na człowieka, który czasem napawa mnie lękiem. To, co go spotkało w młodości, do dziś nie daje mu spokoju. Ale chyba go rozumiem. Choć może niezupełnie...

- Skoro już mówimy o faktach, proszę mi powiedzieć jedno: dlaczego teraz wrócił do Cairncross? I dlaczego nazywają go lordem, skoro został skazany na banicję?

- Poprzedni lord i lady Newell byli ludźmi słabymi, mieli wiele wad. Zrobili to, co było wygodne i czego się po nich 58

spodziewano, nic więcej. Nigdy nie zdobyli się na nic ponad to. Kiedy wybuchł skandal, wypędzili go, bo uważali, że tak należy postąpić. Ale gdy w zeszłym roku lord Newell zmarł w Paryżu, okazało się, że w testamencie napisał, by jego majątek i tytuł wrócił do jego najstarszego syna. Syna, którego nie widział i którym się nie interesował przez dwadzieścia lat. Ale znów było to wygodne i tego się spodziewano. Posiadłość jest przywiązana do tytułu, więc teraz John Damien ma wszystko - tytuł i zamek w Cairncross, chociaż nie przywiązuje do tego wagi.

Pani Penrith utkwiała wzrok w Aleksandrze, jakby szukała słów, by wytłumaczyć to, co niewytłumaczalne.

- Musi panienka zrozumieć jeszcze jedno, panno Benjamin. Nie zawsze rozgrywały się tu takie tragedie. Moim zdaniem, przed przyjazdem Urszuli Pole chłopcy byli tu niemal szczęśliwi. Owszem, tęsknili za rodzicami, którzy zbyt często byli nieobecni, szczególnie John Damien, ale pomijając to, chłopcy żyli tu całkiem szczęśliwie. Mogli jeździć konno po wrzosowiskach, bawić się w ogrodzie, mieli służbę, która się litowała nad ich losem i dogadzała im różnymi smakołykami. Wiedli szczęśliwe życie, jeśli można tak powiedzieć, dopiero ta kreatura to zniszczyła.

- Myśli pani, że nadal tęskni za swym dzieciństwem? - Aleksandra przyglądała się jej uważnie. Pragnęła choć trochę zrozumieć zagadkowy charakter Newella.

- Uważam, że wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa sprawiają, że zatrzymał posiadłość, ale to nie cała prawda.

Moim zdaniem, pragnie zmienić ten smutny zamek w miejsce zupełnie inne. Pomyślał, że uda mu się to, jeśli odnowi pokoje, każe położyć nowe dywany i powiesić nowe zasłony. Ale przekonał się, że nic to nie pomaga. Och, może fornir jest nowy i innego koloru, ale zamek pozostał taki sam i zawsze taki będzie, póki ona się stąd nie wyniesie. -

Nachyliła się i dotknęła ręki Aleksandry. - Ten zamek uosabia wszystko, co złe. Lord niechętnie tu przebywa i według mnie, gdyby nie Sam, nigdy by tu nie przyjeżdżał. Teraz postanowił stoczyć walkę z zamkiem. I tego się boję. To naprawdę napawa mnie przerażeniem.

- Zamek wygrywa - rzekła Aleksandra.

- Obawiam się, że tak - przyznała jej rację gospodyni.

- Ponieważ jakaś część jego natury chce, żeby zamek wygrał. Wydaje mi się, że to widziałam tamtej nocy, kiedy wydarzył się wypadek.

- Pije za dużo kiepskiego wina, panienko. Ono zatruwa mu krew. Gdybyż zachował choć odrobinę niewinności! Ale stracił ją dawno temu.

- Co mu może pomóc? - Aleksandra czekała na odpowiedź.

- Nie wiem, panienko. Nikt go nie rozumie. Nie ma nikogo, kto by się odważył go zrozumieć.

Ja się odważę, przyrzekła sobie w duchu, nagle ogarnięta potrzebą ściągnięcia go z Londynu. Chciała, żeby wrócił do Cairncross. Chciała widzieć jego twarz w świetle gazowej lampy, zdjąć mu okulary i delikatnie musnąć jego powieki palcami. Chciała zrobić to i jeszcze wiele rzeczy, które sobie wyobrażała. Teraz cała płonęła chęcią, by to zrobić naprawdę.

Gospodyni przyglądała się jej. Wolno powiedziała:

- Ale nawet jeśli znalazłby się ktoś, kto mógłby mu pomóc, Urszula i tak wolałaby go najpierw ujrzyć w grobie. Wie panienka o tym równie dobrze jak ja.

Aleksandra nie mogła temu zaprzeczyć. Dopiero po dłuższej chwili odzyskała mowę.

- Jest silniejszy od tej wariatki i pani dobrze o tym wie. Tolerował to wszystko tylko dlatego, że mógł znacznie przyjemniej spędzać czas, zresztą na ogół przebywał w Londynie. Poza tym nie stało się jeszcze nic strasznego. Na razie.

- A ręka jego lordowskiej mości? - spytała pani Penrith.

Aleksandra nie znalazła na to odpowiedzi.

- Jeśli zechce, żeby odeszła, zmusi ją do tego. Wiem o tym. Jest wystarczająco silny - oświadczyła.

- Wobec tego ktoś musi sprawić, by chciał, żeby odeszła. Nie widzi panienka tej trudności? Zbyttno zaakceptował zło wokół siebie. Jest zadowolony z obecnego stanu rzeczy. - Gospodyni spojrzała na nią dziwnie, jakby uznała, że błysk w jej oczach i rumieniec na policzkach wywołało coś innego niż szybki spacer po wrzosowisku. - Ktoś musi sprawić, żeby chciał, aby odeszła.

Aleksandra poczuła ból w sercu.

- Jedyną osobą, która może to zrobić, pani Penrith, jest ktoś, kogo on kocha. To jest warunek podstawowy i obawiam się, że nie zdoła tego dokonać guwernantka.

- Zobaczymy. - Pani Penrith patrzyła na Aleksandrę takim wzrokiem, jakby pragnęła, by marzenia się spełniły. -

Zobaczymy - mruknęła drugi raz, nieco ciszej.

*

Lord Cairncross pił brandy w bibliotece w swym londyńskim domu. Właśnie wybiła dziesiąta. Bywały wieczory, kiedy o tej porze nie było go w domu; lady Chester wydawała jakiś wieczorek albo w Pałacu Buckingham odbywało się przyjęcie. Dobrze wiedziano, że Wiktorja uznawała młodego barona, księżę Albert zaś - nie.

Ale dziś wieczorem lord Cairncross został u siebie; z jakiegoś powodu Newell nie odczuwał potrzeby udania się do 59

dzielnicy doków. Abbey przestała go pociągać. Z jakiegoś powodu, nad którym nie chciał się zastanawiać, tęsknił za spokojem, a nie za gwałtownością. Za ciszą, a nie za trzaskiem bata. Abbey była dla niego odpowiednia. Wiedział o tym. Jak dwie istoty jednego gatunku, które się bezbłędnie rozpoznają, tak on rozumiał ją, a ona - jego. Ale przestał

odczuwać potrzebę spotykania się z nią. A gdy nie ma takiej potrzeby, nie ma sensu się zmuszać. Dreszcz nie jest tak przejmujący. Brak wyzwania.

Takiego wyzwania, jakim okazała się tamta guwernantka.

Mała panna Benjamin. Musi się od niej trzymać z daleka. Trzymam się od niej z daleka, pomyślał zapatrzony w kieliszek z brandy. Nie jest zabawką. Jest kobietą z krwi i kości, która na oczach wszystkich koiła jego obolałe serce swym spojrzeniem.

Ciekawe, kim był ten mężczyzna. Obudziło się w nim jakieś diabelskie pragnienie, by mu się przyjrzeć. Chciał się napawać widokiem mężczyzny, który odepchnął Aleksandrę Benjamin, tak pełną dobroci, i zostawił ją na pastwę losu.

Losu, który rzucił ją prosto w jego objęcia.

Poczuł nienawiść do tego mężczyzny. Nienawidził go równie mocno, jak go wielbił. Na myśl o tym, że płakała przez człowieka bez charakteru, czuł niesmak, a jednak serce w nim rosło. Mogła go poślubić. Gdyby ten mężczyzna okazał

się tak szlachetny jak Aleksandra, poślubiłby ją i wtedy baron nigdy by jej nie poznał.

Tak, był wdzięczny Brianowi. Dzięki niemu poznał dziewczynę, która była jak ogród w Cairncross, śliczna i niedostępna. A ponieważ tego ogrodu nie widać było przez mur, w człowieku rodziło się nieprzeparte pragnienie pokonania przeszkód i odkrycia ogrodu, który krył się za nimi. Edenu, o

którym marzą ludzie.

Była Ewą, samą kobiecością. I chociaż bardzo pragnął wziąć ją za rękę i iść z nią przez raj, ciągle coś go przed tym powstrzymywało. Słusznie zrobił, że wyjechał. Zburzyła jego równowagę. Sprawiała, że obudziło się w nim sumienie.

Dlatego musi przestać o niej myśleć; musi zostawić ją w spokoju. Pozwolić jej odejść do jakiegoś słabeusza, który nigdy nie zaznał chwili rozkoszy. Nie wolno mu jej tknąć. Nie był Adamem. Skądże znowu. Już dawno temu dokonał

wyboru i dobrze się czuł, sprawując rząd dusz jako człowiek bez sumienia.

Był wężem.

14

Sam, powiesz mi, co to jest? - Aleksandra wzięła garść żwiru, którym wysypane były ścieżki wokół Cairncross.

Dzień zapowiadał się ciepły, lecz rześkie jesienne powietrze zmuszało do szybkiego spaceru.

Zastała Sama w ogrodzie i teraz razem szli w kierunku wrzosowisk, Aleksandra obmyślała różne zabawy, chcąc skłonić go do mówienia.

- Kamienie. Kamienie - powtarzał. Górując nad nią wzrokiem, obserwował bacznie każdy jej ruch, jak sokół na lasce sokolnika.

- Bardzo dobrze. - Nagrodziła go uśmiechem. Uderzające, jak bardzo pragnął jej uznania. Na jego widok serce jej się ścisnęło. - A co to jest? - Objęła ramionami pień pobliskiego dębu.

Podążył za nią jak pies biegnący przy nodze. Wierny towarzysz.

- Drzewo - wymówił z trudem.

- Świetnie, świetnie. - Rozejrzała się wkoło, szukając, o co go jeszcze zapytać, ale rozległą przestrzeń za zamkiem porastały same wrzosi, jedynie miejscami wznosiły się kopce przypominające ołtarze jakichś groźnych bóstw.

Wrzosowisko przytłaczało swoim ogromem.

Spojrzała na swoją sukienkę. Usiadła pod dębem.

- Co mam na sobie, Sam?

- Pięknym sukniem - powiedział, spoglądając na nią z góry.

- Dziękuję. - Wskazała jego buty. - A co ty masz na nogach?

- Buty - powiedział.

- To są sztylpy. Czarne sztylpy. Podobne do tych, jakie nosi lord Newell. - Urwała. Nie zamierzała mówić o Newellu, ale słowa same jej się wymknęły z ust. - Potrafisz powiedzieć „czarne sztylpy”, Sam?

- Czarne sztylpy - powtórzył, pragnąc sprawić jej przyjemność.

Ściągnęła z dłoni czarną skórzaną rękawiczkę.

- A co to jest?

Przez dłuższą chwilę patrzył na rękawiczkę. Już chciała mu podpowiedzieć, kiedy nagle dotarło do niej, że wcale mu nie brak słów. Był przestraszony.

Spojrzała na swoją rękawiczkę. Była zupełnie zwyczajna, tania, z czarnej skórki, takie można było kupić w każdym sklepie. Miała wrażenie, że Sam nie widzi jej rękawiczki. Widział zupełnie coś innego. Osobliwe pomarańczowe i zielone rękawiczki Urszuli Pole.

- Samuelu? - spytała cicho. Patrzyła na niego, niemal przykucnięta u jego stóp. Stał plecami do słońca, więc nie widziała jego twarzy, i nagle zrobiło się jej nieswojo. Nigdy przedtem nie bała się Sama, ale teraz nagle ogarnął ją lęk.

60

Chwilami pragnęła dotrzeć do korzeni, zerwać zasłonę skrywającą demony Cairncross i raz na zawsze ujawnić je światu.

Ale teraz, będąc z nim sama na skraju pustego wrzosowiska, nie miała pewności, czy to stosowny moment. Jej ostrożny „racjonalny umysł”, jak mawiał Newell, podpowiadał jej, że lepiej nie budzić drzemiących demonów, gdy w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc, gdyby sprawy przybrały nieoczekiwany obrót.

- Na dziś wystarczy. Wracajmy do zamku. Myślę, że pora obiadu minęła już dawno. - Specjalnie zdjęła rękawiczki i wsadziła je do kieszeni, jakby w ten sposób mogła przełamać jego strach. Wyciągnęła do niego rękę i powiedziała: -

Proszę, Samuelu, podaj mi dłoń i pomóż wstać.

Jej ręka zawisała w powietrzu. Sam nie rozumiał, o co jej chodzi. Bardzo długo się zastanawiała, czy ująć jego dłoń, czy opuścić rękę. W końcu chwyciła się go, by wstać z ziemi.

- Świetnie się dziś spisałeś - powiedziała lekko, idąc w kierunku domu. - Prawdę mówiąc znacznie lepiej, niż się spodziewałam. Co byś powiedział, gdybym poprosiła Featherstone'a, by napisał do twojego brata o twoich postępach i poprosił, by tu przyjechał w przyszłym tygodniu? Odpowiadałoby ci to?

- Gdzie jest Dam'en? - spytał olbrzym, nie ruszając się spod dębu.

- Damien? - szepnęła, zaniepokojona jego groźnym spojrzeniem.

- Gdzie jest Dam'en?

- Nie pamiętasz? Udał się do Londynu. - Przystanęła na ścieżce, czekając, aż do niej podejdzie. Nie zrobił tego. Stał

pod dębem i wpatrywał się w nią jak w Belzebuba.

- Chcę Dam'ena - kaprysił jak dziecko.

- Sam, uwierz mi, Damien wkrótce przyjedzie. - Stała bez drgnienia, miała dziwne wrażenie, że chociaż patrzy na nią, widzi kogoś zupełnie innego. Widzi tamtą guwernantkę.

- Zrobiłaś krzywdę Dam'enowi. Gdzie on jest? - mówił płaczącym głosem.

- Nic mu nie jest. Bawi w Londynie. Wkrótce do ciebie przyjedzie.

- Dam'en! - krzyknął z bólem.

- Dlaczego sądzisz, że skrzywdziłam Damiena? - Chciała go pocieszyć, objąć i tulić, póki znów nie poczuje się bezpiecznie. Stojąc pod dębem, wydawał się taki samotny i zalękniony, ale sama się bała. Samu el był taki duży. Dwa razy większy od niej. Jeśli straci panowanie nad sobą, będzie bezradna.

- Wyjechał przez ciebie. Chcę, żeby wrócił! - Podeszedł do niej i po raz pierwszy w życiu zrozumiała, co to znaczy znaleźć się oko w oko z lwem.

- Nie, Samuelu, to ja, Aleksandra, nie ona. Nie jestem panną Pole. - Jej spojrzenie musiało być bardzo przekonujące, ponieważ po chwili uspokoił się. W krótkim przeblasku świadomości w końcu zrozumiał. Zobaczył, kto przed nim stoi.

- Widzisz? Jestem panną Benjamin. - Odczuła tak wielką ulgę, że aż osłabła.

- Boję się.

Ja też się boję, pomyślała, spoglądając na jego potężną postać. Zdziwiło ją, że Sam mówił o wiele lepiej, kiedy był

wzburzony.

- Nie masz się czego bać, Samie. Już nikt cię nie skrzywdzi. Każ jej odejść. Powiedz, żeby sobie poszła.

- Jest tutaj - powiedział, kręcąc głową. - Zawsze tu jest.

Aleksandra spoglądała na niego, zmarszczywszy czoło.

- Jak to jest tutaj?

- Zawsze tu jest.

- Widziałeś ją? - Spojrzała za siebie na wrzosowisko. Ale nikogo tam nie było. Nikogo nie było widać w zamku, żadna postać nie majaczyła na wrzosowisku.

Znów spojrzała na Sama. Stał obok niej, przygarbiony, ze spuszczonego wzrokiem, jakby się bał lub był pełen skruchy.

- Widzisz ją. Sam? Czy nadal jest w zamku i robi złe rzeczy?

- Złe rzeczy. Bardzo złe rzeczy - wymamrotał.

Aleksandra przez dłuższą chwilę przyglądała mu się bacznie. Miała przed sobą dylemat. Przypominało to balansowanie na linie; jeden zły ruch mógł spowodować, że Sam znów przestanie mówić. Ale jeśli teraz nie zaryzykuje, chyba już nigdy nie nadarzy się okazja, by dotrzeć do sedna jego strapienia.

Niewiele myśląc, objęła go i przytuliła. Nie poruszył się, ale nie do końca zaakceptował jej uścisk. Stał na ścieżce i pozwalał się obejmować, może dlatego, że rzadko kiedy ktoś mu w ten sposób okazywał serdeczność.

- Samuelu - szepnęła, ujmując jego wielką, silną dłoń. - Wiesz, że jestem twoją przyjaciółką. Nigdy, przenigdy cię nie skrzywdzę, wiesz o tym. Czy ona jest teraz w zamku? Wiesz, gdzie?

Jego wzrok był bojaźliwy i ponury.

61

- W moim pokoju - powiedział.

*

- Wszystko gotowe, milordzie. Księżna wyraziła zgodę i wieczorek się odbędzie. Jeśli mogę tak powiedzieć, wasza lordowska mość, jestem przekonany, że będzie to prawdziwy sukces towarzyski.
- Kamedyner skłonił się i wszedłszy za Newellem do biblioteki, położył stos kopert na wielkim mahoniowym biurku stojącym pod oknem.

Newell patrzył, jak Matthewsby wychodzi, potem podszedł do biurka i przejrzał korespondencję. To był rzeczywiście sukces towarzyski. Nie otrzymał ani jednej odmowy. Przypuszczał, że wszyscy bez wyjątku chcieliby poznać nowego lorda Cairncross, porównać syna z ojcem, ale przede wszystkim zaspokoić swą ciekawość. Doskonale wiedział, że pojawieniem się w wielkim świecie wywoła sensację. Nikt nie miał pojęcia, gdzie najstarszy syn lorda spędził

wszystkie lata swego wygnania. Mówiono, że udał się z Perrym do Japonii, powtarzano też śmieszną plotkę, że przebywał we Włoszech, romansując ze śliczną hrabiną. Zdaje się, że wszyscy upatrywali w nim drugiego Byrona.

Nie wiedzieli, że kiedy najstarszy syn lorda Cairncross został skazany na banicję, udał się prosto do Londynu. Trafił

do najbiedniejszej dzielnicy miasta, ponieważ wychowywano go na następcę ojca w Izbie Lordów, nie potrafił zarobić na życie. Wyjechał do Wapping i znalazł sobie pracę jako sztauer w dokach. Tam zdobył pierwszego pensa. Potem został właścicielem Białego Niedźwiedzia, najgorszej spelunki w całym Londynie, w której kwitł nielegalny handel.

John Damien zajmował się wszystkim prócz stręczycielstwa, ale w Białym Niedźwiedziu można było załatwić każdą ciemną sprawkę. Właściciel tego lokalu nie cofał się przed zdzierstwem, podobnie jak przed jawnym złodziejstwem, byleby tylko płynęła z tego forsa. I płynęła, aż wreszcie stał się bogaczem.

Teraz miał tyle ziemi i pieniędzy, że nie wiedział, co z tym robić. Baron - jak zawsze nazywał swego ojca - zmarł

dopiero w zeszłym roku, w ostatniej chwili swego życia zostawiając mu cały swój majątek. Baron zrujnował życie swemu czternastoletniemu synowi, a potem chciał go uratować, kiedy jego pierworodny miał trzydzieści cztery lata.

Nie zdawał sobie sprawy, że swoim brakiem zainteresowania zniszczył je bardzo dawno temu i że jego syn stanął na nogi dzięki samodzielnie zdobytym pieniądzom.

Damien usiadł za biurkiem i wyglądał przez okno. Drzewa wiśniowe zaczynały żółknąć od pierwszych wrześnieowych chłodów. Wyjechał z Cairncross ponad miesiąc temu.

Nie mogąc sobie znaleźć miejsca, wstał i oparł ręce na gzymsie kominka, wpatrując się w płonący ogień. Piekło Damiena, pomyślał z sarkazmem. Myśl ta zepsuła mu humor. Krążył po bibliotece jak ranny niedźwiedź, nie mogąc usiedzieć w skórzanym fotelu, zbyt znudzony nieprzeczytanymi tomami leżącymi obok na stosie.

Musi porzucić myśl o powrocie. Musi przestać o niej myśleć.

To jej się bał.

Raz dotarł aż na stację kolejową, pragnąc wrócić do Cairncross, ale wtedy okoliczności mu przeszkodziły. Samotna matka z dzieckiem czekała na peronie, obydwoje mieli załęcznione twarze, spoglądając na tłum nieznanomych, czekających na pociąg z Brighton. Nie było w nich nic szczególnego. Ich ubrania, niegdyś wytworne, teraz były połatanne jak odzież wielu przedstawicieli klasy robotniczej. Kobieta ścisnęła córeczkę za rączkę, żeby dziewczynka nie zgubiła się w tłumie. Dziecko dostrzegło, że Newell im się przygląda, ale matka widziała światła pociągu majaczące daleko na torach. Jej smutne, niebieskie oczy wyraźnie ożywiły się na ten widok.

Newell drgnął. Po chwili na stację wtoczył się pociąg jadący do Yorku i uwagę dziecka pochłonęło coś innego.

Newell czuł się jak zahipnotyzowany. Nie mógł wsiąść do pociągu, póki się nie upewni, że ten, na kogo czeka kobieta z dzieckiem, przyjechał. Kolejni pasażerowie przechodzili obok, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi. Na twarzy kobiety pojawił się niepokój, a dziewczynka była bliska płaczu. Wreszcie w tłumie rozległ się męski głos. Młody człowiek w połatanych spodniach i surducie wołał do nich, stojąc w oknie pociągu. Buzię dziewczynki rozjaśnił

uśmiech, promienny jak blask słońca. Mężczyzna wysiadł, a mała wykrzyknęła cieniutkim głosikiem: Ojczy! Ojczy!

Mężczyzna podniósł ją jedną ręką, a drugą objął kobietę, która nagle odmłodziła o piętnaście lat. Pocałował obie w policzki i odszedł z nimi, zostawiając Damiana na peronie. Newell miał w ręku niewykorzystany bilet kolejowy.

Tak, przerażały go te godne szacunku kobiety, które kochały swych mężów i tuliły swoje dzieci. Które sprawiały, że warto było żyć.

Zamknął oczy, usiłując nie myśleć o Aleksandrze Benjamin, jednak coś go do tego zmuszało. Musiał też myśleć o Samie.

O swym bracie, niepoprawnie dobrym. Kiedy ojciec wypędził go z domu, zadreślał się o Sama. Przez dwadzieścia długich lat cierpiał, rozmyślał, wyobrażał sobie, co się dzieje z jedynym człowiekiem, który się dla niego liczył. Przez dwadzieścia lat był bezradny, mógł tylko czekać. Teraz znów martwił się o kogoś.

O Aleksandrę Benjamin. Śliczną córkę Żyda, na której głowę, jeśli kiedykolwiek wróci do Cairncross, ściągnie kłopoty. Zapamiętał ją siedzącą w milczeniu naprzeciw niego w bibliotece, z poważną miną, z ciemnymi, wymownymi oczami, zbyt wielkimi w stosunku do twarzy, wypełnionymi niezwykle mieszkanką strachu i buntu.

62

Przeklinał resztki sumienia, jakie mu pozostały. Nie chciał być z dala od niej, chciał być w Cairncross i zmusić tę guwernantkę, by na własnej skórze poznała jego pragnienia. Urszula dobrze robiła, prześladując go ciemnymi stronami życia. Ostatecznie czym jest zło, jeśli nie siłą, z którą się stykał, odkąd tylko sięgał pamięcią? Jego życie było w nim unurzane, przypominając bagno, które go wciągało. Zastanawiał się teraz nawet, czy gdyby mu podano rękę, proponując ratunek, czy by się jej uchwycił, czy też wolałby tonąć dalej, wybierając to, co dobrze znane, bojąc się nowego i obcego.

Jeśli ulegnie tym uczuciom i wróci do Cairncross, Aleksandra okaże się jego zgubą. Pod każdym względem stanowiła jego przeciwieństwo. Nie miał co do tego wątpliwości, ale zaczął się zastanawiać, czy życie mierzy się dniami i latami, czy też osiągnięciami. Jeśli latami, liczył ich trzydzieści cztery. Jeśli osiągnięciami, miał na koncie zero.

Nigdy wcześniej nie tęsknił za szczęściem. Było dla niego czymś ulotnym, czymś bardziej eterycznym niż serafiny i anioły. Ale teraz niespodziewanie zapragnął zacząć liczyć osiągnięcia. Czasem się nawet zastanawiał, czy nie tęskni za tym, by złapać w obie dłonie choć najmniejszą miarkę szczęścia, a wszystko przez nią. Przez Aleksandrę. Jej spokojna pewność siebie pociągała go jak kruka padlina.

Ale musi zostawić ją w spokoju. Nie zasłużyła na to, co mógł jej ofiarować. Było w nim tylko zło. Zło, którego nie знаła.

*

Wasza lordowska mość,

Nie wiem, jak zacząć. Jest sprawą niezwykle pilną, byśmy odszukali pannę Pole, bo mam teraz dowód, że ta kobieta rzeczywiście wróciła do Cairncross, że jest tu, w zamku, a nie w zakładzie dla obłąkanych, gdzie jej miejsce. Do poszukiwań tej wariatki zatrudniłam panią Penrith, lokajów i pokojówki. Naturalnie, nikogo nie znaleźli - tak, jak się tego należało spodziewać - ale miałam nadzieję, że natrafią na jakiś dowód, który będę mogła panu przedstawić, coś, co będzie świadczyło, że przebywa tu w swej najprawdziwszej, ziemskiej postaci...

Aleksandra wzięła zapisaną kartkę papieru, osuszyła ją i rzuciła pod biurko. To bezcelowe. Musiała napisać do jego lordowskiej mości i błagać go o powrót, ale nie potrafiła znaleźć właściwych słów. Wszystkie tłumaczenia brzmiały nieprzekonująco, szczególnie że dysponowała jedynie tym, co jej podpowiadała intuicja. Tego wieczoru napisała już pięć listów. Świece w bibliotece zaczęły się dopalać, a ona wciąż siedziała przy biurku. Naszkicowała pięć różnych prośb, a nadal wydawało jej się, że żadna z nich nie skłoni go do powrotu.

Ogarniało ją coraz większe zniechęcenie. Wrzuciła wszystkie listy do kominka. Nie można wytłumaczyć tego, co się czuje intuicyjnie. Należało koniecznie odnaleźć Urszulę Pole, ponieważ dopiero wtedy Sam odnajdzie spokój. Już mówił, układał proste zdania, ale widziała, że stać go będzie na więcej, jeśli tylko nabierze zaufania. A nauczy się ufać dopiero wtedy, kiedy pozbędzie się swych lęków.

Jednak nie mogła błagać Newella o powrót, opierając się wyłącznie na intuicji. Musiała mu przedstawić namacalny dowód, że Urszula Pole jest w zamku, że mieszka w nim, przez nikogo niewyśledzona.

Przygnębiona, opuściła bibliotekę. Cała służba była już w łóżkach, w zamku panowała grobowa cisza, lecz Aleksandra nie bała się. Nie znalazła odpowiednich słów, by skłonić Newella do powrotu do Cairncross, nie umiała go przekonać, by im pomógł. Czuła się pokonana. Czuła się, jakby Urszula Pole w jakiś sposób zwyciężyła. Anie mogła do tego dopuścić. Nawet jeśli miałyby po raz kolejny spotkać się z nią na schodach. Niemal tęskniła, by ujrzeć tę kobietę. Wtedy zdobyłaby upragniony dowód.

Dotarła do swej pogrążonej w mroku sypialni i postawiła świecznik na nocnym stoliku. Machinalnie zaczęła odpinać guziki stanika. I właśnie wtedy zobaczyła otwarty kufer.

Poczuła na plecach zimny dreszcz, przypomniały jej się lodowate palce trupów, które kroił jej ojciec. Na lśniących deskach podłogi w jej sypialni rozsypane były kartki z dziennika, takie jak ta, którą znalazła pod serwetą na komodzie.

Mary przyszła, by posłać łóżko, i teraz na świeżych, pękatych poduszkach leżała para osobliwych, zielono-pomarańczowych rękawiczek.

Aleksandra obróciła się gwałtownie, przeszukując wzrokiem wszystkie mroczne kąty. Podeszła do komody i po kolei otwarła wszystkie szuflady, potem oparła się o nią. Jej najgorsze obawy się potwierdziły.

Wszystkie rzeczy Aleksandry zniknęły. Jej obecność w pokoju została starta jak kurz z lśniącej, woskowanej komody. A tam, gdzie przedtem leżała szczotka, szylkretowe spinki do włosów, ubrania, teraz znajdowały się drobiazgi innej osoby.

Zawartość kufra została starannie rozpakowana, jakby Urszula Pole nigdy stąd nie wyjeżdżała.

*

Aleksandra Benjamin wyobrażała sobie, że będzie robiła wiele rzeczy w życiu, ale nigdy nie przypuszczała, że pojedzie do Londynu specjalnie po to, by prosić lorda Newella o powrót do zamku.

Ale nie miała innego wyjścia. Nie mogła sobie sama poradzić z Samem. Obydwoje potrzebowali pomocy Newella.

W Cairncross działy się rzeczy, o których nie miał pojęcia.

63

W myślach wciąż widziała swoją zbezczeszczoną sypialnię, ale ohyda, jaka była ze stron dziennika porozciąganych na podłodze, ostatecznie ją załamała. Zebrała je i ułożyła w porządku chronologicznym. Brakowało niektórych stron, ale wystarczyło, by przeczytała jeden fragment, a jej duszę wypełniło przerażenie.

24 stycznia 1838

Sperma i krew. Oto, czego od niego chcę. Chcę, by jedno i drugie się na mnie polało. Myśli, że uda mu się przede mną uciec, ale się myli. Jest mój i zawsze będzie mój. Chociaż jest wyrośniętym chłopcem, nadal pozostał dzieckiem.

Przechytrzę go. Pomszczę się za swoje złamane serce, biorąc od niego to, czego nie może mi pożałować.

Sperma i krew.

Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Aleksandra uświadomiła to sobie w chwili, kiedy spojrzała na swój pokój. Tyle razy czytała ów fragment dziennika, aż zapamiętała każdą linijkę. Podróż do

Londynu została przygotowana w pośpiechu. Aleksandra nie pozwoliłaby Mary, by jej towarzyszyła. Opowiedziała swej pokojówce bajeczkę, że musi dopilnować jakichś spraw majątkowych ojca. Częściowo była to prawda: jej ojciec zostawił kilka niedokończonych spraw i przy okazji pobytu w mieście mogła zlecić adwokatowi, by się nimi zajął. Ale jechała po Damiena. Nie zamierzała wrócić do Yorkshire bez niego. Za bardzo się bała. Jeśli Newell nie przyjedzie do zamku i nie zainteresuje się tym, co się w nim dzieje, będzie musiała zrezygnować.

A zrezygnować, opuścić Sama akurat teraz, kiedy zaczął mówić, wyjechać z Cairncross i na zawsze przekreślić szansę ponownego spotkania z Damienem Newellem... to przerastało jej siły.

15

Po cóż, nędznico, po cóż mi twój głos?

Znam twoje zbrodnie, hańbę i twe czyny.

Mamy dowody - a ty znasz swój los.

Jeśli chcesz mówić - słucham. Zobaczymy.

Crabbe Sala sprawiedliwości

Jakaś młoda dama do pana, milordzie - szepnął kamerdyner Newellowi do ucha, gdy lord razem z gośćmi - wśród których byli też książę i księżna Underwood - dopiero zaczęli pierwsze danie. - Niejaka panna Benjamin - dodał

Matthewsby, zasłoniwszy usta dłonią w białej rękawiczce. - Mówi, że przyjechała z Cairncross.

Damien spojrzał na sztywny kartonik, który wręczył mu kamerdyner. Było na nim nazwisko Aleksandry z ręcznym dopiskiem: *Wasza lordowska mość, proszę wysłuchać, co mam do powiedzenia o guwernantce.*

Doskonale opanowany, skinął gościom, z jego twarzy nie można było nic wyczytać. Przeprosił uroczą, siwowłosą księżną siedzącą po jego prawej ręce, wstał i dyskretnie wyszedł z pokoju stołowego.

Zobaczył ją pierwszy. Wszedł przez otwarte drzwi do biblioteki. Wyglądała przez okno na oświetloną gazowymi latarniami londyńską ulicę, jej wzrok przykuł rząd powozów gości, ciągnący się aż do Regents Circus. Była dokładnie taka, jak ją sobie tysiące razy wyobrażał.

Włosy miała upięte na głowie w ciasny kok. Była w niej ta sztywność, którą uważał za szczególne wyzwanie.

Nagroda byłaby słodka, gdyby obietnica jej ust kiedykolwiek się spełniła, ale co więcej, kusila go jej niewinna dusza.

Wiedział, że jest czysta jak śnieżnobiała pościel, nim ją splami kropla krwi.

Miał przed sobą dwie drogi. Mógł sam się zmienić lub też zmienić ją. To prawda, że mogła go pokonać; gdyby bawił

się jej dobrocią, chcąc się przekonać, czy pozostały w nim resztki przyzwoitości. Albo postąpić inaczej. Na przykład ją uwieść. Skłonić do polubienia ciemności.

Kiedy jej się tak przyglądał, pokusa była silna. Pragnął się przekonać, do jakiego stopnia potrafi ją zdemoralizować.

- Myślałem, że pani obowiązkiem jest opieka nad moim bratem, a nie zwracanie mi głowy jakimiś wydarzeniami w Cairncross.

Drgnęła na dźwięk jego głosu. Zwróciła na Newella swe wielkie oczy i odczuł satysfakcję, że użył wobec niej gniewnego tonu. Nie powinna była tu przyjeżdżać. Chciał się trzymać od niej z daleka.

- W Cairncross zaszło coś strasznego. Ma to związek z panną Pole. - Jej głos był taki, jak pamiętał: cichy, cierpliwy, ale nie zimny.

Pełen zrozumienia.

Wnętrznosci płonęły mu nieznanym, gwałtownym uczuciem. Nie chciał, żeby ktoś czuł to co on, by wiedział to co on. Szczególnie ona. Odnosił wrażenie, że w obecności Aleksandry upodabnia się do niej. Ale zjawiała się tu nieproszona; weszła do jaskini lwa. Więc poniesie tego konsekwencje.

Podszedł bliżej i chwycił za rękę, gwałtownie przyciągnął do siebie.

- Wyjechałem, by panią oszczędzić.

Z przyjemnością ścisnął jej rękę. Miała kruche, drobne kości; z łatwością by je złamał. Ale teraz wolał napawać się

wyrazem jej twarzy. Bała się. I słusznie. Chciał, żeby się bała. Siła i strach są nierozłączne.

- Proszę... proszę wrócić do Cairncross. W przeciwnym razie nie zdołam pomóc Samowi. Brat pana potrzebuje. -

Spojrzała mu głęboko w oczy i szepnęła: - Otworzyła kufer. Zabrała wszystkie moje rzeczy. Tam, gdzie powinny leżeć moje gorsety, położyła swoje. Nie sądzę, by udało mi się ją pokonać...

Strach na jej twarzy nie wiązał się z nim. Puścił dłoń Aleksandry. Ogarnął go irracjonalny gniew, że Urszula ją wystraszyła. To on powinien wzbudzać lęk, a nie jakiś cień snujący się korytarzami Cairncross.

Patrzyła na niego błagalnie. Nie odrywając wzroku od Newella, rozwiązała paczuszkę schowaną w torebce i wyjęła parę pomarańczowo-zielonych rękawiczek. Podając mu je, szepnęła:

- Ukradła moje czarne rękawiczki, a zostawiła te.

Wziął je do ręki. Na twarzy Aleksandry malowały się odraza i panika, ale on nie zareagował tak, jak się tego spodziewała. Nie bał się rękawiczek, nawet nie czuł do nich wstrętu. Do takich uczuć był zdolny kiedyś dawno temu.

Teraz już nie pamiętał. Tam, gdzie się rodziły, teraz panowała obojętność.

- Jej ulubione rękawiczki - stwierdził takim tonem, jakby mówił o kolorze kwiatów.

- To tamte rękawiczki, prawda? - szepnęła.

Ujął jej drobną dłoń. Tak się bała, że nie zdobyła się na to, by go powstrzymać. Wpatrywał się w nią długo, starając się zapamiętać kremowy kolor jej skóry, siateczkę niebieskich żyłek, tworzących delikatny wzór na wierzchu jej dłoni.

Przesunął po niej palcem, nie mogąc wyjść z podziwu, jak delikatna i kobieca jest ta ręka. Widział tylko drobne palce, ciepłą, miękką dłoń i szczupły nadgarstek. Miała tyle siły, co dziecko. Jakże łatwo mógłby ją zmiażdżyć.

- Nie mogę pani pomóc, Aleksandro. Nie wrócę do Cairncross. Jeśli pani nie może inaczej, niech pani zostawi Sama, ale nie wróć. - Przeniósł wzrok na jej twarz. Aleksandra patrzyła na niego swoimi wielkimi orzechowymi oczami, które go prześladowały każdego wieczoru, kiedy siedział samotnie przy kominku w bibliotece.

- Dlaczego nie może pan pomóc? Sama nie zdołam. Jeśli zmusi mnie pan, żebym wróciła sama, nic się nie uda. Więc proszę jechać ze mną. Nie jest pan tchórzem, wiem, że kocha pan Sama - tak jak ja go pokochałam. Nie możemy go opuścić.

Spojrzał na nią, hamował się, by nie warknąć.

- Samowi nic nie grozi, podobnie jak pani. Powiedziałem to już. Może pani spokojnie wrócić do zamku.

- Ona tam jest. - W jej głosie zabrzmiała nutka obcej Aleksandrze hysterii. - Sama ją widziałam na schodach, teraz wchodzi do mojego pokoju...

- Do swojego pokoju. To był jej pokój. Należy poprosić panią Penrith, żeby panią przeniosła gdzie indziej.

- A co z moimi rzeczami? Gdzie się podziały? - Nie mogła powstrzymać się przed sarkazmem. - Czy razem z nią znalazły się w piekle?

- Polecę, by natychmiast dostarczono pani nowe.

Teraz Aleksandra wpadła w gniew. Wyrwała mu rękę z zaskakującą gwałtownością.

- Nie słucha mnie pan, milordzie. Słyszysz pan słowa, ale nie dociera do pana ich znaczenie.

- Wiem, co znaczą. - Zrobił krok w jej stronę. Sprawiało mu ogromną satysfakcję obserwowanie, jak odsuwa się od niego, aż w końcu oparła się plecami o ścianę. - Ale ona mnie nie obchodzi; pani mnie obchodzi. Dlatego niech pani nie prosi, żebym wrócił do Cairncross.

- A co z Samem? - Jej policzki płonęły ze złości i podniecenia. - Powiedział, że ona mieszka w jego pokoju. W jego pokoju, milordzie.

Damien miał wrażenie, że serce wyrywa mu się z piersi. Ból, który nagle poczuł w swym wnętrzu, był przenikliwy, nigdy wcześniej go nie znał. Osunął się na krzesło jak sparaliżowany.

Cicho podeszła do niego.

- Czy teraz, milordzie, wie pan, dlaczego musiałam przyjechać? - szepnęła, uklękawszy obok niego.

- Poślę po niego. Powinienem był zabrać go stamtąd już dawno temu...

- To nie jest najpilniejsza sprawa - odparła. - Na swój sposób jakoś daje sobie radę z tą okropną sytuacją. Robi postępy. Zmiana otoczenia może sprawić, że się cofnie.

- Ona go nie skrzywdzi. Nie zależy jej na nim. Zależy jej na mnie. - Spojrzał na Aleksandrę, potem odwrócił wzrok i potarł brodę. W duchu klął samego siebie, przecież nie zamierzał mówić takich rzeczy.

- Wiem.

Spojrzał na jej szczupłą postać. Jej oczy przypominały ciemny, tajemniczy las z cętkami światła słonecznego między liśćmi. Kusiły azyłem, spokojem, nakłaniały do poddania się. Nie mógł oderwać od nich wzroku.

- Robi to, by mnie zwabić.

- Gdzie ona jest? Mówią, że jest duchem, ale nie wierzę w duchy. Ukrywa się gdzieś w zamku. Musimy ją odnaleźć.

Obserwował Aleksandrę. Na jej twarzy malowała się determinacja. i Nie rozumiała, co się dzieje, a rozpaczliwie chciała zrozumieć. Lecz jej urok tkwił w tym, że nigdy nie zrozumie, jakie fatum wisi nad Cairncross, nie była do tego

zdolna. Dlatego nagle zapragnął być obok niej.

- Poleciałam służbie jej szukać - ciągnęła. - Przeszukaliśmy wszystkie pomieszczenia...

- Nie wszystkie, moja droga.

Zareagowała na to pieszczotliwe określenie. Jej twarz stała się łagodniejsza, a on poczuł się silniejszy. Nie pokona go. Nie jest zdolna do rozumowania w jego sposób. Jeśli tylko zechce, bez najmniejszego wysiłku zmieni ją na swoje podobieństwo.

- Cairncross wzniesiono na rzymskich katakumbach. W piątym stuleciu tysiące ludzi poległo w bitwie pod Eboracum, ich szczątki złożono w jaskiniach pod zamkiem. Jeśli Urszula rzeczywiście zaszczyciła zamek swą obecnością, może swobodnie pojawiać się i znikać, bo dotąd nikomu nie udało się rozszyfrować labiryntu pod zamkiem Cairncross.

Zdawała się wstrząśnięta. Wstrząśnięta, ale nie pokonana. Wysuwając swój drobny, lekko spiczasty podbródek, spytała:

- Czy ona tam jest, Damienie? Czuję, że pan wie, gdzie ona przebywa. Nie odpowiedział słowem. Tylko patrzył na nią i zastanawiał się, co się stało z jego życiem. Zawsze wydawało mu się, że nigdy nie było dla niego ratunku. Teraz nawet potępienie zdawało się czymś nieosiągalnym, bo kiedy był z nią, nie chciał być potępiony.

- Co ona panu zrobiła? Widzę coś w pana oczach. Co ona zrobiła? - dobiegł go jej szept.

Nagle zapragnął jej to powiedzieć, ale stwierdził, że nie może. Zaniknął oczy, by nie widzieć szczerzej troski w jej spojrzeniu.

Usłyszał szelest jej spódnic, kiedy podniosła się z klęczek. Myślał, że zamierza wyjść, ale nie zrobiła tego. Poczul, jak oparta o poręcz fotela przesuwając dłoń po jego policzku. Zdrętwiał, kiedy odłożyła jego okulary na stół. Potem niezwykle wolno pochyliła głowę i przycisnęła policzek do jego twarzy, jakby pocieszała skrzywdzone dziecko.

- Proszę mi o niej opowiedzieć. Muszę zrozumieć. A pan musi mi w tym pomóc.

Nie chciał mówić. Spowiadanie się, szczególnie z tego, co sam zrobił, było sprzeczne z jego naturą. Ale wciąż czuł

na swoim policzku jej ciepły i miękki policzek. Jego ręka sama się uniosła do jej włosów. Mógł przysiąc, że nigdy w życiu nie dotykał czegoś tak miękkiego. Okazała się na tyle spostrzegawcza, że znalazła szczelinę w pancerzu, w którym się zamknął, i postanowiła dostać się do środka. Nie miał innego wyjścia, musiał ją zniszczyć.

Nagle zrobił się brutalny. Wczepił palce w jej kok i przyciągnął do siebie jej głowę. Słowa były zbyteczne. Widział

ból na jej twarzy, oczekiwała najgorszego.

Pocałował ją gwałtownie. Ponieważ musiał. Tak mocno, żeby pociekła krew, myślał, miażdżąc ustami jej wargi. Pró-

bowiała się wyrwać, lecz jej wysiłki były próżne. Nie dorównywała mu ani siłą fizyczną, ani odpornością psychiczną.

Jeśli można ją uwieść delikatnością, będzie delikatny. Będzie delikatny na początku, by potem ujawnić całą swoją brutalność. Stopniowo łagodniał. Mógłby przysiąc, że usłyszał jej jęk. Kiedy był czulszy, już mu się tak nie opierała.

Wkrótce był pewien, że oddaje pocałunek. Miał ochotę zakrzyknąć triumfalnie. Była jego.

Uniosła rękę do jego twarzy. Zanim sobie uświadomił, do czego zmierza, wbiła paznokcie i przeorała jego policzek do krwi.

Puścił ją. Wyglądała jak kotka, której coś sprawiło perwersyjną przyjemność.

- Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego? - zapytała.

Milczał. Niemal odczuwał ból, patrząc na nią. Abbey zaakceptowałyby pocałunek, nawet znalazłaby w nim rozkosz.

Każda inna dziewczyna uciekłaby w panice. Ale nie Aleksandra. Była silna i ciekawa. A może pragnęła zbawiać innych. Kiedy widział, że Aleksandra wciąż jest w pokoju, wciąż chce mu dać szansę, czuł się tak, jakby krwawiły wnętrzności.

Wstał gwałtownie. Żelazna obręcz ścisnęła mu pierś tak długo, że teraz oddech stawał się torturą. Nienawiść do samego siebie, która w nim tkwiła, przyniosła ulgę. Zupełnie jak błyskawica w letni skwar.

Zmusił się, by na nią spojrzeć. Stała obok fotela, ręką przytrzymując się oparcia. Krew odpłynęła jej z twarzy, przyglądała mu się wstrząśnięta, ze smutkiem. Po raz pierwszy w życiu zapragnął, by objęła go kobieta, by mógł

znaleźć w jej ramionach pocieszenie, a nie tylko zmysłową rozkosz. Byłoby tak łatwo przyzwolić, by go objęła swymi szczupłymi, ślicznymi rękami. Mógłby przytulić głowę do jej miękkiego łona i pozwolić, by bicie jej szlachetnego serca dało mu ukojenie. Wydawało się, że to takie zwyczajne pragnienia, ale nigdy dotąd nie obejmowała go kochająca kobieta. Rodzona matka porzuciła go dla Europy i plejady kochanków, kiedy tylko się urodził. Nie potrafił sobie wyobrazić czulego objęcia kochającej kobiety, jednak teraz, patrząc na Aleksandrę, zatęsknił za nim jak nigdy.

- Pojadę do Cairncross - oświadczył.

- Dzięki Bogu. Musimy ją znaleźć. Musimy. To wariatka. Trzeba ją zamknąć - szepnęła. Na jej twarzy malowały się strach i niedowierzanie.

- Zajmę się nią, żebyś ty mogła zająć się Samem.

- Dobrze - powiedziała zachrypniętym głosem.

66

- Ale nie zapominaj, kim jestem, Aleksandro - rzekł szorstko. - Kiedy ma się taki pierwszy kontakt z kobietami, jaki miałem ja, wtedy wykształcają się w mężczyźnie bardzo wyrafinowane, bardzo niszczycielskie upodobania.

Zaczęła drżeć. Ręka się jej trzęsła, przytrzymała się oparcia krzesła. Nie wiedział, co się dzieje w

jej umyśle, ale widać było, że się boi.

- Dziś wieczorem podejmuję gości. Muszę do nich wrócić. Porozmawiamy o tym jutro - powiedział rzeczowo, mając nadzieję, że uda im się wrócić do dawnych, oficjalnych stosunków.

- Naturalnie. - Skinęła głową. - Nie powinnam była niepokoić pana dziś wieczorem, milordzie, ale przyszedłam tu prosto z dworca kolejowego. - Nerwowo ścisnęła swoją torebkę.

- Czy Matthewsby wziął resztę pani rzeczy?

Spojrzała na Newella.

- Wynajmę pokój w gospodzie, milordzie.

- W jakiej gospodzie? - Omal się nie roześmiał.

- W gospodzie... w gospodzie, gdzie będą wolne pokoje.

- Mogę polecić jedną. - Uśmiechnął się ponuro. - Białego Niedźwiedzia w Wapping.

- W takim razie udam się do Wapping. - Ścisnęła swoją czarną torebkę, nerwowo bawiąc się frędzlami.

Nie mógł się powstrzymać, by oparłszy się ręką o ścianę, nie nachylić się nad Aleksandrą, właściwie osaczając ją.

- Nigdy pani nie była w Wapping, prawda?

Zwróciła twarz w jego stronę. Jej usta były wyraziste, oczy - błyszczące, ale chmurne; nie mógł wyczytać, o czym myśli, a pokusa była nie do odparcia.

- Słyszałam, że to okropne miejsce.

- Napadną na ciebie, jak tylko się pojawisz.

- Wnoszę z tego, że był pan tam? - Spojrzała na niego.

- Tam poznałem, jaki jest świat.

- Czy na pana napadli, Damienie? Czy dlatego chce mi pan napędzić stracha?

Ich spojrzenia się spotkały. Ta kobieta łatwo mogła go rozszyfrować, jak nikt na świecie. Czasem była tak blisko, że uciekał bez tchu. Ale złościło go to. Nie chciał, żeby się dowiedziała o Wapping, o brudnych, nikczemnych interesach, jakie robił w Białym Niedźwiedziu. O ludziach, którzy przychodzili, oferując swój towar. Nie, chciał ją chronić przed takimi brudami, ponieważ uosabiała wszystko co dobre i co, na szczęście, było dla niego niedostępne. Jakaś nieznana część jego natury pragnęła, by Aleksandra pozostała nieskalana i bezpieczna. Nie zasługiwała na plugawe opowieści o Wapping.

- Nie potrafiłabyś zrozumieć takiego miejsca - rzekł. Ich twarze były oddalone zaledwie o kilka centymetrów. - Tam szybko byś się przekonała, że zabierają tylko to, na czym ci zależy. Więc przestaje ci zależeć na wszystkim..

Zdawało mu się, że te słowa wywarły na niej wrażenie. Dostrzegł w tych ślicznych oczach łzy.

- Tym razem, milordzie, otrzyma pan coś, co należy cenić.

- A więc proszę mi to dać.

Wpatrywał się w nią, zapanowało przykre milczenie. Nie pojmował, dlaczego to powiedział. Jej wzrok dokonywał

prawdziwego spustoszenia w jego sercu.

Odwrócił się od niej.

- Moi goście czekają- burknął. - Poślę po kamerdynera, żeby zaprowadził panią do jej pokoju. Wyjeżdżamy do Cairncross z samego rana.

- Nie wolno mi tu zostać.

- Zostanie pani tutaj.
- Ale jutro, przed odjazdem pociągu do Yorku muszę odwiedzić mego ojca.
- Gdzie jest pochowany?
- Na cmentarzu żydowskim przy Brady Street w Whitechapel.

- Ach, tam. Gdzie gęste winorośle porastają groby lekarzy, prawników i bankierów. Wiele razy przejeżdżałem obok niego. Zabiorę tam panią, nim udamy się na dworzec kolejowy.

Była taka cicha. Rozkoszował się oporem, który mu stawiała, jak afrodyzjakiem. Była inteligentna. Zbyt inteligentna.

Jeśli kiedykolwiek w życiu powinna zachować ostrożność, to właśnie teraz.

- Nie sądzę, bym powinna tu zostać, milordzie.

- To, co czeka na panią w Wapping, jest o wiele gorsze od tego, co czeka panią tutaj.

Zaczęła się wahać, ale tylko ze strachu. Wiedział, że nie zwykła podróżować samotnie. Musiała się zdobyć na odwagę, by ruszyć w tę podróż, a wszystko po to, by pomóc Samowi. Jego bratu. Biednemu, głupiemu Samowi, którego poza nim nikt nigdy nie kochał. Teraz obaj zyskali anioła miłosierdzia.

- Przyjmuję pańską gościnę, milordzie.

67

Pragnął ją objąć i pragnienie to było tak przemożne, że z trudem się pohamował. Stała tuż obok niego, osaczona przez ciężkie, aksamitne kotary i rękę, którą nadal opierał się o ścianę nad jej głową. Dzieliły ich zaledwie centymetry, mógł bez trudu dosięgnąć jej ust. Pragnął robić z nią to, co robił z Abbey. Cudowne, grzeszne rzeczy...

Zacisnął pięści; napiął mięśnie. Muszą jeszcze przebyć wiele kilometrów, nim znajdzie się na jego łasce. Musi być cierpliwy. I musi zachować ostrożność. Kiedy była w pobliżu, rzucała na niego jakiś urok. Miała w sobie niewinność, której nawet on nie chciał skalać. Czasem blask stawał się zbyt jasny, by mógł się mu oprzeć. Ale on się nie podda.

Nawet ona nie zmusi go, by zapłakał nad swoją grzeszną duszą.

Gwałtownie się odsunął.

- Proszę odszukać kamerdynera i kazać się zaprowadzić do pokoju gościnnego. Muszę wracać do gości.

Wydawała się dotknięta jego tonem. Specjalnie się postarał, by zabrzmiał zimno i odpychająco, więc

był z siebie zadowolony. Zadowolony, kiedy szła przez pokój, zadowolony, kiedy zamknęły się za nią drzwi. Wyraz jej oczu sprawił, że pomyślał, iż może nawet się w nim zakochała.

Kiedy został sam, niemal fizycznie odczuł jej nieobecność. Ciemności zakradły się ponownie ze zdumiewającą szybkością. Do tej chwili nawet nie zauważył ich braku.

Spojrzał na krzesło, przy którym stała. Znów ją sobie tam wyobraził, wystraszoną, ale niezłomną. Będzie z nim walczyła. Wiedział o tym. Ale nie wygra. Zmiażdży jej duszę swymi dłońmi, ponieważ wbrew rozsądkowi przyjechała po niego do Londynu.

*

Aleksandra rozglądała się skonsternowana po małym pokoiku na poddaszu, do którego zaprowadził ją Matthewsby. Z całą pewnością nie zasługiwała na najlepszy pokój w domu, bo była tylko guwernantką, ale ciasna, skąpo umeblowana izdebka na poddaszu sprawiała, że sypialnia Urszuli Pole w Cairncross wydawała się luksusowa.

Jednak miejsce to miało swoje plusy. Nie grasowała tu ta wariatka.

Wypakowała kilka drobiazgów, jakie jej zostały po tym, jak Urszula zaprowadziła swoje porządki w jej sypialni.

Czuła w całym ciele znużenie, z którym zmagala się od dnia spaceru z Samem. Starła się je zwalczyć, bo gdyby się poddała, mogłaby dojść do wniosku, że lepiej nie wracać do zamku, a nigdy by tego nie zrobiła. Wprawdzie niechętnie, lecz musiała przyznać, że Urszula Pole okazała się ponad jej siły. Początkowo wydawała się tylko wzbudzającą dreszcz ciekawostką. Teraz udowodniła, że istnieje naprawdę, a najgorsze było to, że Urszula tak wiele o niej wiedziała. Kobieta zabrała jej rzeczy, a nawet perwersyjnie posłużyła się egzemplarzem Ivanhoe, by wytknąć jej żydowskie pochodzenie. Jej wszechmoc ją przerażała. Niewiele osób wybrałoby akurat tę powieść; było coś diabolicznego w tym, że Urszula postanowiła zabrać właśnie tę. Teraz ta wariatka zabrała nawet jej

odzież - bieliznę, lawen -
dową suknię - rzeczy, które nie tylko lubiła, ale które były jej potrzebne. Na tę myśl krew ścinała się jej w żyłach.

I Sam. Nie mogła pozbyć się obrazu rudowłosej kobiety, którą widziała na schodach, krążącej nad łóżkiem Sama niczym upiór. Dręczące pytanie, co Urszula mogła zrobić Samowi, krążyło jej w myślach jak jastrząb nad głową.

Damien powiedział, że Urszula interesowała się tylko nim, co potwierdzały kartki z dziennika. Ale Urszula mogła również robić różne rzeczy z Samem. Obaj mężczyźni byli tak do siebie podobni, że nawet ona miała czasem kłopoty z pamiętaniem, że Sam to nie Damien.

Wolno usiadła na skraju nierównego materaca i wróciła myślami do spotkania z Newellem w bibliotece. Jego pocałunek wywołał drżenie rąk. Próbował ją skrzywdzić i wiedziała o tym. Ale jeszcze gorzej było, kiedy stał się delikatny. Wtedy ją uwiódł, sprawił, że pragnęła tego pocałunku.

Uświadomiła sobie, że nie lubi Johna Damiena Newella, ale zarazem wiedziała, że jest o krok od zakochania się w nim. Był zdemoralizowany; zastanawiała się, czy da się naprawić spustoszenia, jakie powstały w jego duszy. Jednak w chwilach podobnych do tej, kiedy ogarniała ją rozpacz, wracała myślami do ogrodu w Cairncross. Zawierał w sobie tyle piękna. Nawet w zeschniętych różach tkwił zalążek nowego życia. To sprawiało, że zastanawiała się, czy czyjeś dobre serce może dotrzeć do jego serca i ujarzmić okrucieństwo, którym bronił się przed losem.

Ale przerażał ją; czasem aż wzdragała się jej dusza... jednak przynajmniej jemu udało się dotrzeć do jej duszy tak, jak jeszcze żadnemu mężczyźnie. Chociaż próbowała przekonywać samą siebie, żeby trzymać się od niego z daleka, stwierdziła, że to ponad jej siły. Nawet nauuczka, jaką była znajomość z Brianem, okazała się niewystarczająca. Pragnęła Damiena. Pragnęła go, ponieważ czuła, że on potrzebuje jej jeszcze bardziej niż Sam. Byłoby całkiem zrozumiałe, gdyby zabrała swoje rzeczy, posłała po Mary i przestała myśleć o Samie i Cairncross. Nikt nie miałby do niej pretensji, a już najmniej Newell. Ale nie wyjedzie. Bo im więcej widziała oznak ciemniejszej strony natury Damiena, tym bardziej ją pociągał, tak jak ćmę światło. Była pewna, że jest w nim również dobro, które przewycięży całe zło, jeśli tylko zdoła je odnaleźć.

Z dołu dobiegł dźwięczny, kobiecy śmiech, wypełniając cały dom. Wstała i wyjrzała przez okno na poddaszu. Goście powoli się rozchodzili. Przed dom zajeżdżał powóz za powozem, wylaniały się jak zjawy z gęstej londyńskiej mgły.

Nawet wierzchołki drzew w parku za uliczką, przy której wznosił się dom Newella, spowijał szary тумan. W głębi 68

parku stała kobieta w płaszczu z kapturem. Patrzyła na odjeżdżających gości.

Aleksandrze serce zamarło. Postać była dziwnie nieruchoma, dziwnie milcząca. Przypomniała jej o kobiecie w holu, może nieprawdziwej, ale nie mniej złowrogiej.

Oniemiała patrzyła, jak postać odwraca się w stronę Damiena, który sprowadzał dostojną, siwowłosą damę po marmurowych stopniach do jej powozu. Intensywność, z jaką kobieta w mroku obserwowała Damiena, sprawiła, że Aleksandrze ciarki przeszły po plecach. Spodziewała się, że w każdej chwili koścista ręka wynurzy się spod płaszcza i skinie na Damiena, by go zabrać do miejsca tak mrocznego i występnego, że już nikt nigdy go nie odnajdzie. Dusza w Aleksandrze krzyczała, bo wiedziała, że nie zniosłaby, gdyby go straciła dla takiej siły.

- Panienko? Jego lordowska mość prosił, żebym przyniosła pani coś do jedzenia.

Aleksandra odwróciła się od okna i niemal z furią spojrzała na młodą pokojówkę stojącą na progu ze srebrną tacą.

- Bardzo dziękuję. Proszę postawić na komodzie - rzekła może trochę zbyt ostro.

- Dobrze, panienko. Życzę smacznego. - Pokojówka postawiła tacę i wyszła pospiesznie.

Aleksandra spojrzała w stronę parku, próbowała przeniknąć mgłę. Ciemna postać zniknęła. Teraz

mężczyzna i kobieta szli przez park, śmiejąc się, pod rękę, jakby byli niedawno poślubieni. Kobieta miała na sobie długi czarny płaszcz, bardzo podobny do tego, jakim była okryta tamta postać, ale teraz kaptur zsunął się, ukazując burzę jasnych włosów.

To nie była Urszula. Aleksandra wmówiła sobie, że kobieta, którą widziała poprzednio, idzie teraz z mężczyzną. Ale nie była tego całkiem pewna. Nie wiadomo, gdzie była teraz Urszula Pole. Dawna guwernantka mogła za nią przyjechać z zamku i teraz obserwowała spowity mgłą dom w mieście. Wiedziała, że Aleksandra jest tu razem z Damienem, którego darzyła obsesyjnym uczuciem. Wzdrygnęła się na myśl, jak poprzednia guwernantka by to przyjęła. Urszula łączyła w sobie czyste szaleństwo i niezwykle spryt, co stanowiło niebezpieczną mieszankę. Każda kobieta, która tak długo pozostałaby w ukryciu, nawet mając do dyspozycji kilometry katakumb pod zamkiem, musiała być sprytna. Ona i Damien będą musieli wykazać się jeszcze większym sprytem, by ją odszukać i umieścić w domu dla obłąkanych.

Niech Bóg ma ich w swojej opiece. Urszuli Pole nie wolno lekceważyć.

16

...jedynie śmierć jest moją rywalką.

Bois-Guilbert do Rebeki w *Ivanhoe*

Cmentarz znajdował się w Whitechapel przy Mile End, pomiędzy dzielnicami nędzy Goodman's Fields i Davids- In-Field. Żydzi, pochowani na tym kawałku ziemi, nie zaliczali się do biedaków, ale oni i ich przodkowie mieszkali w Whitechapel od dawna, od czasów kiedy były tu jeszcze pastwiska.

Było zaszczytem, że znalazło się tu miejsce dla Horacego Benjamina i Aleksandra zawsze z dumą odwiedzała swego ojca, pochowanego wśród takich znakomitości jak N.M. Rothschild, zmarły w 1836 roku, czołowy bankier Europy. Jej ojciec, mimo całej swej niepraktyczności, był człowiekiem, którego brakowało kolegom, i za to Aleksandra była im wdzięczna.

Newell nie poszedł z nią na cmentarz. Został obok powozu, zmagając się z szalejącym wiatrem pod rozsypującym się murem cmentarnym. Aleksandra mogła w spokoju przez chwilę pobyc z ojcem. Stojąc nad jego grobem, zastanawiała się, jak wyglądałoby jej życie, gdyby nie umarł. Prawdopodobnie wciąż jeszcze czekałaby na Briana, pracowała by z ojcem, nadal rozpaczliwie próbując znaleźć dla siebie miejsce w jego życiu. W życiu obu mężczyzn.

A potem pomyślała o Newellu, o jego twarzy, twardej i ściągniętej, jakby walczył z niespodziewanym zimmem i jeszcze czymś, co tkwiło głębiej.

- Co ja robię, ojcze? - szepnęła przed granitową płytą ozdobioną gwiazdą Dawida, jakby to był herb Benjamina, -

Czy mam uciec od niego i skazać się na samotność? Czy brać tę odrobinę, którą proponuje mi los, jak brałam od Briana?

Te pytania zawsze pozostawały bez odpowiedzi. Złożyła wieniec laurowy u stóp grobu, przy okazji zobaczyła, że dach kapliczki zarósł zielonym mchem, rudziejącym wraz z nadchodzącą jesienią. Od śmierci ojca upłynęło dziewięć miesięcy. W ciągu tego czasu może powstać nowe życie, jednak to za krótko, by ukoić żal. Z ciężkim sercem odwró -

ciła się i zobaczyła Damiena przy bramie. Stał prawie tak samo, jak w furtce ogrodowej, przed wyjazdem do Londynu.

Tylko tym razem nie opuszczał jej. Bez słowa wyciągnął do niej rękę. Ujęła ją i pozwoliła, żeby jej pomógł wsiąść do powozu, który miał ich zawieźć na dworzec kolejowy. Stamtąd jechali do Yorku.

*

Dotarli do zamku dobrze po północy następnego dnia. Ich pociąg opóźnił się w Stirrling i musieli się zatrzymać na noc w gospodzie. Newell wynajął osobny pokój dla niej, a sam zajął drugi. Nie było mowy o dzieleniu pokoju. Prawdę powiedziawszy, Newell był dżentelmenem w każdym calu. Gdyby Aleksandra знаła go lepiej, wiedziałaby, że Newell bywa grzeczny i wyniosły wtedy, gdy jest najbardziej niebezpieczny.

- Zastanawiałam się nad zmianą pokoju, milordzie - powiedziała, kiedy w końcu znaleźli się w Cairncross i posilali w 69

bibliotece przed udaniem się na spoczynek. - Nie sądzę, żeby było rozsądne z mojej strony wyprowadzić się z sypialni Urszuli. Jestem przekonana, że moja obecność tam ją denerwuje. Myślę, że łatwiej ją złapiemy, kiedy będzie poirytowana.

Damien siedział naprzeciwko niej, w dłoni trzymał kieliszek z bursztynowym płynem, na który zdawał się nie zwracać uwagi. Wzrok utkwiał w niej. Może się myliła, ale przysięgłaby, że odkąd opuścili Londyn, bez przerwy jej się przyglądał.

- Jak sobie pani życzy - odrzekł jedynie.

- Przyznaję, że nie wydaje się rzeczą rozsądną zostać tam, ale może to być wabik, dzięki któremu uda się ją złapać.

Wymuszony uśmiech pojawił się na jego ustach. Był tak przystojny w świetle gazowej lampy, z włosami, w których odbijało się złoto, cienie łagodziły jego ostre rysy. Pragnęła go objąć, pocałować. Przeżywała prawdziwe katusze, powstrzymując się, ale wiedziała, że musi przewyciężyć to pragnienie. Kiedyś uległa Brianowi. Teraz miała dość rozumu, by bać się ulec temu mężczyźnie, który przyznawał się do okrucieństw tak łatwo, jak dziecko się przyznaje, że wsadziło rękę do słoja z łakociami.

- Dlaczego tak się pan uśmiecha, milordzie?

Uśmiech stał się szerszy. Chociaż wcale nie był przyjemny.

- Słodka Aleksandro, jest pani taka dobra i niewinna, ale tak mało pani rozumie. To nie ja ją złapię,

tylko ona złapie mnie. Może być pani tego pewna.

- Złapie ją wasza lordowska mość. Wiem o tym. - Spojrzała na niego. Był tak silny, tak wielki i muskularny, nie mogła sobie wyobrazić, by ktoś mógł go pokonać.

Pochyliwszy się do przodu, musnął jej policzek. Skóra aż zaczęła ją palić w tym miejscu. Miał szorstką, zgrubiałą rękę, Aleksandra była ciekawa, od czego. Od pracy w Wapping? Mało wiedziała o jego przeszłości.

- Aleksandro - powiedział - gdybym był człowiekiem bardziej szanowanym, chyba poślubiłbym cię i spłodził z tobą dziecko, by móc odejść z tego świata z mniejszym żalem. Gdybym tylko był człowiekiem godnym szacunku...

Przysunęła jego rękę do swego policzka, nie mogąc zapanować nad emocjami.

- Ależ jest pan człowiekiem szanowanym. Wrócił pan, żeby ratować Sama. Wrócił pan, żeby mi pomóc. Nie ma dla pana rzeczy niemożliwych, Damienie.

- Nie będę miał synów podobnych do mnie.

- A córki?

Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Miałbym takie córki jak ty. Ale skąd mogę mieć pewność, że będą to córki? Nie mogę podjąć takiego ryzyka.

- Jest pan dla siebie bezwzględny, milordzie. Byłabym dumna z takiego syna jak pan. Przetrwiał pan, choć wielu ludzi by przepadło. Czy to nie powód do dumy?

Ich spojrzenia się spotkały.

Przewyciężyła nagłą chęć, by podejść do niego, przytulić do jego policzka. Wiedziała, że w ten sposób niczego nie osiągnie.

- Muszę się udać na spoczynek, żeby rano znów móc przystąpić do pracy z Samem. Czy mam mu powiedzieć, że napije się pan z nami herbaty? - Czekwała z nadzieją. Leciutko skinął głową. - W takim razie życzę panu dobrej nocy, milordzie. - Wstała i podeszła do drzwi. Zaskoczyło ją, gdy poczuła, że ujmuje jej dłoń.

- Nie życz mi dobrej nocy. - Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, twarz miał ściągniętą.

- Chce pan, żebym się w panu zakochała, a potem mnie pan porzuci? - Nie lubiła okazywać swoich uczuć, ale nie zostawił jej innej możliwości. - Nie dorównuję panu pozycją, milordzie: nie należę do arystokracji, a mój ojciec był

Żydem. - Jej głos stał się ochryply. - Wiadomo, jak najdotkliwiej można mnie skrzywdzić.

- Magdalena była Żydówką. Jezus był Żydem.

- Tak - szepnęła - ale kiedyś niewierny...

- Wszyscy jesteśmy niewiernymi - przerwał jej, jego czoło się zachmurzyło. - Czy wie pani, że najgorszym niewiernym w tym domu jest Featherstone? To on pierwszy rzucił we mnie kamieniem, kiedy Urszula oświadczyła, że ją zgwałcił. Chyba się w niej kochał. Już dwadzieścia lat temu był starym, zgorzkniałym człowiekiem, wtedy gdy wypróbowała na nim swoje sztuczki. Poczł się lepszy, jak wszyscy starzy, zgorzkniali mężczyźni, na których zwróci uwagę ładna kobieta. Zakochał się w niej i zdradził mnie.

Wcale jej to nie zdziwiło. Zawsze zastanawiał ją Featherstone. Teraz niemal czuła do niego litość.

- Ale teraz jej nienawidzi. Co go tak odmieniło? Dlaczego go pan nie wyrzucił?

Na jego twarzy pojawił się krzywy uśmieszek,

- Służący mówili, jak go uwiodła. Powiedziała mu, że potrzebuje pieniędzy. Tej nocy, kiedy zniknęła, wyprosiła u niego oszczędności całego życia, ponieważ bała się, że jest w ciąży. Ze mną, możesz to sobie wyobrazić? Dał jej wszystkie pieniądze i umówił się z nią na spotkanie w Londynie. Naturalnie nie przyszła. Wrócił do Cairncross z 70

podkulonym ogonem i od tamtej pory stał się jeszcze bardziej zgorzkniały. - Przesunął po niej wzrokiem. Było to spojrzenie, które miało ją onieśmielić. - Oto, dlaczego ci nie ufa, Aleksandro. Nie ufa żadnej pięknej kobiecie.

- A więc stąd miała środki do życia przez te wszystkie lata. Ciekawa bylam, jak sobie radziła bez pieniędzy.

Damien nie skomentował tego. Potarł palcami cienie pod oczami. Wydawało się, że próbuje podjąć decyzję. Był

niespokojny, jakby tylko czekał, by się na nią rzucić. W końcu się odwrócił.

- Proszę, idź przodem. Spotkamy się na półpiętrze.

Skinęła głową. Zalala ją fala emocji. Wydawało jej się, że zawsze, kiedy Damien się od niej odwraca, akurat najbardziej jej potrzebuje, ale w takich chwilach w żaden sposób nie mogła się przebić przez pancierz, pod którym się skrywał.

Odwróciła się i wyszła, cały czas myśląc o jego pieszczotach. Łatwo było sobie wyobrażać, że są mężem i żoną udającymi się na górę po kolejnym spokojnym wieczorze w bibliotece przed kominkiem. Ciekawa była, czy przyzwyczaiłaby się do takich wieczorów, ale ostrzegła samą siebie przed takimi marzeniami. Są jedynie źródłem rozczarowań.

Kiedy znalazła się na korytarzu, przeszedł ją dreszcz. Poczłła zimny przeciąg. W holu było zupełnie ciemno, jedyne światło dochodziło z góry schodów. Pomyślała, że to zapalona lampa gazowa na

półpiętrze, ale w miarę jak wchodziła po stopniach, uświadomiła sobie, że światło pochodzi od zapalanej świecy pozostawionej wysoko na stopniu.

Przystanęła na półpiętrze. Zrobiła tak instynktownie. Zachowała się jak zwierzę wietrzące niebezpieczeństwo. Jednak nie zbiegła po schodach. Powiedziała sobie, że zaraz pojawi się Damien. W każdej chwili mógł wyjść z biblioteki.

Wtedy zobaczy to, co ona.

Chciała zostać w połowie schodów, ale nagle ogarnęła ją niezdrowa ciekawość. Ktoś zapalił świecę i postawił ją na schodach. Stała tam, żeby coś oświetlić, ale nie domyślała się co.

Usłyszała, jak otwierają się w dole drzwi od biblioteki. Na myśl o tym, że Damien jest już blisko, zebrała się na odwagę, uniosła spódnicę i znów zaczęła wchodzić po ciemnych schodach. Wchodziła coraz wyżej i wyżej, aż hol w dole przemienił się w czarną czeluść, a półpiętro spowiły cienie.

Sześć stopni do świecy.

Pięć stopni.

Cztery.

Zobaczyła, co położono na podłodze.

Książkę. Wolno, jakby była starą, zmęczoną kobietą, pokonała ostatnie stopnie. Poczowała zimny przeciąg. Przeczytała złowieszczy fragment zakreślony czerwonym atramentem:

Żegnaj! Nie będę na próżno tracić czasu na rozmowę z tobą; czas, jaki pozostał córce rodu Jakubowego tu na ziemi, musi być zużytkowany w inny sposób.

Z mroku wyłoniła się ręka i dotknęła jej ramienia. Wykrzyknęła imię Damiena jak ranne zwierzę.

Ale to nie Damien na nią czekał.

17

Lord Newell chciałby się z tobą zobaczyć, kochaneczko. Ciągłe boli cię głowa? Mam go odesłać? - zatroszczyła się Mary.

Aleksandra spojrzała na pochyloną nad nią, pokrytą zmarszczkami twarz. Podniosła się z trudem. W skroniach czuła łupanie. Siedząc na łóżku widziała, że słońce wstało już dawno. Czyste, łagodne światło poranka wpadało do pokoju.

Nadchodziła zima.

- Zobaczę się z nim. Świetnie się czuję. Naprawdę. - Szczotkowała włosy, starając się ukryć grymas bólu.

Mary cmoknęła z dezaprobatą, lecz podała jej czarny szal i opatulila kołdrą.

- Wszystkich nas okropnie przestraszyłaś. Nigdy nie myślałam, że zobaczę, jak lord Newell trzyma cię na rękach, nieprzytomną po tym okropnym upadku. Szczęście, że żyjesz.

- Nic mi nie jest. Tylko trochę mnie boli głowa. - Patrzyła bezradnie na pokojówkę. Przez chwilę błysnęła jej myśl, by powiedzieć Mary, co się wydarzyło wczoraj wieczorem i kazać jak najszybciej przygotować bagaże do wyjazdu.

Nie wiedziała, kiedy ją przyniesiono do sypialni. Pamiętała jedynie tamtą twarz, a potem okropną, pustą ciemność.

Mary widocznie coś wyczytała z jej twarzy. Wyciągnęła ku niej rękę i Aleksandra ze łzami w oczach uchwyciła ją mocno.

- Kochaneczko, o co chodzi? - szepnęła pokojówka.

Aleksandra ledwo mogła mówić.

- Nie wiem. - To była prawda. Nie miała pojęcia, co się dzieje, wiedziała jedynie, że się boi. Jednak nie powinna obarczać Mary swymi lękami. Wciągnęła ją w tę całą sprawę, jednak wołała jej oszczędzić takich okropności jak to, co 71

widziała na schodach. Przede wszystkim należy chronić Mary. Aleksandra zbyt ją kochała, by wikłać w swoje kłopoty.

Poza tym fakt, że Mary w ogóle znalazła się w Cairncross, był wyłącznie winą Aleksandry.

- Wprowadź lorda Newella. Już się dobrze czuję. Naprawdę. - Aleksandra wolno cofnęła dłoń. Przyglądała palcami splecione włosy, poczuła się jak dzikuska. Okiełznanie ich bez grzebienia i szpilek było wręcz niemożliwe.

- Dopilnuję herbaty. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, kochaneczko, zadzwoń. - Mary przewiesiła ozdobny sznur do dzwonka przez wezłowie łóżka. Obrzuciła Aleksandrę zaniepokojonym, zakłopotanym wzrokiem, a potem wyszła, przepuszczając w drzwiach lorda Newella.

Aleksandra nie znajdowała stów. Musi się dowiedzieć, co widziała, i spytać, co to znaczy. Musi sprawić, by zmienił

decyzję; na tę myśl ogarniała ją rozpacz.

- Jak głowa? - spytał, zajmując krzesło, na którym Mary czuwała przy jej łóżku poprzedniej nocy.

- Boli. Mocno się uderzyłam. - Jej wzrok przesunął się po jego postaci. Newell nie był tak wymuskany jak zwykle.

Wprawdzie zmienił koszulę, ale na jego policzkach pojawił się ciemny zarost, oczy miał zmęczone,

często je tarł, wsuwając palce pod okulary. Mogła się założyć, że całą noc nie spał.

- Jak upadłaś, Alex?

Uniosła głowę, słysząc to zdrobnienie. Ojciec zwracał się tak do niej tylko w chwilach największego wzruszenia.

Poczuła dziwny ból. Nie chciała się zakochać w Damienie Newellu.

- Ujrzałam ją nad sobą w ciemnościach. - Zadrzała. - Ta okropna twarz...

Siedział milcząc na krześle, cały napięty. Przypominał lwa szykującego się do skoku.

- Popchnęła cię?

- Nie jestem pewna. Widziałam wyraźnie jak w dzień, obok siebie kobietę, potem wydało mi się, że są dwie postacie.

Jeśli ktoś mnie popchnął, to raczej od tyłu.

Zaległa lodowata cisza. Aleksandra się modliła, żeby Newell nie odezwał się jak najdłużej, i tak wiedziała, co usłyszy. Ale przemówił.

- Wyplacę ci roczną pensję i dam rekomendację. Dziś wieczorem odjeżdża pociąg z Yorku. To twoja ostatnia szansa.

Proponuję, żebyś z niej skorzystała.

- Nie. Nie chcę wyjeżdżać. Chcę pomóc. - Zdusiła dziwny szloch, który ścisnął jej krtań. Nie mogła wyjechać, nie miała dokąd.

- Zostając tu, narażasz własne życie na niebezpieczeństwo...

- Sam robi postępy. Jestem mu potrzebna. - A on jest potrzebny mnie, dodała w duchu. Serce jej się kurczyło na myśl o wyjeździe.

- To uderzenie w głowę musiało ci odjąć rozum, Alex. - Zmarszczki wokół jego ust pogłębiły się. - Nie rozumiesz?

Uważa cię za przeszkodę. Pozbądź się siebie, by dotrzeć do mnie.

- Jak zamierzasz ją powstrzymać? Jeśli przebywa w katakumbach, nigdy nie uda ci się jej odnaleźć. Zresztą wcale nie będziesz szukał.

Zacisnął usta.

- Wiem, jak ją powstrzymać.

- Jak? - spytała.

- Muszę ustalić, dokąd wyjechała po swoim zniknięciu. Muszę wiedzieć, co się z nią działo. Wtedy będę wiedział, jak do niej dotrzeć.

- Ona jest teraz tutaj, w zamku. - Skinęła głową w stronę drzwi do sali lekcyjnej. - Może nawet w tej chwili podsłuchuje za drzwiami.

- Być może. Tym bardziej powinnaś wyjechać. I to jeszcze dziś.

- Nie mogę.

- Dlaczego? - Nagle ogarnął go nieopanowany gniew. Potrząsnął nią jak szalenciec. - Daję ci jeszcze jedną szansę.

Jeszcze jedną szansę, by się uwolnić. Będziesz głupia, jeśli z niej nie skorzystasz!

Patrzyła na niego, wstrząśnięta tym wybuchem, nie potrafiła jednak wytłumaczyć swego uporu. Nie знаła słów, którymi mogłaby wyrazić pragnienie bycia potrzebną i tęsknoty samotnej kobiety. Zdawała sobie sprawę, że myśl o życiu w pustym mieszkaniu w Londynie z Mary jako jedyną towarzyszką przerażała ją o wiele bardziej niż upiorna zjawia Urszuli Pole.

- Chcę pomóc Samowi. Zatrudniłeś mnie, żebym mu pomogła. On wie o niej coś, czego się nigdy nie dowiemy, jeśli znów nie zacznie mówić. - Błagalnie wyciągnęła ręce i ujęła jego dłoń.

Z całą bezwzględnością wyrwał swą rękę.

- Pamiętaj, że ci dawałem szansę.

Spojrzała na swoją dłoń, która zaledwie kilka sekund temu ścisnęła rękę Newella. Nagle przejął ją zimny dreszcz.

Zamieszanie z powodu wariatki, którą już dawno temu należało ująć i zamknąć, wydawało się absurdalne. Niechęć 72

lorda do podjęcia poszukiwań Urszuli mogła być podstępem.

- Naturalnie jestem tylko służącą, która nie wie, co dla niej dobre, ale zostanę z uwagi na Sama. Tylko ze względu na Sama - sprzeciwiła się kwaśno, tym bardziej że miała dziwne uczucie, że słyszy ją Urszula. Ta kobieta znała wszystkie słabe punkty Aleksandry. Domyśliła się, jaki wpływ wywarła na nią lektura Ivanhoe. Nagle przypomniała sobie to, co powiedziała Rebeka do Roweny w zakończeniu powieści. Do oczu napłynęły jej łzy. I wbrew swej woli wyszeptała: -

Pozwól mi mniemać, że nie masz tak złego wyobrażenia o naszym narodzie, jak ogół twoich rodaków. Czy myślisz, że bardziej cenię... te błyszczące kamyczki od mej wolności? Lub że mój ojciec stawia je na równi z honorem swego dziecka?

Newell odwrócił wzrok. Zapanowała ciężka, przygniatająca cisza. Po dłuższej chwili wstał, nie wiedząc, co teraz robić.

- Milordzie - rzekła Aleksandra. - Twarz, którą widziałam, nie była warzą kobiety spotkanej na schodach. Tamta miała rude włosy i gdyby nie okrutny wyraz jej ust, byłaby niemal piękna. Ostatniej nocy widziałam zupełnie inną twarz. Brzydką i pomarszczoną. Okalała ją burza białych włosów, sterczących na wszystkie strony. Urszula byłaby teraz siwa, prawda? Kobieta, którą widziałam poprzednio, rzeczywiście musiała być służącą.

Pokręcił głową, na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi.

- Powinnaś była powiedzieć mi o tym wcześniej. Z twojego opisu wynika, że ostatniej nocy ujrzałaś lady Bess. Moja babka ma prawie sto lat. Mieszka w wieży północnej. Czasem włóczy się po zamku, budząc przerażenie swoim wy-głędem. Nic dziwnego, że upadłaś. Musiałaś się przestraszyć i poślizgnąć. Jest istotą niegroźną, nie popchnęłaby cię.

- W takim razie kto zapalił świecę i położył książkę?

Zmarszczył czoło.

- Jaką świecę? Jaką książkę?

- Świecę i książkę, które były na półpiętrze. Zakreślono fragment tekstu i... - urwała w pół zdania. Nie mogła mówić o *Ivanhoe*, nie obnażając swej duszy. - Czy nie było świecy ani książki, kiedy usłyszałaś, jak spadam ze schodów?

- Niczego takiego nie dostrzegłem. Gdy wybiegłem z biblioteki, w holu nikogo nie było. Może spytać o to służbę?

Opadła na poduszki, nagle dziwnie znużona.

- Przyszliby do ciebie, gdyby znaleźli coś niezwykłego.

- Co to była za książka, Alex?

Wpatrywała się w drzwi do dawnego pokoju do nauki. Nagle ogarnęło ją uczucie nienawiści. Urszula znęcała się nad nią. Ale nie pozwoli jej na to. Nie pozwoli.

- Zwykła, otwarta w jednym miejscu książka. Upadłam i właściwie nie zdążyłam tego przeczytać. Z pewnością to bez znaczenia. Jeszcze jeden psikus. - Gorąco pragnęła, by Urszula ją słyszała. Nie pozwoli tej wariatce dłużej się wykorzystywać. Prędzej umrze, niż do tego dopuści.

- Odpocznij - polecił, patrząc na nią z dziwnym zakłopotaniem. - Później przyślę Sama. Może zjesz z nim obiad. Na pewno się ucieszy. Pani Penrith powiedziała, że bardzo mu ciebie brak.

- Mnie jego też - szepnęła.

Damien niemal się uśmiechnął. Serce omal jej nie pękło, kiedy ujrzała, jaką mu to sprawia trudność.

- Życzę miłego dnia - powiedział, wychodząc. Teraz wiedziała, że naprawdę jej tego życzy.

*

Damien wszedł do małego ogrodu. Kiedy pchnął furtkę, skrzypnęła w zawiasach. Oddychał głęboko, idąc wolno przez suche zarośla. Jakże inaczej wyglądał ten ogród wiosną w czasach, kiedy dbała o niego babka. pastelowe róże wielokwiatowe porastały mur, rozciągając niebiański zapach. Żywopłoty i szpalery były oryginalnie przycięte.

Przypomniał sobie, że kiedyś jeden krzew miał kształt grubego, wesołego królika.

Zdjął okulary i oparł głowę o spękany mur. Chmury jak baranki płynęły po niebie, bawiąc się w chowanego ze słońcem, rzucając cień na trawę. W oddali widniał kopiec, swą wielkością budzący zdumienie na tym pustkowiu.

Oczy go piekły. Przez całą noc był na nogach. Odczuwał zmęczenie, ale wyczerpanie to stary, dobry znajomy.

Newell znał je dobrze, odkąd jako chłopiec musiał zarabiać na życie na ulicach Londynu.

Urszula próbowała ją zabić.

Nie mógł uwolnić się od tej myśli, nawet tu, w ogrodzie, gdzie panował spokój. Bo nie było spokoju w nim.

Zaczynał się o nią troszczyć. Nigdy nie chciał chodzić po tej cienkiej linii, ale kiedy ujrzał bezwładne ciało u podnóża schodów, poczuł taką wściekłość, że ledwo się pohamował.

Jeszcze przed rozmową z Aleksandrą wiedział, że to sprawka Urszuli. Urszula pojmowała, co on zaczyna czuć do Aleksandry. W przeszłości znała jego słabości i niepowodzenia i sprytnie je wykorzystywała. Teraz robiła to samo.

Jeśli nie zdoła dotrzeć do niego, dotrze do Aleksandry.

Ostatniej nocy śnił o Aleksandrze. Ogród był w pełnym rozkwicie, ona zaś miała na sobie śliczną muślinową sukienkę w tym samym kolorze co róże. Barwa tkaniny pięknie kontrastowała z jej ciemnymi włosami. Na ten widok 73

aż mu zaparło dech. Stał przy furtce ogrodowej, patrząc na tę kobietę i nie mógł oderwać od niej oczu.

Podeszła do niego. Jak prawdziwa uwodzicielka wzięła go za rękę i wprowadziła do ogrodu. Ogarnęło go pożądanie, pragnął ją położyć w lawendzie, ale go powstrzymała. Był zmieszany, szczególnie kiedy szepnęła: „Trzymaj mnie”, ale po chwili zrozumiał. Przytuliła się do niego, a on ją objął. Nagle zamek stanął w płomieniach. Spokojne wrzosowisko stało się ognistym Armagedonem,

plomienie strzelały z kopców i skał.

Ale w ogrodzie panował spokój.

Trzymał ją mocno w ramionach, tak blisko, że panujący wokół chaos nic dla niego nie znaczył. „Jestem teraz bezpieczna” - szepnęła. Chciał temu zaprzeczyć, chciał powiedzieć, że największe niebezpieczeństwo grozi jej wówczas, kiedy jest tak blisko niego. Ale nie mógł. Była taka grucha, patrzyła na niego z taką ufnością, że ogarniało go niezwykle słodkie i czyste uczucie, tak intensywne, że aż sprawiało mu ból. Nie chciał pozwolić jej odejść. Pragnął

ją tulić i chronić. I chciał, żeby dobroć, którą udało jej się w nim rozpałcić, już nigdy nie zgasła. Chciał, żeby ta iskierka potężniała, by w tym ogniu spłonęło całe tkwiące w nim zło, zostawiając tylko dobroć.

I w tym momencie się obudził. Był zupełnie sam. Jak zawsze. Biedny, samotny Damien. Toczący tę samą, odwieczną walkę.

Uderzył pięścią w mur. Kawałki tynku, pokryte zielonymi plamami, spadły na ziemię. Spojrzał na swoją dłoń. Była zakrwawiona.

Ogród odrodzi się na wiosnę, ale on - nie. Nie mógł się odrodzić. Wszelkie uczucia, jakie w nim były, niosły tylko zniszczenie. Nie miał cienia wątpliwości, że powstrzyma Urszulę. Nie pozwoli, żeby Aleksandra zginęła w tym pojedynku.

Och, ale nie chciał nic do niej czuć. To pragnienie chronienia jej przyprawiało go o mdłości. Było takie szlachetne.

Takie obce. Odczuwał je tylko i wyłącznie wobec Sama. Nigdy. Aż do tej pory.

Wyciągnął rękę i z pobliskiego krzewu zerwał kilka zeschniętych gałązek róż. Ciemię wbijały się w zakrwawioną dłoń, ale nie zwracał na to uwagi. Zmiażdżył kwiaty i owoce, żeby były jeszcze bardziej martwe. On się nie odrodzi i one też nie.

Nadaremnie. Gałązki się pokruszyły i na żyzną glebę upadły nasiona. Wiosną znów pojawią się róże. Przyroda żyła zgodnie ze swoimi własnymi prawami. Tkwiła w niej siła wzbudzająca lęk.

Ale zło jest równie potężne.

Potarł brodę i pomyślał o Aleksandrze. Dziś rano leżąc w wielkim łożu, była taka bezradna, jej bladą twarz otaczały niesforne ciemne loki. Jej bezbronność poruszyła go do głębi. W tamtej chwili mógłby zrobić dla niej wszystko. Kiedy wyszła pokojówka, mógł Aleksandrę przygnieść swoim ciałem i pokonać jej opór. Mógł ją brutalnie posiąść, a potem odwrócić się od niej tak, jak odwracał się od wielu kobiet. Byłby później zimny. Ona prawdopodobnie by płakała. On odczuwałby zadowolenie, że zaspokoił swoje żądze, że okazał swoją władzę, czym karmiła się jego próżność.

Ale już nigdy nie mógłby spojrzeć Aleksandrze w oczy. Bał się zobaczyć to, co by się w nich odmalowało.

Aleksandra sprawi, że przegra ten pojedynek. Uczucie do niej - a już widział, że tak jest - oznaczało jego koniec. Nie mógł znów stać się bezbronny. Nie chciał więcej znosić katuszy, na jakie narażony jest człowiek bezbronny. Albo on, albo ona. Jeśli przegra, wybierze śmierć.

Drżącą, zakrwawioną dłonią włożył okulary na nos i ruszył w stronę furtki.

Woli śmierć.

18

Samuelu, dziś jest za zimno, żeby pójść do ogrodu. Gdzie chciałbyś mieć lekcję? - spytała Aleksandra przy śniadaniu następnego ranka. Lekki szron pokrył dziedziniec, przez okna widać było skrawek ogrodowego muru, po pierwszym przymrozku zielone od mchu kamienie stały się brunatno-żółte.

- Chcę do Damiena. - Samuel patrzył na nią przez stół. Srebrną łyżką mieszał w talerzu parującą owsiankę.

- Damien jest zajęty, ale wyślę mu liścik. Czy chciałbyś spędzić dzień w bibliotece? Pani Penrith mówi, że są tam najróżniejsze książki. Mam ci dziś poczytać? Poezję? Możemy razem deklamować wiersze.

Samuel nie odezwał się, tylko mieszał owsiankę jak rozkapryszone dziecko.

- Co się stało? Tęsknisz za bratem, chociaż jest w Cairncross? - Na jej ustach pojawił się łagodny uśmiech pełen zrozumienia.

W końcu Sam się odezwał.

- Nie jesteś przyjaciółką Damiena. - Spojrzał na nią spode łba i znów utkwiał wzrok w owsiance.

Aleksandrze aż odjęło mowę. Zupełnie nie rozumiała, o co chodzi Samowi, dlaczego to powiedział.

- Dlaczego mówisz takie rzeczy, Sam? Twój brat i ja darzymy się największym szacunkiem.

- Ale nie lubi z tobą być.

Lekko zmarszczyła nos.

- Dlaczego tak uważasz?

74

- Nigdy nie jest z tobą. Jest zawsze tylko z nią.

Skrzyżowała drżące ręce na piersiach i spojrzała na niego zimno.

- Kogo masz na myśli mówiąc „z nią”, Sam?

- Z nią - powiedział Sam, wzruszył ramionami i znów skupił całą uwagę na owsiance.

Aleksandra zupełnie nie wiedziała, co zrobić. W pierwszym odruchu chciała nim potrząsnąć i zmusić go do wyjaśnień, ale wiedziała, że w ten sposób jedynie go przestraszy, co nie miało żadnego sensu. Spo kojnie popijała kawę, analizując sytuację. Wszystko prowadziło do Urszuli. Nie mogła jedynie zrozumieć, co Sam miał na myśli, mówiąc, że Damien jest z nią. Jednak postanowiła dowiedzieć się tego.

Pójdziemy do biblioteki? - spytała lekko, kiedy skończył jeść.

Samuel skinął głową, lokaj pomógł jej wstać z krzesła. Przeszli do biblioteki. Samuel usadowił się w fotelu Damiena, gdy Aleksandra przeglądała tomy stojące wzdłuż ścian, szukając jakiegoś odpowiedniego zbioru poezji.

- Może ten? - Wyjęła tomik Thomsona, zatytułowany Wolność, i usiadła na podłodze w pobliżu kominka.

Stwierdziła, że zawsze lepiej siedzieć niżej niż Sam, bo gdy zaglądała mu przez ramię, stawał się spięty i milczący.

- Zobaczmy, co my tu mamy... O, to będzie w sam raz. - Uniosła książkę na wysokość twarzy i przeczytała kilką linijek, aż dotarła do następującego fragmentu:

Wtedy (smętna pociecha!) od brzegów, gdzie morze

Germańskie bije falą - mocny, płowowłosy

Pojawił się Saksończyk o niebieskich oczach.

- Damien - szepnął Sam, jakby to był jego opis.

- Potrafisz to powtórzyć, Sam? - spytała, już nienawidząc poematu. Chciała uciec od myśli o lordzie Newellu, a oto znalazła jedyny wiersz w całej bibliotece, który przypominał Samowi o nim.

- Wtedy (smętna pociecha)... - zachęcała go.

- Smentna pociecha - powtórzył.

- Wtedy (smętna pociecha) - poprawiła go.

- W Cairncross rudowłosa pojawiła się Saksonka. - Sam przeniósł się do swego własnego świata. - Kim jestem ja, tym ty masz być. Więc weź mą dłoń i ze mną idź.

- Samuelu? - Uklęknęła i dotknęła jego ręki. Potem wzięła go za ramiona i potrząsnęła nim, żeby na nią spojrział. - Co ty mówisz, Sam? Kto cię tego nauczył?

- Kim jestem ja, tym ty masz być. Więc weź mą dłoń i ze mną idź. - Wpatrywał się w nią, oczy miał łudzaco podobne do oczu brata, brakowało im tylko przenikliwości Damiena.

- Kto to mówił, Sam? Kto cię nauczył tego wiersza? Czy panna Pole? Gdzie z tobą rozmawia? W twoim pokoju? -

Starła się mówić łagodnie, troskliwie, zachowując na twarzy spokój. Przychodziło jej to z trudem, czuła, jak zimne ciarki przebiegają jej po plecach.

- Nie w moim pokoju. Nie ma jej w moim pokoju. Jest z Damiernem.

- Ale gdzie z tobą rozmawia? Możesz mi pokazać? - Chciała nim potrząsnąć, zmusić, żeby jej pokazał to miejsce. Urszula ukrywała się w tym zamku i przez nią Sam miał takie trudności z mówieniem. Musiała go skłonić, żeby ją wydał.

- Więc weź mą dłoń i ze mną idź. - Wstał i wyciągnął rękę. Usłuchała go, czując, jak przebiega ją zimny dreszcz.

Wydawało jej się, że idą już całe kilometry przez korytarze we wschodnim skrzydle zamku. Ta część Cairncross wznosiła się najbliżej brzegu, za oknami rozciągał się groźny, majestatyczny widok wzburzonego morza. W końcu zeszli na dół kręconymi schodami do miejsca, gdzie skały obryzgiwała słona woda.

- Jak daleko prowadzą te schody, Samuelu, czy aż do rzeki Styks? - Spojrzała w dół. Schodził coraz niżej i niżej, ginąc w mroku. - Samuelu? - Zadrżała w chłodnym powietrzu. Uniosła w górę świecznik, próbując wypatrzeć Sama w ciemnościach.

Samuel przystanął i obejrzał się za siebie.

- Na dół. Musimy zejść na dół.

Westchnęła ciężko. Uniosła kraj sukni i zaczęła znów iść za nim.

W końcu znaleźli się na twardym gruncie, a raczej na twardej skale. Widziała w półmroku wielką, półkoliście sklepioną grotę, która musiała w jakiś sposób być połączona ze skałami widocznymi podczas odpływu morza. Pod jedną ścianą znajdowały się beczki ze zbożem. Stały tu przynajmniej od pięciu wieków; zawierały zapasy na wypadek wojny.

- Widujesz ją tu, Sam? - spytała, przerażona, że samotnie przychodzi do tego ciemnego, ponurego miejsca.

- Nie tutaj. Tam. - Samuel zniknął w mroku. Kurczowo ściskając świecznik, ruszyła za nim.

Podeszli do wysokich na pięć metrów drzwi umieszczonych w ścianie grotty. U góry zdobiła je głowa barana 75

otoczona gałązkami laurowymi, po bokach wyrzeźbiono rzymskie zbroje i trofea. Było to wejście do

katakumb.

- Tam. Ona jest tam. Tam się z nią spotykam - powiedział żałośnie Sam. Choć było prawie zupełnie ciemno, widziała, że spuścił głowę, oczy ze strachu wbił w ziemię.

- Zajrzemy do środka? - spytała bardziej zdenerwowana, niż się chciała do tego przyznać. Damien powiedział, że katakumby ciągną się niemal bez końca. Teraz, kiedy znalazła się u wejścia do labiryntu, nagle ogarnął ją strach. Bała się, że zostanie żywcem w nich pogrzebana, że ę zgubi wśród grobowców pod zamkiem.

- Nie idź tam! - krzyknął Sam, prostując się nagle.

Aleksandra drgnęła.

- Powiem o tym lordowi Newellowi. - Stwierdziła uspokajająco. - Powinien polecić jak najdokładniej przeszukać te katakumby. - Dotknęła ramienia Samuela. - Rozumiesz, prawda, Sam? Nie możemy pozwolić, żeby ta wariatka dłużej się tu kręciła.

- Nie idź tam!

Samuel ją chwycił. Krzyknęła, a świecznik wypadł jej z ręki. Z hałasem potoczył się po kamiennej posadzce grotty.

Płomień zgasł i ogarnęły ich nieprzeniknione ciemności. Nieprzeniknione ciemności piekła.

- Boże, pomóż nam! - krzyknęła Aleksandra, czując stalowe ramię Sama wokół swej kibici. Odciągnął ją od wejścia do grobowców. Szamotała się z nim, próbując się oswobodzić, ale przypominało to walkę z Goliatem. Był wysoki, muskularny i silny, nie mogła zrobić ani kroku bez jego pozwolenia.

Samuel ciągnął ją, skraj jej sukni zaczepiał o kamienie na dnie grotty, Aleksandra nie mogła utrzymać się na nogach.

W ciemnościach zupełnie straciła orientację. Nie miała punktu odniesienia. Czowała się, jakby była zawieszona w próżni.

Nie umiała odzyskać równowagi, prawdę mówiąc, zupełnie straciła głowę.

- Samuelu, błagam... sprawiasz mi ból... co ty robisz? - skamlała. Jego palce niczym żelazne bolce wbijały się jej w żebra.

- Nie idź tam - powtarzał olbrzym jak zaklęcie. A potem jeszcze mocniej ją ścisnął, by okazać swoje niezadowolenie.

- Wezwij pomoc. Wezwij pomoc. Zabłądziliśmy w ciemnościach. Nie rozumiesz... - Łzy płynęły jej po policzkach.

Serce było jej jak oszalałe, nie mogła złapać tchu. Ciemności były piekielne. Bała się Sama, ale jeszcze bardziej bała się tego, że ją puści i będzie musiała sama stawić czoło ciemnościom.

Nagle poczuła mocne uderzenie w plecy, a potem drugie. Minęła chwila, nim dotarło do niej, że Sam znalazł schody.

Przez lata wędrówek po grocie poznał ją dokładnie. Nawet w całkowitych ciemnościach znalazł schody, jak nietoperz-wampir znajduje świeżą krew.

Z jękiem chwyciła rękę, którą obejmował ją wpół. Teraz już powinna trafić sama, uścisk Sama sprawiał jej nieznośny ból. Samuel nie zdawał sobie sprawy ze swojej siły. Niemal ją dusił.

- Proszę... Sam... puść mnie. Puść mnie - błagała, ale jego palce wciąż bezlitośnie wbijały się pod jej żebra.

- Nie idź tam. Nie wolno ci tam pójść. - Płakał, a właściwie z jego ściśniętego gardła wydobywał się chrapliwy, straszny szloch dorosłego mężczyzny.

- Och, Samuelu! Samuelu, proszę, puść mnie. Sprawiasz mi ból. Wiem, dlaczego to zrobiłeś. Rozumiem cię, ale błagam, puść mnie. - Płakała. Nie mogła znieść jego żalości i bólu, jaki sprawiał jej swym uściskiem.

Ale nie puszczał jej. Dopiero kiedy przeszli przez drzwi w wieży i znaleźli się w korytarzu prowadzącym do pokoiów służby, odważył się ją uwolnić. Upadła, oddychała z trudem, była pewna, że złamał jej któreś żebro.

Korytarz nie był dobrze oświetlony, ale w porównaniu z ciemnościami panującymi na dole czuła się jak w promieniach słońca. Ciężko dysząc, wstała z podłogi. Samuel opierał się plecami o drzwi, jakby się bał, że gdy tylko spuści ją z oka, Aleksandra znów zbiegnie po schodach.

Odzyskała oddech i próbowała opanować łkanie. W korytarzu nie było nikogo - albo przynajmniej tak jej się wydawało - kiedy niespodziewanie w głębi zamajaczyła czyjaś postać. Zbliżyła się do nich. Aleksandra wstrzymała oddech.

- Damien! - krzyknął Sarn. Tak się ucieszył na widok brata, że o wszystkim zapomniał.

- Pani Penrith podejrzewała, że tu przyszliście. - Damien ostrożnie uklęknął, by spojrzeć na Aleksandrę.

- Milordzie - rzekła ze łzami w głosie. Nagle znów dopadły ją dawne lęki. Nie chciała tego robić; wiedziała, że mu się to nie spodoba, ale potrzeba okazała się silniejsza. Położyła mu głowę na piersi i zaczęła płakać.

- Alex - powiedział dziwnie zduszonym głosem, jakby zakłopotany. - Samuel nie rozumiał, że nie powinien cię tu przyprowadzać.

- Zga... zgasła... świeca - łkała. - Wkoło były ciemności. I Samuel mnie złapał. Był taki zły.

- Nie zrobiłby ci krzywdy. Kocha cię - szepnął Damien.

- Powtarzał jedynie „Nie idź tam. Nie idź tam”. - Dygotała na całym ciele. Płakała z twarzą wtuloną w jego pierś, a bijące od niego ciepło skłaniało ją do ujawnienia wszystkich lęków i słabości.

- Bał się, że zabłądzisz. Nie umie wyrażać swych uczuć. Wiem o tym. - Jakby nie widząc, co czyni, wyciągnął rękę i odgarnął jej włosy z czoła.

76

Oboje jednocześnie uświadomili sobie tkliwość tego odruchu. Aleksandra poczuła, że Newell cały zeszywniał.

Chciał się jej wyrwać, ale nie puszczała go. Żebra bolały ją nieznośnie, sparaliżował ją strach, ale nigdy nie czuła się taka... bezpieczna. Taka spokojna. Było jej ciepło i dobrze. Chciała pozostać na zawsze przytulona do piersi Damiena.

- Spójrz na niego - szepnął, spoglądając na brata. - Jest bardziej zdenerwowany od ciebie. Okropnie go przestraszyłaś.

Aleksandra otarła łzy z policzków i spojrzała na Sama. Stał nad nimi jak dziecko, które stało się świadkiem narodzin, patrzył rozszerzonymi oczyma, z zachwytem i lękiem.

- Och, Sam, to moja wina - wykrztusiła. - Nie powinnam była tam pójść tylko z tobą.

Samuel przyglądał jej się, nic nie mówiąc, jego twarz była blada i napięta.

- Zaprzyjaźnił się z tobą - rzekł cicho Damien, jakby wypowiadał te słowa wbrew swej woli.

Ich spojrzenia się spotkały. Teraz nagle miała mu tyle do powiedzenia, ale słowa nie chciały przejść jej przez gardło.

Dotknęła policzka Newella.

- Damienie... - szepnęła.

- Nie. - Spuścił wzrok.

Gorące łzy toczyły się po jej policzkach. Miał minę człowieka, który stracił nadzieję.

- Może lepiej zabrać stąd Sama. - Patrzyła na Damiena. Jego wzrok stał się nieprzenikniony. Niczego nie można było teraz odczytać z jego ściągniętej twarzy.

- Ona nie chce, żeby odszedł Sam. Ona chce, żebyś ty stąd znikła.

Była pewna, że nie zamierzał powiedzieć tego tak szorstko. Oparła się o ścianę. Czuła pod stopami twarde deski podłogi.

- Nie chcę wyjeżdżać. - To było głupotą. Pobyt w Cairncross groził niebezpieczeństwem. Nie miała fizycznej kontroli nad Samem i nie rozumiała Damiena. Ale instynkt nakazywał jej zostać. Jakieś uczucie tkwiące głęboko w sercu błagało ją, by została, póki to nie minie. Miała pewność, że to nigdy nie nastąpi.

Wierzchem dłoni otarła łzy.

- Chcę pomóc. Co mam zrobić?

- Powtarzaj mi, co mówi Sam. I trzymaj się z daleka od katakumb. - Twarz miał śmiertelnie poważną. - Kazałbym je przeszukać, ale w niektórych miejscach się pozapadały i nie są bezpieczne. Labirynt jest niezbadany i rozległy. Nie wolno ci o tym zapomnieć. - Wpatrywał się w nią. - Samuel uratował ci dziś życie. Gdybyś tam poszła, nigdy nie odnalazłabyś drogi powrotnej.

Skinęła głową, przeklinając łzy napływające do oczu.

- Będę się od nich trzymała z daleka.

- W całym Cairncross są tajemne przejścia. Jeśli trafisz na jakieś, powiedz mi.

- Jakie tajemne przejścia?

- Podczas oblężenia rycerze mogli uciec z zamku przez katakumby. W większości pomieszczeń zamkowych są ukryte przejścia. Znam niektóre, ale nie wszystkie. Prowadzą do grobowców rzymskich żołnierzy. - Oczy mu pociemniały.

- Mam księgę opisującą zniknięcie pięćdziesięciu rycerzy, którzy nigdy nie wydostali się na powierzchnię. Właściwie -

spojrzał ponuro na ścianę - mogą się znajdować kilka centymetrów od nas, po drugiej stronie muru.

Drżąc, odsunęła się od ściany. Dzięki Bogu, że Sam postąpił tak, a nie inaczej. Być może istotnie uratował jej życie.

- Jak możesz tu mieszkać? To okropne, przeklęte miejsce - szepnęła.

- Czasami bardzo mi to odpowiada. - Ujął ją pod brodę tak, że musiała mu spojrzeć w oczy. - To dość przyzwoite miejsce w porównaniu z Wapping.

Przesunął palcem po jej wilgotnym od łez policzku.

- Możesz wstać? Odprowadzę cię do pokoju i zawołam Mary. - Podniósł się z kolan i pomógł jej się podnieść.

Chciała iść sama, ale objął ją ramieniem, jakby to było całkiem naturalne. Samuel w końcu się uspokoił. Wszyscy troje wspięli się po schodach i poszli do jej pokoju. Nie odzywali się, wszystko już zostało powiedziane.

*

Aleksandra, stojąc przed lustrem w orzechowej ramie, wpatrywała się w swoje obnażone ciało. Włosy miała jeszcze mokre, na ramionach, których nie wytarła lnianym ręcznikiem, lśniły krople wody. Na kominku płonął ogień, w pokoju było parno jak w tropikalnej dżungli.

Wciąż jeszcze miała sińce od uścisku Sama. Minął tydzień bez żadnych incydentów, pozostały tylko ślady tej przygody - czarne sińce na boku. Nie widziała Damiena. Służący szeptali po kątach, że od powrotu do Cairncross zachowuje się dziwnie, ale kiedy Aleksandra spytała Mary, co mają na myśli, pokojówka tylko wzruszyła ramionami, mówiąc, że zawsze uważała jego lordowską mość za dziwaka.

Zegar na kominku wybił dziesięć razy. Zjadła wieczorny posiłek, a kordiał pani Penrith, przynoszony zawsze o dziewiątej, stał na stoliku obok kominka. W świetle płomieni likier rzucał żółtozielone błyski.

Podeszła do stolika i uniosła do ust małą kieliszczykę na nóżce. Poczowała falę miłego ciepła. Właśnie to było jej 77

potrzebne. Ten napój przeganiał chłód, który zakradł się do jej serca po powrocie do Cairncross. Całymi dniami nie widywała Damiena. Nie mogła się tego domagać od pana domu, ale sądziła, że między nimi zrodziło się przynajmniej jakieś partnerstwo we wspólnym dążeniu do niesienia pomocy Samowi. Teraz zastanawiała się, czy sobie tego wszystkiego nie wymyśliła. Tydzień to cała wieczność dla kogoś, kto się zakochał. A ona coraz bardziej czuła, że zakochała się w Johnie Damieniu Newellu.

Znów przeniosła wzrok na swoje nagie odbicie w lustrze. Nie miała się czego wstydzić; może nie była zbyt gibka, ale miała przyjemnie zaokrągloną figurę, bujne piersi, krągłe biodra.

Pochyliła się w kierunku kotary i owinęła się w materiał. Koronkową firankę omotała wokół głowy, a jej skraj umieściła poniżej oczu, jak czarczaf noszony przez Arabki.

Właśnie tak wyglądała Rebeka. Jej welon był wyszywany klejnotami, uszyty ze złotogłowiu, a nie z koronki, ale spoglądała zza takiej zasłony, zwracając na siebie uwagę wszystkich mężczyzn podczas turnieju, łącz nie z Wilfredem z Ivanhoe, łącznie z Brianem de Bois-Guilbertem.

Była piękną Żydówką. Słyszela z urody.

Aleksandra przyjrzała się uważnie swemu odbiciu. Oczy miała ciemne i ładne, chociaż niezbyt egzotyczne, w jej żyłach płynęło zbyt dużo irlandzkiej krwi. Nie była prześliczną Żydówką, jaką sir Walter Scott spotkał w Nowym Jorku, a potem opisał z takim mistrzostwem. Była tylko Aleksandrą Benjamin, córką żydowskiego uczonego, samotną kobietą, kobietą, która chciała... chciała...

Czego? Czego chciała? Zostać żoną barona Cairncross? Absurdalność tej myśli uderzyła ją z taką siłą, jakby ktoś wymierzył jej policzek. Nie powinna sobie wyobrażać takich rzeczy, ale myśl ta nie dawała jej spokoju. Ogarniało ją przerażenie, że mogła się w nim zakochać. Że mogła jeszcze raz

popęłnić takie głupstwo. Jednak z każdym dniem coraz trudniej było temu zaprzeczać. Myślała o Damienie bez przerwy, od rana do wieczora. Śniła o nim co noc.

Ale on nie raczył się już z nią spotykać. Może zauważył jej rosnące przywiązanie i postanowił zachować się jak dżentelmen, odsunąć się od niej, zanim poczuje do niego zbyt wiele. Zanim zacznie z nim wiązać jakieś nadzieje.

Zanim będzie musiał z nią postąpić tak samo jak Brian.

Z westchnieniem opuściła zasłonę i firankę. Była nieszczęśliwa. Włożyła szlafrok i wzięła szczotkę z rogową rączką.

Wysuszenie włosów będzie trwało godziny. Musi zająć umysł bardziej przyziemnymi sprawami, na przykład postępani Sama, i zapomnieć o Damienie. Nie był Jej przeznaczony. Podobał jej się - jak większości kobiet - ale jego chłód stanowił prawdziwe błogosławieństwo. Ukrył się za swą tarczą; pozwolił jej tylko na chwilę zajrzeć do swego wnętrza, a wiedziała, że to za mało, by się w nim zakochać. Zrozumiała, że Aleksandrę wzruszyła jego udręczona dusza, ale nie może pozwolić sobie na taką słabość. Kiedyś wyobrażała sobie, że Brian darzy ją głębokim uczuciem.

Ale w rzeczywistości jego uczucia okazały się tak zmienne, przemijające i płytkie jak strumienie. Błędnie je odczytała.

I tak samo pomyliła się w ocenie Damiena. Prawdopodobnie ten mężczyzna jedynie oszukiwał sam siebie, był

zaabsorbowany sobą, lordem, który sobie wyobrażał, że zawarł pakt z diabłem. Cóż, takich jak on były tysiące. Lord Byron uczynił nawet taki obłęd modnym.

Najlepiej, żeby trzymali się od siebie z dala.

Jeszcze raz podeszła do okna i przesłoniła koronką twarz. Rebeka. Rebeka.

Jak pragnęła być ciemnowłosą, egzotyczną pięknoscią, której spojrzenie uwodziło mężczyzn.

19

Kochaneczko, otrzymałaś niezwykle tajemnicze zaproszenie. - Mary zostawiła tacę z poranną kawą i podała Aleksandrze zalakowaną kopertę. - Wiedziałaś, że babka lorda Newella mieszka tu, w zamku? Słowo daję, aż mnie zatkało, kiedy o tym usłyszałam. Z tym miejscem wiąże się więcej tajemnic, niż to sobie można wyobrazić.

Aleksandra złamała pieczęć. Przeczytała liścik, a potem z roztargnieniem zaczęła rozplatać włosy.

- No i? - Mary wsparła się pod boki.

Aleksandra spojrzała na nią z uśmiechem.

- Od dziś zacznę cię przedstawiać jako wścibską matkę chrzestną, a nie pokojówkę.

- Jestem chrzestną panienki. Przy urodzinach panienki nie było nikogo poza mną.

Na ustach Aleksandry pojawił się figlarny uśmiech.

- A ja nigdy o tym nie zapomnę, ponieważ wiecznie mi o tym przypominasz.

- Ale nie powiedziałaś mi, kochaneczko, co tam napisane. ~ Mary była przejęta, spod jej czepka wysunęły się siwiejące rude loki.

- To zaproszenie. Zdaje się, że lady Bess ostatnio dowiedziała się, że tu mieszkam, i chciałaby mnie poznać. -

Musnęła szczotką rozpuszczone włosy. - Nie mogę jej odmówić.

- Po sprawiedliwości, jest panią tego domu. Nie może jej panienka odmówić... jednak...

- Jednak nie lubisz starszych pań, które krążą po wieży północnej niczym zjawy, prawda? - Aleksandra przestała się czesać. Znów czuła potrzebę chronienia Mary. - Nie martw się, proszę. Wiem, że nic ci się nie podoba w Cairncross, 78

ale muszę przyjąć zaproszenie.

- Nie lubiłabym tej kobiety, nawet gdyby była młodą, piękną żoną jego lordowskiej mości. Stanowi część tego zamku i rzeczywiście nie czuję do niej sympatii.

- To będzie tylko krótka wizyta. Musisz zrozumieć, że mam takie same obowiązki wobec babki jego lordowskiej mości jak wobec jego żony.

Mary przystanęła. Aleksandra obserwowała w lustrze jej twarz. Stała się napięta, jakby pokojówka biła się z myślami.

- Masz taką minę, jakby cię korciło, by zdradzić mi jakiś sekret, Mary.

- Słyszałam, że wkrótce się żeni. Wie panienka, tak gadają w kuchni. Mówią o zaręczynach.

Aleksandrze szczotka wypadła z dłoni. Wolno okręciła się na taborecie i znieruchomiła przodem do pokojówki.

- Co ty mówisz?

- Słyszałam, jak mówili o jakiejś kobiecie z Londynu. Jest córką starego i niedołęznego hrabiego. Bardzo piękna, mówili służący, którzy przyjeżdżają z nim z Londynu. Wiele razy widziano ich razem.

Aleksandra czuła się, jakby podłoga rozstąpiła się jej pod stopami. Mało brakowało, by drugi raz w życiu spotkało ją to samo. Niemal zakochała się w mężczyźnie, który zamierzał ją rzucić dla innej.

Czysty przypadek uchronił ją przed tym, że drugi raz nie popełniła tego samego błędu. Przynajmniej Newell nigdy się nie dowiedział, co się działo w jej sercu. Może udać całkowitą obojętność i entuzjazm wobec tego związku, o którym plotkowano. Newell nigdy nie zobaczy jej upokorzenia. Przynajmniej to poniżenie zostało jej oszczędzone.

- Prawdopodobnie w Londynie mieszka tuzin młodych kobiet, które zastawiły sidła na jego lordowską mość -

stwierdziła sztywno, obojętnie, nie bacząc na kompromitujący dowód, jakim była szczotka leżąca u jej stóp. - Dlaczego nie miałyby sobie szukać żony wśród nich? Jest przystojny, utytułowany i bogaty... Cóż, każda kobieta chciałaby mieć za męża arystokratę.

- Owszem, każda kobieta - potwierdziła Mary, podając jej szczotkę.

Aleksandra szczotkowała włosy, szczotkowała, omal ich sobie nie powyrywała. Mary ani słowem nie przerywała milczenia. Gdy Aleksandra wpięła ostatnią szpilkę, wstała i spojrzenia obu kobiet spotkały się. Nie odezwały się słowem, tak jak wtedy, gdy Brian wyszedł z londyńskiego mieszkania prawie rok temu, w wigilię Bożego Narodzenia.

Rana była zbyt głęboka.

- On nie jest dla mnie. Nigdy nie był mężczyzną odpowiednim dla mnie i od samego początku o tym wiedziałam. Nie myśl, że dałam się oszukać, Mary. Wiedziałam o tym od początku - rzekła w końcu Aleksandra, szarpiąc haftki przy gorsecie.

- Zaslugujesz na porządnego mężczyznę. Kiedy wrócimy do Londynu, pojawi się. Wiem o tym.

Aleksandra powstrzymała się od komentarza. W pierwszej chwili chciała powiedzieć Mary, że udadzą się do Londynu jeszcze tego samego wieczoru; niech diabli wezmą jej pracę w Cairncross. Wprawdzie jeszcze nie wywiązała się z podjętego zadania, ale i tak nie będzie mogła tu zostać, kiedy Newell przywiezie do zamku swoją żonę. Ale nim powiedziała coś, czego by później żałowała, górę wziął rozsądek. Do niczego między nimi nie doszło, nie licząc jednego pocałunku, teraz Newell nawet nie chciał się z nią widywać. Nie miała dokąd wyjechać z Cairncross. Dzięki lady Newell ten zamek mógł się jedynie zmienić na lepsze. Żona odwróci myśli męża od duchów i diabłów, i skieruje na sprawy bardziej świątobliwe. Sprawi również, że jego drogi nie będą się krzyżować z drogami guwernantki.

- Wychodzę, żeby się zobaczyć z lady Bess. - Wstała i włożyła suknię. Kiedy poprawiła szpilki we włosach, a stanik zapięła pod samą szyję, zarzuciła szal na ramiona i zostawiła Mary, by w samotności niepokoiła się o swoją panienkę.

Nietrudno było trafić do wieży północnej. Aleksandra nie tylko dobrze знаła rozkład pomieszczeń w zamku, wieża była widoczna z prawie każdego okna, jej blanki sterczały wyżej niż baszta. Aleksandra znalazła kręte schody i wspięła się na górę. Na szczycie ujrzała ciężkie, dębowe drzwi, stwardniałe ze starości jak kamień. Zapukała cicho, nieśmiało, a potem zastanowiła się, co za zjawia jej otworzy. Poniżej majaczyła czeluść wieży; hulały w niej przeciągi, aż po plecach przechodziły

zimne ciarki.

Drgnęła, słysząc zgrzyt zardzewiałego metalu. Po drugiej stronie odsunięto zasuwę i z trudem uchylono masywne drzwi. Ujrzała przed sobą nieznaną, pomarszczoną, małą kobietę, która wyglądała jak czarownica z bajki dla dzieci.

- A kimże pani jest? - spytała kobieta głosem zaciekawionym, ale przyjemnym.

- Wezwała mnie lady Bess. Jestem panną Benjamin. Instruktorką Samuela. - Utkwiła wzrok w kobiecie. Staruszka miała na głowie czepek z długimi wstążkami, jakich się nie nosiło od pół wieku. Jej czarną suknię chronił czysty, choć wystrzępiony, płócienny fartuch. Była stara, jednak to nie ją Aleksandra widziała wtedy na schodach. Spośród siateczki zmarszczek spoglądały na nią błękitne oczy pełne życia. Zapamiętałaby tę twarz. Nie widziała jej nigdy przedtem.

- Ach, tak, naturalnie, nowa guwernantka. Proszę wejść, panno Benjamin, proszę wejść. Lady Bess od tygodni mówi tylko o pani. Proszę wejść. - Starsza kobieta odsunęła się, by zrobić jej przejście.

Aleksandra odniosła wrażenie, że wstąpiła do bajkowej krainy. Ściany obwieszono jedwabiem we wszystkich 79

możliwych kolorach, a pod sufitem, gdzie kończyła się delikatna tkanina, przymocowano wielobarwny perkal w paski, róże stulistne i lilie, co nadawało pomieszczeniu wygląd eterycznego ogrodu w chmurach. Światło słoneczne wpadało przez gotyckie okno, umieszczone wysoko w wieży, rzucając na wszystko złote plamki, co tylko pogłębiało wrażenie niezmierności. Pod oknem, jakby na tronie, siedziała staruszka w czerni, kolorowy perkal stanowił idealną oprawę dla jej postaci. Jej twarz była kiedyś piękna, ale z wiekiem się zmieniła, upływ czasu zdeformował groteskowo rysy. Była to twarz kobiety, którą Aleksandra widziała na schodach.

- A więc to pani - oświadczyła kobieta, wskazując na nią, jakby zamierzała ją stracić.

- Lady Bess. - Aleksandra próbowała dygnąć. Jeszcze nie przyzwyczała się do przebywania wśród arystokracji.

- Dlaczego nie przyszła pani zobaczyć się ze mną wcześniej?

Pytanie było tak sarkastyczne, że Aleksandrze trudno było na nie odpowiedzieć.

- Ja... cóż... nawet nie wiedziałam o pani istnieniu. Dowiedziałam się kilka tygodni temu w ogrodzie...

- Nie powiedział pani? - Starsza pani wyglądała teraz na szczerze oburzoną. Jej twarz zrobiła się niemal tak biała, jak kępki długich siwych włosów pozostałych na czubku głowy. - To zuchwałość z jego strony ukrywać mnie w tajemnicy przed panią.

- Jeśli ma pani na myśli lorda Newella, to właściwie nie robił z tego tajemnicy. Uważam po prostu, że nie sądził, iż powinnam o tym wiedzieć. Chyba nie myślał, że będę tu na tyle długo, bym musiała o tym wiedzieć.

- Myślał, że panią zdobędzie, prawda? - Lady Bess stuknęła laską trzymaną w powykręcanej dłoni. - Herbata.

Herbata, i to zaraz, Millicent.

Lady Bess znów skupiła całą uwagę na swoim gościu.

- Proszę usiąść ze mną, panno Benjamin. Porozmawiamy sobie, pani i ja. Wtedy pani zrozumie mnie, a ja - panią.

Aleksandra otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie była pewna, co właściwie chciała zakomunikować. Lady Bess miała dobrze po dziewięćdziesiątce, lecz Aleksandrę zaskoczył cięty język staruszki, a także jej sarkastyczne uwagi.

Usiadła w wiekowym tapicerowanym krześle i czekała. Zza jakiejś kotary wyłoniła się Millicent z pełną tacą. Lady Bess skinęła na Aleksandrę, by rozlała herbatę. Kiedy Aleksandra to robiła, Millicent zniknęła między zasłonami.

- A teraz proszę mi powiedzieć, co pani o nim myśli. - Lady Bess wzięła filiżankę na spodeczku w jedną drżącą rękę, a drugą zamieszała herbatę srebrną łyżeczką. Wpatrywała się w Aleksandrę spod obwisłych powiek. W jej oczach nie było życia, w odróżnieniu od oczu Millicent. Były ciemne, prawie orzechowe, jak oczy Aleksandry, tylko jakby spłowiałe i zmatowiałe. Jednak nadal patrzyły przenikliwie i Aleksandra była niemal wdzięczna za to, że teraz okrywa je zasłona pomarszczonych powiek.

- Myślę, że już niedługo Samuel znów zacznie mówić, tak jak dawniej, i wtedy moja rola się skończy. - Wypiła łyk herbaty i rozejrzała się wkoło. Czuła się tu dziwnie, jakby się znalazła we francuskim namiocie podczas kampanii wojennej.

- Nie pytam o Samuela. Zacznie mówić, kiedy będzie miał ochotę, ani chwili wcześniej. Pytam o Damiena.

Aleksandra rzuciła kobiecie spojrzenie, które - miała nadzieję- było spokojne, nawet wyniosłe.

- Darzę największym szacunkiem mojego pracodawcę, lady Bess. Uważam, że nie mam prawa go oceniać.

Staruszka zaczęła się śmiać. Był to okropny, zdławiony chichot, który sprawił, że Millicent wsunęła głowę do pokoju, żeby sprawdzić, jak 81? czuje wiekowa dama.

Kiedy śmiech ustał, głowa Millicent zniknęła, a lady Bess znów się odezwała:

- Powiedział mi, że jest pani niezwykle prawdomówna i wnikliwa. Na Boga, miał rację. - Kobieta odstawiła filiżankę.

Rzadkie siwe włosy kawały się tworzyć wokół jej głowy aureolę podświetloną światłem słonecznym. - A teraz proszę mi powiedzieć, co pani myśli o niej.

Aleksandra przyjrzała się uważnie kobiecie, oceniając jej siły.

- Jeśli ma pani na myśli pannę Pole, gardzę nią. Kiedy panią zobaczyłam na schodach, myślałam, że to ona. Mam nadzieję, że pani nie przestraszyłam. Nikt mi nie powiedział, że lubi pani krążyć po zamku.

- Czasem ją śledzę. Krążymy korytarzami i prześladujemy się nawzajem. To dość poważne wyzwanie, rozumie pani?

Jeszcze za życia zostałam duchem.

Staruszka uśmiechnęła się. Nie miała zębów.

- Uważam, że jeszcze długo nie będzie pani straszyla w korytarzach tego zamku. Z tego, co powiedział Dam... lord Newell, rozumiem, że cieszy się pani świetnym zdrowiem. - Miała ochotę się kopnąć, że zdradziła, jak bliskie stosunki łączą ją z lordem, i miała ochotę się wychłostać, kiedy wyczytała z miny lady Bess, że starsza pani to zauważyła.

- Kocha się pani w nim?

Aleksandra tak energicznie pokręciła głową, że omal jej nie odpadła.

- Skądże znowu!

- Och, proszę nie zaprzeczać. Wszystkie kobiety durzą się w Damienie. A sądząc po pani minie, uważam, że to nawet 80

prawdziwa miłość.

Aleksandra się zmusiła, żeby trzymać ręce spokojnie na kolanach, w przeciwnym razie zakryłaby nimi zarumienione policzki, co dodatkowo by ją zdradziło.

- Jest przystojnym mężczyzną, ale jest moim pracodawcą. Byłoby głupotą z mojej strony...

- Co? Kochać go? - Kobieta nachyliła się do niej bliżej, tak blisko, że Aleksandra czuła zapach wody różanej, maskującej woń pomarszczonego ciała. - Kochać go to pierwszy warunek. Kochać go, to uratować go.

- Mówi się o zaręczynach...

- On pragnie pani.

- To nonsens. Jestem tutaj tylko guwernantką. Poza tym ja... wszyscy myślą, że jestem... - Nie chciało jej to przejść przez gardło.

- Żydówką?

- Tak. - Wyrzuciła to z siebie jednym tchem. Jak modlitwę umierającego.

- Czemu nie mógłby być z Żydówką? Prawo tego nie zabrania.

- Jest jeszcze prawo moralne - zauważyła dość kwaśno.

- Damienowi niepotrzebna moralność. Trzeba go ratować. Przed nią.

- Jest dorosły. Złapie ją. Sama pani przyznała, że widziała tę kobietę krążącą po zamku. To tylko kwestia czasu.

Urszula Pole zostanie ujęta i umieszczona w domu dla obłąkanych.

- Uchwyciła się pani tej teorii, prawda? - Lady Bess złożyła ręce na piersiach. Dopiero wtedy Aleksandra zobaczyła klejnoty na jej pomarszczonych dłoniach, pokrytych niebieskimi żyłkami. Jej powykęcane palce zdobiły rubiny, szafiry i brylanty, warte majątek. Rzuciły taki blask, że nie mogła od nich oderwać wzroku.

- Podobają się pani? - szepnęła jej lady Bess prosto do ucha. - Po mojej śmierci będą należały do żony Damiena.

Aleksandra uniosła wzrok i spojrzenia kobiet spotkały się.

- Nie mogę się oprzeć, by ich nie podziwiać, ale ich nie pożądam. Nie mam do tego prawa.

- Za bardzo się pani przywiązała do swojego „miejsca”, panno Benjamin. Jest pani zbyt skromna i pogodzona z losem. Powinna pani walczyć z tym, co pani krępuje ruchy. Zbuntuj się, dziecko. Zrób wszystko, by zdobyć Damiena.

- Raz zapomniałam, kim jestem. - Aleksandra patrzyła na nią bez wyrazu. - Mój ojciec nie był człowiekiem religijnym, więc dowiedziałam się, co to znaczy być Żydówką, dostałam bolesną lekcję. Nie potrzebuję drugiej.

Lady Bess sprawiała wrażenie zdumionej. Oparła się o poduszki fotela i przyglądała się Aleksandrze badawczo, jakby miała przed sobą stworzenie, jakiego nigdy wcześniej nie widziała.

- Rozumiem, dlaczego Damien tak dobrze o pani mówi. Jest pani zupełnie nieprzewidywalna, moja droga. Trudno dyskutować z tym, co mówisz.

Aleksandra wypila herbatę. Cicho odstawiła filiżankę na tacę i zaczęła się zbierać do wyjścia.

- Niezwykle miło z pani strony, że mnie pani do siebie zaprosiła, lady Bess. Jeśli kiedykolwiek będzie pani potrzebowała, proszę mnie wezwać bez wahania. Pani ogród jest prześliczny i czuję się zaszczyt na, że mogłam w końcu panią poznać.

- Zanim pani wyjdzie, proszę mi coś powiedzieć. - Lady Bess dotknęła lekko jej dłoni. - Czy w głębi serca uważa pani, że Damien wart jest, by go ratować?

Aleksandra ledwo śmiała spojrzeć na babkę Damiena. Przybrała maskę wystudiowanej obojętności.

- Jeśli lord Newell potrzebuje ratunku, sam potrafi się uratować.

- Tak, ale musi chcieć się ratować - powiedziała lady Bess i dodała Ochrypniętym szeptem: - Byłam ślepa wiele lat temu, kiedy on i Sam mnie potrzebowali. Nie rozumie pani? Muszę to teraz nadrobić. Muszę dopilnować, żeby naprawiono szkody, nim umrę. Jesteś mu potrzebna, moja droga. Jesteś mu potrzebna.

- Naprawdę muszę już iść. Co się stało, już się nie odstanie. Po południu mam w ogrodzie lekcję z Samem. Taki dziś śliczny dzień... tak niezwykle pogodny. - Aleksandra wstała i skłoniła się lady Bess. Odczuwała ogromną potrzebę opuszczenia tego miejsca. Powietrze w pokoju na wieży stało się gęste i gorące od nadmiaru draperii. - Jestem zaszczycona, że mogłam panią poznać, milady. Proszę mnie wezwać, jeśli będzie pani miała jakieś życzenie.

Jakiegolwiek. - Pospiesznie podeszła do drzwi i przekręciła gałkę. Zbiegając po schodach, usłyszała ostatnią prośbę lady Bess.

- Chcę, żebyś uratowała mojego wnuka, oto moje życzenie. Nie pozwól mu pójść jej drogą. Ratuj go. Błagam. -

Ostatnie słowa były jak szum wiatru. - Ratuj go.

20

Aleksandra szukała schronienia na wrzosowiskach. Rozmowa z lady Bess bardzo ją rozdrażniła. Może dlatego, że nie dotyczyła Urszuli Pole. Może dlatego, że zbyt blisko dotykała prawdy.

Dzień początkowo był bezwietrzny i ciepły, ale teraz zerwał się lodowaty wiatr. Z północy nadciągnęły niskie chmury, przesłaniając kopce, przez co horyzont stał się złowieszczy, wyszczerbiony. Spacer powinien ukoić jej 81

roztrzęsione nerwy, ale ogarnął ją jeszcze większy niepokój. Otuliła się szczelniej połami czarnego płaszcza, myśląc, co też teraz może robić Newell. Kiedy wybierała się na przechadzkę, widziała, jak masztalerz szykuje jego konia do przejażdżki. Teraz ciekawa była, czy Newell zapragnął pogalopować przez wrzosowiska, bo czuł się tak samo poruszony jak ona. Był taki zamknięty w sobie. Zdumiewało ją, że dwoje ludzi może mieszkać w zamku i wcale się nie widywać. Jeszcze jeden dowód, przemawiający na rzecz obecności Urszuli Pole.

Wiatr ostro zacinał, miała chęć wrócić do domu. Zapuściła się dalej, niż zamierzała. Nieprzyjemnie będzie wracać w taki ziąb.

Właśnie wtedy ją zobaczyła.

Była bardzo daleko, widziała tylko czarny cień na wrzosowisku. Jednak Aleksandra poznała ją. Ze strachu wrosła w ziemię.

Postać się nie poruszała. Stała na kępie więdących dzwonek, ubrana w czarną suknię i welon. Na jej widok Aleksandra przypomniała sobie manekin krawiecki, który kiedyś widziała w zamku. Ale teraz znajdowała się o kilometry od Cairncross, a nie w korytarzu dla służby. Nie miała przed sobą manekina, zmyślnie przyobleczonego w czerń. To była kobieta, stała bez ruchu, twarzą zwrócona do Aleksandry, jakby się jej spodziewała na tym ponurym pustkowiu.

Nagle Aleksandrę ogarnął gniew. Oto w końcu znalazła się twarzą w twarz z tą, która ją prześladowała. Zamierzała dopaść tę kobietę, nawet jeśli będzie to wymagało ogromnego wysiłku.

- Wiem o tobie wszystko - krzyknęła w kierunku postaci w oddali. - Znam twoje knowania i zamiary!
- Ujęła fałdy spódnicy w obie dłonie i zaczęła biec w jej stronę, owładnięta tylko jedną myślą: złapać ją i na własne oczy się przekonać, że Urszula Pole jest osobą z krwi i kości, a nie wytworem wyobraźni.

- Przeczytałam twój dziennik! - oświadczyła, z trudem łapiąc dech. Biegła co sił, ale, o dziwo, odległość między nimi wcale się nie zmniejszała. - Z pewnością go pamiętasz! Zostawiłaś go dla mnie! - Łzy wściekłości napłynęły jej do oczu. Nigdy nie była tak oburzona, nawet na Briana. Ta kobieta już wcześniej stała się powodem tylu tragedii, że Aleksandra nie potrafiła opanować gniewu. Trzeba ją ująć i zamknąć, żeby nie mogła więcej nikomu szkodzić.

Właśnie ona tego dokona. I to teraz.

Ale kobieta wciąż była daleko. Bez względu na to, jak długo biegła Aleksandra, nienaturalna postać Urszuli Pole pozostawała w takiej samej od niej odległości. Aleksandra wpadła w histerię, kiedy tak biegła i biegła, cały czas łapczywie chwytając powietrze, a jednak postać nie zbliżała się, wcale nie stawała się wyraźniejsza.

Nie mogła opanować szlochu, co jeszcze bardziej utrudniało jej oddychanie. W końcu potknęła się o kępę wrzosu i padła na kolana. Siedziała, łzy płynęły jej po policzkach, i nagle jej gniew zastąpiło niezwykle zakłopotanie.

To niemożliwe. Powtarzała sobie to w kółko, aż na tyle odzyskała siły, by wstać. Znów zaczęła biec, tym razem pokonała dwa razy większą odległość niż poprzednio, ale Urszula nie przybliżyła się o włos. Po policzkach Aleksandry płynęły teraz łzy bezsilności, a nie gniewu.

- Chodź tu i staw mi czoło! - wołała, bliska hysterii. Bok tak ją bolał, jakby za chwilę miał jej pęknąć od wyczerpującego biegu. Jednak dalej biegła, zdecydowana dopaść kobietę i dowieść tego wszystkiego, co uważała za prawdę.

Aleksandra nie słyszała za swymi plecami tętentu kopyt końskich; nie widziała, jak jeździec zeskoczył z siodła, nie słyszała, jak ochryłym głosem wołał jej imię. Była tak pochłonięta postacią w oddali, że mógł by nastąpić koniec świata, a ona i tak na pustym wrzosowisku widziałaby jedynie odzianą na czarno kobietę.

- Aleksandro!

Krzyknęła gardłowo, czując, że chwytają ją dwie silne ręce. Walczyła z napastnikiem, nie będąc nawet w stanie go rozpoznać, wyrrywając się w stronę postaci w oddali, przekonana, że jeśli to jeszcze chwilę potrwa, Urszula zniknie.

- Widzisz ją tam, na wrzosowisku? Złap ją! Złap! - Jęczała bezsilnie, ale uścisk tych mocnych rąk nie osłabł. Wolno uniosła wzrok, by spojrzeć, kto ją trzyma. Ujrzała Damiena. Nie odrywał oczu od jej twarzy.

- Nie widzisz Urszuli? - spytała cicho, zdyszana.

- Nie złapiesz jej.

- Wciąż biegłam i biegłam, ale nie mogłam się do niej zbliżyć. A przecież nawet nie drgnęła! Nawet nie drgnęła! -

łkała histerycznie.

Okulary Damiena zasłzyły mgłą w chłodnym powietrzu Yorkshire. Nie widziała jego oczu. Spoglądała na nią zimna, przystojna, obojętna twarz. Nie można było wyczytać w niej współczucia.

- Możesz tak biec bez końca, ale nigdy jej nie złapiesz - powiedział.

- Nie widzisz? To Urszula. Urszula - powtarzała, wpatrując się w ciemną postać z twarzą przesłoniętą woalką.

Nieznajoma obserwowała teraz ich obydwójce.

- Widzę. - Podniósł wzrok i obrzucił kobietę pobieżnym spojrzeniem, jakby go w ogóle nie zainteresowała. - Ale nikt nie może jej złapać. Postać na wrzosowisku nie istnieje naprawdę... a zarazem jest tam, zbyt daleko, żebyśmy my, 82

nędzni śmiertelnicy, mogli do niej dotrzeć.

- To nie duch. Nie! - Aleksandra łkała, tuląc głowę do piersi Newella. Wiatr rozwiewał połę jego płaszcza, miała wrażenie, że się znalazła wśród stada kruków. Nie mogła dłużej znieść widoku kobiecej postaci. Na myśl, że Damien obejmuje Jana wrzosowisku, a z daleka przygląda im się czarno odziana kobieta, chłód przeszył ją do szpiku kości. - W

takim razie, jeśli nie chcesz jej ścigać, zabierz mnie do domu. Zabierz mnie do domu - szeptała, zastanawiając się, czy zdobędzie się na to, by odsunąć się od niego, zrezygnować z poczucia bezpieczeństwa, jakie jej dawał.

- Nie musisz się bać. Ja się nie boję, Aleksandro.

Otarła policzki i spojrzała na niego. Widziała wszystko, oprócz jego oczu. Oczy Newella przesłaniały zamglone szkła okularów.

Wolno zdjęła metalową oprawkę. Chciała rzucić okulary na ziemię i zgnieść je obcasem; ale wsunęła mu je w dłoń i nareszcie mogła spojrzeć mu w oczy.

- Damienie - szepnęła, w końcu widząc go takim, jakim był. Uczucia, które skrywał za warstwą lodu, widać teraz było jak na dłoni. Ujrzała w jego oczach resztki niewinności i mrok. Nie dostrzegła jednak śladu strachu. Wiedziała, że jest tak dlatego, bo on rozumiał, a ona wciąż jeszcze nie.

- Co się dzieje? - szepnęła przestraszona.

Wymuszony uśmiech pojawił się w kąciu jego ust, jakby znał tajemnicę, dostępną tylko jemu.

- Interesuję się pokonanymi, nie potężnymi. Świadczy o tym kolekcja mieczy w westybulu. Wszystkie, łącznie z mieczem Cairncross, kupiłem w Persji, pochodzą z czasów wypraw krzyżowych, uznano je za bezwartościowe z powodu arabskich inskrypcji, wykonanych przez tych, którzy zabrali je poległym. Nikt ich nie chciał poza mną.

Fascynuje mnie to, tak jak fascynuje ją, tego upadłego anioła. - Wolno dodał: - Rozumiesz teraz, Aleksandro? Ona pragnie mnie, a ja... pragnę ciebie.

Kiedy dotarło do niej znaczenie jego słów, zamarła. Jego słowa i bliska zażyłość z postacią z oddali przyprawiały ją o mdłości. Szukała na jego twarzy choćby śladu ludzkich potrzeb, ludzkiego cierpienia, ale jego twarz była pozbawiona emocji. To była do czysta starta tablica. To był Damien, jakiego poznała na samym początku. Postać z lodu. Teraz Urszula była postacią z tamtego właśnie świata.

Newell dotknął dłonią policzka Aleksandry. Ta delikatna pieścizota, nie zmieniła wyrazu jego oczu. Nie było w nich uczucia, tylko pustka, w której bała się utonąć.

- Pocałuj mnie, Aleksandro. Pocałuj mnie, a sprawię, żeby odeszła.

Aleksandra spojrzała na Urszulę, widziała to, czego nie mógł przyjąć jej umysł. Chociaż ich ubraniami wiatr szarpał, postać kobiety w czerni trwała całkiem bez ruchu.

- Boję się! - po policzkach Aleksandry popłynęły łzy.

- Nie bój się. To tylko skutek, nie przyczyna.

- Więc ty jesteś przyczyną? - spytała z rozpaczą w głosie. Serce jej zamarło, kiedy zbliżył usta do jej twarzy.

Miażdżył jej wargi wolnym, sprawiającym ból pocałunkiem. Zdrętwiała, potem ogarnęło ją pożądanie. Kochała go.

Przez jedną, krótką chwilę udało jej się zajrzeć do jego duszy przez wąskie okienko i zobaczyć w Newellu takiego człowieka, jakim mógłby być. I chociaż teraz nie było w nim człowieka, który by całował ją czule, wierzyła, że powróci i tylko to podtrzymywało ją na duchu.

Kiedy zaczął ją całować namiętniej, z jej gardła wyrwał się szloch. Przytulił ją jeszcze mocniej, aż niemal złączyli się w jedno, warstwy ubrania nie stanowiły przeszkody dla jego pożądania. Kiedy ją całował tak, jak teraz, nie myślała o małżeństwie ani o konwenansach. Nie był to pocałunek narzeczonego ani pocałunek Briana, ale pocałunek pełen pry-mitywnej pasji i zatracenia. Słodkiego, kuszącego zatracenia, skłaniającego do uległości.

- Proszę - jęknęła, gdy przesunął dłońmi po jej staniku.

Objął jej piersi, nic sobie nie robiąc z jej gorsetu. Palił ją wstyd, lecz górowało nad nim pożądanie. Jej uśpione zmysły miały dość czasu, by dojrzeć niczym wino. Była gotowa mu ulec. Lecz serce i dusza ostrzegały ją głośno.

- Nie - błagała. - Ona nas zobaczy - szepnęła, tuląc się do jego piersi. Czowała się rozdarta toczącą się w niej walką.

- Odeszła. Odeszła. A jednak nadal jesteśmy w piekle.

Aleksandra podniosła wzrok. Wrzosowisko było puste. Tam, gdzie przedtem widziała postać Urszuli, teraz tylko na wietrze szumiały wrzosy.

- Ona nie jest duchem - szepnęła histerycznie i znów ukryła twarz na jego piersiach.

- Nie myśl o niej - powiedział, obejmując ją. - Myśl o tym. Tylko o tym. - Znów ją pocałował, tym razem wsuwając język głęboko do ust, jakby chciał poznać jej smak. Dreszcz przebiegł po całym jej ciele, stała się bezwolna, a potem, kiedy nie odrywając ręki od jej piersi, zacisnął palce na brodawce, wstrząsnął nią jeszcze silniejszy dreszcz.

- Nie. - Wyrwała mu się, odbiegła kilka kroków, potem zwróciła się twarzą do Newella, jej usta paliło wspomnienie jego warg. - Całujesz mnie, a przecież dziś słyszałam, że w Londynie jest kobieta, która pragnie zostać twoją żoną. Co na to powiesz, milordzie? Czy weźmiesz ją za żonę, a mnie za kochankę? Mam wyjątkową okazję po raz drugi w życiu 83

odrzuć taką propozycję.

- Nigdy nie zapominasz o honorze, prawda, Aleksandro? - powiedział wyraźnie zły, że zasłoniła się przed nim tarczą swego poczucia własnej wartości. Cokolwiek zamierzał, udaremniła to.

- Owszem - stwierdziła ostro. - Bo jestem córką swego ojca.

- Ach tak, Żyda. Potomkinią ludzi o takich nazwiskach, jak Grün i Schoenburg. Tych, którzy musieli przybierać takie nazwiska, jak „zielony” i „śliczna góra”, ponieważ mieszkali w ciasnych gettach, potępieni jako niewierni.

- Moi przodkowie żyli w biedzie, milordzie, ale zawsze byli ludźmi honoru.

Podszedł bliżej i chwycił ją za ramiona, ściskając niczym w imadle. Za jego plecami nad wrzosowiskiem przetaczały się ciężkie od deszczu, brunatne chmury.

- Przekonamy się, na jak długo starczy ci tego honoru.

- Czy właśnie to sprawia panu zadowolenie, milordzie? Wystawianie ludzi na próbę? - rzuciła mu w twarz.

- Nie - powiedział cicho, prawie szeptem. - Czuję to tylko wobec pani.

Wpatrywała się w niego, rozpaczliwie usiłując dotrzeć do tego, co było w nim dobre. Spotkała ją porażka, więc odwróciła się i pobiegła w stronę majaczącego na horyzoncie Cairncross. Nie słyszała, jak dosiadłszy konia, pogalopował w przeciwnym kierunku tak szybko, jak pozwalały mu na to jego rumak i własna śmiałość.

*

Był cieniem człowieka. Życie z całym bogactwem uczuć zawsze pozostawało poza jego zasięgiem, dręcząc go obietnicami. Wiedział, że jego dusza jest mroczna; był cieniem człowieka, rozpaczliwie szukającym światła, które się nie pojawiało. Czasem zdawało się, że nic w nim nie pozostało i nigdy z tego powodu nie czuł żalu.

Aż do tej pory.

Damien skierował konia w stronę wzgórz na zachodzie. Grzmot nadciągającej burzy był balsamem na pustkę jego serca. Bezwzględnie zwalczył pragnienie, by ruszyć za nią. W takich chwilach wierzył, że potrafi zdusić w niej życie, ale były też inne - na przykład wtedy, gdy zdjęła mu okulary, a emocje płonęły w nim jak ogień, topiąc lodowy pancerz, za którym się chronił.

Aleksandra dobrze знаła, co to strach. Widział to w jej oczach za każdym razem, gdy spoglądała na ciemno odzianą postać. Teraz uczyła go tego samego. Była rozbrajająca, szczególnie kiedy kładła mu głowę na piersiach, jakby, cóż za pomysł, znajdowała pocieszenie, słuchając bicia jego niegodziwego serca.

Nie mógł dopuścić, by ta kobieta obudziła w nim uczucie. Nie po to całe życie tańczył nad przepaścią, która teraz omal go nie pochłonęła. Musi się rozprawić z Aleksandrą, nie wiedział tylko, jak to zrobić. Wydawało się, że nie ma sposobu, by ją odmienić. Przyłgnęła do swej prawości i Newellowi wydawało się, że nie zdoła jej od tej cnoty oderwać.

Przez jakiś czas będzie musiał podążać jej ścieżką. Teraz to pojął. Postępując jawnie, nie skłoni jej do zmiany. Nie, musi ją zająć podstępnie, zakraść się, kiedy na chwilę straci czujność. Potem przeciągnie ją na swoją stronę.

Ten sposób był jednak ryzykowny. Wiedział o tym za każdym razem, kiedy w jego myślach pojawiał się obraz Aleksandry w ogrodzie, stosującej łagodność zamiast przemocy, by skłonić jego brata do mówienia. Kiedy ją tak widział - z głową pochyloną lekko ku Samowi, i swego brata półgłówka wpatrzonych w nią z zachwytem, tak jak sam miał ochotę czasem patrzeć, gdyby to uczucie nie wywoływało w nim klucia w sercu - nie umiałby jej skrzywdzić.

Była jak anioł miłosierdzia, który przybył ratować Sama. I w zamian błagającym o zbawienie,

pomyślał. Przypomniał

sobie, jak przytuliła mu głowę do piersi. Niewinność i zaufanie, malujące się na jej twarzy, dobitnie świadczyły, że wierzyła w jego pomoc.

Ale jak on może jej pomóc? Bała się Urszuli, a przecież Urszula była niczym w porównaniu z nim. Nie mógł

sprawić, by pojęła, że postać na wrzosowisku jest po prostu głupia. Jest tylko symbolem zła. Nie można było z nim rywalizować.

W przeciwieństwie do zła, które tkwiło w nim i tęskniło za ostatecznym uwolnieniem. Które pragnęło znaleźć jedną ofiarę, by móc odpokutować. I by wypuścić wszystkie płonące w nim ognie piekielne.

Zamknął oczy, jakby w ten sposób mógł się odgrodzić od jej przerażającej dobroci. Jakby w ten sposób mógł się obronić przed swym niekontrolowanym pragnieniem. Upór płynął w jego żyłach jak trucizna. Wcale o tym nie wiedząc, była jeszcze gorsza od Urszuli. Uczeń przewyższył mistrza. Aleksandra Benjamin nie podejrzewała tego, ale wkrótce się przekona. Nie poprzez gwałtowność, od której mogła uciec, ale dzięki słodkim, uwodzicielskim szeptom i delikatnym pieszczotom. Samotna córka Żyda nie zdołała się im oprzeć.

I to okaże się jej wieczną zgubą.

21

Jeśli mnie znów odepchniesz, moja zemsta równa będzie mej miłości.

Bois-Guilbert do Rebeki w *Ivanhoe*

Napięcie na chwilę zelżało, zupełnie jakby gwałtownie puszczone naprężoną linę. Nadal jednak wyczuwało się 84

czające się zagrożenie.

Aleksandra starała się nie myśleć o kobiecie na wrzosowisku. Wciąż trudno jej było pogodzić się z tym, co widziała.

To nie był duch, statyczność postaci nie dawała jej spokoju. Jednak jeszcze bardziej niepokoił ją Damien.

Mówił jak obłąkany, a zachowywał się jeszcze gorzej. Nie mogła przestać o nim myśleć. Zupełnie jakby stał się jej nieodłączną częścią. Nie lubiła go, ale tak, jak człowiek nie zawsze lubi samego siebie. Potrafiła czuć do niego jednocześnie niechęć i miłość.

Spojrzała na filiżankę herbaty, której prawie nie tknęła. Na dziś już skończyła zajęcia z Samem i teraz czekał ją wieczór niczym długie, szerokie ziewnięcie. Mary znacznie częściej przebywała teraz na dole, choć nie dlatego, że nagle zdała sobie sprawę ze swej pozycji. Utrzymywała, że zamek, a

szczególnie skrzydło, w którym znajdował się pokój Aleksandry, źle wpływa na jej samopoczucie.

Aleksandra podeszła do okna sypialni. Kufer Urszuli wraz z zawartością litościwie usunięto z pokoju podczas jej pobytu w Londynie. Mimo to w pomieszczeniu wciąż wyczuwała atmosferę wrogości. Był to wygodny, ładny pokój, ale Aleksandra wiedziała, że z ulgą się z niego wyprowadzi, kiedy stanie się to konieczne.

Odwróciła głowę i spojrzała na drzwi pokoju do nauki. Trzymano je zamknięte na klucz od czasu, kiedy ostami raz wszedł tam Sam. Zbliżyła się do nich. Czuła palcami ciepłe drewno, z czym ostro kontrastowało zimne powietrze przeciskające się ze świstem przez szpary.

Nigdy się nie dowie, co sprawiło, że spojrzała na podłogę, ale nagle dostrzegła w szparze pod drzwiami wystający skrawek papieru. Wyciągnęła kartkę i w tym momencie owionął ją chłód niczym muśnięcie wiotkiej zjawy. Wiedziała, co to jest. Kolejna karta z dziennika.

Wyprostowała się. Przebiegła wzrokiem znajome pismo. Rzuciły jej się w oczy zaledwie trzy wyrazy, ale to wystarczyło, że żołądek jej się ścisnął i nie była w stanie dalej czytać.

Krew. Sperma. Stajnia.

Była to relacja Urszuli o tym, co się wydarzyło w stajni ostatniego dnia pobytu Damiena w zamku.

Aleksandra złożyła kartkę i schowała do górnej szuflady komody. Przeczytają, ale jeszcze nie w tej chwili. Nie po tym, co ujrzała na wrzosowisku. Potrzebowała sił i większego dystansu, by przeczytać ostatnią stronę. Nie wydawało jej się, by miało to nastąpić szybko.

- Bardzo dobrze. Świetnie. Samuelu, uważam, że jesteś moim najlepszym uczniem. - Aleksandra wypić łyk kawy, którą podał jej Featherstone. Ranek był deszczowy, więc odbywali lekcje w bibliotece. Odstawiła filiżankę z sewrskiej porcelany na spodeczek i skupiła uwagę na rycinie Stratheya przedstawiającej przekrój ust.

- Oooo - powtórzyła, wskazując odpowiedni obrazek.

- Oooo - powiedział za nią Sam, przyglądając się jej uważnie.

- Eeee - powiedziała.

- Eee... - zaczął i urwał, bo do pokoju wpadła pani Penrith, wyraźnie zmieszana.

- Panienko... Ja... Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Musi panienska sama przyjść i to zobaczyć. - Gospodyni dała jej znak ręką. Aleksandra przeprosiła Sama i udała się za panią Penrith, nie zdając sobie sprawy, że Sam podąża za nią.

- Co się stało? - spytała.

- Byłam właśnie na górze, kiedy pokojówka zbierała wszystkie lampy naftowe do czyszczenia. W pokoju panienska zobaczyła coś niezwykłego. Proszę pójść ze mną. Pokażę paniencie. - Pani Penrith,

uniósłszy czarną spódnicę, zaczęła się wspinać po schodach. Aleksandra spojrzawszy przez ramię i dostrzegła tuż za swymi plecami Sama. Ponieważ nie wi -

działa żadnego powodu, by miał zostać na dole, wzięła go pod rękę i pozwoliła się prowadzić.

Szli za panią Penrith do pokoju Aleksandry. Gospodyni stanęła na progu i wskazała ręką wewnątrz pomieszczenia.

- Widzi panienka?

Aleksandra wsunęła głowę przez drzwi i rozejrzała się po sypialni. Nie zauważyła nic niezwykłego. Nie dostrzegła nigdzie cudzych rzeczy, wszystko leżało tak, jak zostawiła. Pokojówka pościeliła łóżko...

- Mój Boże - szepnęła.

Stał pod oknem.

- Widzi panienka? Znow tu jest. Znieśliśmy go do piwnicy, gdzie jego lordowska mość trzyma wszystkie stare meble.

A teraz znow wrócił na swoje dawne miejsce, choć nikogo nie prosiłam, żeby go przyniósł z powrotem, a jest ciężki, panienko. Wynosiło go stąd kilku mężczyzn.

Aleksandra weszła do pokoju, a Sam za nią.

- Boję się o tym mówić - mruknęła niewyraźnie gospodyni - ale nigdy nie rozumiałam, dlaczego stał tu przez całe lata. Teraz dopiero przypomniałam sobie, że go wyniesiono jakiś rok czy dwa po zniknięciu panny Pole. Nie pamiętam, kiedy tu wrócił. A teraz znow się tu pojawił.

Aleksandra przyklękła przed nim. Błyszczał świeżą politurą. Zamek też wymieniono. Nie miała cienia wątpliwości, że w środku suknie Urszuli Pole są starannie ułożone, dokładnie tak jak guwernantka je tam włożyła.

85

- Nie umiem tego wytłumaczyć... - rzekła pani Penrith.

- Przypuszczam, że jego lordowska mość sam mógłby podnieść taki kufer. Mógł go tu przynieść bez pomocy służby.

- Aleksandra spojrzawszy na gospodynię.

W odpowiedzi pani Penrith tylko zmarszczyła czoło.

Aleksandra spojrzawszy na Sama.

- Czy widziałaś, jak Damien niósł ten kufer? Czy to on przyniósł go tu z powrotem?

Samuel tylko patrzył na nią przez chwilę, a potem wolno pokręcił głową.

- Nie potrafi kłamać - stwierdziła pani Penrith.

Aleksandra przyjrzała się uważnie kufrowi. Na jednym rogu widać było odrobinę białej farby, a większość pomieszczeń zamku, które widziała, była albo wyłożona orzechową boazerią, albo pomalowana na niebieskozielono.

- Na Boga, skąd się to wzięło?

Samuel stał nieruchomo, spuściwszy nisko głowę. Nagle podszedł do komody, odsunął ją na bok i przycisnął jedną deszczułkę orzechowej boazerii. Odskokczyła, ukazując ciemną czeluść, dawno temu pomalowaną na białe.

- Wielkie nieba! - zakrzyknęła pani Penrith.

Aleksandra wstała. Zapaliła lampę gazową stojącą na gzymsie kominka. Z niewysłowioną ulgą stwierdziła, że przejście nie prowadziło do katakumb wypełnionych ciałami rzymskich żołnierzy. Były to po prostu dawne schody dla służby, łączące się z pomieszczeniami na dole.

- Od lat pracuję w Cairncross, a nie miałam pojęcia o ich istnieniu. - Gospodyni zwróciła się do Sama. - Skąd o tym wiedziałaś, mój drogi?

Sam nie odpowiadał, nie wiadomo, czy dlatego, że nie zrozumiał pytania, czy dlatego, że nie potrafił sformułować zdania.

- Proszę spojrzeć, tutaj widać surowe drewno - wykrzyknęła Aleksandra, uważnie przyglądając się korytarzykowi w świetle lampy. - Wnosząc tędy kufer, rogiem zaczepiono o futrynę. - Spojrzała na Sama, a potem na gospodynię. - Ależ potrafi wspaniale dedukować. Pomyślałabym, że sam go tu przyniósł, ale nie mogę uwierzyć, by kiedykolwiek odważył się tknąć kufer Urszuli Pole.

- Przez nią wyjechał Dam'en. Przez nią wyjechał Dam'en. - Samuel zalał się łzami. Serce Aleksandry ścisnęło się na widok dorosłego mężczyzny płaczącego jak małe dziecko.

- Ale przecież wrócił, prawda? - uspokajała Sama, ujawszy jego dłoń. Gospodyni odstawiła lampę na kominek i usunęła się na bok, by Aleksandra mogła zaprowadzić Sama na kanapkę przy łóżku.

- Wszystko, co jest związane z tą kobietą, wywołuje w nim lęk. Powinam była przyprowadzić tu panienkę samą-

lamentowała pani Penrith.

- Samuelu - rzekła łagodnie Aleksandra - nie denerwuj się. Poruszyło mnie ogromnie to, że wiedziałaś o istnieniu przejścia. I że pamiętałaś, że jest pomalowane na białe. Pomogłeś nam rozwiązać część tej zagadki. Nie wolno ci płakać. Damien wrócił do ciebie. Zobaczysz, jaki będzie z

ciebie dumny.

Samuel otarł oczy rękawem marynarki jak mały chłopczyk, który Stłukł sobie kolano.

- Mówiłem ci: „Nie chodź tam”. Nie chodź tam - powtórzył.

- Do katakumb? Nie poszłam tam, bo mnie powstrzymałeś. Wtedy też zachowałeś się jak bohater, pamiętasz? -

Aleksandra położyła mu rękę na ramieniu. Spuścił głowę, zawstydzony jej pochwałami. Przytuliła go do piersi, ogarnięta nagle falą macierzyńskiej miłości.

- Wróćmy do biblioteki, dobrze? - szepnęła w końcu, wypuszczając go z objęć.

Od drzwi rozległ się czyjś głos.

- Myślę, że tak będzie najlepiej. Samuelu, idź pierwszy, zaraz do ciebie przyjdę.

Spojrzała w stronę drzwi, gdzie z ponurą miną stał Damien.

Samuel odsunął się od Aleksandry i posłusznie wykonał polecenie starszego brata, którego darzył wielkim podziwem. Pani Penrith mruknęła pod nosem, że chyba jest już potrzebna na dole, i Aleksandra znalazła się sam na sam z Newellem.

Przez dłuższą chwilę patrzyła na niego bez słowa. Od ich ostatniego spotkania wciąż nie mogła dojść do siebie.

Stanowił dla niej niebezpieczną zagadkę, tak groźną, że momentami nasuwało jej się na myśl porównanie z tamtą złowrogą postacią na wrzosowisku. Wszystko było możliwe.

- Milordzie? - rzekła, chłodno unosząc brew.

- Panno Benjamin - odparł tonem równie uprzejmym i wyniosłym.

- Czy chciał pan ze mną o czymś porozmawiać?

Wydawał się stremowany, zupełnie jakby miał grać jakąś rolę i recytował kwestie z pamięci, a nie spontanicznie.

- Przyszedłem zaprosić panią na kolację. Zamierzam rozmawiać o postępach Sama. - Urwał i jego twarz znieruchomiała. - Po tym, co przed chwilą słyszałem, musimy porozmawiać poważnie.

86

- A co pan przed chwilą usłyszał? - Zmarszczyła czoło.

- Wydaje mi się, że właśnie Sam dał nam wskazówkę dotyczącą jego ostatniego doświadczenia z

Urszulą. Powiedział:

„Przez nią wyjechał Damien”. Nie wiedziałem, że tak dobrze rozumiał, co się wtedy wydarzyło, i że obciążają winą za moje wygnanie. To pomoże nam wyjaśnić, jak go skrzywdziła w ostatnich godzinach swego pobytu w Cairncross.

Poczuła gęsią skórkę. Nie chciała nawet myśleć, co ta kobieta mogła zrobić Samowi. Kochanemu Samowi.

- Czy wiedział pan o istnieniu przejścia prowadzącego do mojego pokoju? - Była zaskoczona własną szczerością, ale ciekawość kazała jej odsunąć na bok niepokojące wspomnienia o Newellu i zająć się tą sprawą.

- Nie wiedziałem. - Spojrzał na nią, a potem na kufer. - Jak widzę, przyniosła go z powrotem.

- Nie mogła. Jest zbyt ciężki.

- Różni się od nas, słabych śmiertelników.

Wydało jej się, że dostrzegła na jego twarzy uśmiech. Ciarki przebiegły jej po plecach.

- Nie chciałabym jeść kolacji z człowiekiem, który mówi jedynie o duchach. Być może istnieją, ale wolę skupiać uwagę na Samie, a nie na świecie, który jest poza moim zasięgiem.

Jej słowa sprawiły, że spoważniał. Skinął głową i rzekł:

- Tak, dziś wieczorem porozmawiamy o Samie. Musi mnie pani informować o wszystkim, co mówi, nawet jeśli uważa to pani za nieistotne. Ostatni przykład dowodzi, że lepiej potrafię ocenić ich znaczenie.

- Może pan być pewny, że poinformuję pana o wszystkim.

Przez chwilę przyglądał się jej uważnie, w jego oczach malował się szacunek i żal. Nic nie uszło jego uwagi: ani bujne włosy zwinięte w kok, ani to, w jaki sposób przysiadła na kanapce, ani to, jak stanik sukni opiął jej gors. Jego spojrzenie krępowało ją, zarazem sprawiało dziwną przyjemność. Było niezwykle pochlebne.

- Milordzie, czy jest jeszcze coś, o czym chciałby pan ze mną porozmawiać? Muszę wracać do ucznia. Nie skończyliśmy jeszcze zajęć.

Była zadowolona, że ma poważny pretekst, by mu się wyrwać. Czowała się taka silna, ale z tym łączyła się samotność.

Kiedy zacisnąwszy usta, skinął jej krótko na pożegnanie, z niechęcią musiała przyznać, że jeszcze nigdy nie czuła się bardziej samotna.

*

- Proszę wziąć dokładkę bażanta, panno Benjamin. Osobiście upolowałem tę parkę w Lake District. - Newell kazał

lokajowi nałożyć jeszcze kawałek mięsa na jej talerz. Była najedzona, ale widocznie chciał przesyty. Uczta była wyborna, chociaż musiała przyznać, że kucharz w Cairncross zawsze gotował doskonale. Tym razem jednak postarał

się wyjątkowo, zupełnie jakby Newell, chcąc wyrzucić na niej wrażenie, poprosił o coś specjalnego.

Spojrzała na swój pełny talerz.

- Naprawdę, milordzie, chyba już dziękuję.

- W takim razie proszę jeszcze wypić kieliszek wina. Mój ojciec sprowadził je z Paryża. Podobno tę butelkę skradziono z Chateau de Malmaison, kiedy cesarza wywieziono na Świętą Helenę.

- Nie, naprawdę. - Z nieśmiałym uśmiechem zasłoniła dłonią kieliszek. - Jest wyborne, ale już dość.

- W takim razie... - sztywnym gestem odprawił lokaja.

Gdy zostali sami, patrzyła na niego uważnie. On też się jej przyglądał, jego oczy były ledwo widoczne za okularami.

- Milordzie - zaczęła - przez cały wieczór prawie pan nie wspomniał o Samie. Zastanawiam się niemal, czy w ogóle chciał pan o nim rozmawiać.

- Ach, przyłapała mnie pani. - Na jego ustach pojawił się wymuszony uśmiech.

- Przyłapałam pana? - spytała, nie rozumiejąc, o czym mówi.

Odłożył nóż i widelec i uniósł do ust kieliszek wina.

- Czy to coś złego pragnąć towarzystwa na tym pustkowiu? Zresztą guwernantka to nie służąca. Nie może pani jadać w kuchni, razem z pospólstwem. Przyjęte jest, by takie osoby jak pani jadały przy naszym stole.

Zmieszała się.

- Po tym, co się wydarzyło wczoraj, pomyślałam sobie...

- Proszę o tym zapomnieć - przerwał jej. - Chcę wszystko zmienić. Prawdę mówiąc, panno Benjamin, pragnąłbym móc nazywać panią swoją przyjaciółką.

O ile wcześniej czuła się niespokojna, teraz była jak ogłuszona.

- Milordzie, ja...

- Proszę mi mówić Damien.

Patrzyła na niego, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Damienie - powtórzyła, czując się dziwnie - chyba nie rozumiem.

- Źle zaczęliśmy, pani i ja. Chcę to naprawić. Chcę zacząć wszystko od początku.

Miała wrażenie, że mówi do niej ktoś, kogo w ogóle nie знаła. Przywykła już do jego chłodu, tajemniczości i 87

wyniosłych manier. Teraz zastąpiła je sztuczna wesołość, a najbardziej niepokoił ją powód tej zmiany.

- Nie musimy zaczynać od nowa, Damienie. Zwyczajnie kontynuujmy to, co było wcześniej - odrzekła po prostu.

- Dobrze. Na początek zamierzam płacić ci tyle, ile płaciłbym twojemu ojcu, Aleksandro. Już dokonałaś cudów z Samem. Przynajmniej tyle jestem ci winien.

Ostrożnie skinęła głową i niewyraźnie wymamrotała podziękowanie.

- Czy jest coś, co chciałabyś mieć, żeby lepiej się czuć w Cairncross?

- Tak - powiedziała, zacisnąwszy ręce tak mocno, aż pobieleły jej kostki. - Chciałabym, żebyś stwierdził, kim była ta okropna postać na wrzosowisku, i nakazał jej opuszczenie tego miejsca. Uważam, że wszyscy na tym skorzystamy. A chyba najwięcej Sam. Ktoś znów przyniósł kufer do mojego pokoju. Chciałabym, żeby skończyły się te okrutne żarty.

Na jego twarzy pojawiło się napięcie, oczy pozostały bez wyrazu.

- Już to zrobiłem.

- Czy jesteś tego pewien? - Podejrzenie, że może być w to wplątany, nagle wzrosło. Siedząc naprzeciw niego, nagle pojęła, że Newell prowadzi grę. Obecnie próbował ją sobie zjednać. Wydawało się, że gotów jest powiedzieć wszystko, byle tylko przeciągnąć ją na swoją stronę.

- Nie zrobiłem nic, o co mnie podejrzewasz, Alex. Chcę jedynie, żebyś mi dała drugą szansę, bym mógł udowodnić, że jestem niewinny.

Nagle dotarło do niej, że ta kolacja z Newellem była tylko na pozór niewinna. Walka między dobrem a złem wciąż się toczyła, tylko teraz w ukryciu.

- Dobrze - odparła. Stała się czujna. - Ale proszę mi teraz wybaczyć, milordzie... Damienie. Nagle poczułam, że od wina kręci mi się w głowie, chciałabym się udać na spoczynek.

- Naturalnie.

Wstał i wyprowadził ją do wielkiego westybulu. Szli w milczeniu przez tę mroczną komnatę o ścianach obwieszonych zbrojami. Kiedy dotarli do części pomieszczenia, gdzie wisiały zdobyczne miecze, odwróciła wzrok.

- Jak potężni pokonani - szepnął, nagle ujmując jej dłoń.

Chciała się wyrwać, ale objął ją w pasie i przyciągnął do siebie.

Ujął ją pod brodę.

- Pocałuj mnie choć raz, by ukoić cierpienia mojej duszy.

Utkwiła w nim wzrok. Nie mogła go oderwać. Jego dobre maniere znikły, usta wykrzywione okrucieństwem przypominały dawnego Damiena.

- To ci się nie uda. Widzę, co jest ukryte pod tą maską, Damienie - szepnęła.

- Co widzisz? - spytał.

- Widzę mężczyznę, w którym mogłabym się zakochać. - Jej oczy pociemniały.

Odraza wykrzywiła mu twarz. Wyglądał, jakby chciał ją pchnąć na ścianę i uciec od niej jak najszybciej.

- Chłostasz swoją szczerością, wiesz o tym?

- Odpłać dobrocią. - Ujęła dłoń, którą trzymał jej rękę, i łagodnie przytknęła do swego policzka. - Powiedz mi, czego ode mnie chcesz. Nie jestem londyńską pięknoscią, o której tyle plotkują, a która nawet teraz krąży wokół ciebie. Nie należę do kobiet, jakie znałeś w Wapping, do tych, które łatwo oddają swoje ciało i miłość. Więc czego ode mnie chcesz, Damienie? Jestem córką Żyda, przyjechałam, by uczyć twojego brata. Z tego, co ludzie o tobie mówią, wynika, że nie powinnam cię interesować. Nie powinieneś na mnie w ogóle zwracać uwagi, a pojawiaasz się, by szarpać moją duszę. I chcę wiedzieć, co tak cię we mnie pociąga...

Pochylił głowę gestem człowieka pokonanego i przywarł czołem do jej czoła.

- Jak to wytłumaczyć? Nie udaje się to nawet poetom - wyszeptał.

- Nasza znajomość to nie poezja.

- Obawiam się, że może nią być.

- A z pewnością „lęk” jest właściwym słowem, prawda? Co ona ci zrobiła, Damienie? Co cię zniszczyło? Może Samuel pewnego dnia powie o swoich cierpieniach, ale ciebie jednak znacznie trudniej skłonić do zwierzeń.

- Nie chcę o niej myśleć - szepnął.

Przypomniała jej się kartka z dziennika, którą schowała do komody. Chociaż się przed tym wzbriała, będzie musiała ją przeczytać, i to jeszcze dziś wieczór.

- Nie rozumiem cię - wyznała. - Raz karcisz surowo służącego, a potem wzruszasz się do łez drobnymi zwycięstwami brata. Mówisz o złu, jakbyś był jego bliskim kompanem, a jednak jestem przekonana, że pragniesz przeciwieństwa zła.

Chcesz spokoju. Poddaj się...

- Nigdy się nie poddam.

Mocniej ścisnął ją w pasie, sprawiając Aleksandrze ból. Wiedziała, że nadeszła decydująca chwila. Albo będzie z nim walczyć, albo pozwoli się pocałować. Setki razy powtarzała sobie, że nie wolno jej pragnąć ani jego okrucieństw, 88

ani pocałunków. Ale chciała ich; były niebem i piekłem i dzięki nim była przy nim blisko.

- Aleksandro, pozwól, bym choć raz poczuł to, czego ty chcesz - szepnął.

Jęknęła. Samotność to choroba, na którą nie ma innego lekarstwa poza ryzykiem. Uniosła głowę, sądząc, że zdoła mu się przeciwstawić, lecz nagle nieoczekiwanie zbliżyła usta do jego ust.

Pocałowała go. Gdy ich wargi się zetknęły, pozwoliła sercu rozkoszować się tą pieśczęcią. Pozwoliła, by Damien zgłębiał ją językiem i tulił tak mocno, że traciła dech. Ale nie przestawała go całować, przekazując to, czego nie potrafiła wyrazić słowami. Wytrwale, cierpliwie odводziła go od gwałtowności i skłaniała do tkliwości.

Podświadomie czuła, że całowanie się z Damienem przypomina flirt z diabłem. Newell mógł ją skrzywdzić. Nagle jednak rozumiała, że musi się na to odważyć, nawet jeśli tylko ten jeden raz, by się przekonać, czy istnieje nadzieja na wyrwanie go z okowów zła.

- Nie wracaj dziś wieczór do swojego pokoju - powiedział, kiedy się odsunęła. - Zostań ze mną. Chcę, żebyś była przy mnie.

Pragnienie śpiewało w niej pieśń, której nie potrafiła zagłuszyć, mimo to przecząco pokręciła głową. Pragnął jej, ale i Brian jej pragnął. Brian ją okłamał, powiedział, że ją kocha. Newell też był zdolny do kłamstwa. Nie chciała, żeby jej mówiono o miłości; chciała, żeby jej okazano miłość. A John Damien Newell nie był jeszcze gotów na taki krok.

- Nie. Muszę ci powiedzieć „dobranoc”.

Chwycił ją za ramię. Wiedziała, że potrafi być okrutny. Dziś wieczorem starał się zachowywać uprzejmie. Teraz na jego twarzy dostrzegła wyraz głębokiego cierpienia.

- Nie odchodź.

Te dwa słowa, wypowiedziane ze smutkiem, szarpnęły boleśnie jej serce.

Ich spojrzenia się spotkały. Własne pragnienie ciążyło jej niewypowiedzianie, ale wciąż odmawiała.

- Nie pora na to. Jeszcze nie - szeptała. Potem uwolniła się z jego objęć, uniosła spódnicę i wbiegła po schodach do swojego pokoju. Jego gniew, wywołany odepchnięciem, zdawał się wisieć w powietrzu jak gęsta chmura czarnego pyłu. Za plecami usłyszała łoskot mieczy spadających na kamienną podłogę. Strącał je ze ściany gołymi rękami.

*

Newell siedział po ciemku w swojej sypialni, trzymając w dłoniach kieliszek brandy. Nie był pijany. Opróżnił

butelkę do połowy, ale alkohol nie ukoił jego emocji. Wzburzenie nie mijało.

Gdzieś na korytarzu zegar wybił trzecią. Za kilka godzin nadejdzie świt. Kolejny nieznośny dzień powstrzymywania się i ukrywania prawdziwej twarzy.

Z najdalszego kąta pokoju dobiegł szmer, jakby ktoś przesuwiał skrawkiem jedwabiu po papierze. Zmrużył oczy, próbując dojrzeć, kto to taki, rozpoznać zarysy postaci. Ale wszystko widział niewyraźnie na skutek wypitej brandy i otaczającego go mroku.

- W końcu plugastwo dotarło i do moich pokoi - stwierdził.

W ciemności majaczył zarys sylwetki kobiety - a może tylko był to jakiś cień?

- Pokaż mi swoją twarz, Urszulo. Pokaż mi, że się nie zmieniłaś - warknął, pochylając się w fotelu.

Cień nie drgnął. Nic nie zakłócało niezziemskiej ciszy.

- Przyszłaś po mnie, prawda? - Zgarbił się. - Pójdę z tobą, kiedy będę gotów.

Wpatrywał się uparcie w niewyraźną sylwetkę oczyma zwężonymi w szparki.

- I zabiorę ją ze sobą.

Nagle z kąta powiał wiatr. Może przeciąg, ale przysięgłby, że suknię zjawy wydał gwałtowny podmuch, przywodzący na myśl czarny szal.

Roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu.

- Nie lubisz jej, prawda? To dobrze. Cieszę się, ty suko. - Znów pociągnął długi łyk brandy. - Ona też ciebie nie lubi.

Która z was wygra? Sądziłem, że ty, Urszulo, ale po tym, co zrobiła dziś wieczór, wydaje mi się, że ostatecznie ona zwycięży.

Wiaterek stał się silniejszy, ale milcząca postać nadal trwała w cieniu.

- Czasem patrzy na mnie, jakby zdolna była przejrzeć mnie na wskroś - szepnął Damien, nie wiadomo do kogo. -

Chcę ukryć swój wstyd, zaciąć się w cieniu, jak ty, Urszulo, ale zaraz jej uczciwość znów mnie pociąga ku światłu.

Nie jest godnym przeciwnikiem ani dla ciebie, ani dla mnie. Możesz równie dobrze wynieść się do diabła, kreaturo nocy. Ja już jestem w swoim piekle. Pragnę jej - jęknął, miażdżąc kieliszek.

Cienie wolno rozplynęły się w mroku. Damien mętnym wzrokiem spojrzął na swą zakrwawioną dłoń. Chwilę potem stracił przytomność.

22

Krótkie jest, ale straszne przejście do wieczności...

Rebeka w *Ivanhoe*

89

Północ dawno minęła, lecz Aleksandra wciąż krążyła po sypialni, nie mogąc się zdobyć na odwagę, by spojrzeć na kartkę z dziennika. W końcu głos przeznaczenia, które zawiodło ją do Cairncross sprawił, że podeszła do komody, wyciągnęła kartkę papieru i usiadła, by ją przeczytać.

Zwabiłam go do stajni, mówiąc, że ojciec kupił mu nowego konia. Jego lordowska mość nie należy do ludzi, których stać na zrobienie czegoś takiego dla własnego syna, ale nawet teraz się uśmiecham, myśląc o tym podstępnie. Jedno się nigdy nie zmienia: chłopak zawsze wiąże swoje nadzieje z ojcem.

Jest duży jak na czternastolatka. Jego wstręt do mnie spowodował, że moje serce ogarnęła ciemność. Dałam mu to, na co sobie zasłużył. Nienawidzi mnie, ale mogę życzyć jego nienawiścią równie dobrze, jak z jego miłością. Bardzo zmęźniał w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy, wygląda na znacznie starszego niż w rzeczywistości. Próbowалаm zostawić go w spokoju, ale wiecznie jest ta potrzeba dotykania go, sprawiania, żeby dotknął mnie. Powtarzam mu raz po raz, że ja mam całą władzę, a on - żadnej. Żadnej...

Dziś zastałam go samego w stajni. Szukał nowego konia. Gdy wszedł do boksu wymoszczonego świeżą słomą, zagroziłam mu wyjście. Wyczytałam z jego twarzy, że chce mnie uderzyć. Mógł mnie z łatwością przewrócić, odepchnąć. Jest roslým młodzieńcem, dwa razy ode mnie wyższym, jest też inteligentny. Wiedział, że walka sprawiłaby mi przyjemność, przypuszczam, resztką rycerskości zmusiła go, by trzymał ręce w kieszeni.

Podeszłam bliżej i dotknęłam ręką jego przyrodzenia. W jego niewinnych oczach widziałam, że jest przerażony tym, że stać mnie na taką śmiałość, ale powinien być mądrzejszy, młody głupiec. Bo jestem śmiała. Pobudza mnie do tego moja nienawiść.

Rozpięłam mu rozporek. Nie poruszył się. Wyglądał, jakby z wrażenia ogarnęła go niemoc w całym ciele z wyjątkiem miejsca, którego dotykałam. Wsadziłam sobie do ust jego kuśkę. Nie poruszył się

widziałam, że nigdy przedtem tak się nie czuła. Uczucie było słodkie, tak słodkie, jak jego skóra na moim języku.

Uległa mi, tak jak się tego spodziewała. Starła się go tak podniecić, jak jeszcze żadnego mężczyzny, aż w końcu poczuła w ustach jego spermę. Wtedy go ugryzła. Och, cóż to była za rozkosz. Wciąż czuje smak krwi i spermy spływającej mi kącikami ust, wciąż widzę ból i nienawiść na jego twarzy.

Wtedy mnie uderzył. Odepchnął mnie i wybiegł ze stajni, nawet nie zapiawszy spodni. Masztalerz widział nas wybiegających ze stajni - najpierw jego, potem mnie. Wiedziała, co zrobię, jeśli coś powie, i została do tego zmuszona. Jego lordowska mość i lady Noweli byli akurat w zamku zjedna ze swych rzadkich wizyt. Zadała o to, żeby baron zastał mnie w stajni płaczącą. Rozerwała suknię i rozmazała krew Damiena na swojej bieliźnie. „Zniewolił mnie!” - krzyczała. Powiedziała, że biciem zmusił mnie do uległości. Mogła tego dowiedzieć, pokazując czerwony ślad na policzku.

Nie miał nic na swoją obronę. Służba gadała po kątach, że pokazał ojcu swój zakrwawiony korzeń, ale to tylko potwierdziło jej opowieść, że próbowała się bronić. Wyśmienicie odegrała swoją rolę. Uniosła do ust mokrą od fez chusteczkę i szepnęła: „Musiałam go ugryźć, milordzie, ponieważ została zmuszona do obcowania cielesnego sprzecznego z naturą”.

Jutro wyjedzie. Samuel zalewał się łzami na wieść o wyjeździe brata, ale jak zwykle nie zwracała uwagi na tego półgłówka. „Jego lordowska mość był zmuszony go wypędzić, żeby zatuszować skandal - krzyczała do szlochającego kretyna. - Twój brat ma to, na co sobie zasłużył”.

Ale wciąż myślę, że doprowadzenie do tego, że wypędzonego z domu, to za mało. Pojadę za nim...

Nikt nie rozumie tej potrzeby lepiej niż Damien.

Aleksandra wstała z kanapki, wolno podeszła do umywalki i zwymiotowała. Zanurzyła chusteczkę w dzbanku z wodą i zwilżyła twarz, próbując przezwyciężyć kolejną falę nudności.

Wiedziała, że Urszula Pole jest złą kobietą, ale nie podejrzewała, że mogła zrobić coś podobnego czternastoletniemu chłopcu. Ogarnął ją wstręt. Tamta kobieta najwyraźniej czerpała przyjemność z opisywania w swym dzienniku szczegółów swych ohydnych wyczynów. Zupełnie jakby w ten sposób wszystko przeżywała na nowo.

Nagle stwierdziła, że po jej policzkach płyną łzy. Myśląc o Damieniu, czuła, jak wzbiera w niej litość. Rodzice właściwie przestali się nim interesować we wczesnym dzieciństwie, kiedy byli mu najbardziej potrzebni. Potem wyparli się go, dając wiarę Urszuli. Nic dziwnego, że miał spaczony charakter. Jakie nieodwracalne szkody mogło spowodować w młodym, dopiero formującym się umyśle przekonanie, że miłość fizyczna pociąga za sobą karę, zemstę i strach. Kiedyś wspominał o swych upodobaniach. Wzdrygnęła się na myśl o tym, co je ukształtowało.

Miała chęć pójść do jego sypialni, zapukać lekko do drzwi, a gdyby jej otworzył, zarzuciłaby mu ręce na szyję i mocno go przytuliła. Jednak się pohamowała, mimo że potrzebował uczucia w

większym stopniu niż Samuel. Ona i jej ojciec większość życia poświęcili głuchym, czyli tym, którzy nie potrafili wyrazić słowami swych potrzeb. Ich pacjenci nie mogli mówić z powodu defektu fizycznego. Newell stał się niemową, bo jego psychika została zmuszona do milczenia. Musi mu pomóc. Człowiek, którego w nim widywała czasem, gdy zdejmował okulary, był wart tego, by go ratować. Wart był miłości.

Prawdopodobnie już go kochała. I teraz, chociaż to uczucie mogło ją zniszczyć, pragnęła go uratować. Całe 90

dotychczasowe życie wiodło ją ku tej chwili, ku przeznaczeniu. Była przerażona, ale mimo to postanowiła nie uciekać.

*

- Tak, milordzie, śliczny dzisiaj dzień. Wyjątkowo ciepły - rzekła. Oboje z Samem siedzieli pod lipą. Słońce ogrzewało kamienny mur. Sam spokojnie oglądał książeczki z obrazkami, które wyszperała dla niego w bibliotece, a ona rozkoszowała się ciszą. Myślami i duszą cały czas była przy dzienniku Urszuli i Newellu. Obaj bracia, i Sam, i Damien, potrzebowali uczuć, ale zaczynała rozumieć, że potrzeby Newella były znacznie większe - i trudniejsze do zaspokojenia - niż Sama.

Spoglądała na ogród, radując się ciepłem promieniującym od zmurszałego muru. Ogród był sanktuarium. Oazą spokoju. Oazą nadziei. Dotknęła zrudziałego kwiatu róży i patrzyła, jak płatki opadają na suchą, porośniętą chwastami ziemię. Na pewno na tym krzaku wiosną zakwitną róże. Nie miała cienia wątpliwości co do tego, że John Damien Newell też może się odrodzić. Że można z pozostałego w nim jednego ziarnka człowieczeństwa wyhodować dobrego człowieka.

Oderwała wzrok od ziemi i spojrzała w górę. I wtedy go zobaczyła. Stał przy furtce ogrodowej niepewnie, jakby nie chciał im przeszkadzać. Ich spojrzenia się spotkały i nagle Urszula, jej dziennik, wszystko wróciło do Aleksandry, wy-wołując dreszcz, ale szybko to ukryła pod maską spokoju i obojętności. Kiedy szedł ku niej, chciała gdzieś uciec. Ale z drugiej strony trudno jej było się powstrzymać, by nie zarzucić rąk na szyję temu człowiekowi o sponiewieranej duszy.

- Jutro zamierzam wybrać się do miasta - powiedział, oparłszy się o drzewo. - Czy zechciałaby pani towarzyszyć mnie i Samowi do Yorku?

Samuel z zapalem pokiwał głową. Aleksandra uśmiechnęła się, ale wciąż było jej trudno patrzeć Newellowi w oczy.

Teraz mogła w nich tyle zobaczyć, tyle rzeczy, które budziły w niej lęk. Zastanawiała się, jak mogła nie widzieć tego wcześniej.

- Może to jest właśnie to lekarstwo, jakiego wszyscy potrzebujemy: uciec z Cairncross, choćby na jeden dzień.

- Bardzo dobrze. - Skinął głową i utkwiał w niej wzrok. Napiął mięśnie, jakby szykował się do walki. Miała wrażenie, że nie podoba mu się to, jak Aleksandra na niego wpływa. Zapisała sobie w

myślach, żeby uważać. Ta niechęć może stać się niebezpieczna, nim Aleksandra znajdzie sposób, by ją unieszkodliwić.

Zapanowało niezręczne milczenie. W pewnej chwili Aleksandra odniosła wrażenie, że Newell chce coś powiedzieć, ale nie może. W tej chwili potrafiła myśleć tylko o kartce z dziennika i o tym, jakim był chłopcem.

- O której godzinie, milordzie? - spytała.

- Wyjdziemy skoro świt. - Spojrzał na nią, a potem na furtkę, przy której właśnie pojawiły się lady Bess i jej dziwna pielęgniarka Millicent, widocznie pragnąc zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Och, jaki wspaniały dzień, wspaniały dzień! - zakrzyknęła lady Bess i ruszyła w ich stronę, podpierając się srebrną laską. - Panno Benjamin, przepraszam, że mój ogród zrzucił jesienią swe szaty. Musi go pani zobaczyć wiosną. Wtedy będzie taki śliczny jak debiutantka o różowionych policzkach.

Aleksandra roześmiała się.

- Pięknie to pani wyraziła, lady Bess. Może przyłączy się pani do nas? Zaraz będę miała lekcję z Samem.

Lady Bess spojrzała na Newella, jej wypłowiałe ze starości oczy zamglily się, gdy na niego patrzyła.

- Johnie Damienie, to do ciebie niepodobne zaglądać do ogrodu. Co tu robisz?

- Zażywam świeżego powietrza - odparł obojętnie, odszedł od lipy» by podprowadzić ją do ławki.

Lady Bess wręczyła swej pielęgniarce laskę i usiadła na marmurowej ławce.

- Powiedziałeś pannie Benjamin o ogrodzie? O tym, jak razem z Samem bawiliście się tu jako chłopcy?

Niecierpliwie skinął głową.

- Oczywiście póki nie zostałeś zmuszony do wyjazdu, a miejsce to nie stało się siedliskiem duchów.

Aleksandra spojrzała na Damiena. Na ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały. Potem odwrócił wzrok.

- Jutro zabieram Sama do Yorku - rzekł. - Panna Benjamin też z nami pojedzie. Jeśli potrzebujesz czegoś z miasta, daj Millicent spis i powiedz, żeby go przekazała Featherstone'owi.

Lady Bess nachyliła się do Aleksandry, nie zwracając uwagi na to, że Newell zmienił temat.

- Och, panno Benjamin, czy Damien zapoznał panią z opowieściami o Cairncross? Jedna nawet dotyczy dawnej guwernantki.

- Wątpię, czy panna Benjamin ma ochotę słuchać takich historii - burknął Newell.

Stara, pomarszczona kobieta nadal nie zwracała na niego uwagi.

- Po zniknięciu Urszuli Pole... kiedy to było? Dwadzieścia lat temu...? Mniejsza o to. Słysząc było w zamku krzyki tej kobiety. Niektórzy mówią, że zwariowała i próbuje straszyć ludzi, ponieważ nigdy się jej nie udało przstraszyć Johna Damiena. Inni twierdzą, że nie żyje, a w zamku pojawia się jej duch. Wierzę tym drugim, bo do tej pory słysząc jej krzyki, kiedy nadciąga burza i wiatr wieje od morza.

Damien niecierpliwie potarł brodę.

91

Aleksandra stwierdziła, że pora coś powiedzieć.

- Cóż za okropna historia. Można by pomyśleć, że Urszula włóczy się po katakumbach. - Rzuciła spojrzenie Newellowi. To tylko umocniło ją w przypuszczeniach dotyczących Urszuli. Miała nadzieję, że wczorajszego wieczoru mówił prawdę, i że teraz ma bodziec, by zająć się tą kobietą, nim ona zrobi krzywdę sobie lub komuś.

- Panna Benjamin wierzy, że Urszula tu wróciła - powiedział Newell, zaciskając szczęki. - Chce, żebym ją odszukał.

- I powinieneś to zrobić, mój chłopcze - oświadczyła staruszka cichym i złowieszczym głosem.

Zwrócił się do Aleksandry.

- Panno Benjamin, czy po podwieczorku zechce pani obejrzeć katakumby?

Aleksandrę aż zatkało. Ostatnim razem, kiedy się znalazła w ich pobliżu, omal nie postradała życia. Teraz proponował jej spacer po tym labiryncie, a w jego spojrzeniu czaiło się ostrzeżenie.

- Nie wie pani, co odpowiedzieć? Myślałem, że zależy pani na odnalezieniu Urszuli?

Zesztywniała.

- Dobrze - odparła, wiedząc, że jest głupia, dając się złapać na tę przynętę, ale czuła do niego słabość, szczególnie teraz, kiedy poznała jego przeszłość. - Pójdę z panem po podwieczorku. Razem spróbujemy się przekonać, co się naprawdę stało z panną Pole.

Na jego twarzy pojawił się afektowany uśmiech.

- W takim razie po podwieczorku spotkamy się w korytarzu dla służby.

- Dobrze - szepnęła, nawet nie mrugnawszy okiem, kiedy ich spojrzenia się spotkały. - Mam nadzieję, że znajdziemy wyjaśnienie tych dziwnych rzeczy, jakie dzieją się w Cairncross.

*

Spotkali się o czwartej, kiedy słońce chowało się za kopcami na zachodzie. Prawie ze sobą nie mówili. Newell sprowokował ją, by poszła na ten spacer, więc bez słowa wzięła podaną jej lampę i ruszyła za nim w zamkowe czeluście.

Wszystko wyglądało tak, jak Aleksandra zapamiętała. Kilometry krętych, wilgotnych schodów wiodących w głąb ziemi, powietrze przesycone trupimi wyziewami i wapień pachnący krwią.

W ciemnościach wziął ją za rękę. Oparła się o ścianę, nagle bojąc się iść dalej. Przypomniała sobie szkielety, które -

według jego słów - prawdopodobnie leżały w katakumbach za wszystkimi ścianami. Wbrew swej woli szepnęła:

- Proszę, nie puszczaj mnie.

Nie powiedział słowa.

Dotarli do groty i postawili lampy przed wejściem do katakumb. Newell wziął łom i ze zdumiewającą łatwością wyważył drzwi. Zaskoczyło ją, że zdołał to zrobić bez niczyjej pomocy.

- Wejdzmy do środka - powiedział, robiąc ręką zapraszający gest.

„Kim jestem ja, tym ty masz być. Więc weź mą dłoń i ze mną idź”.

Zawahała się. Ostre, żonę światło lampy odbijało się w jego okularach. Wyglądał jak szatan, zapraszający ją do przekroczenia progu piekieł.

Nim zrobiła pierwszy krok, spojrzała na niego. Dręczyło ją tyle pytań, które domagały się odpowiedzi.

- Z chęcią z panem pójdę, milordzie - oświadczyła - ale zanim to zrobię, muszę panu powiedzieć, że się boję. I nic nie mogę na to poradzić, że nie daje mi spokoju jedno pytanie, na które muszę poznać odpowiedź: czy mój strach pana podnieca? Czy wynagrodzi mi pan moje lęki, czy też jeszcze je pan spotęguje?

Światło rzucało ciemne cienie na jego twarz. Nie widziała wyraźnie jej wyrazu, ale odniosła wrażenie, że walczą w nim dwie przeciwstawne siły.

- Pójdzie pani ze mną? - spytał w końcu, nie odpowiedziawszy na jej pytanie. - Czy też sama będzie tu dygotać ze strachu i czekać całą wieczność na mój powrót?

Westchnęła głęboko, potem wzięła go za rękę, a on pociągnął ją w stronę katakumb.

Lampa Aleksandry została przy drzwiach, żeby lepiej mogli się zorientować, gdzie jest wyjście. Kiedy znaleźli się w grobowcu, światło lampy Damiena stało się mocniejsze, docierało do

wszystkich zakamarków. Podążała za nim. Krew ścięła jej się w żyłach, mimo że ręka Newella, którą trzymała, była gorąca jak żelazny pręt rozpalony do czerwoności.

Wilgotne ściany sypały się ze starości. Pokrywały je zapleśniałe polichromie, przedstawiające termy Karakalli. Nagie postacie nie wywoływały takiego niepokoju, jak rozciągające się przed nimi, wciąż niezbadane ciemności.

- Jak ona może tu żyć? - wykrzyknęła.

- Nie potrzebuje ziemskich wygod - stwierdził, spoglądając na Aleksandrę. Oświetlił lampą drzwi do katakumb. Z

drugiej strony dostrzegła na nich ślady zadrapań.

- Co to jest? - spytała.

- Może ślady paznokci tych, którzy jeszcze nie umarli.

Wzdrygnęła się. W tym momencie coś jeszcze zwróciło jej uwagę. Dała Newellowi znak, by podał jej lampę, i osłupiała na widok oświetlonej posadzki.

92

- Rude włosy. Pasma długich rudych włosów - powiedziała zdławionym głosem, pełna odrazy.

- Jej włosy. Może je sobie wyrwała z głowy w ataku szału. - Zamilkł, a potem dodał tajemniczo: - A może odpadły od czaszki już po jej śmierci, kiedy gniły tu jej zwłoki.

Ciałem Aleksandry wstrząsnął gwałtowny dreszcz. Nie znalazłszy nic więcej na ziemi, wstała i oddała mu lampę.

- Idziemy dalej? - W jego głosie brzmiało złośliwe rozbawienie.

- Tak. - Była wściekła, że naigrywał się z niej, lecz równocześnie pragnęła, by zapewniał jej bezpieczeństwo.

Szedł jakiś czas, nie puszczając jej ręki, po trzydziestu metrach skręcił. Znaleźli się w miejscu, gdzie zbiegało się sześć korytarzy. Damien poprowadził ją sześćdziesiąt metrów w głąb jednego z nich. Otoczyły ją całkowite ciemności, Aleksandra wpadła w panikę. Teraz było czarno i przed nimi, i za nimi.

- Z przodu coś jest. Jesteś gotowa? - spytał, w jego głosie słychać było dziwną mieszaninę rozbawienia i smutku.

Szła za nim, bała się zostać i ryzykować, że puści jej rękę.

Damien posuwał się naprzód. Przystanął przy wyłomie w gładkiej ścianie. Spojrzał na Aleksandrę, a

potem wysoko uniósł lampę.

W świetle ukazał się ludzki szkielet do połowy tkwiący w ścianie, czaszka niemal w całości wystawała z glinianej zaprawy, zęby wyszczerzał okropny uśmiech. Aleksandra szybko odwróciła głowę, czując, że żołądek podchodzi jej do gardła.

- Dlaczego tak wygląda? - spytała, nie mając odwagi spojrzeć ponownie.

- Prawdopodobnie pochowano go żywcem. Musiał być niewolnikiem jednego z rzymskich żołnierzy.

Ze strachu serce zamarło jej w piersiach. Myśl o pogrzebaniu żywcem nawiedziła ją po pierwszej wyprawie do katakumb. Ogarnęła ją przemożna chęć ucieczki.

- Chyba nie wytrzymam tu dłużej - stwierdziła. - Myślałam, że to zniosę, ale po zobaczeniu szkieletu...

Spojrzał na nią twardym wzrokiem.

- Przyznaje pani, że żaden człowiek nie mógłby tu żyć?

- Chyba... chyba nie. A przynajmniej człowiek przy zdrowych zmysłach.

Utkwił w niej wzrok i mocniej uściśnął rękę. Wrócili do miejsca, gdzie zbiegały się korytarze, przeszli przez tunel po prawej stronie. Z ulgą dostrzegła w głębi światło lampy.

Jednak Damien skręcił w lewo.

- Zatrzymaj się! - Gwałtownie pociągnęła go do tyłu. - Moja lampa jest tam.

- Musimy iść tędy. To nie twoja lampa.

- Moja! - wykrzyknęła, nie rozumiejąc, co mu się stało.

- Pójdziemy tym korytarzem. Musimy pójść tędy.

- Nie pamiętasz, że zostawiliśmy moją lampę obok wejścia? Jeśli światło, które widzieliśmy, nie pochodzi od mojej lampy, to skąd się wzięło? - Przyjrzała mu się uważnie, z niedowierzaniem. Jego profil był wyraźnie widoczny w blasku lampy. Ale nic nie potrafiła z niego wyczytać.

- Tędy przyszliśmy, Aleksandro. Tamto światło to złudzenie. Nie przyszliśmy tamtym korytarzem. Musisz albo pójść ze mną, albo sama iść w kierunku światła.

- Przecież zostawiliśmy zapaloną lampę. To musi być światło mojej lampy.

- Zapytałaś: „Czy wynagrodzi pan moje lęki, czy jeszcze je pan spotęguje?”. Teraz proponuję ci nagrodę. Nie odtrącaj jej. Ta droga prowadzi do wyjścia.

Zatrzymała się, nie chcąc stracić z oczu światła widocznego w oddali.

- Łudzisz nadzieją, Damienie, a jednak twoje pocieszenia wywołują jeszcze większy strach. Mówię ci, że musimy iść tam, gdzie widać światło lampy. W przeciwnym razie możemy nigdy nie znaleźć drogi powrotnej.

Podszedł bliżej, objął ją ramieniem i przycisnął do piersi. W jednym ręku trzymał lampę, drugą pieszczotliwie gładził

ją po policzku.

- Moja droga, czym jest życie, jeśli nie bólem, strachem i cierpieniem? Co zrobisz? Pójdiesz w stronę światła, aby wydostać się z katakumb, czy podążysz za mną, by może umrzeć u mego boku i na zawsze pozostać w tym labiryncie?

- Życie nie zawsze jest takie, jak powiedziałeś. Jeśli tak myślisz, to tylko dlatego, że miałeś złych nauczycieli. Życie jest odnową, nadzieją, radością. Możesz to wszystko znaleźć nawet w tym, czego najbardziej się lękasz, jeśli tylko będziesz szukał.

Powiedziała te słowa z takim przekonaniem, że nie mógł tego znieść. Dziwny, niezrozumiały wyraz pojawił się na jego twarzy, powstały z bólu, zmieszania i lęku.

- Jeśli to znaczy, że zostaniesz ze mną, jeśli aż tak zależy ci na mojej grzesznej duszy, to obiecuję, że cię stąd wyprowadzę - rzekł ochryple.

- Damienie - szepnęła i wzruszenie ścisnęło jej gardło. - Boję się tych katakumb. Ale znam większy strach, a nie wywołuje go to miejsce ani te ciemności, ani nawet ty i twoje budzące lęk humory. Wiem, że mogę zaryzykować i 93

opuścić to miejsce, i że po nocy zawsze nastaje dzień. Doskonale rozumiem, że kiedy jesteś ze mną, pewnego dnia mo-

zesz stracić panowanie nad sobą i zadać mi gwałt. Ale nic z tego, nic z tego - powtórzyła wiedząc, że pozostała jej tylko szczerłość - nie jest tak okropne jak strach, że możesz nigdy mnie nie pokochać... - Słowa nie chciały przechodzić jej przez gardło - Tak jak Brian nigdy mnie nie kochał.

Dłoń gładząca jej policzek zaczęła sprawiać ból. Rozdarty wewnętrznie jęknął głucho, potem ujął Aleksandrę za rękę i pociągnął gwałtownie w kierunku zbiegu korytarzy.

- Wciąż idziemy w złą stronę - zatkała.

Kroczył w ciemnościach, tak mocno ją ściskając żelazną dłonią, że mało nie złamał jej ręki.

- Moją nagrodą jest śmierć - rzekł twardo, ciągnąc ją za sobą.

- Co robisz? - zaszlochała. - Oszalałeś? To zły korytarz.

- Czy wyglądam na szaleńca? - spytał szorstko.

- Nie - szepnęła. - Nie rób tego. Kocham cię. - Szarpnęła się, chcąc go pociągnąć za sobą. Światło za nimi zniknęło.

Ale wciąż jeszcze mogli wrócić po swych śladach. - Damienie, weź moją duszę, weź moją miłość, ale nie zabieraj mi życia... - błagała, próbując przemówić mu do rozsądku.

Nagle podeszli do wejścia. Damien puścił dłoń Aleksandry, stała jak wryta w blasku światła. Wyszli z katakumb, znaleźli się w grocie. Za nimi widać było uchylone drzwi do rzymskich grobowców.

- Nie... nie rozumiem - wyjąkała, patrząc na niego.

Spojrzał na nią z rozpaczą. Znów szepnął:

- Moją nagrodą jest śmierć.

Podbiegła do Damiena i rzuciła mu się na szyję. Płakała, tuląc się do jego piersi, w końcu zrozumiała. Ich lampa zgasła. Światło, które widzieli, czy było to urojenie, czy odbicie, nie znajdowało się we właściwym korytarzu.

Prowadził ją ku swej śmierci. Ku ich śmierci. A jednak dla niej zrezygnował i zawrócił.

- Twoją nagrodą będzie moja miłość! - wybuchnęła uczuciem i podała swą mokrą od łez twarz do pocałunku.

*

Przekradali się w mroku, zatrzymywali się na półpiętrach, żeby się całować. Damien całował jak nikt, jego pocałunki były żarliwe, w zamian żądające odwzajemnienia. Nie zaś nijakie i banalne, jakimi darzył ją Brian.

Zdawała sobie sprawę, że gdyby poszła do jego sypialni, popełniłaby szaleństwo, za jakie płaciło się bardzo wysoką cenę, czyli złamanym sercem i utratą czci. Ale wcale nie myślała o tym, kiedy ją całował, jedną ręką unosząc jej brodę, a drugą położywszy na klamce z kutego żelaza. Myślała wyłącznie o nim, o tym, że stanowią jedność. I o tym, że się tu znalazła mocą przeznaczenia.

Nie używali słów. Niczego już nie musieli sobie mówić. O świcie z serc ich obojga zniknie uczucie samotności.

Newell zdjął okulary i rzucił je na siedzenie skórzanego fotela. W przyćmionym, gazowym świetle jego oczy pociemniały z pożądania, błyszcząc nadzieją. I lękiem.

Zaprowadził ją do łóżka.

Dobrze pamiętała jego pokój. Aksamity i pajęczyny. Nim usiadł na skraju materaca, pocałował ją żarliwie, namiętnie.

Przyciągnął ją do siebie i zaczął rozpinąć haftki jej stanika.

Potem wyjął szpilki z jej włosów, pozwalając, by rozsypały się na ramionach, jak kobietom na obrazach Rafaela.

Patrzyła na niego, stojąc tuż przy nim. Ich spojrzenia się spotkały. Kiedy ujął ją za rękę i dotknął nią swego policzka, na jego twarzy odmalowało się głębokie cierpienie.

Pocałował jej dłoń. Pociągnął ją lekko i padła na niego. Leżał na łóżku na wznak. Przesunął ustami po jej obnażonej szyi.

- Śniłem o tobie, o tym - szepnął. Zmienił pozycję, teraz znalazła się pod nim. - Sen był zawsze taki sam. Trzymałem cię, jak teraz, potem spoglądałem w dół i ciebie nie było.

Pocałowała go i poczuła, jak wprawnymi dłońmi zdejmuje suknię, a potem rozwiązuje tasiemki gorsetu. Rozpiął

wszystkie guziki z przodu gorsetu z falbankami, w końcu osiągając swój cel: ciasny, płócienny panczerzyk pod spodem.

- Hojna, tak hojna... jak kobieta - powiedział, przesuwając językiem po nabrzmiałych piersiach Aleksandry. - Nigdy więcej nie będę śnił o żadnej innej - wyszeptał i chwycił ustami brodawkę, rozpalając ogień w jej wnętrzu.

Szarpał się z gorsetem, aż i on też znalazł się na stosie. Rozwiązał tasiemki pantalonów i one też trafiły na rosnący stos, razem z bucikami.

- Pozwól na siebie spojrzeć - szepnęła błagalnie, nagle uświadomiwszy sobie własną nagość. Miała teraz na sobie jedynie czarne jedwabne pończochy i białe aksamitne podwiązki.

Jego wzrok prześlizgnął się po jej ciele, po jej twarzy. Zdjął surdut i koszulę. Dobrze pamiętała jego tors z tamtej nocy, teraz odległej jakby o sto lat. Był szeroki i muskularny.

Kiedy zaczął ściągać spodnie, odwróciła wzrok. Paniński wstyd sprawił, że zadrżała na całym ciele. Chciała tego, jednak nie była dobrze przygotowana do obcowania z mężczyzną. Wcześniej zawsze głęboko wierzyła, że odda się 94

mężczyźnie jako godnie poślubiona małżonka. Teraz takie rzeczy wydawały się zbyt odległe, poza jej zasięgiem. Fizyczna potrzeba takiego związku była silna, ale nic nie było tak przemożne, jak potrzeba bliskości. Chciała go obejmować i przynajmniej na tę jedną noc sprawić, by zniknęły jego demony.

Położył się obok niej na łóżku. Spojrzała mu w oczy. Wziął ją w ramiona i pocałował, jego usta były gorące, szalone.

Ciepło bijące od jego szerokiej piersi osłaniało ją przed całym światem.

Pochylił głowę i pocałował jej piersi. Na jego urodziwej twarzy malowało się pożądanie. Myślała,

że będzie ją dłużej całował, pieścił, ale szybko, jakby potrzebował się w niej schronić, rozsunął ręką jej uda i wszedł w nią.

Jęknęła, czując ból. Napięła wszystkie mięśnie, chcąc się go pozbyć.

Wtulił twarz w jej włosy, nie przestając poruszać lędźwiami w pierwotnym rytmie.

- Przestań - wykrztusiła, zaszokowana jego zachowaniem.

- Aleksandro, przyjmij mnie. Przyjmij mnie - szepnął jej prosto do ucha.

Z jej ust wyrwał się krótki szloch, zwróciła ku niemu swe usta. Całowali się, aż w końcu poczuła, że mu ulega.

Stopniowo jej mięśnie wiotczały, a podniecenie rosło. Jak kwiat, który zakwitł na jej łonie, poczuła dziką przyjemność, jakiej nigdy wcześniej nie zaznała. Już go nie odpychała, a przeciwnie - objęła go i domagała się jeszcze.

Kręciła głową w jedną i drugą stronę na materacu, walcząc z sensacjami, jakie wywoływały jego ruchy. Ale jej kobiecość zbyt długo była uszpięta. Ostatnie, co ujrzała, nim odrzuciła głowę w szalanej ekstazie, była twarz Damiena.

Patrzył na nią złowieszczo, w kąciку jego ust igrał okropny uśmiech.

23

Jak kruk, co wróży nieszczęście i w dziobie

Glejt dla chorego na tamten świat niesie,

A w mrokach nocy milczącej otrząsa

Na ziemię z czarnych piór straszną zarazę –

Tak udęczony i wściekły Barabasz

Z klątwą na ustach mknie ku chrześcijanom.

Żyd z Malty

Aleksandra obudziła się. Bolała ją głowa, bolały wszystkie mięśnie, czuła, że między udami ma ranę.

Odwróciła się na bok i ujrzała, że jest w łóżku sama. Sama w łóżku Damiena.

Zdezorientowana, usiadła i rozejrzała się wkoło, nagle sobie przypominając wszystkie szczegóły ostatniej nocy.

Sypialnia wyglądała tak, jak ją pamiętała, ale teraz szare światło świtu przenikało przez ciężkie wiśniowe kotary. I pokój był pusty. Nigdzie nie widziała Damiena.

Opadła na skotłowane poduszki, wyczerpana i zawstydzona. Może to wszystko tylko jej się przyśniło? Jednak to, gdzie się znajdowała, i dziwne uczucie, które nadal wypełniało jej ciało, dobitnie świadczyły, że to nie sen.

Próbowała zebrać siły i wstać z łóżka. Z jakiegoś powodu fakt, że Damiena nie było w pokoju, sprawił, że to, co się wydarzyło, wyglądało znacznie gorzej. W jej sercu zagościła zimna samotność. Czuli się teraz kobietą upadłą i potrzebowała jego obecności.

Jej ubranie było rozrzucone wokół łóżka. Wciąż miała na sobie jedną pończochę i obie podwiązki; druga pończocha gdzieś się zaplątała w pościeli. Wolno, czując się bardzo staro, wstała z łóżka. Pościel była wilgotna, skotłowana, przesycona zapachem ich ciał. Na próżno usiłowała znaleźć w niej pończochę. Potrząsała poduszkami, mając nadzieję, że wpadła między nie, ale nadaremnie. Rzuciła ostatnią poduszkę na materac i usiadła na skraju łóżka, dziwnie znużona. Ale potem przykuło jej uwagę coś, co leżało na prześcieradle. I krew jej się ścięła w żyłach.

Nie mogąc uwierzyć w to, co widzi, podkręciła lampę gazową, by rzucić więcej światła na łóżko. Wyciągnęła drżącą rękę i ujęła w palce dwa długie rude włosy leżące na jednej z poduszek.

Zbliżyła je do światła, łudząc się nadzieją, że może to jednak jej włosy. Ale nie miała rudych włosów, a te były ognistorude. W migoczącym płomieniu lampy czerwone pasmo rzucało pomarańczowe błyski.

Zrobiło jej się słabo, ogarnęły ją mdłości. Myślała o kartce z dziennika i miała ochotę krzyknąć. „Nie, Damienie!

Nie!” - powtarzała sobie w duchu, nie chcąc nawet myśleć, co mogą oznaczać te włosy i dlaczego je znalazła w jego łóżku, w łóżku, które dzielili ostatniej nocy.

Wpatrywała się we włosy, ich dotyk budził w niej obrzydzenie.

To były włosy Urszuli.

Wyprostowała palce i włosy opadły na białą pościel. Lśniły jaskrawo na pomiętych prześcieradłach.

Drżącymi rękami zebrała swoje ubrania. W pokoju było zimno jak w psiarni. Szlafrok Damiena leżał na krześle.

Okryła się nim. Ubrała się Przy kominku, myśląc jedynie o jednym: uciec z tego okropnego pokoju i od swych jeszcze okropniej szych myśli.

Zegar wybił siódmą i uświadomiła sobie, że będzie się musiała zakraść do swojej sypialni. Mary dostanie hysterii, jeśli jej nie zastanie w pokoju. Nie wiedziała, jak uda jej się przeżyć kolejne spotkanie z Damienem. W głowie Aleksandry kłębiło się tyle pytań. Jak będzie mogła spojrzeć mu w oczy i słuchać jego wyjaśnień?

Ubrała się i wyszła z sypialni. Na szczęście w holu ani na korytarzach nie spotkała nikogo. Weszła do swojego pokoju i z dziwnym poczuciem winy zmięła nietkniętą pościel na łóżku. Wczorajsza kolacja stała wystygła przed kominkiem, na którym zgasł ogień. Na ten widok ogarnęły ją mdłości. Spojrzała w lustro stojące na komodzie i doznała wstrząsu. Stanik miała krzywo zapięty, spoglądała na nią blada twarz, zdenerwowana, okolona burzą rozwianych, potarganych, kasztanowatych włosów. Wyglądała jak szalona.

Odwróciła się od tej okropnej istoty w lustrze. Może rzeczywiście odebrało jej rozum.

Czując się słabo i bliska mdłości, rozebrała się i zaczęła rozczesywać włosy. W swoim szlafroku, schowawszy szlafrok Damiena do komody, opadła na fotel i tępo rozmyślała o ostatniej nocy.

Policzki ją paliły na samo wspomnienie. Zawsze uważała się za osobę niezwykle rozsądną i opanowaną, tak samo oceniali ją wszyscy, którzy ją znali. Ostatnia noc zniszczyła ten obraz. Zapomniała o tym, kim była, i wszystko oddała Damienowi. Uważała, że wystarczającym usprawiedliwieniem jej kroku jest to, że kocha Newella, że jest mu potrzebna. Teraz, w ostrym świetle poranka, kiedy znalazła te dwa rude włosy w jego łóżku, nagle wszystko zobaczyła zupełnie inaczej.

Mary wpadła do pokoju.

- Dzień dobry! - powiedziała, podchodząc do kominka, by postawić tacę ze śniadaniem.

- Dzień dobry - odparła Aleksandra, zastanawiając się, czy zdradza ją twarz.

- Jeszcze jeden śliczny dzień. W sam raz na wycieczkę do Yorku.

Aleksandra, zrozpaczona, zamknęła oczy. Na śmierć zapomniała o wyjeździe. Położyła bolącą głowę na oparciu fotela. Zastanawiała się, jak to zniesie. To będzie coś straszego widzieć Damiena w powozie, być z nim i nie móc z nim porozmawiać. Przez cały dzień, z uwagi na innych, będą musieli zachowywać pozory. To będzie męczarnia.

Szczególnie kiedy ostatniej nocy tak zlekceważyli dystans, jaki ich dzielił. Szczególnie że w jego łóżku były dwa rude włosy, a ona rozpaczliwie potrzebowała jakiegoś racjonalnego wytłumaczenia, skąd się tam wzięły.

A takie nie istniało.

Mary podeszła do szafy i wyciągnęła suknię Aleksandry. Potem wzięła jej czarny płaszcz i powiedziała:

- Zaniosę go Featherstone'owi, żeby go porządnie wyczyścił szczotką. Myślę, że ci się dziś przyda, przynajmniej wieczorem, w drodze powrotnej.

- Masz rację. Dziękuję - powiedziała z roztargnieniem Aleksandra. W głowie wciąż się jej kręciło.

Przewiesiwszy czarny płaszcz przez ramię, Mary wzięła tacę z kolacją. Była zdumiona, że potrawy są nietknięte, ale nie powiedziała ani słowa. Jednak zbliżywszy się do drzwi, na chwilę przystanąła i spojrzała na Aleksandrę.

- Jego lordowska mość też wczoraj nie zszedł na kolację.

Aleksandra poczuła, że krew uderza jej do twarzy. Nie wiedziała, co powiedzieć. Myślała gorączkowo, szukając jakiegoś wytłumaczenia.

- Byliśmy... na dole... w katakumbach. Zabłądziliśmy, ale Damien odnalazł drogę powrotną. -
Spojrzała na Mary, nie potrafiąc ukryć dręczącej ją niepewności. Nie wiedziała, jak sobie poradzić z tym, co się stało ostatniej nocy, a sytuację pogarszał jeszcze fakt, że ktoś mógłby się czegoś domyślić.

- Wszystko będzie dobrze, Aleksandro. Zapamiętaj jedno: cokolwiek się wydarzy, zawsze możesz liczyć na mnie. -

Po tym pozornie tajemniczym wyznaniu Mary skinęła głową i wyszła.

Aleksandra nigdy nie była jej bardziej wdzięczna.

*

Powóz kołysał się i turkotał na wyboistej drodze prowadzącej przez wrzosowisko.

Damien siedział naprzeciw niej, jego twarz wyprana była z wszelkich emocji. Malował się na niej wyraz obojętnej grzeczności. Samuel zachowywał się jak małe dziecko na pierwszym spacerze. Patrzył na mijany krajobraz, jakby niczego nie chciał przeoczyć. A Aleksandra siedziała naprzeciwko nich, z każdą chwilą pograżając się w coraz więk-szej rozpacz.

Upadłej kobiecie niewiele pozostawało poza milczeniem.

Spoglądała ukradkiem na Damiena, ciekawa, czy ma równie ponure myśli jak ona. Gdyby okoliczności były inne, gdyby byli sami w powozie, wzięłaby go za rękę, przytknęłaby ją do swego policzka i spytałaby, co miały znaczyć te dwa rude włosy. Mógł nic o nich nie wiedzieć, ale trudno jej było w to uwierzyć, kiedy patrząc na jego beznamiętną twarz, Przypominała sobie szaleństwo Urszuli.

Na myśl o przyszłości ogarniała ją rozpacz. Ostatniej nocy pozwolili sobie na coś, co miało poważne konsekwencje, i przynajmniej jeśli o nią chodzi, nie była już taka jak dawniej. Nagle przyszła jej do głowy okropna myśl, że może nawet nosi w swym łonie jego dziecko.

Pograżyła się w czarnej rozpacz. Żądać, by Damien się z nią ożenił, było zupełnym niepodobieństwem. Nie spełniał

niczyich żądań, a już na pewno nie kogoś, kogo zatrudniał. Zresztą czy pragnęła poślubić tego mężczyznę? Kochała go, ale czy go lubiła?

Wiedziała, że mogłaby go polubić, gdyby się uwolnił od upiorów, które nie dawały mu spokoju. Pod pewnymi względami jego psychika poniosła jeszcze większy uszczerbek od psychiki Samuela. Tak uważała pani Penrith i próbowała ją ostrzec przed Newellem.

Ale teraz Aleksandra nie miała odwrotu. Upewniała się w tym za każdym razem, kiedy ich spojrzenia się spotykały w ciasnym powozie. Już nigdy nie będzie dziewicą i nigdy go nie zapomni, nawet jeśli zrobi to, co teraz uważała za najlepsze dla siebie rozwiązanie i wyjedzie z Cairncross. Zawsze będzie ją prześladował.

- Wygląda pani na zmęczoną, panno Benjamin. Może zachowaliśmy się samolubnie, zabierając panią na tę wycieczkę. - Newell jak gdyby nigdy nic oparł się o skórzane oparcie, ale spojrzał na nią tak, że aż ją zatkało.

- Ostatnio niezbyt dobrze sypiam, milordzie - odparła, dumna, że udało jej się ukryć napięcie. - I obawiam się, że nie będę mogła spać, póki nie wyjaśni się tajemnica panny Pole.

- Wpływ Urszuli maleje, kiedy rozmawiamy, moja droga.

Ostatnie dwa słowa wypowiedział szeptem jak modlitwę. Spojrzała na Sama, by się zorientować, czy usłyszał. Nie.

Wciąż wyglądał przez okno, zachwycając się widokami.

Znów spojrzała na Newella. Jego wzrok sprawiał, że serce zamierało jej w piersiach. I cierpiała niewysłowione katusze, nie mogąc z nim rozmawiać, dotknąć go.

- Chciałabym, żeby to była prawda - odparła tonem niemal błagalnym - ale boję się, jak większość grzeszników, że zło jest zbyt wielką siłą, żeby mu się przeciwstawić. Tyle obiecuje. Tylko nieliczni potrafią się mu oprzeć. - Znów pożałowała, że nie są sami. Chciała mu się rzucić w ramiona i błagać o wyjaśnienie, skąd w jego łóżku wzięły się rude włosy.

- Niewinność proponuje coś bardziej zwodniczego - odpowiedział, nawet nie mrugnawszy powieką.

- Ma pan na myśli dobroć, milordzie?

- Tak. Dobroć - szepnął. - Wszystko, co jest tobą i tylko tobą, panno Benjamin.

Spojrzała na niego i poczuła, że jej duszę zalewa fala ciepła, jak nigdy wcześniej. Było to coś lekkiego, pięknego i słodkiego, wszystko w jednym, nieopisanym, nigdy wcześniej niedoznanym uczuciu. I kiedy patrzyła na niego i widziała przelotne spojrzenia człowieka, jakim wiedziała, że mógł być, dwa rude włosy przestawały się liczyć. Czy Urszula była duchem, czy wariatką, też przestało być ważne. Dla Aleksandry liczyło się tylko jedno: że była beznadziejnie, po wsze czasy zakochana w tym człowieku, i że będzie czekała na jego zbawienie, nawet gdyby musiała czekać wiecznie.

- Yoruk! Yoruk! - wykrzyknął nagle Sam, wskazując wieże katedry wyłaniające się wśród wrzosowisk jak feniks z popiołu.

Aleksandra przysunęła się do okna, by obserwować wjazd do otoczonego murami miasta. Udzieliło się jej podniecenie Sama. Nagle wsunęła dłonie w jego ręce i powiedziała coś, co było przeznaczone głównie dla uszu jego brata:

- Wierzę, że dziś będzie najpiękniejszy dzień w naszym życiu.

*

Aleksandra pamiętała katedrę jak starego przyjaciela. Tym razem obejrzała wszystko ze szczytu środkowej wieży, wiatr rozwiewał jej włosy, schowane pod czarnym jedwabnym czepkiem, kiedy trzymali się za ręce z Samem i upajali wysublimowaną wspaniałością wrzosowisk i pobliskich Gór Pennińskich.

Napili się herbaty w małej herbaciarni na tyłach Shambles. Pochylali głowy, idąc pod potężnymi półtuszami wiszącymi w jatkach na wolnym powietrzu. Spacerowali wąziutkimi średniowiecznymi uliczkami. Domy z muru pruskiego stały tak blisko siebie, że podobno można było ucisnąć przez okno rękę sąsiada z naprzeciwka.

Kiedy się pokrzepili, Damien wziął ją pod rękę i zaprowadził do muzeum mieszczącego się na tyłach rozsypującego się, siedemnastowiecznego budynku przy Marygate. Hinchcliffe, jak nazywali je miejscowi, specjalizowało się w przedmiotach z okresu neolitu.

Aleksandra nigdy nie widziała czegoś równie fascynującego. Przewodnik, stary, ekscentryczny Hinchcliffe we własnej osobie, wyjaśnił różnicę pomiędzy kamiennymi kręgami i długimi kurhanami z czasów neolitu, a potem pokazał gościom swój najcenniejszy eksponat: mury zrobione z wielkich bloków kredy, znalezione w East Riding. Z

detalami opisał szczątki trzech osób, na jakie natrafił: mężczyzny, pochowanego w wydrążonym pniu drzewa, którego kora była nietknięta, a także kobiety, która miała na szyi naszyjnik z bursztynu, i młodego chłopca obejmującego szarego lisa, jak przypuszczano - jego ulubieńca. Ale najdziwniejsze było to, że zwłoki pozbawiono głów. Hinchcliffe nie wiedział, czy miało to jakieś znaczenie religijne w kulturze neolitu, czy też cała trójka została stracona.

Po południu zrobiło się prawie ciepło i Aleksandra z przyjemnością siedziała w niewielkim parku obok ruin wieży Clifford, gdzie Sam oglądał przedstawienie dla dzieci w wykonaniu wędrownej trupy. Damien siedział obok niej na ławce. Nawet nie wiedziała, że położył rękę na oparciu i muskał włoski na jej karku.

- To był niezwykły dzień. Sądzę, że powinniśmy częściej urządzać takie wycieczki - stwierdziła, patrząc, jak Samowi zaświeciły się oczy, kiedy jeden z pierrotów zrobił fikołka.

- Był najwyższy czas uciec z Cairncross - odparł. Jego twarz rozjaśniał lekki uśmiech.

- Gdyby można było stamtąd uciec na zawsze. - Nie patrzyła na niego. Zbyt wiele chciała. A wszystko to były rojenia.

- Chcę, żebyś dziś w nocy znowu została ze mną - powiedział cichym głosem.

Spoglądała na park, leszczyny i dęby przybrały złote barwy jesieni.

- To, co się wydarzyło ostatniej nocy, to coś wyjątkowego. Musisz zrozumieć, że nie należę do kobiet...

- Wiem, jaką jesteś kobietą. Miałem na sobie twoją dziewiczą krew. Ale nie mówimy teraz o moralności, mówimy o nas.

- Więc porozmawiajmy o nas. - Odwróciła się do niego i zobaczyła napięcie na jego twarzy. Prawdopodobnie jej twarz miała taki sam wyraz. - Kiedy się obudziłam dziś rano, znalazłam na prześcieradle dwa długie rude włosy. Była w twoim łóżku, Damienie, i nie wiem, co gorsze: czy była w łóżku z tobą, czy bez ciebie.

Serce w niej zamarło. Zdawał się zaniepokojony tym, ale nie zdziwiony. Patrzyła na niego, w milczeniu czekając na wytłumaczenie, na powód jego niezaspokojonego głodu okropności. Na jego przyznanie się. Ale nie ujrzała nic takiego. Dokładnie wiedział, co się działo z Urszulą Pole, ale nie zamierzał jej tego powiedzieć.

Nagle poczuła, że ma tego dość. Nie mogła tego dłużej znosić. Tego mówienia zagadkami, metafor, tej skrytości.

Może gdyby nie otworzyła się przed nim ostatniej nocy i nie oddała mu się całym sercem i ciałem, stać by ją było na obojętność. Ale nie mogła dłużej udawać.

- Muszę wiedzieć, co się dzieje w Cairncross. Muszę wiedzieć wszystko.

Potań nos pod oprawką okularów.

- Wiesz wszystko. Urszula Pole nie żyje. Samuel był ostatnią osobą, która widziała ją żywą. Jeśli potrafisz go skłonić do mówienia o tym, możemy się dowiedzieć, co się z nią stało.

- Jeśli nie żyje, to skąd się wzięły te włosy w twoim łóżku?

- W Cairncross poza mieszkającym tam duchem są jeszcze inne rudowłose dziewczuchy.

Patrzyła na niego, a zaskoczenie ustąpiło miejsca gniewowi. Początkowo nie była pewna, co miał na myśli, ale nagle wszystko stało się jasne. Poczula się zhańbiona.

Wstała, chcąc odejść. Była jak sparaliżowana, postanowiła z nim nie rozmawiać, nawet na niego nie patrzeć. Zrobiła krok, ale zaraz poczuła na swym ramieniu jego rękę.

- Jeśli myślałaś, że jestem tak cnotliwy jak ty, to się myliłaś.

- Ale nie ze służącymi - syknęła, do oczu wbrew jej woli napłynęły łzy.

- To nie ma żadnego znaczenia. Zapomnij o tym, co widziałaś w łóżku. To niczego nie zmienia.

Wyrwała mu się i spojrzała na niego.

- Prosisz mnie, żebym przyszła do ciebie dziś w nocy, ale nie jestem dziewczką służebną ani pomywaczką. Jestem kobietą, która ma pieniądze i może cię oskarżyć o niedotrzymanie obietnicy.

Roześmiał się. To był dawny Damien. Okropny człowiek.

- „Niedotrzymanie obietnicy”. Czasem zachowuje się pani zbyt staromodnie, panno Benjamin.

Ruszyła przez park w stronę wieży, oczy miała błyszczące od łez. Cokolwiek skłoniło ją do zrobienia takiego głupstwa, jakie popełniła ostatniej nocy, teraz przestało mieć znaczenie. Newellowi nie zależało na niej; nie docenił jej mi-

łości. Był bez serca, tak jak to mówił tysiące razy. Okazała się głupia. Drugi raz w życiu. Usłyszała za sobą jego głos.

- Czego się spodziewałaś?

- Nie tego - powiedziała, przyspieszając kroku. Była kilka kroków od wieży.

- Uwierzyłabyś mi, gdybym ci powiedział, że nic nie wiedziałem o tych rudych włosach w moim łóżku? Czy wtedy wszystko byłoby w porządku?

- Okłamałbyś mnie. - Łzy w każdej chwili mogły jej trysnąć z oczu. - Poznałabym to po twym głosie.

- Myślałem o tym, żeby cię zmienić. - Złapał ją za rękę i szarpnął gwałtownie. Znalazła się twarzą do niego. -

Ostatniej nocy postanowiłem być samolubny i zrobić to, ale teraz... - Umilkł, patrząc na nią.

Spojrzała na niego buntowniczo, łzy nie śmiały spaść jej z rzęs.

- A teraz? - spytała.

Wróciła mu złość.

- Ale teraz, jeśli masz zostać w Cairncross, może lepiej będzie, jak się staniesz podobna do nas.

Wyrwała rękę i poszła w stronę ruin, które kiedyś były wieżą zbudowaną na miejscu zamku w York. Pomyślała, że zapewne teraz Damien wróci do Sama, który wciąż z zachwytem oglądał sztuczki i akrobacje pierrotów. Ale podszedł

do niej.

Nie dotykając jej powiedział:

- Wiesz, Aleksandro, że stu pięćdziesięciu twoich krajan zginęło na tym miejscu? Nie czujesz, jak wołają do ciebie ich dusze? Przybyli do tego zamku w 1190 roku, by szukać schronienia przed antysemitami. Wszyscy zginęli w 98

płomieniach, wszyscy z nich... niewierni żydzi - szepnął.

Odwróciła się. Nieoczekiwanie uniosła rękę i wymierzyła Newellowi policzek. Dłoń Aleksandry zostawiła czerwony ślad na jego twarzy. Zdusiła szloch i uciekłaby, gdyby nie ujął jej za rękę i nie zmusił do pójścia z sobą.

- Myślę, że pora wracać do zamku - rzekł, zmuszając ją prawie do biegu. Tylko raz na nią spojrzął. Pocierając twarz w miejscu, gdzie go uderzyła, z oczami przesłoniętymi szklami okularów, mruknął:
- Nie bój się, jeszcze możesz zostać jedną z nas.

Wolną ręką otarła łzy. Damien przyprowadził Sama, a woźnica usadowił ich wszystkich w czekającym powozie.

Jechali z powrotem do Cairncross w całkowitym milczeniu, nie licząc Sama, który wyczuwając napiętą atmosferę, powtarzał w kółko strofę: „Kim jestem ja, tym ty masz być. Więc weź mą dłoń i ze mną idź”.

Te słowa, które pozostawiły osad chłodu na całym dniu.

Aleksandra na lata miała zapamiętać tę wyprawę do Yorku. Długo rozmyślała o radości, jaką ogarnęła, kiedy wzię-

ła Damiena pod rękę, by zejść po dwustu siedemdziesięciu pięciu stopniach katedralnej wieży. Nigdy nie zapomniała beztronskiego śmiechu kobiety- pierrota, która wręczyła Samowi papierowy kwiat, a Sam naiwnie go wachał.

I nigdy nie przestała się zastanawiać, jak szybko zostało zniweczone wszystko, co sobie obiecywała po tym dniu.

24

Pozwól mi mniemać, że nie masz tak złego wyobrażenia

o naszym narodzie, jak ogół twoich rodaków. Czy myślisz,

że bardziej cenię te błyszczące kamyczki od mej wolności?

Lub że mój ojciec stawia je na równi z honorem swego dziecka?

Rebeka w *Ivanhoe*

Mimo odczuwanego znużenia Aleksandra lękała się usnąć w powozie, gdy wracali do zamku. Posępna twarz Damiena sprawiała, że trzymała się na baczności, jednak jeszcze gorsze były rozmyślenia o nocnych koszmarach, o złowrogich duchach czających się w mrocznych korytarzach.

Podczas całej uciążliwej podróży do Cairncross miała oczy szeroko otwarte. Napięcie było jak naprężona lina, która w każdej chwili mogła pęknąć. Aleksandra nie umiała ocenić, jak długo jeszcze to wytrzyma. Teraz, kiedy w końcu przestała cierpieć z powodu Briana, zaczęła się zastanawiać nad powrotem do Londynu.

Po co jednak miała wracać do Londynu i swego dawnego życia, skoro nie było nikogo, kto by ukoił jej zranioną przez Damiena duszę?

Za każdym razem, kiedy tylko pomyślała o ostatniej nocy, jej oczy napełniały się łzami. Była z nim zbyt blisko, zbyt intymnie, by móc o tym zapomnieć. Rany, które zadał jej Brian, przypominały draśnięcia w porównaniu z bólem, jaki jej sercu sprawił Damien.

Kiedy dotarli już do zamku, cichym głosem życzyła obydwu mężczyznom dobrej nocy i odeszła, zostawiając ich w wielkim westybulu. Mary zatroszczyła się o nią. Na kominku w swym pokoju ujrzała imbryk z herbatą, a obok fotela tacę maślanych bułeczek nakrytych białą lnianą ściereczką. Aleksandra zastanawiała się, czy coś zjeść, lecz nie odczuwała głodu. Właściwie była tylko znużona i niespokojna. Rozebrała się i włożyła szlafrok, potem przypomniała sobie o męskim szlafroku w komodzie.

Otworzyła szufladę i pogłaskała gładki, aksamitny kołnierz. Przybliżyła twarz i głęboko wciągnęła dobrze znany zapach. Był to trudny do określenia zapach jednego, jedyne go mężczyzny, ale natychmiast rozpoznawalny. Zapach Damiena. Nie do opisan ia słowami, podobnie jak woń pajęczyn i aksamitu.

Składała i rozkładała szlafrok, nie wiedząc, w jaki sposób go zwrócić Newellowi. Mary układając w komodzie, zabierając brudną bieliznę, w końcu go znajdzie. Trzeba go odnieść, być może nawet dziś wieczorem.

Jednak nie chciała tego robić. Byłaby całkiem bezbronna, gdyby po północy zapukała do jego drzwi.

Może powinnam porwać szlafrok na strzepy i spalić w kominku, myślała z goryczą. Z pewnością stać go na drugi.

Gdy tak rozważała, rozległo się pukanie. Nie wiedząc, kto może jej składać wizytę o tak późnej porze, otworzyła drzwi i ujrzała na progu Sama. Miał smutną minę.

- Samuelu, proszę, wejdz. Dlaczego jeszcze nie śpisz?

- Dam'en zły - powiedział, lekko marszcząc czoło.

- Tak, ale jest zły na mnie, nie na ciebie. Chodź, napij się herbaty. Spróbuję ci to wytłumaczyć.

Otworzyła szerzej drzwi, by mógł wejść. Posadziła go w fotelu obok kominka i naląa herbatę do dwóch filiżanek.

Gdy patrzyła na nieszczęśliwą minę Sama, ogarniało ją jakieś trudne do nazwania uczucie.

- Czy wydarzyło się jeszcze coś, Samuelu? Wyglądasz... wyglądasz dziwnie. - Podała mu filiżankę parującego napoju.

- Była zła i przez nią Dam'en wyjechał. - Spojrzenie Sama padło na kufer, najwyraźniej czuł do niego wstręt.

Aleksandra usiadła na stołeczku i całą uwagę skupiła na Samuelu.

- Mówisz o panie Pole? - spytała cicho.

- Była zła, a teraz ty jesteś zła. - Przeniósł wzrok na nią.

99

- Rozumiem. - Delikatnie położyła mu rękę na dłoni, którą trzymał na kolanie. - Samuelu, boisz się, że jeśli ja się rozgniewam, Damien wyjedzie przeze mnie?

Wielka, czysta łza stoczyła się po jego policzku.

- Tak - rzekł, starając się zapanować nad sobą,

- Nie zrobię tego, Samuelu. Nie mogłabym. Musisz mi uwierzyć - zapewniła go pospiesznie. - Nigdy nie zrobię nic, by cię rozdzielić z bratem. Kocham cię. Wiesz o tym, Samie?

- Przez nią wyjechał Dam'en - powiedział, pociągając nosem i znów spoglądając na nienawistny kufer Urszuli. -

Więc zmusiłem żeby się stąd wyniosła.

Aleksandra zastygła w bezruchu. Wpatrywała się w Sama, nie mogąc uwierzyć, że nigdy się tego nie domyślili.

- Ty ją do tego zmusiłeś, Samuelu? Dokąd kazałeś jej odejść? - Wykrztusiła nerwowym, piskliwym głosem.

- Po prostu kazałem jej stąd odejść. - Wzruszył ramionami.

Z jego tępej twarzy nie mogła wyczytać, czy coś ukrywa, czy też nie jest w stanie ogarnąć szczegółów tego wydarzenia.

- Samuelu, czy powiedziałeś o tym Damienowi? - szepnęła, chwytając go za rękę, by dodać otuchy i jemu, i sobie.

- Nie.

- Jeśli powiemy o tym Damienowi, pokażesz mu, co zrobiłeś, żeby

panna Pole stąd znikła? - Mocniej ścisnęła jego dłoń, starając się uśmiechać.

- Nie pamiętam wszystkiego. Boję się.

- Wiem, Samuelu, wiem. - Omal się nie rozplakała na myśl, że w końcu rozwikłają zagadkę zniknięcia Urszuli Pole i poznają powód, dlaczego Sam przestał mówić. Nie mogła wprost uwierzyć,

że nikt nigdy nie skojarzył tego, co teraz wydawało się tak oczywiste.

- Pójdziemy i pokażemy to Damienowi jeszcze dziś wieczorem? - spytała w nadziei, że zdoła wykorzystać chwilę, ten przebłysk świadomości.

- Jestem zmęczony - oświadczył, wstając nieoczekiwanie.

Też wstała i puściła jego rękę.

- Dobrze w takim razie - powiedziała tak lekkim i miłym tonem, na jaki tylko mogła się zdobyć. - Zawsze możemy o tym porozmawiać rano. Teraz prześpij się trochę. Spotkamy się z Damienem rano i wtedy pokażesz nam, w jaki sposób sprawiłeś, żeby panna Pole znikła stąd.

- Gniewasz się na Dam'ena?

Serce jej waliło w piersiach. Ten wielki, łagodny olbrzym mógł zabić tamtą guwernantkę, więc przede wszystkim musiała go uspokoić.

Ale kłamstwo nie było rozwiązaniem. Nawet istoty tak opóźnione w rozwoju jak Samuel, dostrzegały, co czują ludzie. Dlatego postanowiła mu powiedzieć prawdę.

- Widzisz, Samuelu, czasem można się na kogoś gniewać, ale nadal go kochać. Pamiętasz, kiedy byliśmy na dole w katakumbach i podeszłam zbyt blisko wielkich drzwi? Wtedy byłeś na mnie zły, prawda? Bałeś się, że wejdę do grobowca i zabłądzę, i już nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Pamiętasz?

Skinął głową.

- A pamiętasz, co czułeś? Byłeś na mnie zły, że napędziłam ci stracha, prawda?

Znów skinął głową.

- Ale nie przestałeś mnie kochać, prawda? Chociaż cię rozgniewałam.

- Kochasz Dam'ena? Nawet gdy się na niego gniewasz? - Uśmiechnął się.

- Chyba tak - wyznała, co sprawiło, że poczuła radość i strach. - A więc widzisz, kiedy ktoś cię rozgniewa, nie trzeba mu robić krzywdy.

- Ale ja jej nie kocham - powiedział, znów marszcząc czoło. - Nienawidzę jej. Damien też jej nienawidzi.

- Była okropną kobietą.

- Tak - powiedział jak stary, mądry człowiek.

Otworzyła drzwi i życząc Samuelowi dobrej nocy, pocałowała go w policzek. Zamknąwszy za nim

drzwi, zaczęła się w panice ubierać. Koniecznie musi się zobaczyć z Damienem. Jeszcze dziś wieczorem.

To wszystko wydaje się logiczne, myślała, zapinając gorset. Rude włosy i ślady zadrapań na drzwiach do katakumb zostawione po drugiej stronie upewniły ją, że Sam w jakiś sposób zwabił Urszulę do labiryntu. W jego prostym umyśle był to idealny sposób, by się jej pozbyć.

Poczuła zimne ciarki na plecach, kiedy przypomniała sobie uwagi lady Bess rzucone wczoraj w ogrodzie. Krzyk. To krzyczała Urszula, kiedy próbowała się wydostać z pułapki, w której znalazła się przez Sama.

Ale nie rozumiał, że może ją zabić. Aleksandra gotowa była założyć się o własne życie, że Sam nie zdawał sobie sprawy z tragedii, do której się przyczynił. Ponieważ Urszula nie wróciła po swoje rzeczy, w swoim dziecinnym 100

umyśle wytłumaczył sobie, że po prostu wyjechała. Nigdy nie pojął, że ją zamordował.

- Och, Sam, kochany Sam - szeptała, pospiesznie wkładając suknię przez głowę. Zastanawiała się, czy ten postępek wywoływał w nim poczucie winy bądź wyrzuty sumienia. Gdyby w końcu znaleziono ciało Urszuli, trudno byłoby przewidzieć jego reakcję. Mógł to być bodziec, który pozwoliłby mu wszystko zrozumieć i zmienić się na lepsze. Ale równie dobrze mógł doznać takiego wstrząsu, że stałby się niebezpieczny.

Dygotała, wsuwając stopy w pantofle i przewiązując włosy brązową aksamitką. Musi natychmiast pójść do Damiena i powiedzieć mu o wszystkim. Życie Sama, jej życie mogło być zagrożone.

*

Kiedy Aleksandra w końcu znalazła się pod drzwiami do sypialni Damiena, dostrzegła przez szparę światło.

Zapukała, ale nikt nie odpowiedział. Zapukała raz jeszcze, drzwi trochę się uchylły. Nie były zamknięte na zasuwkę.

Zajrzała do pokoju. Damien siedział przed kominkiem, położył głowę na oparciu fotela, wydawał się niezwykle znużony.

- Milordzie? - szepnęła, wślizgując się do pokoju.

Spojrzał na nią przez ramię. Oczy mu się zaświeciły na widok jej rozpuszczonych włosów. Od progu widziała rozpiętą koszulę, włoski na piersiach lśniące w blasku lampy. Widać się spocił, siedząc tak blisko ognia.

Podeszła do niego bliżej. Ciarki przeszły jej po plecach z przerażenia, gdy ujrzała, co trzymał na kolanach. Jego palce ścisnęły rękojeść pistoletu inkrustowaną macicą perłową.

- Milordzie - rzekła cichym głosem. - Proszę mi powiedzieć, po co panu ta broń?

Spojrzał na nią. Okulary leżały na stoliku obok. Nie mogła oderwać wzroku od jego pięknych oczu.

- Na nic się nie przyda - powiedziała, starając się mówić cicho i łagodnie. - Jeśli ona jest duchem, nie można jej zabić. A jeśli jest kobietą szaloną, byłoby to okrucieństwem.

Wsunęła dłonie w jego ręce.

- A... a jeśli myślałeś, by zwrócić ją przeciw sobie, nie wolno ci tego zrobić, ponieważ... - Jej oczy wypełniły się łzami. Ból dławiał słowa. - Ponieważ cię kocham i nie mogę dopuścić, byś rozstał się z tym światem.

Utkwił w niej chciwe spojrzenie. Milczał, zastygł w bezruchu, chłonąc wzrokiem jej postać, jakby w ten sposób zaspokajał jakiś tajemniczy głód.

- Damienie - szepnęła, pochylając się ku niemu. - Co się stało?

Nagle gwałtownie przyciągnął ją do siebie. Odłożył pistolet na stół, obok okularów i obejmując jej twarz obydwiema dłońmi, zbliżył usta do jej ust. Była tak wstrząśnięta, że nie zdążyła go powstrzymać.

Jęknęła tylko, próbując mu się wyrwać, ale trzymał jej głowę mocno jak w imadle.

Pocałował ją za uchem, a potem musnął ustami jej szyję. Jego język sprawiał, że w jej żyłach zaczęła gwałtownie pulsować krew.

- Co się dzieje, Damienie? Czego ode mnie potrzebujesz? - załkała, kiedy ukrył twarz w jej włosach.

- Pamiętaj... wczoraj... - odparł jedynie.

Zadrżała.

- Przecież zawróciłeś. Nie jesteś gotów umrzeć i nie skrzywdzisz mnie. Zależy ci na mnie. Powiedz to, powiedz -

zażądała. Ból, który jej zadał, sprawił, że nagle do oczu napłynęły jej łzy.

- Tak, zależy mi na tobie. Twoja dobroć, twoja natura intryguje mnie i pociąga. Chcę, żebyś była ze mną. - Spojrzał

na nią, oczy płonęły mu pożądaniem. - Sprawię, że będziesz ze mną.

- Nie, Damienie - szepnęła. - To nie jest miłość.

- Ale miłość to wieczność.

Z przerażeniem patrzyła, jak znów ujmuje broń.

- Najdroższy, nie możesz tego zrobić.

Zaschło jej w gardle. Zdrętwiała ze strachu. Ale nie czuła do niego nienawiści. Zbyt dobrze go rozumiała, by go nienawidzić. I zbyt mocno kochała. Była to miłość, o jakiej wcześniej nie wiedziała, o której nigdy nawet nie czytała.

Kochała go duszą i ciałem, kochała go nad życie, ta miłość była silniejsza od śmierci. Nie wolno jej się bać.

- Damienie - szepnęła, kładąc na jego policzku drżącą dłoń. - Możemy odszukać Urszulę Pole, teraz to wiem. Mogę nauczyć Sama mówić i pokonać strach.

- Ale co dasz mnie?

Ujęła jego twarz w obie dłonie i powiedziała:

- Będę cię kochała. Już cię Kocham. Tylko tego potrzebujesz.

Przestał ścisnąć broń. Wolno przycisnęła usta do jego warg. Jej pocałunek powiedział mu to, czego nie wyraziła słowami. Obiecywał wieczność, ale również życie. Kiedy wypuścił z ręki pistolet, ujęła jego dłoń i przycisnęła do swej piersi, tam gdzie biło jej serce.

- A więc naucz mnie. Naucz mnie - powiedział.

101

Wstał i zaprowadził ją do łóżka.

25

Jeśli szlachetny dźwięk najczulszych słów

Nie zdoła duszy natchnąć łaskawością,

Będę w zalotach jak żołnierz - i miłość

Przeciw naturze narzucę ci gwałtem.

Dwaj panowie z Werony

Blask igrał na ścianach, przybierając postać diabełków rosnących i kurczących się w mroku wiecznego potępienia.

Aleksandra nie mogła zasnąć. Dręczyła się tym, co zrobili. Nie powinna była zapominać o potrzebach innych. To były trudne problemy, ona zaś okazała się taka słaba i żałosna, w tej chwili miała wrażenie, że ją przerastają.

Poczuła na włosach dotyk Damiena. Głaskała go z miłością. Zwróciła oczy ku leżącemu obok mężczyźnie. Jedną ręką gładził ją po głowie, drugą położył na jej nagim biodrze.

- Co zaprzęta twoje myśli? - szepnął. Jego głos był spokojny jak nigdy dotąd, spokój malował się w jego spojrzeniu.

- Tak wiele - odrzekła, tuląc się mocniej do jego piersi. - Dziś wieczorem chciałam się zobaczyć z tobą z powodu Sama. Przyszedł do mnie i mówił mi niezwykle rzeczy.

- Na przykład?

- Mam powód, żeby przypuszczać, że to Sam spowodował zniknięcie Urszuli. Winił ją za twoje odejście z domu. -

Ich spojrzenia się spotkały. Pieszczotliwie pogładziła jego policzek. - W jego oczach ona stała się przyczyną twego wyjazdu. Wyznał, że zmusił ją, by stąd znikła.

Pocałował dłoń Aleksandry.

- Domyślałem się tego.

- Dał mi do zrozumienia, że zamknął ją w katakumbach. Te rude włosy mogły być jej, ona też mogła zostawić ślady zadrapań na ścianie. Jeśli nie żyje, musimy odszukać jej zwłoki i wykluczyć ewentualność, że postać, którą widzimy, to wariatka, która tu wróciła, by szukać zemsty za to, co ją spotkało.

- Ona nie żyje, moja droga. Ona nie żyje.

Słowa Damiena przejęły ją dreszczem. Przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

- Ale nie znalazłeś jej zwłok. Nie wiesz, co się dokładnie wydarzyło. A tego musimy się dowiedzieć. Boję się, że chwilami Sam myli nas obie. Przyszedł do mnie dziś wieczorem z powodu naszej sprzeczki. Boję się, że pomyślał, iż ja mogę sprawić, byś wyjechał, i wtedy musiałby mi coś zrobić. Nie chce mnie skrzywdzić, wiem o tym, ale ma taki zamęt w głowie i tak się boi...

- Przez jakiś czas trzymaj się od niego z dala.

- Myślisz, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo? Tak mi na nim zależy. Nie chcę go skrzywdzić. Zachowam ostrożność, ale nie mogę dopuścić, by uznał, że go odtrąciłam. - Ta myśl sprawiła jej ból. Samuel tak rozpaczliwie jej potrzebował. Nie chciała odsuwać się od niego.

- Porozmawiam z nim. - Rysy Damiena stwardniały. Włożył okulary i zaczął szukać spodni. - Pora, żebyśmy to wyjaśnili. Sam pokaże mi, gdzie ją ukrył.

- Przypuszczamy, że ją zabił, ale może wcale tak nie było - powiedziała błagalnie. - Mógł ją po prostu zamknąć w katakumbach. To wydaje się mieć pewien sens. Postać w holu i tam na wrzosowiskach, wszystkie te ponure sztuczki -

to pomysły kobiety niezrównoważonej. Jeśli Urszula wy dostała się z labiryntu, mogła wrócić tu, chcąc dokonać jakiejś straszliwej zemsty.

- Zapominasz o jednym, Aleksandro. - Pochylił się i złożył na jej ustach słodki, gorący pocałunek.

- O czym? - szepnęła.

- To, co ją spotkało w katakumbach, nie mogło z niej uczynić osoby niezrównoważonej. Była niezrównoważona jeszcze przed przyjazdem do Cairncross.

Aleksandra patrzyła, jak Damien wkłada spodnie. W swej dziewiczej skromności nigdy wcześniej mu się nie przyglądała, teraz jednak zastanawiała się, czy na jego przyrodzeniu pozostał ślad ukąszenia.

Urszula Pole była osobą niezrównoważoną, zanim pojawiła się w Cairncross.

Krew i sperma.

Aleksandra musiała się z tym zgodzić.

*

Aleksandra wślizgnęła się do swojego pokoju. Do świtu została jeszcze godzina lub dwie. Nagle poczuła zmęczenie.

Zapewne wywołały je wydarzenia ostatnich dni. Mimo że lubiła porządek, tym razem zdjęła sukienkę i bieliznę i rzuciła je na fotel przy kominku. Włożyła białą bawełnianą koszulę, wsunęła się do zimnej pościeli i natychmiast zasnęła. Jej sny pełne były Damiena i diabłów.

*

- Obudź się, panienko! Obudź się! Och, proszę tylko na to spojrzeć! Kto to mógł zrobić? Kto mógł zrobić taką

wstrętną, odrażającą rzecz?

Aleksandra z trudem usiadła. Zamrugnęła, oślepiona blaskiem porannego słońca. Mary stała obok jej łóżka, gryząc palce.

- Co się stało? - spytała, czując suchość w ustach.

Mary wskazała kąt pokoju po drugiej stronie łóżka. Aleksandra, czując ciarki na plecach, obejrzała się za siebie.

Pojawił się manekin krawiecki. Stał teraz w ciemnym kącie na lewo od jej łóżka. Ale nie był spowity w czerń. Tym razem miał na sobie jedwabną, lawendową suknię Aleksandry. Ale najgorsze było to, że spódnice zadartą jak u ulicznicy zarzucono na głowę manekina.

Aleksandra wygramoliła się z łóżka z przejmującym jękiem. Uciekłaby, gdyby nie zamknięte drzwi. Za wszelką cenę chciała uciec od sprośnej plugawości tej postaci.

- Nie dotykaj tego! - zapiszczała Mary. - Nie chcę widzieć tej twarzy.

Aleksandra pociągnęła Mary ku drzwiom. Gniew mieszał się w niej z przerażeniem. Spojrzała na manekin. Na pewno nie stał tu ostatniej nocy. Czyli przyniesiono go, kiedy spała. To było przesłanie. Przesłanie.

Ale od kogo?

*

- Usunąłem to z twojego pokoju. Było tak, jak przypuszczałaś. Nie wiem, skąd się na nim wzięła twoja suknia. -

Damien oparł się obydwoma rękami o gzyms kominka i spoglądał na buzujący ogień. Za oknami wszystko było oszronione. Skończyły się ładne dni i zima zaczęła wbijać w ziemię swe szpony.

Aleksandra ciasniej owinęła ramiona szalem. Od rana nie mogła się rozgrzać i przypuszczała, że ma to raczej związek z manekinem krawieckim w jej pokoju, a nie z pogodą.

- Czy uznała mnie za nierządnicę? - spytała piskliwie. - Czy ty to zrobiłeś, Damienie? Jedyne ty wiedziałeś, gdzie spędziłam ostatnią noc. Czy to ty posunąłeś się do żartu, by dręczyć mnie tym oskarżeniem? - Z jej oczu znikły iskierki. Czowała się wyczerpana tymi ciężkimi próbami.

- Nie zrobiłem tego. Dobrze wiesz, że to ona. - Spojrzał uważnie na jej bladą twarz. - Za to, co zrobiłaś dla Sama, nie nazwałbym cię nierządnicą, lecz aniołem miłosierdzia. - Spuścił wzrok. - I dla mnie. - Ostatnie słowa wypowiedział

szeptem.

Opadła na kozetkę, słaba i wyczerpana. Schowała twarz w dłoniach i nagle po jej policzkach zaczęły płynąć łzy.

Zbliżył się do Aleksandry. Jego rysy wyostrzyły się. Wyciągnął rękę, chcąc ją objąć, pocieszyć, ale potem się cofnął.

Jakby nie był w stanie pomóc.

- Każę zabrać twoje rzeczy z tego pokoju. Przeprowadzisz się do pokoju sąsiadującego z moją sypialnią.

Otarła oczy chusteczką.

- Co sobie o tym pomyśli służba? Chyba nie najlepiej.

- Mogę cię strzec, jeśli będziesz blisko. A służba nie będzie gadała. O niczym się nie dowie.

- A moja pokojówka Mary? Będzie wiedziała, gdzie sypiam.

- W takim razie ją odeślij.

- Nie mogę tu zostać całkiem sama. Po prostu nie mogę.

Spojrzał na jej twarz, na której widniały jeszcze ślady łez. Chciał coś powiedzieć, słowa nie przechodziły mu przez gardło.

- Może czas, żebym stąd wyjechała - rzekła drżącym głosem. - Słabość, którą ci okazałam, nie przystoi damie.

Szczególnie gdy nie jest uświęcona małżeńskimi więzami. Ja zaś nadto dobrze znam przeszkody, które to uniemożliwiają.

- Ostatniej nocy prosiłem cię, żebyś mnie nauczyła miłości. Jak daleko sięga twoja miłość, Aleksandro? Czy na tyle, by nie przywiązywać wagi do tych głupich, wymyślonych przez ludzi instytucji, które znaczą wszystko dla społeczeństwa, a nic dla konkretnego człowieka?

- Kochałabym bez ślubu. Ale... - Jej oczy pociemniały z żalu.

- A więc poślubiłabyś mnie, gdybym cię poprosił o rękę? Czy związałabyś ze mną swoją duszę i żyła w katuszach, w jakich ja żyję? Czy jesteś zdolna do takich poświęceń? Jeśli tak, to powiem, że masz w sobie więcej miłosierdzia niż zwykły śmiertelnik.

- Jestem tylko zwykłą grzesznicą. Ale kocham cię i stać mnie, by ogłosić tę miłość przed Bogiem i ludźmi.

Przez dłuższy czas przyglądał się Aleksandrze, po jego twarzy widać było, że zмага się z jakimiś trudnymi do określenia emocjami.

- W takim razie poślubię cię. I niech Bóg się ulituje nad twoją duszą.

Podniosła wzrok. Chciała ukryć szok wywołany jego oświadczeniami, ale niezbyt się jej to udało. Czowała, że serce przestaje jej bić w piersiach.

- Czy dobrze usłyszałam, milordzie? Czy proponuje mi pan małżeństwo?

103

- Nie proszę cię, żebyś za mnie wyszła. Błagam cię - rzekł, nie patrząc jej w oczy.

Po tych jego słowach zapanowała cisza. Zdawało się, że obydwójce mocują się ze swym przeznaczeniem. Aleksandra obserwowała Damiana, który podszedł do kominka i wpatrywał się w ogień, jakby z płomieni mógł wyczytać swoją przyszłość. Zastanawiała się nad swoim życiem.

Kiedyś wszystko miała zaplanowane, uporządkowane i przeanalizowane jak badania naukowe jej ojca. Teraz wszystko wymykało się spod kontroli. Jej uczucia, jej przyszłość.

Zawodziła ją logika.

- Tak.

Odwrócił głowę, by spojrzeć na nią.

- Co powiedziałaś?

- Ta grzesznica mówi, że cię poślubi. Muszę cię poślubić.

Porwał ją z kozetki. Był tak silny, że przy nim była jak szmaciana lalka.

- Weźmiemy ślub za dwa tygodnie. W kaplicy Cairncross. Nie była używana od stu lat.

- A czy panna Pole będzie naszą druhną?

Jego twarz stała się ponura.

- Do tej pory już jej tu nie będzie. Przysięgam.

- Co mogę zrobić, by ci pomóc, mój mężu?

Utkwił w niej wzrok. Pragnęła zdjąć mu okulary i obsypać pocałunkami jego twarz.

- Dziś wieczorem jeszcze raz zbadam katakumby. Ale najpierw muszę porozmawiać z Samem. Zrobimy to razem. On wie więcej, niż na razie potrafi nam powiedzieć. To będzie początek.

- Tak - odparła, nagle czując w sercu dziwną lekkość. - To będzie początek, podobnie jak nasze małżeństwo.

- I tak wyprowadzisz się z tego pokoju. Powiem służbie, że bierzemy ślub. To powinno im zamknąć usta.

Chciała zachowywać się tak, jak tego wymaga przyzwoitość, ale zarazem pragnęła bezpieczeństwa, które zapewniała jego obecność. Którą czuła, śpiąc u jego boku. Nigdy więcej nie chciała przeżyć takiego strachu jak dziś rano.

I nie przeżyję, pomyślała. Gdy spoglądała w jego oczy, jej serce wypełniało szczęście. On ochroni ją przed wszystkimi okropieństwami.

Póki nie odkryje, że to on jest ich sprawcą.

Damien potarł brodę; tylko ten gest świadczył o jego napięciu. Szczęśliwy Samuel siedział na kozetce obok Aleksandry, zajadając się rodzynkowymi babeczkami, z których sływał kucharz. Jak to wcześniej uzgodnili z Damienem, starali się wprowadzić jak najswobodniejszy nastrój. Bura kotka ze stajni niedawno okociła się i przed podwieczorkiem Aleksandra przyniosła Samowi jedno z kociąt. Czarne, puszyste zwierzątko już zdążyło wsadzić nos do dzbanuszka ze śmietanką, potem próbowało wdrapać się po nodze Damiena. Damien raz nawet się roześmiał, odczepiając od spodni jego pazurki.

- Samuelu - zaczął Damien - panna Benjamin i ja chcielibyśmy ci zadać kilka pytań. Nie masz nic przeciwko temu?

Sam spojrział tępo na brata, a potem na Aleksandrę. Kotek leżący na jego kolanach zaczął mrużyć.

- Urszula budzi we mnie strach, Samuelu, rozumiesz to? - Aleksandra dotknęła ręką jego dłoni. - Chyba nie chcesz, żebym się przez nią bała, prawda?

Sprawiał wrażenie lekko zakłopotanego.

- Przecież ją ukryłem.

- Właśnie o tym chcemy z tobą porozmawiać - stwierdził Damien. - Gdzie ją ukryłeś, Samuelu, kiedy dawno temu wyjechałem?

Samuel spojrział na Aleksandrę. Wydawało jej się, że dostrzega na jego twarzy wyrzuty sumienia.

- Na dole.

- W katakumbach? - spytał Damien.

Samuel najwyraźniej nie miał ochoty odpowiadać. Nagle rzekł:

- Przez nią wyjechałeś. Dlaczego sprawiła, że przez nią wyjechałeś?

Aleksandra wciąż trzymała jego dłoń, którą teraz zacisnął w pięść. Ale był taki silny. Z drżeniem myślała o jego sile.

- Samuelu - przemówiła łagodnie. - Urszula była złą kobietą i przyczyniła wszystkim mnóstwo kłopotów.

- Możesz nam pokazać, gdzie ją ukryłeś? - spytał Damien.

Samuel spojrział na brata nieobecny wzrokiem.

- Krzyczała, Damienie. Uderzyła mnie. Nienawidziłem jej i się bałem. Więc ją ukryłem.

- Powiedz nam, Samuelu, gdzie? - błagała Aleksandra.

Spojrzał na nią i była pewna, że ogarnęło go poczucie winy. Nagle łzy zaczęły mu płynąć z oczu. Strąciwszy kotka z kolan, kołysał się w przód i w tył na kozetce.

- Kim jestem ja, tym ty masz być. Więc weź mą dłoń i ze mną idź - powtarzał w kółko.

104

- Uspokój się - szeptała Aleksandra, objąwszy go ramionami. Spojrzała na Damiena i pokręciła głową. Na razie sytuacja była beznadziejna.

Damien wstał. Cicho zapytała, dokąd idzie.

- Do katakumb - odparł ponuro. Kiedy patrzył na brata szlochającego na piersi Aleksandry, w jego oczach odmalowało się trudne do nazwania uczucie.

*

- Nie będzie mówił - szepnęła Aleksandra do Damiena, zamykając za sobą drzwi do sypialni Sama. - Posłałam po doktora, dał mu laudanum. Powinien usnąć. - Westchnęła z rozpaczą. - Nie wiem, jak teraz do niego dotrzeć. Może za dzień czy dwa uspokoi się i znów będzie taki jak dawniej. Albo... - Nie chciała dopuścić do siebie drugiej ewentualności.

- Nie znalazłem nic poza włosami i śladami zadrapań, które widzieliśmy wtedy. Jeśli ją tam zamknął, zapewne umarła gdzieś dalej, nie przy samych drzwiach.

- Albo uciekła. A teraz wróciła.

Damien przysunął się bliżej. Oparła się plecami o drzwi z drewna orzechowego, unieruchomiona w jego ramionach.

- Była ze mną na dole, kiedy jej szukałem - szepnął, jego głos był zimny i obojętny. - Czuję, jak się tłucze po katakumbach. Chcesz mi powiedzieć, że zwykła śmiertelniczka zna wszystkie tajemne przejścia w zamku, gdy ja znam tylko niektóre?

- Miała dużo czasu, by je poznać. Nie wiemy, jak długo tam była...

Nagle pochylił głowę i pocałował Aleksandrę. Żarliwie, gwałtownie. Położyła mu rękę na piersi, próbując powstrzymać jego furię, ale na próżno. Pragnęła jego pocałunku. Jak zawsze.

- Czemu to zrobiłeś? - spytała bez tchu, z zakrwawionymi wargami.

- Zawarliśmy teraz pakt zawieszenia broni, Aleksandro. - Dotknął czołem jej czoła, wierzchem dłoni pieszczotliwie przesunął po jej policzku. - Ale wojna się jeszcze nie skończyła. Chcę cię poślubić i trzymać twoją rękę, nigdy jej nie puszczać. Ale potem widzę ją i czuję potwora, który tkwi we mnie. Nie wiem, czym to się skończy.

- Nigdy mnie nie skrzywdzisz. Wiem to. - Wypowiedziała te słowa zbyt śmiało, jakby jej wiara

sprawiła, że jej nadzieje stawały się prawdziwsze.

- Nie chcę cię skrzywdzić. Jesteś mi potrzebna. Wiesz o tym. - Oczy mu pociemniały. - Ale ona też wciąż tu jest, wciąż symbolizuje zło, które żyje we mnie.

- Damienie. - Przesunęła ręką po ramieniu, które rozciął spadający żyrandol. - W każdym człowieku tkwi zło.

Dlatego potrzebujemy miłości. Miłość godzi nas z nim. - Ich spojrzenia się spotkały. - Nie boję się ciebie i nie będę się bała. Kocham cię.

Wsparł się na niej. Drobna figurka Aleksandry zdawała się podtrzymywać jego potężną postać.

- Czasem, kiedy byłem na dole w katakumbach, czułem zbyt silną pokusę. Ale w takich chwilach jak ta jest tak, jakby to nigdy nie ani tam, ani we mnie. Ale - dodał ponuro - to jeszcze nie istniało - koniec.

- Nie, Damienie - szepnęła błagalnie. - To nie jest tak. Poza tym teraz chodzi jej o mnie. Ten manekin... Uznała mnie za nierządnicę. Wiem o tym. Jest zazdrosna.

- Nie ośmieli się ciebie skrzywdzić.

- Dlaczego? - spytała, zaskoczona jego pewnością.

- Ponieważ nie chce cię mieć obok siebie w piekle i potępieniu. Chce mnie. - Zamyślił się na chwilę. - I może to powinniśmy zrobić. Zastawić na nią pułapkę.

- Ale jeśli masz rację, milordzie, to jak można zastawić pułapkę na ducha? - Patrzyła na niego, unosząc brwi.

Damien spojrzał na nią. Znow ją pocałował, długo i namiętnie.

- Zakładając przynętę - rzekł. Pociągnął ją do swego pokoju.

*

Sam wstał po ciemku z łóżka. Pod wpływem laudanum jego ruchy stały się wolne i niepewne. Ubrał się i przesuwał ręką po boazerii, dotarł do ukrytych drzwi dla służby. Kiedy namacał deseczkę, nacisnął ją i zajrzał do ciemnej wnęki za schodami prowadzącymi do kuchni.

Wziąwszy świecę, zszedł po stopniach. Kiedy znalazł się na dole, odszukał drzwi prowadzące do katakumb i zniknął

w mroku.

Grota wyglądała tak samo o północy i w południe. Nisze wypełniał wieczny mrok. Światło świecy było zaledwie iskierką w piekielnych czeluściach. Blask padł na drzwi do katakumb. Wpatrywał się

w nie bardzo długo, nie otwierając ich ani nie dotykając. Na jego twarzy malowało się poczucie winy i roztargnienie.

Odwrócił się z wolna. Opuścił grootę, wracając tą samą drogą. Jednak kiedy znalazł się w korytarzu dla służby, wszedł

w inne drzwi. Te schody były stare i zbutwiałe, zasnułe pajęczyną.

Udał się nimi na samą górę. Na podeście znalazł zamaskowane drzwi. Pchnął je.

105

Wszedł do jej pokoju.

Postawił świecę na komodzie. Po prawej stronie były drzwi do sali lekcyjnej, wciąż zamknięte na klucz. Ale to nie był jego cel.

Podszedł do kufra, jego twarz okryła się chorobliwą bladością. Zacisnął mocno powieki, wyglądał, jakby chciał

zatrzymać tę chwilę i nie ujawniać całego swego przerażenia. Potem, jakby musiał się upewnić, jakby musiał się przekonać jeszcze raz, wziął świecę, która drżała w jego ręku, i wyjął z kieszeni marynarki stary klucz.

Otworzył kłódkę.

Wstrzymując ze strachu oddech, uniósł wieko kufra. Na widok zawartości skrzyni jego oczy wypełniło nieme przerażenie. To, co dla niego znaczyła, wyraził bezradnym, zwierzęcym jękiem, który wydobył się z jego krtani.

Szybko zatrzasnął wieko i padł na kolana, walcząc z jakąś niewidzialną siłą, która teraz nie pozwalała mu go zamknąć.

Bardzo długo obejmował skrzynię. Płakał jak przerażone dziecko, jego szloch odbijał się echem w pustych komnatach. Słyszały go tylko duchy.

27

Róża, w której Słowo Boga ciałem się stało.

Dante

Następnego ranka Damien poprosił Aleksandrę, żeby się z nim spotkała w ogrodzie. Panował przenikliwy chłód, niebo wznosiło się nad ziemią jak nieskazitelnie lazuruwa kopuła, horyzont ciągnął się w nieskończoność, tylko na zachodzie wznosiły się złowrogo wzgórki kopców.

Owinięta płaszczem weszła do ogrodu, kuląc się na lodowatym wietrze. W pierwszej chwili wydało

się jej, że nikogo tu nie ma i że Damien zapomniał o spotkaniu. Ale wkrótce poczuła, jak obejmuje ją w pasie swymi silnymi dłońmi.

- Gdzie byłeś, mój drogi? - spytała. - Czasem ogarnia mnie lęk, że jesteś duchem w większym stopniu niż ona.

Zakradasz się niepostrzeżenie... - uśmiechnęła się do niego.

Patrzył na Aleksandrę, jego oczy byty zimne i pełne pożądania.

Pozwoliła mu pocałować swe usta. Dopiero po dłuższej chwili zdołali oderwać się od siebie.

- Czekałem tutaj, za furką. Chciałem ci zrobić niespodziankę - rzekł.

- Nie wiedziałam, że jesteś tak podstępny. - Na jej ustach znów zakwitł uśmiech.

Pocałował ją i szepnął:

- Nawet po pierwszej nocy?

Zapłoniła się. Źle postąpiła, pozwalając mu na to. Postąpiła bardzo źle, ale było to tak nieskończenie potężne i słodkie, że nie znajdowała w sobie dość sił, by to przerwać. Kiedy była z nim, konwenanse narzucane przez społeczeństwo przestawały się liczyć. A razem z nimi ginęła też jej nieśmiałość. Na krótką chwilę rozkwitała w jego ramionach. Jej miłość do Damiena stała się jak róża: jej ciało było płatkami, a dusza - zapachem. Oddała mu się z niespotykaną szczerością i nie chciała ukrywać żadnych uczuć, nawet strachu. Z każdym dniem jej szczerość łączyła ich coraz mocniejszą więzią. Stwierdziła, że nawet po przykrym doświadczeniu z Brianem potrafi chwytać szczęście obydwoma rękami, strzec go z pasją i chłonąć z łapczywością, o jaką nigdy by się nie podejrzewała.

- Pozwoliłem sobie na jeszcze jeden figiel - szepnął wesoło. - Daj mi rękę.

Wysunęła dłoń spomiędzy fałd płaszcza i stała, drżąc na wietrze, który wpadał do ogrodu znad ogrodzenia.

Newell wyciągnął coś z wewnętrznej kieszeni płaszcza i wsunął na jej drżący palec.

Był to ciężki pierścionek z brylantami tak błękitnymi jak niebo, tak skrzącymi się jak ich związek. Nie była przyzwyczajona do takiej biżuterii.

- Bez względu na to, co się stanie, musisz być moją żoną. - Spojrzał na nią. Jego twarz była ściągnięta od emocji i naznaczona niedobrą pustką, która przecież mogła się nigdy nie wypełnić.

- Będę twoją żoną. Przysięgam - szepnęła.

Gdy stali pod murem biegnącym wokół ogrodu, znów ją pocałował i przez jedną chwilę znaleźli azyl w tym ucieleśnieniu dobroci i w sobie nawzajem.

Wiedziała, że ich szczęście jest zagrożone. Nie przetrwa, jeśli zło nadal będzie krążyło korytarzami Cairncross. Ale decydująca chwila była już blisko. Instykt głośno ją ostrzegał przed groźącym niebezpieczeństwem. Wkrótce nastanie pokój i okaże się, czy będą wystarczająco silni, by znieść jego uderzenie. Wiedziała jedynie, że z każdym pocałunkiem, z każdym czułym słowem i z każdą nocą w łóżku Damiena coraz bardziej rozwścieczali zło kryjące się w Cairncross. Czarno odziana postać, ludzka czy nie, nie chciała dopuścić, by czyjaś dusza wyrwała się z jej objąć.

Zastawili pułapkę; przynętą była ich miłość. Pokusa słodsza od tych, jakie wcześniej знаła. O jakich wcześniej śniła.

*

Damien wszedł do pokoju w wieży. Rzucił jedno surowe spojrzenie Millicent, która na jego widok szybko zniknęła za perkalową zasłoną. Lady Bess siedziała na swym „tronie”, z głową wspartą na poduszce, z jej ust wydobywało się głośne, jednostajne chrapanie.

106

Usiadł w fotelu obok i ujął jej zdeformowaną dłoń, niegdyś tak miękką i kobiecą. Babka drgnęła i obudziła się, czując jego dotyk. Spojrzała na Damiena zaspanymi oczami.

- Czemu przychodzisz zobaczyć się ze mną? Cóż to za niezwykła okazja? - W jej głosie można było dosłyszeć przyganę.

- Mam ci coś do zakomunikowania. - Urwał, jakby nie wiedząc, od czego zacząć. - Może cię to zaskoczy, ale żenię się.

Lady Bess usiadła prosto. Wzrokiem przyszpiliła go do fotela.

- Chyba nie z tą wicehrabiną, którą zostawiłeś w Londynie? Służący wielokrotnie wspominali jej imię, ale w tej chwili wyleciało mi z pamięci... jak jej tam? Lady... Lady...

- Nie poślubię lady Compton.

Lady Bess się skrzywiła.

- Ani chyba z tą kobietą z Wapping, którą odwiedzasz, jak słyszałam...

- Nie, nie chodzi również o nią. - Rozsiadł się wygodnie w fotelu i przyjrzał się uważnie swej babce, jakby nie chciał

pomiąć żadnej, nawet najdrobniejszej reakcji staruszki, kiedy usłyszy, co ma jej do zakomunikowania. - Zamierzam poślubić nową guwernantkę Samuela, Aleksandrę Benjamin.

Złożyła swoje powykrzywiane ręce w geście dziękczynienia

- Właśnie o takiej kobiecie dla ciebie marzyłam - zachwycała się piskliwie. - Lubię ją. Jest... cóż,

jest prawdziwa, zgadzasz się?

- Tak - powiedział cicho.

- Będzie dla ciebie dobra, Damienie.

- Już jest dla mnie dobra, ale ja... - urwał, jego rysy się wyostrzyły. - Nawet nie potrafię opisać, jaki będę dla niej dobry.

- Kocha cię. Widziałam to w jej oczach, kiedy przyszła do mnie z wizytą. Za każdym razem, kiedy wspominałam twoje imię, rozrzewniała się.

- Jest starą panną. Wszystkie stare panny mają skłonność do zakochiwania się w swych chlebobawcach. - Wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, jego twarz była jak wykuta z marmuru. - Martwię się, że zbyt się z tym pospieszyłem. Byłem nawet zachłanny. Pragnę jej, ale wciąż...

- Ale wciąż jeszcze jest przeszłość.

- Służący mogą powiedzieć mojej narzeczonej rzeczy, jakich nie powiedzieliby guwernantce.

- Przecież tylko ja słyszałam ciebie i Urszulę w wieży tamtego ostatniego dnia.

- Nigdy nie miałem pewności. Całe szczęście, że była wtedy tak znienawidzona przez wszystkich, że nikt nigdy nie stanął w jej obronie. - Jego spojrzenie stało się chmurne. - Ale teraz może się to zmienić. Z uwagi na Aleksandrę.

- Dla niej musisz się zdecydować na ryzyko. Może zrozumie. Ja cię nie winię za to, co musiałeś zrobić, cokolwiek to było. Czy powstrzymałoby ją cokolwiek poza śmiercią?

- Powiedziałem, że nigdy nie będziemy o tym rozmawiać.

- Świetnie. Nic więcej. Przeszłość minęła. Poślub swoją Żydówkę, Damienie. Ona tak cię kocha.

- Módl się za mnie, babciu - powiedział, jego twarz wyrażała wątpliwość. - Nie chcę ryzykować, że ją stracę. Gdyby kiedykolwiek odwróciła się ode mnie...

- Nie wystawiaj jej miłości na próbę. Weź ją i trzymaj mocno.

- Chciałbym, żeby to było takie proste. Ale jest jeszcze Urszula.

Lady Bess pochyliła się do przodu i szepnęła zachrypniętym głosem:

- Dlaczego jej nie pochowałeś w poświęconej ziemi? Nie pojawiłaby się, gdyby...

- Chcę, żebyś przyszła na ślub - przerwał jej. Sugestia Bess w ogóle go nie zainteresowała. - Odbędzie się za dwa tygodnie, w kaplicy na dole.

- Jeśli będę żyła, przyjdę.

Uklęknął przed staruszką i ucałował jej dłoń.

- Wobec tego za dwa tygodnie. Albo cię zobaczę, jak będziesz tańczyła na moim weselu, milady, albo zatańczysz na mym grobie. Nie wiem.

- Przenieś ją do poświęconej ziemi - zdążyła powtórzyć staruszka, nim Damien opuścił jej apartament.

*

Samuel coraz bardziej zamykał się w sobie. Aleksandra nie chciała się poddać, ale tym razem jego milczenie znamionowało o wiele większy upór. Zupełnie jakby ktoś rzucił na niego jakiś urok. Damien twierdził, że to strach, lecz Aleksandra zaczęła podejrzewać, że tym razem chodzi o coś innego. Miała niejasne wrażenie, że to, co mu teraz nie pozwala mówić, tkwi w nim.

Już następnego wieczoru była bliższa rozwiązania tajemnicy. Damien poprosił służbę, by się zebrała w wielkim westybulu o ósmej. Zamierzał ich poinformować o zaręczynach. Aleksandra do tej pory powstrzymała się od

powiedzenia o tym nawet Mary z obawy, że jej pokojówka rozpowie to w kuchni wcześniej, przed oficjalnym ogłoszeniem. Damien również stał się bardzo dyskretny. Był zdania, że należy powiedzieć wszystkim jednocześnie, bo aluzje tylko wywołają plotki i spekulacje. Chciał ogłosić ich zaręczyny, oświadczył, dodając pod nosem, że każdy, kto będzie miał coś przeciwko temu małżeństwu, może z nim porozmawiać.

Aleksandra nie zamierzała mu się sprzeciwić. Była córką Żyda, Damien zaś należał do anglikanizmu. Na pewno będą jakieś sprzeciwy ze strony służących- chrześcijan z Cairncross. Pamiętając zastrzeżenia wysuwane przez Briana, uznała za oczywiste, że będą dotyczyły tylko jej osoby. Była tylko guwernantką, a on - arystokratą. Istniały tysiące powodów przemawiających przeciwko temu związkowi.

Ani przez chwilę nie przyszło jej do głowy, że obiekcje będą skierowane przeciwko Damienowi.

*

Służący ustawili się w czterech rzędach w holu punktualnie z wybiciem ósmej. Damien przyjrzał się zebranym, jakby chcąc się upewnić, czy przyszli wszyscy. Aleksandra nie mogła uwierzyć, że jest ich aż tylu. Stała między Featherstone'em a panią Penrith i spoglądała na otaczające ją twarze. Pojawili się służący, których wcześniej nie widziała na oczy i nawet się nie domyślała, co należy do ich obowiązków. Sama ich liczba upewniła ją w przekonaniu, że Urszula mogła żyć wśród nich w Cairncross przez nikogo niezauważona.

- Chcę ogłosić coś, co wpłynie na los wszystkich tu zebranych - rzekł Damien władcym tonem, na dźwięk którego wszyscy umilkli.

Oczy zebranych zwróciły się na niego, serce Aleksandry było nerwowo.

- Żenię się - oświadczył, przesuając wzrok po zgromadzonych. - W końcu znalazłem kobietę, która będzie baronową i moją żoną. Kobietę, która zostanie waszą panią.

Przez tłum przebiegł szmer. Aleksandra wiedziała, że teraz wszyscy zaczęli snuć różne domysły. Spojrzała na panią Penrith, która ze spokojem patrzyła swego chlebodawcę. Aleksandra była dziwnie ciekawa, jaką minę zrobi gospodyni, kiedy się dowie, że nową baronową zostanie właśnie ona.

- Panno Benjamin? - powiedział Damien, wyciągając do niej rękę.

Aleksandra podała mu dłoń, na której błyszczał pierścionek z brylantami.

- Chcę, żeby wszyscy poznali przyszłą lady Cairncross.

Szmer przebiegł przez komnaty jak fala, zabrzmiały okrzyki zdumienia. Aleksandra próbowała się uśmiechać, kilka spośród pomywaczek spojrzało na nią z zawiścią.

Ale nie Mary. Pokojówka patrzyła na swą panią, nie wierząc własnym oczom i uszom. Pani Penrith zmarszczyła z oburzeniem czoło, jakby właśnie stała się świadkiem zbrodni, ale najgorszą minę miał Featherstone. Otworzył usta i utkwiał wzrok w złączonych dłoniach obojga narzeczonych, wstrząśnięty do głębi tym bluźnierstwem. Potem nagle opamiętał się. Podczas gdy służący podchodzili składać gratulacje, Aleksandra przyglądała się z niepokojem. Życzenia złożyli wszyscy oprócz Featherstone'a. Z jego oblicza zniknęło zaskoczenie. Kamerdyner wyszedł z holu. Swym zachowaniem zasługiwał na natychmiastowe zwolnienie.

Później, kiedy razem z Damienem piła likier w bibliotece, poruszyła kwestię Featherstone'a. Była zdenerwowana, instynktownie przeczuwając, że zagłębia się w obszary, których wolałaby nie poznawać.

- Po tym, co zrobiła Urszula, musiał przeżyć szok. Myślę, że powinniśmy starać się go zrozumieć - powiedziała spokojnie, sącząc chartreuse.

- To, co zrobił tobie, mnie, było niewybaczalne. Jutro wyjedzie stąd pierwszym dyliżansem. Póki nie znajdziemy kogoś na jego miejsce, sprowadzę swego kamerdynera z Londynu. - Damien co chwila nerwowo spoglądał na drzwi.

Była gotowa założyć się o wszystkie swoje pieniądze, że pragnie jak najszybciej udać się do pomieszczeń dla służby, by zwolnić Featherstone'a.

- Ile ma lat, mój drogi? Wygląda na sześćdziesiąt. Jakie ma szansę na znalezienie innej pracy, do tego bez referencji?

- Powinien się nad tym zastanowić, nim wyszedł z holu! - krzyknął Damien z gniewem.

Wstała i przysiadła na poręczu jego fotela. Dotknęła policzka Damiena i obróciła jego twarz w swoją stronę.

- Pozwól mi z nim porozmawiać. Dowiem się, dlaczego to zrobił, i być może razem coś obmyślimy. Nie ma potrzeby wyrzucania starca na ulicę za jeden błąd...

- Dwa błędy. Dwa, Aleksandro - zauważył Damien. - Zapomniałaś o przeszłości. Mój ojciec wybaczył mu jego nierozważny czyn w związku z Urszulą. Nie mam zamiaru przebaczać mu po raz wtóry.

- Być może właśnie wspomnienia z przeszłości skłoniły go do takiego zachowania. Musimy się dowiedzieć, co myśli.

Nigdy specjalnie go nie lubiłam, ale chyba całkiem dobrze ci służył. Spędził tu większą część swego życia. Uważam, że powinieneś z nim porozmawiać...

Przerwał jej pocałunkiem. Kiedy przestali się całować, stwierdził:

- Zajmę się tym.

Aleksandra patrzyła na niego. Nie była jeszcze lady Cairncross. Zatrudnianie i zwalnianie służby nadal leżało w jego 108

gestii.

- Chyba pójdę odpocząć. To był bardzo niespokojny dzień.

Ujął ją za rękę i pocałował wewnętrzną stronę dłoni. Jego usta płonęły jak ogień na kominku.

- Przyjdę później do twojego pokoju.

Wolno cofnęła rękę. Z jakiegoś powodu upór Damiena w sprawie Featherstone'anie dawał jej spokoju. Kamerdynerowi bez wątplenia należało udzielić nagany, ale odprawianie go uważała za przesadę. Wprawdzie nie ponosiła żadnej winy, jednak zachował się tak z jej powodu. Dręczyło ją pytanie, dlaczego tak postąpił. Miejsce Featherstone'a było w Cairncross. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nie mógłby dalej tu służyć, kiedy zostanie panią domu.

- Chyba wolałabym być dziś w nocy sama - powiedziała, sztywniejąc na całym ciele. - Zobaczymy się rano, mój drogi. Będę miała lekcje z Samem w cieplarni.

Damien nie patrzył na nią.

- W takim razie dobranoc - pożegnał ją chłodno.

- Dobranoc - szepnęła, pragnąc, żeby jego tajemnice zostały raz na zawsze wyjaśnione.

Opuściła bibliotekę i weszła po schodach do swego nowego pokoju, sąsiadującego z sypialnią Damiena. Na półpiętrze zobaczyła ciemną postać i serce jej na chwilę przestało bić. Ale postać się poruszyła i Aleksandra odetchnęła z ulgą.

- Pani Penrith, dobrze pani wie, że nie powinna się pani czaić w ciemnościach! - wykrzyknęła.

- Muszę z panią porozmawiać. Chodzi o Featherstone'a.

- To naprawdę sprawa jego lordowskiej mości. Chyba nie uda mi się wpłynąć, by zmienił decyzję.

- Nie przyszedłam tutaj, żeby się za nim wstawiać, panienko. - Gospodyni zrobiła krok do przodu i znalazła się w kręgu światła lampy gazowej wiszącej na ścianie. - Jestem tutaj z uwagi na panią. Musimy porozmawiać. Zachowanie Featherstone'a dziś wieczorem to tylko zapowiedź tego, co się jeszcze może wydarzyć. To była reakcja na coś, o czym panią nie wie. A teraz, kiedy zamierza panią poślubić jego lordowską mość... - Gospodyni nerwowo spojrzała na drzwi do sypialni Damiana. - Teraz, kiedy panią może go poślubić, myślę, że powinna panią lepiej poznać przeszłość. Musi panią o tym wiedzieć.

Aleksandra zdjęła rękę z klamki i zwróciła się do gospodyni.

- Cóż takiego powinnam wiedzieć poza tym, że go kocham?

Gospodyni skinęła głową.

- Czy mogłybyśmy pójść do mnie i porozmawiać?

- Dobrze - powiedziała z wahaniem Aleksandra. Wyraźnie nie miała na to ochoty. - Skoro pani nalega.

- Dziękuję, panienko. Dziękuję - jąkała pani Penrith, kładąc rękę na pokrytych rypsem drzwiach dla służby. Gdy je otworzyła, za nimi ukazała się zimna, czarna czeluść. Gospodyni wręczyła Aleksandrze świeczniki przepuściła ją przodem. Potem zniknęła w labiryncie przejść dla służby.

28

Wydawał się zirytowany tą wiadomością, ale przypuszczałam, że dlatego, iż został wystrychnięty na dudka przez pannę Pole. - Aleksandra usiadła na wytartej kanapce w saloniku pani Penrith. - Jednak nadal nie rozumiem, jak mógł

aż tak bardzo okazać swoje niezadowolenie, by ryzykować odprawę.

- To moja wina - jęknęła gospodyni. - Och, dlaczego nie trzymałam języka za zębami?

Aleksandra spojrzała na bladą twarz kobiety.

- Przecież to nie może być pani wina...

Pani Penrith spuściła oczy i Aleksandra mogłaby przysiąc, że błysnęły w nich łzy.

- Nigdy nie powinnam była tego robić. Powinnam zachować tajemnicę dla siebie. Powiedziałam Featherstone'owi o tamtym ostatnim spotkaniu w wieży. To był błąd, teraz o tym wiem. Dochowywać

tajemnicy przez tyle lat, a potem nagle wszystko wyjawić... Nigdy sobie nie wybaczę. - Gospodyni ścisnęła mocno rękę Aleksandry. - Rozumie panienka, akurat rozmawialiśmy o jego lordowskiej mości. Z jakiegoś powodu niemal rozpaczliwie chciał dowiedzieć się czegoś więcej o dniu, w którym Urszula opuściła zamek, więc mu powiedziałam. Nie wiem dlaczego, może po tylu latach chciałam się nareszcie komuś zwierzyć. Ale jego reakcja... - Ścisnęła rękę Aleksandry. - Nie rozumie panienka?

Nie może panienka poślubić jego lordowskiej mości. Nie może panienka.

- Dlaczego nie mogę? - spytała Aleksandra i zrobiło jej się niedobrze.

- Ponieważ jest mordercą. Wiem, że ją zabił. Większość osób tylko przypuszcza, że to zrobił, ale ja wiem na pewno.

Nim wyjechał wiele lat temu, natknęłam się na niego i pannę Pole w wieży. Nie zaprzeczał...

- Mnie powiedział co innego - przerwała jej Aleksandra. - Spytałam go, czy ją zamordował, i zaprzeczył.

- I co panienka o tym sądzi? - spytała cicho gospodyni, patrząc na Aleksandrę tak, że aż przeszedł ją dreszcz.

- Wierzę mu. Powiedziałby mi, gdyby to zrobił.

Na ustach pani Penrith pojawił się ponury uśmiezek.

109

- Nie skłamałby? Nie miałby powodu? Każdy mężczyzna zrobiłby tak, chcąc zyskać względy równie uroczej kobiety jak pani.

Aleksandra poczuła, że zdradza ją rumieniec.

- Nie wierzę pani. Nie miał powodu, by mnie uwodzić. Jestem tylko guwernantką.

- W takim razie panienka różni się od tych, które miał przedtem. Bo były inne kobiety, wśród nich nawet służące, ale panienka... od samego początku wiedziałam, że ma panienka w sobie coś takiego, czemu nie będzie się mógł oprzeć.

Teraz chce panienkę poślubić i mogę panience powiedzieć, że nie może panienka się na to zgodzić. On jest szalony.

Jest niebezpieczny.

Aleksandra nie chciała w to wierzyć. Kochała Damiana i nawet jeśli on bardzo jej potrzebował, nagle zdała sobie sprawę z tego, że ona potrzebuje go jeszcze bardziej. Myśl o samotnej przyszłości bez niego była nie do zniesienia.

- Przyznaję, że czasem i we mnie wywołuje lęk - odparła spokojnie - ale miał takie smutne dzieciństwo. Rodzice wcale się nim nie interesowali, a potem ta historia z Urszulą... Zawsze potrafiłam go zrozumieć. Przeczytałam też jej dziennik. Wiem, co mu zrobiła ostatniego dnia... - Wstając, powiedziała żarliwie: - Może musiał ją zabić. Może to, co tu czasem widzimy, to duch, ale zawsze będę wierzyć, że ona go do tego zmusiła.

- A jednak nie przyznał się pani do tego. I jest jeszcze Featherstone. Co z nim począć?

Aleksandra pozwoliła gospodini znów posadzić się na kanapce.

- Nie rozumiem, dlaczego tak zareagował. Co mu przeszkadza, że Damien i ja weźmiemy ślub?

- Był w niej zakochany. - Pani Penrith zmięła płócienną chusteczkę wyciągniętą z rękawa. - Przez te wszystkie lata myślał, że go wystawiła do wiatru. Ale wczoraj wieczorem powiedział mi, że do niego przyszła. Oświadczyła mu, że Damien i ja wiemy, co się z nią stało, i tylko my możemy to ujawnić. - Jej głos zrobił się piskliwy. - Dziś rano Featherstone zażądał, żeby mu powiedzieć, co to wszystko znaczy. Załamalam się. Nie powinnam, ale wydawało mi się, że cierpi katusze. Powiedział, że kochał ją i opłakiwał, chociaż był przekonany, że go oszukała. Dziś rano powiedział, że wydaje mu się, iż ostatniej nocy odwiedził go duch. I chciał wiedzieć, czy Damien zabił Urszulę Pole. - Nagle urwała. - A ja musiałam mu powiedzieć, że tak.

- Skąd pani o tym wie? Skąd pani wie, że ją zabił? - spytała Aleksandra histerycznie.

- Kiedy stary baron wypędził swego syna, Urszula jeszcze raz go dopadła. Damien spotkał się z nią na schodach w wieży. Akurat szłam na górę, żeby powiedzieć o wszystkim lady Bess, kiedy usłyszałam ich głosy. Były straszne, panienko. Niesamowite. Krzyczał na nią, a ona płakała. Mówił, jak bardzo pragnie ją zabić, że chce „położyć jej ręce na szyi i wycisnąć z niej życie”, to były jego słowa. A potem zapadło milczenie. Żadnego więcej płaczu, żadnych więcej wyznań miłosnych. Zrobiło się zupełnie cicho. W końcu rozległ się ciężki jęk ulgi. Nic więcej.

Aleksandra uświadomiła sobie, że po jej policzkach płyną słone łzy

- Panno Benjamin, nie może go panienka poślubić. Wiem, że ją zabił. A jeśli kiedykolwiek przyznałabym się, że słyszałam tę rozmowę na schodach w wieży, żyłabym w wiecznym strachu o swoje życie. Ale zawsze mieszkałam w Cairncross i nie znam innego domu. Lord Newell jest moim panem i kocham go na swój dziwny, śmiesznie tolerancyjny sposób, jak to mają w zwyczaju stare służące, które troszczą się o swych panów od pieluszek do grobowej deski. Ale nie mogę stać cicho z boku i patrzeć, jak poślubia panienka takiego niebezpiecznego, nieprzewidywalnego człowieka. Tak samo jak nie mogłam milczeć i patrzeć na katusze Featherstone'a, chociaż może byłoby lepiej, gdybym zachowała wszystko w tajemnicy.

- Więc dlaczego Featherstone wyszedł? Dlaczego nie złożył rezygnacji?

Gospodini ponuro pokiwała głową.

- Prawdopodobnie równie jak ja był wstrząśnięty wiadomością o zaręczynach panienki. Nic tego nie

zapowiadało.

Może jego zachowanie dziś wieczorem wynikało z szacunku do panienki. Może ma wrodzoną słabość do guwernantek, a może nie mógł znieść, że jego pan weźmie ślub teraz, kiedy sobie wyobraża, że dawno temu John Damien zniszczył

jego szansę na małżeństwo.

Aleksandra wysunęła dłoń z rąk gospodyni. Wstała i jakby we śnie zaczęła chodzić po pokoju. Jej myśli rozbiegły się w różne strony.

- Musimy ostrzec Damiena przed Featherstone'em.

- Już się spakował i wyjechał, panienko. Nie wiem, czy chce się w jakiś sposób zemścić. Zresztą nie martwię się o Featherstone'a, tylko o panienkę. Czasem Sam nie rozumie, na jakim świecie żyje. Czasem wydaje mi się, że mówi o paniencie tak, jakby była panienka Urszulą Pole. Może przez to, że jest opóźniony w rozwoju, a może przez katusze, na jakie skazała chłopców. Proszę pamiętać, że Damien doświadczył gorszych rzeczy. Boję się, że pewnego dnia zwróci się przeciwko pani.

- Nie robi mi krzywdy.

- Czy ma pani jakiś dowód?

Aleksandra umilkła. Miała ochotę krzyczeć na cały głos, żeby usłyszeli wszyscy w zamku, że tak, ale nie mogła. Ko-110

chała go i był jej potrzebny. Ale czy on kochał ją? Czy miłość to coś, do czego jest zdolny jedynie człowiek normalny?

Znów usiadła na kanapce ciężko jak stara kobieta. Jej umysł odrzucił wszystkie okropne możliwości i teraz, kiedy przede wszystkim potrzebna jej była umiejętność logicznego rozumowania, czuła się kompletnie zagubiona.

- Wiem, że go panienka kocha - powiedziała pani Penrith. Miała zatroskaną minę. - Ale co mogłam zrobić? Patrząc, jak poślubia panienka mordercę? Za bardzo panienkę szanuję, żeby nie powiedzieć prawdy.

- Nie znamy prawdy. A przynajmniej nie całą. Myślę, że nie zna jej nikt poza panną Pole. - Aleksandra uniosła drżącą dłoń do ust. Czuła odrętwienie w całym ciele. Jej dusza płakała, lecz oczy pozostały suche. Ból był zbyt wielki.

Kochała Newella. Teraz zastanawiała się, co gorsze: kochać mordercę i pewnego dnia widzieć, jak obraca się przeciwko niej, czy też żyć zawsze w niewiedzy, nie mieć świadomości niebezpieczeństwa czającego się za rogiem.

- Odnajdę ją - powiedziała Aleksandra. - Żeby nie wiem co. Odnajdę, nawet gdybym musiała odkopać jej grób.

- Jej prawda może się niczym nie różnić od mojej.

- Muszę ostrzec Damiena przed Featherstone'em.

Gospodyni zatrzymała ją. Splotła drżące ręce, z jej twarzy odpłynęła cała krew.

- Nie... nie może mu panienka powtórzyć tego, co właśnie powiedziałam. Nie wie, że podsłuchiwałam go w wieży.

Pracuję tu prawie przez całe swoje życie. Nie jestem taka jak Featherstone. Nie mam nic i nikogo. Proszę, panienko, nie może mu panienka powtórzyć. Nie mogę poświęcić siebie dla panienki i tej Urszuli Pole, jak to zrobił Featherstone.

Aleksandra patrzyła na gospodynię, serce miała rozdarte. Rozumiała położenie pani Penrith, ale bała się o Damiena.

Nigdy nie uważała Featherstone'a za łagodnego, zrównoważonego, starszego pana. Po tym, czego się teraz dowiedziała, zastanawiała się, czy naprawdę nie wróci, żeby się zemścić za swój wymaginowany romans z Urszulą.

- Nic mu nie powiem o naszej rozmowie - obiecała w końcu pani Penrith - ale muszę mu powiedzieć coś o Featherstone. Z pewnością to pani rozumie. To dla jego własnego bezpieczeństwa.

- Tak, tak, ale nie może panienka wspomnieć, że ja o tym wiem. Nie mogę ryzykować utraty posady. To wszystko, co mam. - Gospodyni smutno rozejrzała się po swym małym saloniku i Aleksandra poczuła szarpnięcie w sercu.

Gospodyni po tylu latach pracy miała tylko te dwa malutkie, dość skromne pokoiki i pozycję gospodyni w ponurym, starym zamku. Nigdy nie wyszła za mąż i cały szacunek, jakim się cieszyła, zyskała nie dzięki małżeństwu, lecz dzięki pracy. Aleksandrze łatwo było wyobrazić siebie jako podstarzałą i samotną starą pannę.

Jej nienawiść do Urszuli Pole przypominała uderzenie pioruna. Myślała, że już wcześniej gardziła tą kobietą, ale to było nic. Była to nienawiść, uczucie tak czarne i czyste, że Aleksandrze jego gwałtowność odebrała dech.

Damien przypuszczalnie ją zamordował. Był prawdopodobnie niezrównoważony i trudno go uznać za najlepszego kandydata na męża. A wszystko przez Urszulę. To Urszula go takim uczyniła. Zwabiła go w ciemności, ciemności, które tkwią w każdym. I jeśli ją zabił, ona go do tego sprowokowała.

A teraz Urszula Pole niszczyła również życie Aleksandry Benjamin. Sprawiała, że Aleksandra dostrzegła drugą, ciemną stronę swej duszy, do istnienia której nigdy nie chciała się przyznać.

- Muszę odpocząć, pani Penrith. Mam za sobą bardzo męczący dzień. I dużo rzeczy do przemyślenia, dużo spraw do omówienia. Proszę mi wybaczyć. - Aleksandra wstała i podeszła do drzwi. Położyła rękę na klamce, a potem rzekła: -

Dobranoc. Nie ujawnię niczego o pani Damienowi. Powinnam pani podziękować za to, co mi pani powiedziała dziś wieczorem.

- Proszę nie dziękować. Wiem, że chociaż ma panienka dobre serce, nie jest mi panienka wdzięczna. Proszę wierzyć, że sprawiło mi prawdziwy ból, iż musiałam to panience powiedzieć. Nie miałam pojęcia, że się panienka w nim zakochała. - Pani Penrith osuszyła oczy.

Ten obraz utkwił w pamięci Aleksandry: drobniutka, na czarno odziana gospodyni, siedząca na skraju kanapki w swoim małym, skromniutkim saloniku, wycierająca chustką oczy, po których rzadko kiedy można było coś poznać.

Aleksandra, życząc jej dobrej nocy, udała się do swojego pokoju. Ten obraz ją prześladował.

Bała się, że tak będzie wyglądała jej przyszłość.

*

Czekał na nią.

Aleksandra zamknęła drzwi swej pogrążonej w mroku sypialni i znużona oparła się o drzwi. Damien siedział w fotelu koło łóżka, niewidoczny w ciemności.

Podeszła do lampy gazowej i sięgnęła do gałki, by podkręcić płomień. Chciała, żeby światło zalało pokój, żeby był

jasny i pełen życia. Dosyć miała ciemności. Wypełniały jej duszę.

- Nie - szepnął, wstrzymując jej wyciągniętą rękę.

- Jest tu za ciemno - powiedziała, nagle zaniepokojona.

- Lubię ciemności. Łagodzą kontrasty. - Pociągnął ją i posadził sobie na kolanach, ale nie próbował jej całować.

Jedynie przyglądał się bardzo długo, jakby próbował z jej twarzy odczytać cienie. - Gdzie byłaś? Długo na ciebie czekałem.

111

- Featherstone opuścił zamek i oszczędził ci trudu zwolnienia go.

- Skąd o tym wiesz?

- Spotkałam na korytarzu panią Penrith i ona mi o tym powiedziała - odparła, ograniczając się do podstawowych informacji.

- Co jeszcze powiedziała?

Wzdrygnęła się. Ton jego głosu był złowrogi. Miała ochotę zdjąć Damienowi okulary i wrzucić je do kominka.

Odgradzał się nimi od ludzi.

- Zaprosiła mnie do siebie na herbatę. Chciała... - Aleksandra przełknęła łzy, które nagle napłynęły jej do oczu. -

Chciała mi pogratulować w związku z naszymi zaręczynami.

- Ja też życzę nam szczęścia - stwierdził ponuro.

- Będziemy szczęśliwi - powiedziała, nagle ukrywając twarz w jego ramionach. Łzy, które starała się powstrzymać, strumieniem spłynęły po jej policzkach. Tuliła się do niego, szlochając. Poczuła, że jego ręka głaszcze jej włosy.

- Co się stało? - spytał, całując ją w skroń.

- Nic - skłamała, nie mając odwagi mu tego wyznać.

- Coś się musiało stać. Jesteś bardzo zdenerwowana. Widzę melancholię w twoich oczach. Brak w nich... nadziei.

Zaczęła się bawić rogowymi guzikami przy jego surducie. Musiała wymyślić jakąś historyjkę, ale nie miała w sobie dość sprytu.

- To, co Featherstone zrobił dziś wieczorem, było okropne. Nadal nie daje mi to spokoju.

- Kiedy rozmawialiśmy ostatnio, broniłaś go i nalegałaś, żebym mu wybaczył. Coś się zmieniło? - Zacisnął szczęki.

Widziała, że jej nie wierzy.

Wytarła oczy. Wydawało jej się, że przez ostatnie tygodnie wciąż tylko lała łzy.

- Pani Penrith powiedziała mi o jego wyjeździe. Ubzdurał sobie, że jest zakochany w pannie Pole, ale o tym wiesz.

Ostatnio wbił sobie w głowę, że ona wcale nie wystawiła go do wiatru, jak dotąd myślał. Uważa, że ty mu ją odebrałaś.

- Zniżyła głos do szeptu. - Boję się, że może chcieć zemsty. Musisz zachować ostrożność, Damienie.

Damien patrzył jej w oczy, szukając prawdy.

- Od lat służba gadała, że ją zamordowałem. Featherstone nigdy w to nie wierzył. Za bardzo był wściekły na Urszulę.

Więc czemu teraz uwierzył, Aleksandro?

Ton jego głosu przeraził ją. Jego hamowany gniew lada chwila mógł wybuchnąć. Drżąc, uwolniła się z jego objęć.

- Pytałam cię już, czy ją zamordowałeś. Pamiętam, co mi odpowiedziałeś.

- Pamiętasz, ale skoro Featherstone przestał w to wierzyć, ty też zmieniłaś zdanie. Czy tak?

Nie mogła spojrzeć mu w oczy. Nie śmiała. Jeśli ujrzy w jego oczach coś innego, oszaleje.

Odwróciła wzrok jak tchórz, którym w gruncie rzeczy była.

- Znalazłam... znalazłam fragment jej dziennika, mój drogi. Wyrządziła ci najgorsze zło. Ale przeszłość minęła.

Czemu mamy ciągle ją drażnić?

- Sądzisz, że jestem mordercą. - Złapał ją za ramię i zmusił, by spojrzała mu w oczy. - I zastanawiasz się, czy poślubić mężczyznę, który zamordował kobietę, mężczyznę, który mógł zacisnąć ręce na jej szyi i pozbawić ją życia.

- Tak - powiedziała, nie umiając dłużej tego ukrywać. Jej uczucia przypominały szklanekę, która się rozprysła na wszystkie strony, gdy pani Penrith rzuciła kamieniem swoich oskarżeń.

Wolno cofnął ręce. Przez ciągnącą się w nieskończoność chwilę patrzył jej w oczy, a ona szukała prawdy po omacku, chcąc zobaczyć w oczach za szklami okularów zwykłego śmiertelnika. Jednak nie znalazła nic prócz zimnej, okropnej ciemności.

- Życzę dobrej nocy, panno Benjamin. I proponuję, żeby zamknęła pani na noc drzwi, bo jeszcze mogę sobie wbić w głowę, żeby... - urwał, nie kończąc myśli. Nie był w stanie. Przyglądała się zafascynowana, jak rysy jego twarzy sztywnieją. Rzucił jej jeszcze jedno spojrzenie, a potem wyszedł, trzaskając drzwiami. Aleksandra wolno osunęła się na kolana.

*

Percival Featherstone prawdopodobnie nigdy nie był człowiekiem zbyt zrównoważonym. Służył sumiennie przez lata, tak jak jego ojciec, a przed nim dziadek. Ale, prawdę mówiąc, zawsze miał słaby umysł, podatny na sugestie.

Szczególnie młodych, pięknych kobiet.

A teraz zupełnie odjęło mu rozum.

Prawdopodobnie najbardziej uwidoczniło się to w fakcie, że przeprowadził długą rozmowę - cały czas wyrażając się jasno i składnie - chociaż oprócz niego w pokoju nie było nikogo.

- Jesteś taka śliczna, taka śliczna - szepnął, obojętnie gładząc pistolet, który trzymał przed sobą jak fallusa. - Nie postarzałaś się ani trochę. Wciąż jesteś taka śliczna i w końcu po mnie przysłaś. Ale dlaczego nie pojawiłaś się wcześniej? Byłem tu bez ciebie taki samotny. Potrzebowałem cię jak nikt. Nikt nigdy nie dotykał ciebie tak jak ja. -

112

Wstał z małej, dziecięcej ławki szkolnej. Otworzył okiennice i wpuścił światło księżyca do dawno nieużywanego pokoju do nauki w Cairncross.

- Czekam, moja prawdziwa miłości - szepnął w noc. - Powiedz mi, czego chcesz, żeby pomścić tę tragedię. Nie zagna szczęścia ten, kto próbował zniszczyć nasze.

Odwrócił się. Ażurowa barierka przy mahoniowym biurku Urszuli Pole rzuciła zawily wzór na przeciwległą ścianę, patrzył jak zahipnotyzowany. Wśród cieni pojawiła się jakby czyjaś sylwetka, męski profil. Podszedł bliżej.

- Czy tego chcesz? - szepnął. Na jego pomarszczonym czole pojawiły się krople potu. Uniósł pistolet i przytknął go do skroni sylwetki. Odciągnął spust, a potem wystrzelił.

Rozległ się głuchy szcęk. Broń nie była nabita. Na razie.

Ze śmiechem odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. Raz za razem odwodził kurek i strzelał w skroń cienia.

W pewnej chwili usłyszał jakiś hałas. Ktoś nacisnął jedną deszczułkę boazerii i w cieniu zamajaczyła czyjaś postać.

- Czy to ty, najdroższa? - szepnął, idąc w kierunku pachnącej pleśnią postaci. Tam, gdzie tunel przechodził w kamienne schody, ujrzał malowidła; wieńce laurowe i łby baranów połyskiwały w świetle świecy płonącej gdzieś w oddali. Było to tajemne wejście do katakumb.

- Powiedz, co mam zrobić. Po tych dwudziestu długich latach możesz rozporządzać mną według swojej woli -

powiedział schrypniętym głosem.

Postać wciągnęła go do katakumb. Na długą, straszną chwilę przytknęła usta do jego ust.

Potem deszczułka wróciła na swoje miejsce i oboje zniknęli.

29

Następnego ranka Aleksandra leżała w łóżku z ciężkim sercem i z obolałą duszą. Mary przyniosła herbatę i grzanki, teraz krzątała się po małym pokoju, rozsuwając zasłony i porządkując garderobę. Aleksandra tylko się jej przyglądała.

Mary nie pogratulowała jej zaręczyn. Była podejrzliwie milcząca. Nie pochwałała decyzji swej pani.

Jednak Aleksandra zaczęła się poważnie zastanawiać, czy w ogóle dojdzie do tego małżeństwa, które przecież Mary musiałaby zaakceptować. Ostatniego wieczoru Damien okazał taki chłód. Jakby się łamał. Wszystko rozprysło się jak kryształowa kula, która spadła na marmurową podłogę. Aleksandrze wydawało się, że nie zdoła nic na to poradzić.

- Czy mam posłać po gorącą wodę i przygotować kąpiel? - Pokojówka stała przy łóżku, podając jej szlafrok.

Nie był to szlafrok Aleksandry, lecz Damiena. Nie miała okazji go oddać. Teraz ją zdradził.

Nagle Mary spostrzegła, że to, co trzyma w ręku, nie należy do Aleksandry. Rozpoznała męski szlafrok.

Spojrzenia Aleksandry i Mary spotkały się. Wyraz oczu Mary świadczył o tym, że pokojówka wyciągnęła słuszne wnioski. Nagle zrobiło jej się słabo. Czują, że krew odpływa jej z twarzy.

- Moja droga, lepiej go odłóżmy. Nie mam pojęcia, skąd się tu wziął - powiedziała Mary, najwidoczniej chcąc jej oszczędzić przykrości.

- Należy do Damiena. Powinnaś mu go odnieść. - Aleksandra nie zamierzała kłamać. Prawda wyszła na jaw. Zresztą chciała być szczerą wobec Mary. Przyjaźń pokojówki to wszystko, co miała na tym świecie. Nie mogłaby oszukiwać Mary, jednocześnie błagając ją o wsparcie.

- Wiem, że go kochasz - rzekła cicho Mary, kładąc szlafrok na fotelu przy kominku.

- Kocham go - szepnęła Aleksandra, oczy jej pociemniały ze smutku. - Ale tak się boję... - Nagle w jej oczach pojawiły się łzy. Położyła głowę na poduszce i pozwoliła im płynąć.

Mary podeszła do łóżka i objęła swoją panienkę. Aleksandra łąkała na ramieniu pokojówki, znajdując ulgę po wszystkich rozterkach, które ją dręczyły.

W końcu uspokoiła się, wzięła podaną sobie chusteczkę i wyznała:

- Co mam robić? Damien przeraża mnie, ale go pragnę. Oddałam mu się. Kocham go. Ale nawet nie wiem, czy on potrafi kochać. Pani Penrith uważa, że powinnam wyjechać, i to jak najprędzej, ale coś mnie tu trzyma. Malutka iskierka nadziei. Błysk w jego oczach na widok brata Samuela. Czy moja miłość do Damiena wystarczy, by rozwiązać wszystkie problemy? Czy pokona ciemność, jaka w nim tkwi? Czy też sprawi, że on zwróci się przeciwko mnie? -

Otarła mokre policzki. Nie widziała przed sobą żadnego wyjścia. Nie wyobrażała teraz sobie powrotu do Londynu, ponieważ Damien ją odmienił na zawsze. Może nawet nosi w łonie jego dziecko. Nie mogła zacząć wszystkiego od początku, jakby nigdy nie przyjechała do Cairncross, nie poznała Newella.

- W głębi serca czuję, że muszę walczyć - wykrztusiła. - Jest w nim dobroć. Kocha swojego brata.

Bez chwili zastanowienia oddałby za Sama życie. Ale nie mogę zrozumieć, z czym tu walczę. - Spojrzała na Mary, która ją obejmowała, pozwalając, by emocje Aleksandry znalazły ujście. - Nie wiem nawet, z czym walczę. Czy walczę z duchem, wariatką, czy, co gorsza, z szaleństwem w Damienie?

- Może jeszcze za wcześnie, by to wiedzieć. Boję się o ciebie, moje dziecko. Po prostu boję się o ciebie - szepnęła Mary.

Jak zwykle rude, siwiejące loki Mary wystawały spod czepka i Aleksandrę nagle uderzyło, że Mary jest całkowitym 113

przeciwieństwem Urszuli. Obie miały rude włosy, ale włosy Mary zdradzały wiek i świadczyły o jej błogosławionej śmiertelności. Urszuli - nie.

- Zostanę, Mary - powiedziała. Na myśl o Urszuli jej łzy nagle wyschły. - Ale myślę, że ty powinnaś wrócić do Londynu. Na krótko. Widzisz, postanowiłam z nią walczyć. Po prostu dlatego, że tak bardzo nią gardzę.

- To nie jest dobry powód. Lepiej, gdybyś walczyła dlatego, że tak mocno go kochasz.

Aleksandra była ciekawa, czy właśnie to czuł Damien. Ciekawa była, czy wyraz jej oczu świadczył o spustoszeniach, jakie się w niej dokonały, czy też w końcu nauczyła się ukrywać swoje uczucia pod maską chłodu i wyniosłości, tak jak on.

- Tak bardzo go Kocham - szepnęła. - Bóg mi świadkiem, jak bardzo.

*

Nazajutrz panował przenikliwy chłód. Drobnny deszczyk po południu przemienił się w śnieg, który pobielił odległe wzgórza. Wrzosowiska i kopce majaczyły pod zimowym niebem jak duchy.

Aleksandra rozpoczęła przygotowania do wyjazdu Mary do Londynu. Pokojówka protestowała, lecz Aleksandra była nieugięta. Bała się. Nie chciała, żeby Mary z oddania i miłości do swej podopiecznej padła ofiarą zła panoszącego się w Cairncross. Kochała Mary. Najważniejsze, by Mary była bezpieczna.

Aleksandra miała zajęcia z Samem, który wciąż nie chciał mówić. O wpół do piątej, kiedy pani Penrith pojawiła się z podwieczorkiem, Aleksandra obserwowała przez okno w pokoju muzycznym, jak Damien, przedarłszy się przez zasypany śniegiem, dosiadł konia i pogalopował na wrzosowiska.

- Dokąd pojechał? - spytała panią Penrith.

- Przypuszczam, że na spotkanie z diabłem, z którym zawarł pakt - powiedziała kobieta, pokręciła głową i wyszła z pokoju.

Aleksandra siedziała z filiżanką herbaty, nie mogąc się na niczym skupić. Samuel siedział w swoim fotelu, w milczeniu bujał się w przód i w tył, jakby to sprawiało mu ulgę. Szyby w oknach

wychodzących na zachód pokrywały zamrożnięte płatki śniegu. Jej niepokój o Damiana przewyższała tylko potrzeba poznania prawdy.

- To na dzisiaj wszystko, Samuelu. - Dotknęła ręką jego policzka.

Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy, potem wstał i wyszedł bez słowa.

Uniosła spódnicę i przygotowała się na długą wspinaczkę do pokoju w wieży. Jej wizyta będzie niezapowiedziana, ale musiała zobaczyć się z lady Bess. Babka Damiana wiedziała o tym, co się działo w Cairncross, o wiele więcej, niż się do tego chciała przyznać. Nadeszła pora, by wyznała wszystko.

- Jeśli drzemie, to poczekam - powiedziała do Millicent po przyjściu.

- Panienko, milady ostatnio niezbyt dobrze się czuje. Nie pozwalamy jej przyjmować niezapowiedzianych gości -

oznajmiła służąca, splatając ręce dla podkreślenia swych słów.

- Kto tam? - rozległ się głos zza perkalowej zasłony, a po chwili pojawiła się lady Bess. Jej cienkie, potargane włosy nie były spięte, twarz miała zaspaną. Wyglądała tak samo, jak na schodach owej nocy, kiedy tak przestraszyła Aleksandrę.

- Damien ogłosił nasze zaręczyny. Mamy się pobrać. - Aleksandra zamilkła, czekając na reakcję lady Bess.

Zaskoczyła ją radość, którą ujrzała na twarzy staruszki.

- A więc w końcu się zdecydował. Moje marzenia się spełniły. Dzięki Bogu. Tak bardzo jesteś mi potrzebna -

powiedziała lady Bess, klaszcząc w dłonie.

Aleksandra pomogła jej usiąść w fotelu.

- Och, to cudowna wiadomość, wspaniała wiadomość! - wykrzyknęła wiekowa arystokratka. Stuknęła łaskaw podłogę. - Millicent, przynieś nam sherry. Musimy to uczcić!

Aleksandra ujęła jej bezwładną, pomarszczoną dłoń w swoje ręce i przyklękła przed nią. Wpatrywała się w starą kobietę pociemniałymi oczyma.

- Myślę, że to przedwcześnie.

- Jak to? - zdumiała się lady Bess. - Co się stało?

- Mam poważne obawy co do charakteru Damiana. Chcę wiedzieć to wszystko, co pani wie. Czuję, że wkrótce będę musiała podjąć decyzję.

Lady Bess patrzyła na Aleksandrę. Na jej twarzy malowała się dziwna mieszanka winy, konsternacji i lęku.

- Musisz go poślubić. Będiesz dla niego dobrą żoną, Aleksandro Benjamin. Potrzebuje kogoś tak zrównoważonego jak ty.

- Jestem mu potrzebna tak samo, jak on mnie. - Aleksandra urwała. Trudno jej było mówić. - Ale chodzi o coś więcej niż potrzeba. Muszę wiedzieć, kogo poślubię. Muszę wszystko wiedzieć o Damienie. Muszę wiedzieć, czy zamordował Urszulę.

Ręka lady Bess stała się zimna jak lód. Staruszka odwróciła oczy, zmarszczki na jej twarzy pogłębiły się.

114

- Zrobił to? - szepnęła Aleksandra.

Lady Bess ruchem ręki odprawiła Millicent. Stara służąca natychmiast zniknęła za perkalową zasłoną. Kiedy zostały same, lady Bess powiedziała:

- Nie wiem, czego ode mnie chcesz. Czy widziałam, jak ją mordował? Nie. Czy powinnaś go kochać i wspierać mi-mo wszystko? Tak, ponieważ można go kochać. I ponieważ potrzebuje kogoś, kto nauczyłby go miłości, ponieważ je-go rodzice... - rzekła ponuro, głosem nabrzmiałym od łez - ponieważ jego rodzice tak go zawiedli pod tym względem.

- Była pani starą kobietą już dwadzieścia lat temu. Nie mogła pani dużo zrobić, by pomóc Damienowi, nawet gdyby pani chciała. - Aleksandra pochyliła głowę i w zamyśleniu wpatrywała się w podłogę. - Nie wolno się pani dłużej obwiniać za sprawy przeszłe. To już minęło, a ja tu jestem tylko z uwagi na przyszłość. Jeśli zamordował Urszulę, może z czasem będę mu mogła wybaczyć taki grzech. Niemniej muszę wiedzieć. Mam prawo wiedzieć, jeśli mam zostać jego żoną.

Lady Bess położyła zdeformowaną dłoń na jej włosach i czule je pogładziła.

- Nie widziałam, żeby ją zabijał, ale przed wyjazdem z domu Damien rozmawiał z nią na schodach w wieży. Miał

wszelkie powody, by ją zamordować, i sądząc po słowach, które do niej skierował, wcale nie krył się z tym, że pragnie jej śmierci. Żałuję, że nie mogę powiedzieć nic innego. Boję się, że stąd wyjedziesz i wtedy nic już nam nie zostanie.

Nie wiem, czy zamordował Urszulę. Wiem jedynie, że nigdy temu nie zaprzeczył.

Aleksandra poczuła, jakby wielki ciężar rzucono na jej i tak przeciążone barki. Wydawało się teraz niemożliwością wykluczyć winę Damie- na. Zamordował Urszulę Pole i teraz należało odpowiedzieć na jedno pytanie: czy ona, Aleksandra Benjamin, może z tym żyć. Odpowiedź brzmiała: nie.

- Wiem, że to szokujące. Sama myśl jest odrażająca - pospiesznie wyjaśniła staruszka. Kiedy patrzyła

na bladą twarz Aleksandry, w jej głosie zabrzmiała rozpacz. - Ale miał powód, żeby to zrobić. Pamiętaj, że miał powód.

- Mógł mieć powód. Wierzę, że miał prawo jej nienawidzić. Ale czy zasługiwała na śmierć, nie mnie o tym sądzić. -

Aleksandra wolno wstała. Nie odczuwała potrzeby płaczu. Jej serce wypełniła wyjąca, ciemna pustka.

- Wyjdź za niego. Nie rezygnuj z niego przez nią. Walcz o niego. Proszę.

Aleksandra sztywno podeszła do drzwi wieży.

- To nie z nią muszę walczyć. - Głos jej się łamał, ale nie rozplakała się. - Teraz przynajmniej wiem. - Wyszła, nie obejrzawszy się za siebie. Nie widziała, jak stara kobieta wyciągnęła do niej ręce w niemym błagalnym geście. Ani tego, jak lady Bess w końcu ukryła twarz w swych starczych dłoniach, a z jej gardła wydobył się przejmujący szloch.

*

Czekała na niego w wielkim westybulu. Następnego dnia Jaymes miał zabrać Mary, a może i ją, na stację kolejową w Yorku. Niewykluczone, że przed końcem tygodnia obie wprowadzą się do jakiegoś mieszkania, a Mary wróci do swych normalnych obowiązków służącej, lecz Aleksandra nie potrafiła sobie wyobrazić, by cokolwiek mogło być jeszcze normalne.

Damien wrócił dobrze po dziesiątej. Ramiona i głowę miał mokre od topniejącego śniegu, na dworze utworzyły się głębokie zasy. Dawniej Featherstone wychodził mu na spotkanie, teraz powitał go lokaj i pomógł mu zdjąć sztywny od mrozu płaszcz.

Obserwowała go, ukryta w cieniu. Odgarnął do tyłu wilgotne, jasne włosy i wytarł okulary rękawem koszuli. Jego twarz była urodziwa, ale sroga. Poczula ból, kiedy sobie przypomniała, jak pieszczotliwe głaskanie policzka łagodziło jego rysy.

- Wybrał się pan na długą przejażdżkę, milordzie - rzekła.

Odwrócił się i spojrzał w ciemność. Znużonym gestem włożył okulary.

- To ty, Aleksandro - powiedział. Jego oblicze odarte było z wszelkich emocji.

- Czekałam, żeby z tobą porozmawiać. - Wyszła z cienia.

Patrzył, jak lokaj znika za obitymi rypsem drzwiami. Kiedy zostali sami, powiedział:

- Chodź. Porozmawiasz ze mną na górze.

- Nie. Nie mogę być z tobą dłużej. Chciałam ci powiedzieć, że odchodzę.

Potarł brodę. Dostrzegła błysk gniewu w jego oczach, ale się opanował.

- Nie wyjedziesz.

- Powiedz mi prawdę, co zrobiłeś Urszuli Pole, to może zostanę. Ale muszę znać prawdę.

- Nie zamordowałem jej. Mogłem. Czasem nawet żałowałem, że tego nie zrobiłem, ale nie zrobiłem tego.

- Bess i inni mówią co innego. Muszę wiedzieć.

- Dlaczego? - Złość aż się w nim gotowała, grożąc wybuchem. - Cóż to dla ciebie za różnica? Może masz rację i Urszula wcale nie umarła, a my tylko tracimy czas na rozważania o tym, kto mógł być jej mordercą.

- Nigdy mi nie wspomniałeś, że groziłeś jej śmiercią.

- Czy twój szacunek do mnie wzrósłby, gdybym ci to powiedział? - Spojrzał jej prosto w oczy, jego usta wykrzywił

115

ponury, cyniczny uśmiech. - Widzę po twojej twarzy, co o mnie myślisz teraz, kiedy jesteś przekonana, że jestem mordercą. Pytam cię więc, jaki mam bodziec, by wyznać, że zabiłem Urszulę? Czy to poprawi sytuację? Czy pokochasz mnie jeszcze bardziej?

Jego logika była nie do podważenia. Serce jej krwawiło, ale to nie miało wpływu na jej postanowienie.

- Nie mogę zostać z mordercą, po prostu nie mogę - odparła cicho. - Przekonałam się, że nie mogę wierzyć wszystkim twoim słowom. Więc teraz nie ma znaczenia, co powiesz. Rano wyjeżdżam z Mary.

Zacisnął zęby. W jego oczach pojawił się groźny błysk.

- Poprosiłem cię, żebyś została moją żoną, Aleksandro. Oddałaś mi się. To nas związało na zawsze. Zostaniesz ze mną.

- Nie - powiedziała drżącym głosem. - Dlatego muszę wyjechać teraz, zanim będzie za późno.

Zrobił krok w jej kierunku.

- Jeśli będę musiał, zatrzymam cię tu wbrew twojej woli.

Cofnęła się bardzo powoli, żeby nie zorientował się, jak się boi.

- To nie twoje królestwo, milordzie, żebyś mógł robić, co zechcesz, ze swymi poddanymi.

- Może to nie moje królestwo, ale jeśli cię tu zatrzymam, kto po ciebie przyjedzie? Jeśli odeślę twoją nieśmiałą służącą Mary do Londynu, czy wróci z posiłkami, by cię odzyskać? Czy twój ukochany Brian po czasie uświadomił

sobie, że cię kocha, i natrze na Cairncross, jakby wyszedł spomiędzy kart powieści pocziwego Waltera Scotta?

Jego sarkazm dotknął Aleksandrę. Zatrzęsła się ze złości.

- A więc wiesz o *Ivanhoe*? Czy to ty postanowiłeś mnie dręczyć egzemplarzem tej książki? Czy tylko szczęśliwym zbiegiem okoliczności pomyślałeś sobie, że właśnie ta powieść w szczególny sposób działa na nerwy porzuconej córce Żyda?

- Tak myślisz? Że jestem lunatykiem, zakradającym się, by robić ci te głupie figle? - Roześmiał się nieprzyjemnie i znów postąpił krok w jej stronę.

Cofnęła się.

Zaczął się do niej podkradać.

- Zapewne uważasz, że jestem szaleńcem, Aleksandro - powiedział, odsuwając na bok poczerńiałe, dębowe krzesło. -

I wiesz co? Jestem nim. Ponieważ nie zamierzam pozwolić ci odejść ani jutro, ani kiedykolwiek. Zostaniesz u mego boku i jeśli tylko szaleniec może cię tu zatrzymać, będę szaleńcem. - Wyciągnął do niej rękę.

Wyślizgnęła się, by uciec, ale zagroził jej drogę.

- Zostaniesz ze mną, Aleksandro.

- Nie w ten sposób - zdyszana próbowała się od niego odgradzić krzesłami. - Ślubowałam ci miłość, ale nie zatrzymasz mnie siłą. Nigdy. To ona w ten sposób rozumiała miłość, nie ja.

Zatrzymał się. Ich spojrzenia się spotkały, przyglądał jej się przez długą chwilę, chłonąc każdy szczegół jej twarzy, każdy błysk emocji w jej oczach.

- Żaden inny mężczyzna nie będzie cię wielbił tak jak ja. Żaden inny mężczyzna nie będzie cię tak potrzebował jak ja

- powiedział zachrypniętym głosem.

- Skoro tak mnie szanujesz, dlaczego nie powiedziałeś mi prawdy? Dlaczego mi nie powiedziałeś o rozmowie, którą odbyłeś z Urszulą w wieży ostatniego dnia? Wiem to od lady Bess. Zamordowałaś ją, prawda? Prawda? - Ostatnie pytanie przerodziło się w jęk cierpienia.

Zrobił krok w jej stronę, zeszywniały od hamowanej gwałtowności.

Cofając się, zaczepiła spódnicą o koniec wiszącego na ścianie miecza. Zachwiała się i wpadła prosto w jego ramiona.

- Nie! - protestowała.

W jego oczach malowała się bezwzględność. Jego stalowy uścisk przypominał szczęki pułapki.

- Proszę nie rób tego. Proszę - błagała.

Musnął zębami wrażliwą skórę jej ucha, kusząc ją, zapraszając do erotycznego tańca.

- Jeśli powiesz, że nie znajdujesz w tym żadnej przyjemności, to okażesz się większym łgarzem ode mnie. - Pochylił

się i zamknął jej usta pocałunkiem. Próbowwała odwrócić głowę, ale unieruchomił ją w swych ramionach.

Z gardła Aleksandry wyrwał się jęk rozpacz. Jej usta pragnęły go, ale rozum się buntował, I przez cały czas przeklinała zdradzające ją ciepło, które zaczęło bić od jej łona.

- Przyjemność to nie wszystko, Damienie - powiedziała, kiedy pociągnął ją ku schodom.

- A co szybciej skłania do niszczenia niż pogoń za przyjemnością? - powiedział ochryple, pokonując po dwa stopnie na raz.

- Możesz ją znaleźć z każdą kobietą - krzyczała, próbując się wyrwać. - Więc weź sobie jedną z dziewczek służebnych, a mnie zostaw w spokoju.

- Wybrałem przyjemność i miłość. - Zmierzał do drzwi sypialni, ramię miała unieruchomione w jego uścisku. Stał

116

tak, że plecami opierała się o zamknięte drzwi, i otoczył ją ramionami. - Powiedz, że mnie nienawidzisz, Aleksandro, a pozwolę ci odejść. To twoja miłość ciągnie mnie do ciebie, dręczy mnie swoją rzadkością. Powiedz, że mnie nienawidzisz, a uczucie zgaśnie jak węgle pozostawione w kominku.

- Nienawidzę cię! - krzyknęła, złobiąc mu policzki paznokciami, żeby tylko ją uwolnił ze swego żelaznego uścisku.

- Spójrz na mnie i powiedz prawdę. - Potrząsnął nią.

Uspokoiła się, dysząc ciężko, oparła się o framugę drzwi. Kiedy w końcu spojrzała na niego, w jego oczach ujrziała wściekłość.

- Nienawidzę cię... - słowa nie chciały jej przejść przez gardło. - a zarazem kocham. I dlatego,

milordzie, jutro rano wyjadę.

Opuścił głowę i pochylił się tak, że czuła jego ciepły oddech muskający jej policzek.

- Nie, Aleksandro, ja cię zatrzymam, zostaniesz tu, póki nie spocznię w grobie, a moje prochy rozwieje wiatr na wrzosowisku.

Ich spojrzenia się spotkały.

- Zaprzecz, że mówię poważnie. Ośmiel się.

Spuściła wzrok. Błąd. Był to znak poddania się.

Rozum jej podpowiadał, żeby zachować godność i dystans. Prawdopodobnie Newell był szalony. Wszystkie te sztuczki to przypuszczalnie jego sprawka i nawet teraz niechybnie znajdował chorobliwe zadowolenie, widząc jej strach.

Ale kochała go. I przez tę miłość jego zmagania stały się jej zmaganiem, jego pasje - jej namiętnościami. A teraz okazało się, że pod każdym względem stanowi przeciwieństwo Briana. Nielojalność Briana mogła ją zabić. Damien zaś zamierzał ją zabić swą obsesją.

Przyciągnął ją do siebie.

Przechyliła głowę. Może gdzieś w podświadomości formułowała gwałtowny sprzeciw, który miała na końcu języka.

Ale kiedy z całej siły zaczął całować jej usta, nie zaprotestowała. A w miarę jak pocałunek trwał, stwierdziła, że nigdy nie zdobędzie się, by mu się sprzeciwić.

Czuła się jak we śnie, z którego nie potrafiła się obudzić. Uświadomiła sobie, że pozwoliła, by wziął ją za rękę i pociągnął do swego pokoju. Kiedy kładł ją na łóżku, rozsądek błagał, by uciekała, ale nie zrobiła tego. I z każdym jego żarliwym pocałunkiem - w szyję, w dłoń, w ciasno związaną gorsetem pierś - była coraz bardziej pewna, że jego mi-

łość nie jest normalna. W zwyczajnym życiu, jakie wiodła kiedyś, taka miłość nawet nie była potrzebna.

Ale kiedy już raz tama puściła, nic nie mogło powstrzymać nurtu.

Rzeka płynęła swobodnie.

30

Aleksandra otworzyła zapuchnięte oczy. Bolały ją wszystkie mięśnie. Leżała nago w stłamszonej pościeli. Paliły ją wspomnienia poprzedniej nocy.

Wiedziona szóstym zmysłem, nawet nie odwracając się i nie patrząc wyczuła, że Damien już wstał.

Zdziwiła się, że wciąż jeszcze był w pokoju. Leżąc na boku, twarzą do okna, ujrzała, że zdążył jedynie w pośpiechu wciągnąć spodnie, których jeszcze nawet nie zapiał. Wpatrywał się w rozległą białą przestrzeń, która jeszcze wczoraj była ciemnobra -

natnym wrzosowiskiem. Stał nieruchomo, bez słowa. Gdy spojrzał na nią, w jego twarzy dostrzegła pustkę. Była odarta z uczuć jak ośnieżone wzgórza z barw.

Zamknęła oczy. Mrok rozpanoszył się w jej sercu, przygniatał ją ołowianym ciężarem. Próżno było oczekiwać, by radośnie czekał przy jej łóżku, by nalać poranną kawę, jak czułby mąż. Ostatnia noc była zbyt szalona na takie sceny; zbyt szalona, zbyt niegodziwa, zbyt tajemnicza i erotyczna, by rano mogli się objąć i cmoknąć na powitanie. Ale w głębi swej kobiecej duszy tęskniła za czymś takim. W marzeniach widywała siebie jako śliczną, młodą żonę bogatego mężczyzny. Pragnęła zdrowych, wesołych dzieci i zwyczajnego życia. Wyobrażała sobie, jak siedzi na kolanach męża, wsuwa mu cukierki do ust, śmieją się beztrudno, może nawet się przewrócą, wyczerpani śmiechem.

Ostatnia noc zdawała się wyraźnie wykluczać jakąkolwiek możliwość takiego życia. Mówiły o tym oczy Damiena pozbawione uczuć.

Nie pamiętała nawet, ile razy ją posiadał, każde kolejne zbliżenie sprawiało jej coraz większy ból. Za każdym razem stawał się brutalniejszy, jakby coś go pchało do miłosnego z nią złączenia.

Na końcu położył ją sobie na brzuchu i zmusił ją do odbycia aktu. Jęczała, że nie może, ale jego wielkie, silne ręce kierowały nią, zmuszając jej biodra do ruchów. Najbardziej się wstydziła tego, jak szybko doznała przyjemności.

Opadła na niego, słaba od straszliwego nasycenia, a potem, ku jej upokorzeniu, zmusił ją, by zrobiła to ponownie.

Łapczywie objął jej piersi swymi dłońmi i nakłaniał ją do tego, szepcząc, że żaden inny mężczyzna nigdy nie będzie jej miał, nie będzie jej potrzebował, nie będzie jej pragnął tak jak on.

Kiedys sama myśl o czymś podobnym wywołałaby na jej twarzy rumieniec, teraz jednak leżała bezwładnie w skotłowanej pościeli, nie odczuwając wstydu. Jego metoda uwodzenia była diabelska, ale sprawdzała się. Chciał, żeby 117

poznała ciemną stronę ludzkiej natury; ostatniej nocy wyruszyła razem z nim w podróż przez mroczny świat. Każdym brutalnym, egoistycznym pocałunkiem w jej niechętne usta, każdym objęciem, którym ją przyduszał, budził w niej potrzebę, o której nie chciała wiedzieć, do której nie chciała się przyznać. Pokazał, że naprawdę potrafi być bez -

względny; znała tę cechę swojego charakteru, jednak lepiej było z tym nie igrać; w przeciwnym razie można było stoczyć się w otchłań.

Patrząc na jego obnażone, szerokie ramiona, myślała o ostatniej nocy.

Istotnie, spadała w otchłań.

Musiała się ratować. Chociażby dlatego, że oprócz szaleństwa chciała słodyczy, łagodności. Musiała się wyrwać, bo jeśli nie zdoła uratować jego, musi przynajmniej ratować siebie.

Wydostała się ze skotłowanej pościeli i zasłaniając się rękami, podkradła się do pobliskiego krzesła, na którym wisiał

jej szlafrok. Nie spuszczać z oczu Newella, zakryła nagie piersi. Miała nadzieję, że bę dzie patrzył przez okno na śnieg.

Pomyliła się. Stojąc na wprost niej, przesunął wzrokiem po jej nagim ciele, obserwując, jak pośpiesznie wkłada aksamitny szlafrok.

Nie odzywali się do siebie słowem. Milczenie łączyło ich jak brankę i zdobywcę, ucznia i mistrza. Nim wsunęła ręce w rękawy, zdążył przesunąć wzrokiem po jej figurze, zatrzymując się na jej pełnym biuście.

- Tak ci spieszno, by się ukryć przede mną. Dokąd zamierzasz pójść? - Skrzywił usta.

Niechęty spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Wyglądała jak upiór. Włosy miała potargane, spadały w nieładzie na ramiona niczym u prawdziwej nierządnicy. Pod burzą zmierzwionych włosów widoczna była blada ze strachu twarz z fioletowymi cieniami pod oczami.

Rozpaczliwie rozglądała się po pokoju za swoim ubraniem. Zniknęło. Dostrzegła jedynie koszulę Damiena leżącą na nocnym stoliku, gdzie ją rzucił ostatniej nocy.

- Twoje ubrania odesłałem na dół do pralni. Dziś wieczorem przyjedzie pastor, by udzielić nam ślubu.

Wcisnęła się w kąt między ścianą a mahoniowym biurkiem. Jego słowa brzmiały rozsądnie, ale ich sens do niej nie docierał. Nie mogą dziś wziąć ślubu. Nie bierze się ślubu na kilka tygodni. Związać się w ob liczu Boga i ludzi z człowiekiem, którego poznała ostatniej nocy, oznaczało jej koniec.

- Alex, wyglądasz jak ptak schwytyany w sidła.

Podszedł do niej bliżej.

Wyciągnęła ręce, jakby chciała go ostrzec. Jej dłonie napotkały ciepły mur mięśni jego brzucha. Pchnęła z całych sił, ale równie dobrze mogła spróbować poruszyć wzgórze. Ogarnięta paniką, poczuła, jak Damien wsuwa ręce pod szlafrok. Zsunął go jej z jednego ramienia i pocałował ją, przesuwając usta coraz niżej, aż udało mu się obnażyć jej pierś.

Wsunęła mu palce we włosy i odepchnęła jego głowę, nim zdążył ustami dotknąć brodawki. Spojrzał na nią, niemal domagając się wzrokiem, by pociągnęła mocniej, a potem szarpnął głowę i objął ustami koniuszek jej piersi.

- Nie chcę... - dyszała, czując, jak wpija zęby w jej ciało.

Jeszcze mocniej na nią naparł. Był mistrzem w dawkowaniu bólu, ale za każdym razem ból majaczył coraz bliższy, coraz bardziej nieuchronny. Teraz ustami miażdżył jej brodawkę, a kiedy krzyknęła, było to w równym stopniu wywołane rozkoszą, jak strachem, że wkrótce przekroczy próg, za którym były już tylko zniszczenie, ból i krzywda.

Maciała bezradnie ręką po blacie biurka, aż trafiła na srebrną rączkę szczotki do włosów. Chwyła szczotkę i uderzyła go w twarz. Odsunął się gwałtownie.

Wyrwał jej szczotkę, niemal łamiąc jej przy tym rękę. Zasłoniła twarz dłońmi i czekała na uderzenie. Ale nic takiego nie nastąpiło. W pokoju słychać było jedynie jej ciężki oddech.

Opuściła ręce i spojrzała na Damiena. Jego oczy przesłaniały szkła okularów. Pogardliwie odrzucił szczotkę na toaletkę. Odbiła się kilka razy od gładkiego blatu, po czym spadła na miękki wełniany dywan leżący na podłodze.

- Nie wyjdę za ciebie - szepnęła Aleksandra.

- Poślubisz mnie, inaczej w całym Londynie rozgłoszę, jak jesteś zdemoralizowana. - Jego słowa były treściwe, bezlitosne.

Miała ochotę znów go uderzyć.

- Nie będę tego ciągnęła. Nie wygrasz, Damienie. Już się o to postaram. Pragnę delikatności. Chcę kogoś, kto się o mnie zatroszczy. Albo nie będzie żadnego małżeństwa. Prędzej umrę.

Jego rysy się wyostrzyły.

- Jak chcesz.

Oparła się o biurko i odwróciła. Przerazał ją.

- Wiem, że potrafisz tak kochać. Widziałam to. Ale nie mogę wiecznie walczyć z ciemną stroną twojej natury. Nie mogę cię przechytrzać za każdym razem, więc muszę odejść.

Niedbale usiadł w wielkim fotelu przed kominkiem. W milczeniu wpatrywał się w ogień.

118

Siedział między nią a drzwiami.

Szczelniej otuliła się szlafrokiem. Zrobiła w kierunku drzwi jeden krok, potem drugi i trzeci... Złapał Aleksandrę za rękę i zaczął ją wykręcać, aż wreszcie musiała przed nim uklęknąć.

- Pragnę cię tak, że tracę rozum. - Utkwił w niej wzrok. Na jego twarzy malował się wyraz bólu. Na policzku pojawiła się brzydka pręga po jej uderzeniu. - Wiedziałem, że mi to zrobisz.

- Puść mnie - dyszała. Mimo, że tak pragnęła pogłaskać jego zaczerwieniony policzek, nie wolno jej

było okazać słabości. Do oczu napłynęły jej łzy. - Nie tak wygląda miłość mężczyzny do kobiety.

- A jak wygląda miłość kobiety do mężczyzny? Powiem ci jak. Kusi swoimi wdziękami, a potem, kiedy kochanek nie potrafi już bez niej żyć, niszczy go. - W nagłej złości chwycił ją za włosy i pociągnął do przodu, aż jej głowa znalazła się między jego kolanami.

- Damienie! - Z gardła Aleksandry wydobył się szloch, ukryła twarz w jego udzie, kiedy wsadził rękę do rozpiętych spodni. - Nie!

Z przerażeniem patrzyła, jak się przed nią obnaża.

Próbowała się wyrwać.

Przytrzymując jej głowę, wyszeptał z okrucieństwem w głosie:

- Przyjrzyj mu się, Aleksandro. Ostatnio często go wykorzystywałeś, ale prawdopodobnie nigdy mu się dokładniej nie przyjrzałeś w jasnym świetle dnia. - Jeszcze mocniej przydusił jej głowę. - Widzisz te ślady? Wciąż jeszcze są widoczne. Popatrz na blizny, efekt młodzieńczej ufności, której nie powinienem był okazać.

Spojrzała na niego, wystraszona i wstrząśnięta. Ale to, co dostrzegła na jego twarzy, było gorsze od szram, do których oglądania starał się ją zmusić. Nic nie wiedział o miłości, był człowiekiem zupełnie samotnym. Miała przed sobą mężczyznę, który znienawidził świat, ponieważ uwierzył, że nie ma na nim dla niego miejsca.

- Nie jestem Urszulą, Damienie.

- Nie, nie jesteś. - Przez chwilę milczał. - Jesteś od niej gorsza.

- Mylisz się. - Wyrzuciła te słowa jednym tchem, cały czas próbując mu się wyrwać.

Wolną ręką przesunął po jej włosach, przypatrując się jej z dziwną obojętnością. Potem nabrał głęboko powietrza w płuca.

- Jesteś gorsza, Aleksandro. Ona zachowywała dystans. Nigdy nie sprawiła, żebym poczuł do niej to, co czuję do ciebie. Nie była mi potrzebna. - Jego głos stał się ochrypły. - I nigdy nie zrobiła tego co ty, by potem usiłować mnie opuścić.

- Kocham cię, Damienie. Ale nie takiego - łkała, tuląc twarz do jego kolan. - Miłość jest dobra, miłość jest czuła i piękna. Poskramia, Damienie. Poskramia. - Ze szlochem, który ścisnął za serce, odepchnęła rękę, którą trzymał ją za włosy, i wstała. - Nie pozwolę ci tego zrobić... - Podbiegła do drzwi i otworzyła je.

W tym momencie pod gołą stopą poczuła coś mokrego. Spojrzała na podłogę i zobaczyła, że stoi w kałuży taniego karminu, który miał udawać krew. Plama cieczy rozpoczynała się pod drzwiami pokoju Damienia, biegła przez korytarz i zniknęła w pomieszczeniu, który teraz był jej sypialnią.

Nie mogąc oderwać od niej wzroku, przeszła przez hol i otworzyła na całą szerokość swoje drzwi. To, co ujrzała, sprawiło, że nagle zabrakło jej powietrza.

Szyby we wszystkich oknach wybito, we wnętrzu hulał lodowaty wiatr. Zza łóżka dobiegł ją szelest. Spojrzawszy tam, dostrzegła egzemplarz *Ivanhoe*. Książka leżała otwarta, kartki przewracały gwałtowne podmuchy powietrza.

Powrócił też manekin, stał teraz w kącie obok łóżka, z bezwstydnie zadartą spódnicą. Wszędzie porozlewano czerwoną farbę: na białej kapie widniały szkarłatne plamy, w kałużach na podłodze leżały odłamki potłuczonych szyb, a na lustrze nad jej toaletką ktoś palcem narysował wielką gwiazdę Dawida.

Ten okropny widok sparaliżował Aleksandrę. Kierując się jakimś zwierzęcym instynktem, spojrzała na miejsce, gdzie się zaczynał ślad. Damien stał w drzwiach swojej sypialni i przyglądał jej się. Nie mogła odgadnąć jego myśli, bo znów jego wzrok skrywały szkła okularów.

Jednak na jego twarzy nie dostrzegła zaskoczenia.

Widać to też musiała być jego sprawka.

Nagle cały obraz stał się zamazany, osunęła się na podłogę zemdlona.

31

Aleksandra otworzyła oczy. Panika wciąż ścisnęła jej serce. Potoczyła dzikim wzrokiem wokoło, próbując zorientować się, gdzie jest. Znajdowała się z powrotem w jego sypialni. Damien stał w drzwiach. Utkwił w nią spojrzenie wyprane z wszelkich emocji.

W panującej ciszy rozległ się głos Mary.

- Moja kochaneczko, leż spokojnie.

Aleksandra odwróciła głowę. Pokojówka wyjęła serwetkę nad miednicą i podeszła do niej.

119

- Jego lordowska mość powiedział mi, że zemdlłaś - rzekła sztywno, kładąc kompres na czole Aleksandry. Na jej twarzy malował się niepokój zmieszany z lękiem.

Aleksandra jeszcze raz odszukała spojrzeniem Damiena. Wpatrywał się w nią, notując każdy szczegół jej twarzy, każdy błysk niepokoju w jej oczach. Skinął głową, grzecznie, wyniośle, a potem bez słowa opuścił pokój.

- Gdzie on poszedł? - krzyknęła, sparaliżowana nagłym, niejasnym przeczuciem.

- Wszystko dobrze, panienko. Wszystko w porządku. Powiedział, że dziś mamy wyjechać. Już polecił Jaymesowi, by przygotował powóz. Spędzimy noc w Yorku i z samego rana wyjedziemy pociągiem. -

Mary mówiła szeptem, jakby odmawiała cichą modlitwę. - Dzięki Bogu - dodała.

Aleksandra spojrzała na siebie. Wciąż jeszcze miała na sobie szlafrok Damiena. Przeniosła wzrok na Mary. Na twarzy pokojówki nie dostrzegła oskarżenia, malował się na niej wyraz troski.

Chciała się podnieść, ale wciąż kręciło się jej w głowie, a nogi miała jak z waty.

- Mówił, że nie da mi wyjechać. - Nie była w stanie ukryć hysterii.

- Wezwał mnie i wyjaśnił, że zemdlałaś. - Oczy Mary pociemniały. - Był strasznie zaniepokojony. Powiedział, że się boisz, że jesteś tu nieszczęśliwa i nie może tego znieść. Potem oświadczył, że kiedy wrócisz do przytomności, mają nas zabrać do Yorku.

Aleksandra rozejrzała się po pokoju, a potem znów spojrzała na swój strój.

- Nie wiem, jak to wytłumaczyć - powiedziała, rumieniąc się nagle.

- Panienska myślała o ślubie...

Nagle Maryją objęła. Ramiona wiernej służącej dawały pocieszenie i rozgrzeszenie, lecz Aleksandra nie potrafiła sobie jeszcze wybaczyć.

- Widziałaś mój pokój? - spytała szeptem, z sercem pełnym żalu.

- Ktoś zrobił tam straszny bałagan - powiedziała jedynie Mary.

- To on. To musiał być on. Zadręcza mnie. - Po policzku popłynęła jej łza.

Mary nie odpowiedziała słowem.

- Zawsze dotąd myślałam, że to panna Pole. Sądziłam, że wyprawia takie sztuczki dlatego, że Damien się mną interesuje. Teraz poznałam prawdę. Stracił rozum. - Znów zaczęła płakać. - Wydawało mi się, że zdołam mu pomóc.

Pewnego wieczoru siedział z pistoletem w dłoni i bałam się, że może sobie zrobić krzywdę. Ale jak mogę go teraz ratować? Nie potrafię poślubić mordercy. Te... te okrutne diabelskie żarty... Czy mogę go uchronić od szaleństwa, sama nie popadając w obłąd?

Mary ujęła jej dłoń.

- Nie umiem wyjaśnić, co tutaj zaszło. W pokoju panienski niewątpliwie ktoś zrobił bałagan, ale czy to on? Nie wiem; być może. Nikogo nie złapano za rękę. Ale przecież nie musimy już zaprzętać sobie tym głowy. Wyjeżdżamy, gdy tylko dojdzie panienska do siebie. I niech Bogu będą za to dzięki. Ratunek przyszedł w samą porę.

- Chyba nie mogę mu pomóc. - Aleksandra otarła łzy, które nie przestały płynąć z jej oczu. Nigdy jeszcze nie czuła się tak bezradna. Jej życie wydawało się pozbawione sensu. Teraz przyszłość

jawiała się jako coś, co trzeba będzie znieść, wszystkie marzenia się rozpięchły.

- Chodź, kochaneczko, przyniosłam z pokoju ubranie. Pomogę panience się ubrać, potem zbiorę rzeczy i pójdziemy do powozu.

Aleksandra skinęła głową, nic nie widząc przez łzy. Jej serce przepelniał ból.

*

- Muszę się pożegnać z Samem - oznajmiła Aleksandra, kiedy Jaymes już przymocował wszystkie ich bagaże do dachu powozu, a Mary na dole w kuchni instruowała kucharkę, w kwestii prowiantu na drogę. - Gdzie on jest? Nigdzie go nie widziałam.

Pani Penrith załamała ręce i rozejrzała się po wielkim westybulu.

- Teraz, kiedy panienka o tym wspomniała, dotarło do mnie, że ja też go ostatnio nie widziałam. Zawołam lokaja, może uda się go przyprowadzić.

Gospodyni wyszła, zostawiając Aleksandrę samą w westybulu. Jego ogrom i pustka przygnębiały ją. Podeszła do miecza Cairncross. Przesunęła palcem po wyszczerbionym ostrzu i szeptem wypowiedziała dewizę rodu. *Sunt hic etiam suipraemia laudi*. „Tu również cnota jest nagradzana”. Te słowa nie miały związku z rzeczywistością. W

Cairncross nie ceniono cnoty. Nieznośny ból, jaki sprawiło jej to odkrycie, będzie jej towarzyszył do końca życia.

Spojrzała na ogromne dębowe schody unoszące się w końcu komnaty. Nie istniał żaden rozsądny powód, dla którego miałyby teraz odwiedzać pokój do nauki, ale tego właśnie chciała. Może gdzieś w głębi serca żywiła nadzieję, że zobaczy Urszulę. Może miała nadzieję, że powiedzie się ostatnia próba wyjaśnienia szaleństwa, które rozdzierało jej duszę. Bez względu na to, czym się kierowała, uniosła spódnicę i weszła po stopniach na trzecie piętro.

Pokój był pusty. Panowała w nim dziwna cisza. Okiennice pozamykano. Kurz pokrywał biurka i boazerię. Dzień po 120

dniu, w miarę jak będzie narastała warstewka kurzu, obecność Aleksandry Benjamin miała zanikać.

Podeszła do biblioteczki. Oprawione w skórę tomy stały równiutkimi szeregami na półkach, nie było między nimi żadnych przerw. Wszystkie powieści historyczne Waltera Scotta były nietknięte. Ivanhoe wrócił na swoje miejsce.

Nie było tu dla niej miejsca. Koniec historii. Początek cierpienia.

Podeszła do drzwi prowadzących na korytarz i już przekręcała gałkę, gdy zatrzymał ją jakiś szmer.

Było to ciche drapanie po drugiej stronie drzwi prowadzących do jej dawnej sypialni. Sypialni Urszuli Pole.

Przeszła przez pokój do nauki i spróbowała poruszyć gałkę. Tak jak za pierwszym razem, kiedy stała przed tymi drzwiami, były otwarte, chociaż powinny być zamknięte na klucz.

Przekręciła gałkę i kiedy otwierała drzwi, zaskrzypiały zawiasy. W jej dawnej sypialni też panował półmrok, okiennice były zamknięte, nie przepuszczały światła słonecznego. Minęła dobra chwila, nim jej oczy przywykły do mroku, i wtedy zobaczyła, co było powodem hałasu.

- Mój Boże, Samuelu, jesteś tutaj. Wszędzie ciebie szukamy. - Podeszła bliżej i pochyliła się nad nim. Trzymał się starego kufra jak tratwy na wzburzonym morzu. Palcami drapał boki skrzyni, jakby się bał, że wysunie mu się z rąk.

- Chodź, Samuelu. Nie powinieneś tu być. Co to jest? - rzekła łagodnie, klękając obok niego.

Drgnął i spojrział na nią. Zupełnie jakby dopiero teraz zauważył jej obecność.

- Co się stało? - szepnęła z niepokojem. Wzięła jego rękę, którą drapał bok kufra, i dopiero później dotarło do niej, że jest ciepła i lepka od krwi. Tak drapał skrzynię, aż zdarł sobie paznokcie.

- Samuelu, jesteś przerażony. Dlaczego? Dlaczego? - spytała błagalnie, nagle zrozumiałwszy, że jeśli uda jej się teraz skłonić go do mówienia, może zdoła rozwiązać tajemnicę Cairncross.

Patrzył na nią, jego twarz była niezwykle urodziwa. Tak urodziwa, jak twarz jego brata.

- Możesz mi powiedzieć. Nie zrobię ci krzywdy. Proszę. Proszę - błagała. - Pozwól sobie pomóc.

- Sprawilem, zeby się stąd wyniosła! - wybuchnął, szloch tłumił jego słowa. - Sprawilem, zeby się stąd wyniosła, ale sprowadziłem ją z powrotem. Widzisz? Sprowadziłem ją z powrotem. Jestem dobrym chłopcem.

Poczuła ciarki na plecach. Włosy na głowie zjeżyły się jej ze strachu.

- Gdzie ją umieściłeś, Samuelu? W kufrze?

Samuel długo się jej przyglądał. W swoim prostym umyśle zdawał się oceniać jej charakter. Chciał jej ufać.

Wyczuwała jego gorące pragnienie.

- Mogę zobaczyć, czy ją schowałeś z powrotem?

Z wahaniem skinął głową.

Aleksandra się wyprostowała.

Ręce miała zimne jak lód. Otworzyła kłódkę. Ciężkie drewniane i żelazne wieko jęknęło, stawiając opór, a potem odskoczyło z hałasem. Krzyk uwiązł w gardle Aleksandry.

- *W takim razie - powiedziała Żydówka - ukaz mi*

tę drugą stronę medalu!

Ivanhoe

Aleksandra dygotała na całym ciele. Pani Penrith podała jej filiżankę herbaty na wzmocnienie. Kobiety schroniły się w saloniku gospodyni. W całym domu panował nieopisany rwetes. Mary, biała jak prześciera dło, siedziała obok swej panienki, próbując ją uspokoić.

- Przypuszczam, że kiedy go znalazłam w pokoju Urszuli, Sam w swym dziecinnym umyśle uwierzył, że został w końcu przyłapany. - Aleksandra się wzdrygnęła. - Pewnie dlatego pozwolił mi zajrzeć do kufra. Powtarzał:

„Wsadziłem ją z powrotem. Wsadziłem ją z powrotem”. Teraz rozumiem, o co mu chodziło.

- Lekarz mówi, że nie żyła już od dawna - powiedziała pani Penrith - ale jej ciało zachowało się w nadzwyczaj dobrym stanie. Poczciwy doktor sądzi, że nie spoczywała w kufrze przez te wszystkie lata, tylko gdzieś indziej. Moim zdaniem, powietrze katakumb zakonserwowało jej zwłoki.

- To brzmi sensownie. Teraz tyle rzeczy nabrało sensu. - Aleksandra uniosła filiżankę do drżących warg. - Któregoś dnia Sam kilka razy powtarzał, że sprawił, aby się stąd wyniosła. Po tym, jak Damien został zmuszony do opuszczenia rodzinnego domu, musiał się spotkać z Urszulą. Rozzłościła się i przestraszyła go, więc zamknął ją w katakumbach. -

Znów przebiegł ją gwałtowny dreszcz. - To tłumaczy ślady zadrapań na wewnętrznej stronie drzwi i rude włosy na ziemi. Musiały odpadać kępkami od czaszki, w miarę jak zwłoki się rozkładały.

- Och, nasz biedny, kochany chłopiec. Nigdy się z tym nie upora. - Pani Penrith cmoknęła, nalewając sobie herbaty.

- Nie wiem. Myślę, że fakt, że wszystko się wydało, może dobrze na niego wpłynąć. Była okrutna, a on najwidoczniej bardzo się jej bał. Świadomość, że to się skończyło, może podziałać jak katharsis. - Aleksandra powoli się uspokajała. Mary podała jej chusteczkę nasączoną solami trzeźwiącymi. Trochę się już ożywiła, ale za każdym razem, gdy zamykała oczy, widziała kufer i makabryczne zwłoki rudowłosej Urszuli Pole w środku.

121

- Ale jeśli Sam zostawił tę kobietę w katakumbach, to czemu, na Boga, wyciągnął kufer z piwnicy i umieścił tam jej szczątki? - spytała Mary, mocno ściskając rękę Aleksandry.

- Przypuszczam, że mimo swego ograniczenia umysłowego zawsze wiedział, że zrobił coś złego. - Aleksandra uspokajająco poklepała ramię Mary. - Myślę, że dlatego nie chciał mówić przez te wszystkie lata. Kiedy wybraliśmy się z Samem do lochów zamkowych i mało brakowało, bym

przekroczyła tamte drzwi i znalazła się w katakumbach, przestraszył się, że zniknę, tak jak zniknęła Urszula. Prawdopodobnie przypomniał sobie, co zrobił dawno temu. Po naszej przygodzie w katakumbach udał się tam ponownie. Kiedy odkrył zwłoki, poczucie winy kazało mu szukać jakiegoś zadośćuczynienia. Zapewne rozumował tak: ponieważ kiedyś przez niego zniknęła, to jeśli teraz umieści ją z powrotem w jej pokoju, w starym kufrze, wszystko będzie w porządku.

- To straszne! - wykrzyknęła Mary.

- Owszem - rzekła cicho Aleksandra. - Ale przynajmniej teraz wiemy, że Damien nie jest mordercą.

- Właśnie - powiedziała w zamyśleniu pani Penrith. - Jednak to nie tłumaczy, co się działo w zamku przez te lata.

Czyżby Urszula była jednak duchem?

Aleksandra nie odpowiedziała. Nie mogła. Odrażające, wysuszone zwłoki Urszuli Pole nie przypominały kobiety widzianej na schodach ani postaci majaczącej na wrzosowiskach. Za życia Urszula nie przypominała osoby, której szczątki znaleźli w kufrze. Nikt nie potrafił powiedzieć, czy jej duch rzeczywiście nawiedzał zamek, czy też wszystko to był tylko zbieg okoliczności i efekt pokrętnego rozumowania Damiena.

- Nie mogę wyjechać, nie spotkawszy się z nim - stwierdziła Aleksandra, odstawiając filiżankę. - Jeśli popełniłam błąd, uznając go za mordercę, to przecież wcale nie wiem, jaki jest naprawdę. - Zwróciła się do Mary: - Chcę, żebyś teraz wyjechała z Jaymesem.

- Chyba nie mówi panienka poważnie! Mam zostawić panienkę tutaj? - Mary zrobiła taką minę, jakby za chwilę miała ją trafić apopleksja.

- Po prostu muszę dowiedzieć się prawdy. - Aleksandra zniżyła głos do szeptu. - W końcu muszę poznać prawdę, obojętnie, jaka ona jest.

- Zostanę tu tak długo, jak będzie trzeba, jeśli panienka sobie tego życzy. Wie panienka, że...

Aleksandra pokręciła głową. Spojrzała Mary w oczy.

- Nie wiem, co się wydarzy. Wiem tylko, że muszę się z nim zobaczyć ten ostatni raz. Powóz jest gotowy do drogi.

Chcę, żebyś pojechała do Yorku i na mnie zaczekała. Chcę, żebyś była bezpieczna.

- Och, kochaneczko, nie wymagaj tego ode mnie. Nie mogę wyjechać i zostawić panienki tutaj samej. - Na twarzy Mary malowało się przerażenie.

- Nie wiem, jak to się skończy. Albo rano do ciebie przyjadę, albo jeszcze dziś wieczorem po ciebie poślę. Ale teraz chcę, żebyś stąd wyjechała. - Oczy Aleksandry błyszczały od łez. - Kocham cię, Mary. Jesteś jedyną bliską mi osobą na świecie. Nie mogę walczyć z potworami Cairncross, jeśli tobie będzie groziło niebezpieczeństwo.

- A ja nie mogę panience pozwolić walczyć z nimi samotnie. Proszę pojechać ze mną. Wyjedźmy, póki mamy okazję.

- Mary spojrzała na Aleksandrę, a potem na panią Penrith, jakby ona mogła przemówić jej do rozsądku.

- Panienko. - Pani Penrith ujęła rękę Aleksandry. - Może panienka jechać z Mary. Lord Newell nie spotka się z panienką. Odkąd panienka postanowiła wyjechać, jest bardzo wzburzony. Zamknął się w swoich pokojach i z nikim się nie chce widzieć. Nawet kiedy mu powiedzieliśmy, że znaleźliśmy Urszulę.

- Ze mną się spotka. Na pewno.

- Nie wiem, panienko. - Gospodyni pokręciła głową. - Nie jest taki jak zwykle. Nigdy go nie widziałam w takim stanie. Kiedy mówiłam przez zamknięte drzwi, że ją znaleźliśmy, odniosłam wrażenie, jakby go tam wcale nie było.

Jakby był nieobecny.

Serce Aleksandry zaczęło bić szybciej. Nie mogła odpędzić wspomnienia tamtej nocy, kiedy go zastała z pistoletem w dłoni. Poczowała gwałtowny skurcz w żołądku.

- Muszę do niego pójść. - Z bladą i ściągniętą twarzą zwróciła się do Mary: - Obiecuj mi, że zaraz wyjedziesz z Jaymesem.

- Nie każ mi tego robić, panienko.

- Mary, tak mi na tobie zależy. Urszula, jeśli jej duch nadal tu krąży, wie o tym. Damien też o tym wie. Jeśli coś pójdzie nie tak, chcę, żeby ciebie tu nie było. Obiecuj mi.

Może bliski hysterii ton głosu Aleksandry w końcu przekonał pokojówkę. Mary ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

- Wyjadę, panienko, będę się za panienkę modliła. Boże, proszę, pozwól, żebyśmy się jutro spotkały.

Aleksandra ucałowała pokojówkę, a potem otarła łzy z policzków. Drżąc, podeszła do drzwi.

- Dlaczego panienka to robi? - spytała pani Penrith. Aleksandra przystanęła.

- Jeśli źle go oceniłam, muszę prosić o wybaczenie.

122

Gospodyni ze zrozumieniem spojrzała na pobladłą twarz Aleksandry.

- W takim razie proszę iść, panienko. I to zaraz.

Aleksandra wybiegła z saloniku, nie zwracając uwagi na własne złe przeczucia i żalony płacz Mary. Nie była zdolna do żadnych ocen ani decyzji. Wiedziała jedynie, że musi zobaczyć się z Damienem. I to natychmiast.

Mimo że wyobrażała sobie, co się może stać, uniosła spódnicę i pobiegła.

*

Pokój Damiena był pusty.

Aleksandra zajrzała do wszystkich kątów, by się upewnić, czy się gdzieś nie schował, ale nigdzie go nie było. W

końcu osunęła się na kanapkę, wodząc oczyma po pustej sypialni.

- O, oblubienica przyszła po swego pięknego oblubieńca.

Odwróciła się na kanapce, żeby zobaczyć, skąd dobiega głos. Z przerażeniem zobaczyła, że deska boazerii się odsuwa i ukazuje się okrutna twarz Featherstone'a.

- Oto jego nowa oblubienica, chociaż moją zabrał po wsze czasy. - Wyciągnął do niej rękę.

Zerwała się z kanapki. Serce zaczęło jej szybciej bić, kiedy ujrzała w oczach Featherstone'a błysk szaleństwa.

- Gdzie jest Damien? - spytała.

- Z nią, z nią - roześmiał się Featherstone.

- On jej nie zabił - rzekła. Ukradkiem rozglądała się po pokoju, szukając możliwości ucieczki. - Znaleźliśmy zwłoki panny Pole w kufrze w jej dawnej sypialni. To był nieszczęśliwy wypadek. Samuel nie wiedział, na jaki los ją skazuje, kiedy ją zamknął w katakumbach.

- To samo powiedzą o mnie, panno Benjamin. - Featherstone był szybki jak na swój wiek. Nim zdołała umknąć przed nim, odbił się od ściany i przewrócił ją na podłogę.

Zaczęli się szamotać. Wbiła paznokcie w jego pomarszczoną twarz, drapała go do krwi, lecz jej nie puszczał. Był

stary, ale żyłasty, w szale zaś stał się niepokonany. Wkrótce znalazła się pod nim. Dyszała ciężko, patrząc na niego z pogardą.

- Ona nie żyje, panie Featherstone - szepnęła, próbując mu przemówić do rozsądku. - Sama widziałam w kufrze jej rozkładające się zwłoki, tam gdzie kiedyś były usta, teraz widać zęby wyszczerzone w odrażającym uśmiechu, jej długie rude włosy leżą na posadzce katakumb, odpadły od pustego czerepu. Nie żyje, Samuel niechcący przyczynił się do jej śmierci. To nie moja wina. To nie wina Damiena.

- Ona mówi co innego. - Spojrzał na Aleksandrę. Omal nie zemdląca, czując wstrętny odór z jego ust.
- I wcale tak nie wygląda. W tamtym kufrze widziała panienka inną kobietę. Urszula wciąż jest młoda i piękna. Nie zmieniła się...

- A dlaczego się nie zmieniła? - spytała Aleksandra. - Ponieważ nie żyje, panie Featherstone. I to, co pan widział, to był duch.

Roześmiał się.

- Dotykałem jej. Trzymałem ją. - Pochylił się niżej i odór z jego ust zmusił Aleksandrę do odwrócenia głowy. -

Całowałem ją. Jest z krwi i ciała, a Damien pozbawił mnie jej przez te wszystkie lata. Więc teraz ja mu zrobię to samo.

Szarpnął ją gwałtownie i pociągnął za sobą. Z otworu, którym dostał się do pokoju, dochodził zapach wilgotnej ziemi. Nie było to przejście dla służby, tylko jeszcze jedna odnoga labiryntu.

- Dołączy panienka do swego kochanka? - Brutalnie wepchnął ją do środka, a potem ruszył za nią, zamknawszy sekretne wejście, żeby nikt nigdy ich nie odnalazł.

W tunelu panowały nieprzeniknione ciemności. Próbując się zorientować, gdzie jest, przesuwała ręką po ścianie, aż wreszcie natrafiła na wnękę w skale i na kości jakiegoś dawno poległego rycerza. Przerazona osunęła się na ziemię.

Całkiem straciła orientację. Nie była zdolna zrobić kroku.

Błysk oświetlił wnętrze groty, to Featherstone zapalił lampę naftową. Ale nawet w jej świetle nie dostrzegła wejścia.

Drzwi były tak zamaskowane w kamiennej ścianie, że nikt nie mógł ich odnaleźć.

- Chodź - polecił jej stary kamerdyner. Na jego twarzy malował się uśmiech szaleńca.

- Gdzie jest Damien? - spytała i jęknęła, kiedy znów zaczął ją popychać przed sobą.

- Zaprowadzę cię do niego. Kim jestem ja, tym ty masz być. Więc weź mą dłoń i ze mną idź. - Odrzucił głowę do tyłu i zaniósł się śmiechem.

Ten odgłos sprawił, że dostała gęsiej skórki.

- Ona nie żyje, panie Featherstone. Widziałam ją. Nie żyje.

- Kłamiesz. - Złapał ją za włosy i brutalnie przyciągnął do siebie. - Znam takie jak ty. Nie od dziś. Jesteś tylko kłamliwą Żydóweczka i nie pozwolę, żebyś tak o niej mówiła.

- Ona nie żyje. Kocha pan ducha. Kiedy pewnego dnia będzie pan chciał ją pocałować, wtedy

zobaczy pan, jak martwe ciało odpada od kości. - Coraz bardziej wyprowadzała go z równowagi. Teraz wiedziała, że nie zdoła mu przemówić do rozsądku. Stracił go do reszty po śmierci Urszuli Pole.

123

- Nigdy jej nie widziałas. Jest śliczna. Ta kobieta w kufrze to nie była ona.

- To była ona. I widziałam ją. A przynajmniej jej ducha. Raz minęła mnie na schodach, potem przyglądała się mnie i Damienowi na wrzosowisku. To, w co wtedy nie chciałam uwierzyć, teraz stało się zrozumiałe. Jeśli nie istnieje ktoś bardzo podobny do niej, kto odczuwa potrzebę płatania takich figlów, jestem pewna, że wtedy na wrzosowisku widziałam ducha. Jej ducha.

- Dzień twojej śmierci jest już bliski - rzekł z gniewem w głosie. - Więc dalej, idź przed siebie. Zobaczymy, jak Newell będzie pieścił swoją oblubienicę.

Popchnął ją przed sobą, unosząc wysoko lampę. Przed nimi otwierała się ciemna otchłań korytarza. Aleksandra zaczęła iść, stawiała kroki wolno, niepewnie, bojąc się tego, co może ujrzeć za załomem muru. Chciała biec do Damiena, ale Damien krył się gdzieś w mroku i wiedziała, że bez pomocy Featherstone'a nigdy go nie odnajdzie.

*

Damien stał przed drzwiami do katakumb. Pchnął je. Mimo swej siły ledwo zdołał je otworzyć. Po drugiej stronie ukazała się ciemna postać. Postać osoby, z którą przyszedł się zobaczyć.

- Podjąłem decyzję - zwrócił się do niej, głos miał schrypnięty i szorstki. - Pokaż mi ciemności, które tak dobrze znasz.

Postać nawet nie drgnęła. Stała w głębi korytarza, w migotliwym świetle lampy widział sylwetkę w krynolinie.

- Pora na czyściec. Pokaż mi przyszłość. Udowodnij, że piekło na ziemi jest gorsze od tego, w którym ty żyjesz. -

Wolno wyciągnął pistolet zza paska spodni. Trzymał broń oburącz, wzrok utkwił w majaczącej przed nim postaci. -

Pokaż mi, kim jesteś. - Uniósł pistolet. W jego oczach pojawił się błysk desperacji.

Postać w mroku trwała nieruchomo. Ucieleśnienie nicości.

- Pokaż mi, Urszulo - szepnął. W tunelu po prawej stronie mignęło światło. - Kto tam? - spytał władczy tonem, opuściwszy pistolet.

Światło stało się jaśniejsze. Ciemna postać rozplynęła się w mroku.

- Wasza lordowska mość, to ja, pański dawny kamerdyner - rozległ się głos. W kręgu światła lampy pojawiły się dwie postaci splecione w makabrycznym uścisku.

- Damienie - szepnęła Aleksandra. Featherstone pchnął ją do przodu, Aleksandra poczuła na skroni zimny metal lufy.

Damien ujrzał pistolet w dłoni swego kamerdynera. Drugą ręką stary sługa mocno ścisnął szyję Aleksandry. Na ułamek sekundy wzrok Newella spotkał się ze spojrzeniem Aleksandry: jej było błagalne, jego - nieodgadnione.

- Co tu robisz? - spytał niecierpliwie Featherstone'a.

- Kochałem ją, Newellu, a ty mi ją zabrałeś.

- Ona ciebie nie kochała - warknął Damien. - Była dziwką, wykorzystwała cię dla forsy, którą odkładałeś przez wszystkie lata pracy. Nigdy cię nie kochała. Nigdy nikogo nie kochała.

- Mnie kochała. Kochała! - zapiszczał Featherstone. Pchnął Aleksandrę do przodu, uderzając ją kolbą pistoletu w głowę. - A teraz, wasza lordowska mość, zapłaci pan za to. Proszę patrzeć, jak pańska niedoszła oblubienica będzie...

- Co będzie? - przerwał mu Damien. - Ginać z twojej ręki? Proszę bardzo. A więc będziemy razem.

- Damienie! - Aleksandra nie mogła oddychać, jej oczy napęłniły się łzami. Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Nie chcesz umierać, Aleksandro? - spytał kpiąco Damien. - Myślisz, że życie i związane z nim cierpienia trwają wiecznie?

- Czasem potrzeba odwagi, by żyć, mój najdroższy. - Patrzyła na niego, na jej twarzy malowały się przerażenie, konsternacja i dozgonna miłość. - Czasem dobro i zło nie są nam z góry sądzone, ale są wynikiem wyborów, dokonywanych na oślep i po omacku. Wiem, że nie zamordowałeś Urszuli. Okazało się, że Sam ukrywał zło, które wyrządził dwadzieścia lat temu. Powinnam była w ciebie wierzyć, ale nawet wtedy, kiedy uważałam cię za winnego, kochałam cię - szepnęła cicho.

Patrzył na nią bez słowa, jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć; oczy przesłaniały szkła okularów. Może to i lepiej.

- Teraz ją zabiję, wasza lordowska mość - syknął Featherstone. - A potem zabiję pana. Czeka na mnie moja ukochana.

- Wolałbym, żeby zginęła z mojej ręki, niż z ręki kogoś obcego. - Damien uniósł pistolet, który do tej chwili niedbale trzymał u boku.

Featherstone drgnął, wyraźnie zaskoczony widokiem drugiego pistoletu.

- A więc to pan chce doznać tego zaszczytu? - spytał Featherstone, podczas gdy Aleksandra

próbowała mu się wyrwać.

- Dlaczego nie? Miała być moją żoną.

- Nie, Damienie, nie! - błagała Aleksandra. Łzy płynęły strumieniem po jej twarzy.

- Widzę teraz, że dokonałem wyboru, jeszcze zanim się tu pojawiłaś, Alex. - Damien patrzył na nią, jego twarz była jak wyciosana z kamienia. - Nie możesz niczego zmienić.

124

- Wygra, jeśli to zrobisz, Damienie. Wiem, że jest tylko uosobieniem zła, niemniej jeśli się poddasz, ona wygra, a wtedy powinieneś być ulec jej dawno temu. Kocham cię, Damienie! - krzyknęła żałośnie.

- Ale czy kochasz mnie na śmierć i życie, na dobre i złe, Aleksandro? - spytał, mierząc z broni.

- Tak - szepnęła, nie odwracając wzroku - tylko odwzajemnij moją miłość. Daj mi to, co ja dałam tobie, wtedy będziemy mogli dalej żyć.

- To nie ja rozlałem czerwoną farbę w twoim pokoju. To nie ja - powtórzył. Po wyrazie jego twarzy widać było, że chce, by mu uwierzyła.

- Wiem. To była wszystko jej sprawka. Wiedziała, co dla mnie znaczy *Ivanhoe* ze względu na to, czym była, a nie kim była. Nie rób tego, Damienie - błagała, wciąż próbując się wyrwać z uścisku Featherstone. - Wolę, żebyśmy obydwójce zginęli z ręki szaleńca, niż by zniszczyło nas zło, które w nas tkwi.

- Ale we mnie jest go tyle - rzekł zduszonym głosem.

- Wiem, ale właśnie dlatego musisz wybrać życie. Jestem tu teraz. Dlatego mnie tu przyprowadzono. Musisz z tym walczyć. To jedyny cel i sens miłości. Miłość jedna nas ze złem, które tkwi w każdym. Kocham cię. A przede wszystkim nie uwierzę, byś musiał ginać... ponieważ myślę, że mnie kochasz - szepnęła.

Twarzą, łzami, głosem błagała o odpowiedź.

Patrzył na nią przez straszliwie długą chwilę, z pistoletem wymierzonym prosto w jej głowę. Cisza była jak trzask pioruna.

Nikt nigdy się nie dowie, czy zamigotała lampa, czy też prawdziwa łza stoczyła się po policzku Damiena. W

katakumbach panował mrok i jeśli coś zmieniło się w jego twarzy, nie było tego widać.

- Kim jestem ja, tym ty masz być. Więc weź mą dłoń i ze mną idź. - Wyciągnęła drżącą dłoń.

Patrzył na nią bez słowa, bez ruchu. Stojący za nią Featherstone zaczął się śmiać.

- Myliłeś się, jeśli chodzi o Urszulę - zaskrzeczał kamerdyner. - Wcale nie jest martwa. Stoi za tobą, Newellu, więc pociągnij spust, zabij swoją ukochaną, a potem zabij siebie, żeby uszczęśliwić moją prawdziwą ukochaną.

- Kocham cię - rzekł Damien do Aleksandry, kiedy zaczęła szlochać na widok tego, co było za nim. - Kocham cię -

powtórzył i pociągnął za spust.

Epilog

...natrafiałaś we mnie na równie dumnego przeciwnika.

Bois-Guilbert do Rebeki w *Ivanhoe*

Aleksandra patrzyła na obu braci idących przed nią przez ogród. Był chłodny, zimowy dzień, ale jeszcze nie spadł

śnieg, a popołudniowe słońce świeciło jasno zza skał. Samuel wysforował się do przodu, zostawiając ślady na płatach zmrożonego śniegu leżącego między krzewami róż. Damien szedł tuż za nim z dumą i godnością właściciela oglądającego swoje włości.

Ale nie był całkiem zadowolony. Czegoś mu brakowało. Nagle się odwrócił i wyciągnął rękę. Aleksandra przyspieszyła kroku i ujęła jego dłoń. Na jej ustach ukazał się szczery, pełen miłości uśmiech.

- Ile to już dni upłynęło? - spytał, tuląc ją do siebie.

- Codziennie zadajesz to pytanie, mój drogi. Czy zawsze będziesz tak pytał? - Była szczęśliwa, była jego żoną.

Strzepnęła pyłek z płaszcza Damiena i dłonią w rękawiczce delikatnie pogłaskała czarną tkaninę.

- Będę pytał zawsze, żeby się upewnić, że to nie sen, z którego mogę się obudzić.

Dotknęła jego policzka.

- Pobraliśmy się w wigilię Bożego Narodzenia. Niech policzę... A więc jesteśmy małżeństwem od pięćdziesięciu pięciu dni.

- Zawsze będę pytał, nawet jeśli upłynie pięćdziesiąt pięć lat. - Spojrzał na brata. W okularach Newella odbijały się chmury. Wciąż nosił szkła, ale przestały nadawać jego twarzy wyraz obcości i obojętności. Od tamtego dnia w katakumbach nigdy więcej jej nie przestraszył. Prawda wyszła na jaw, obrali swoją drogę. Z każdym dniem stawał się delikatniejszy, bardziej czuły. Często powtarzał, że jest wspaniałą nauczycielką, ale przecież zawsze tak myślał.

Wzruszał ją sposób, w jaki traktował Sama.

- Czy dziś Samuel chce znów iść na grób? - spytała, ze śmiechem próbując dotrzymać kroku mężowi.

- Spytamy go. Chyba składanie kwiatów na jej grobie sprawia mu przyjemność.

Aleksandra spojrzała na niego i skinęła głową.

- Nie wydaje mi się, by mógł znów zacząć mówić bez odprawienia pokuty, jaką jest opiekowanie się jej grobem. -

Spojrzała na Sama. Ponurym wzrokiem lustrował mur wokół ogrodu, jakby wypatrywał postaci, którą oboje z Damianem widzieli kiedyś na wrzosowisku. - Dobrze mu robi odwiedzanie jej grobu. Nigdy nie uwierzę, żeby zdawał

sobie sprawę, iż zamykając ją w katakumbach może spowodować jej śmierć.

- Chcę tylko, żeby był szczęśliwy i mówił. Nie obchodzi mnie, kto ją zabił. - W tej chwili Damien błędził myślami gdzieś daleko. Wolno uścisnęła mu rękę i położyła ją na swym łonie.

125

- Już jej nie ma, mój drogi. Nie widzieliśmy jej, odkąd w dniu naszego ślubu pochowano ją w poświęconej ziemi. I nie sądzę, byśmy kiedykolwiek mieli ją jeszcze zobaczyć. Przegrała, zapomniałeś?

Zacisnął zęby.

- Nigdy mi nie powiedziałaś, jak wyglądała, kiedy stała za mną, nim strzeliłem do Featherstone'a.

- Czy to ważne? - spytała cicho Aleksandra i posmutniała. - Mamy przed sobą nowe życie. Zresztą powiedziałam ci, że wyglądała prawie tak samo jak wtedy, kiedy znaleźliśmy ją w kufrze, tylko... tylko... była pełna nienawiści. - Za każdym razem, gdy o tym myślała, twarz jej pokrywała bladość. Nie miała słów na opisanie zła, jakie uosabiała Urszula Pole, kiedy po raz ostatni ukazała jej się w katakumbach. Było to zło bardziej odczuwane, niż widziane. Wtedy właśnie przez kilka sekund, chociaż postanowiła nigdy tego Damianowi nie mówić, wiedziała, że zło zawładnęło także jej duszą.

- Potrzebna mi twoja siła, Aleksandro.

Spojrzała na męża i dostrzegła niepokój w jego oczach. Teraz okulary niczego nie przesłaniały.

- Jesteś silny swoją własną siłą, Damienie. Mogłeś zabić nas obydwoje, miałeś taką okazję. Myślę, że często cię kusiło, by w ten sposób się wyzwolić. Ale wybrałeś życie. I dlatego, mój drogi mężu, postanowiłam być u twego boku do końca mych dni.

- Modlę się, żebyśmy mieli taką córkę, jak ty, moja droga - szepnął.

- A ja się modłę, żebyśmy mieli syna, który pozna znaczenie miłości tak dobrze jak jego ojciec - odparła, pozwalając pocałować się w usta.

W końcu oderwali się od siebie, wzięwszy się za ręce szli dalej przez zimowy ogród. Krzewy rózań wyciągały cierniste gałazki ku ciepłym promieniom słońca. Oboje wiedzieli, że za kilka miesięcy znów się zazielenia, a pomiędzy kolcami pojawią się świeże paki. Życie rozpocznie się od nowa.

Aleksandra obserwowała, jak jej mąż patrzy ciepło na Sama. Widziała, jak pogłębia się więź między braćmi, zwłaszcza że przeżyli te same koszmary. W miarę upływu czasu strach stanie się mniej dotkliwy. Nauczą się ufności i delikatności. Wiedziała, że Damien się ich nauczy. Już się ich uczył. Nosila w łonie jego dziecko, z ufnością spoglądali w przyszłość, która rysowała się jasno, bo się kochali. Samuel zdawał się również rozumieć te zmiany, szybko odzyskiwał mowę i wydawał się o wiele szczęśliwszy.

W Cairncross zabito deskami drzwi dawno nieużywanego pokoju do nauki. Pokój dziecinny i salę lekcyjną postanowiono zbudować w innym skrzydle. Sypialnia dawnej guwernantki nadal pozostawała pusta, a pokojówki wciąż jeszcze, robiąc porządki w tej części zamku, omijały to pomieszczenie. Szeptaly między sobą, że to złe miejsce, starały się zrzucić obowiązek utrzymania w czystości tej sali na kogoś innego. W końcu sypialnia popadła w ruinę, podobnie jak dawna sala lekcyjna, w której tylko hulały przeciągi. Pozostały resztki zła, które niegdyś tu mieszkało.

Aleksandra pragnęła zmienić ten stan rzeczy, jednak zdawała sobie sprawę, że nie może odciąć się od przeszłości Cairncross. Pogodziła się z tym, że przeszłość to odwieczna walka, gotowa była ją toczyć codziennie, razem z ukochanym mężczyzną u boku. Dotknęła policzka Damiena. Uśmiechnął się do niej. Razem szli przez ogród.

Jakiś nieuchwytny, pełen niepokoju, wszechobecny mrok pozostał w korytarzach zamkowych, lecz przynajmniej Urszula przestała ich prześladować. Teraz Aleksandra wiedziała, że nie może pokonać całego zła, które objawiało się w Cairncross.

Lecz cechował ją upór. Dziecko poruszyło się w jej łonie, przepelniła ją radość. Wiedziała, że z każdym kolejnym czułym dotykiem ręki ukochanego wspomnienia przeszłych wydarzeń zaczną gasnąć.

Położ mię jak pieczęć na twoim sercu,

Jak pieczęć na twoim ramieniu,

Bo jak śmierć potężna jest miłość.

Pieśń nad Pieśniami 8,6

Document Outline

- ??
- ??
 - ??
 - ??
 - ??
 - ??